

ALBATROS

BRUDNA  
SPRAWA

ROBERT  
DUGONI

## CYKL Z DETEKTYW TRACY CROSSWHITE

KSIĄŻKA AUTORA DWUKROTNIE NOMINOWANEGO DO NAGRODY  
HARPER LEE ORAZ NAGRODY EDGARA ALLANA POE

Ucieczka z miejsca wypadku. Śmiertelna ofiara – dwunastoletni chłopiec. Detektyw Tracy Crosswhite szybko wpada na trop kierowcy i znajduje dowody potwierdzające jego winę. Wystarczające, by postawić go przed sądem. Wszystko jednak się komplikuje, kiedy okazuje się, że sprawca pracuje w bazie wojskowej, i śledztwo przejmuje armia.

Zawalona pracą Tracy mogłaby odetchnąć z ulgą – ktoś dokończy za nią robotę. Mogłaby, gdyby nie mataczący wojskowi i znikające dowody. Tracy wie, że nie chodzi tylko o wypadek i ucieczkę kierowcy. Cała ta sprawa jest... brudna.

A ona nie może odpuścić – obiecała zrozpaczonej rodzinie chłopca, że sprawiedliwość zostanie wymierzona. I dotrzyma obietnicy. Nawet gdyby musiała zaufać osobie, która wydaje się najbardziej podejrzana. Nawet gdyby miała sama jedna stanąć przeciwko całej Armii USA!

ROBERT DUGONI

BRUDNA

SPRAWA

Z angielskiego przełożył  
Lech Z. Żołądziowski

ALBATROS

Wydanie elektroniczne

## ROBERT DUGONI

Amerykański pisarz urodzony w 1961 r. Po uzyskaniu licencjatu z dziennikarstwa na Uniwersytecie Stanforda współpracował m.in. z „Los Angeles Times”. Następnie ukończył prawo na Uniwersytecie Kalifornijskim i przez 13 lat pracował w kancelarii adwokackiej w San Francisco, zanim całkowicie poświęcił się pisarstwu.

Autor siedemnastu powieści, z których dwie były nominowane do Nagrody Harper Lee. Dwukrotnie wyróżniony przez Pacific Northwest Writers Association i zdobywca wielu innych prestiżowych nagród.

Książki Dugoniego zostały przetłumaczone na kilkanaście języków i opublikowane w ponad 20 krajach.

**Bрудna sprawa** jest piątą z cyklu książek z detektyw Tracy Crosswhite. Pierwsza, **Grób mojej siostry**, nominowana do Nagrody Harper Lee, została uznana przez International Thriller Writers za najlepszą książkę w tym gatunku.

[ROBERTDUGONI.COM](http://ROBERTDUGONI.COM)

*Tego autora*

GRÓB MOJEJ SIOSTRY  
JEJ OSTATNI ODDECH  
NA POLANIE WISIELCÓW  
UMIERA SIĘ TYLKO RAZ  
BRUDNA SPRAWA

Tytuł oryginału:  
CLOSE TO HOME

Copyright © Robert Dugoni 2017  
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2020

Polish translation copyright © Lech Z. Żołędziowski 2020

Redakcja: Marta Gral

Zdjęcia na okładce: © Angie McCullagh/Arcangel Images (*wieża*), pixabay (*chmury*)

Projekt graficzny okładki i serii: Kasia Mészka

ISBN 978-83-8215-135-0

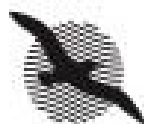
*Wydawca*

WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

[www.wydawnictwoalbatros.com](http://www.wydawnictwoalbatros.com)

[Facebook.com/WydawnictwoAlbatros](https://Facebook.com/WydawnictwoAlbatros) | [Instagram.com/wydawnictwoalbatros](https://Instagram.com/wydawnictwoalbatros)



ALBATROS

*Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.*

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, [hachi.media](http://hachi.media)

# Spis treści

## CZĘŚĆ I

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

## CZĘŚĆ II

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27



Rozdział 28  
Rozdział 29  
Rozdział 30  
Rozdział 31  
Rozdział 32  
Rozdział 33  
Rozdział 34  
Rozdział 35  
Rozdział 36  
Rozdział 37  
Rozdział 38  
Rozdział 39  
Rozdział 40  
Rozdział 41  
Rozdział 42  
Rozdział 43  
Rozdział 44  
Rozdział 45  
Rozdział 46  
Rozdział 47

Epilog

Podziękowania

Przypisy

*Dedykuję Meg Ruley, Rebecce Scherer i całemu zespołowi w Jane Rotrosen Agency – najlepszej agencji literackiej na rynku. Nie potrafię wyrazić słowami, jak bardzo sobie cenię Wasze rady i pomoc w ciągu tych wszystkich lat. Miałem szczęście wejść do Waszego czerwono-brunatnego budynku, a Wy uczyniliście ze mnie członka wielkiej rodziny JRA. Czy słyszę: „Hurra!”?*

*Jeszcze jeden taniec na ostrzu brzytwy dobiegł  
końca.  
Prawie martwi wczoraj, może martwi jutro,  
Ale dziś żywi, cudownie żywi.*

Robert Jordan, *Lord of Chaos*

# CZĘŚĆ I

# Rozdział 1

D'Andre Miller pchnął szklane drzwi ośrodka rekreacyjnego w Rainier Beach i wyszedł na nocny ziąb. Temperatura na dworze gwałtownie spadła i drastycznie kontrastowała z duszną, przesyconą potem atmosferą w hali koszykówki. Zbiegając w gumowych kłapkach po betonowych schodkach, czuł szczypanie w gardle, ręce – mimo że miał na sobie bluzę z kapturem – pokryły się gęsią skórką. Związana sznurowadłem para butów do koszykówki dyndała mu na prawym ramieniu, skórzana piłka tkwiła wciśnięta pod pachę. Jego bezcenne akcesoria do ukochanej gry nie miały prawa stykać się z niczym poza parkietem boiska.

– Hej, Młody!

D'Andre odwrócił głowę ku otwartym drzwiom hali, nie przestając sunąć po wylanym betonem dziedzińcu. Nie miał czasu do stracenia. Na progu ośrodka stał Terry O'Neil.

– Spisałeś się dziś, Młody, naprawdę super! – krzyknął.

Słyszając pochwałę, D'Andre uśmiechnął się i raz jeszcze odtworzył w myślach swój drybling zakończony rzutem za trzy punkty z wyskoku, co dało zwycięstwo jego drużynie.

– Grałeś dziś jak z nut – dodał Terry, który trzy razy w tygodniu nadzorował mecze koszykówki.

– Dzięki, Terry – rzucił D'Andre. Rzeczywiście grało mu się świetnie. Trzypunktowce i dobitki jak Stephen Curry, ciągi na kosz jak Kevin Durant. Wszystko mu wychodziło, a grał z chłopakami co najmniej o trzy lata starszymi. W wieku dwunastu lat był najmłodszym zawodnikiem, którego starsi koledzy dopuszczali do gry, choć akurat dziś po prostu brakowało im graczy. Ale po tym występie nie będą nawet pamiętać o jego wieku. Wystarczy, że będzie im zależało na wygranej.

– Jutro też będziesz?! – zawołał Terry. Stał na najwyższym stopniu schodków, para dobywająca się z jego ust wyglądała w żółtym świetle

lampy tak, jakby palił papierosa.

– Jutro nie mogę! – odkrzyknął D’Andre, nie przestając się cofać. – W czwartek mam sprawdzian z matmy i muszę się uczyć.

– Dobra. To uporaj się najpierw ze szkołą, ale zaraz potem wracaj. Przychodź, Młody, jak tylko będziesz mógł. Dziś pokazałeś, co potrafisz.

D’Andre słuchał tego z przyjemnością. Najlepiej grało mu się na środku i zamierzał być najlepszym środkowym ze wszystkich. Od dziewiątego roku życia kręcił się koło hali i podpatrywał zagrywki chłopaków – podania, zwody, przytrzymanie piłki – wszystko, w czym byli dobrzy. I dziś im pokazał... Może nawet trochę przesadził, bo teraz będzie musiał stanąć na głowie, żeby zdążyć wrócić przed domową godziną policyjną. Powinien był odpuścić ostatnią grę, ale jak mógł to zrobić? Wreszcie dostał od losu szansę i nie mógł przecież powiedzieć, że jeśli się spóźni do domu, to mama spuści mu lanie.

A wiedział, że to robi.

Kazała mu być o dziewiątej. Powiedziała też, że mu dobrze radzi, żeby miał już odrobione lekcje. Nie odrobi lekcji – żadnej koszykówki. Trója w dzienniczku – żadnej koszykówki. Zaniedba swoje domowe obowiązki, będzie się odszczekiwał, spóźni się z powrotem do domu – żadnej koszykówki. I nie żartowała. Wyraźnie mu to powiedziała: „Ja z tobą nie pogrywam i ty też sobie nie pograsz”. Mama nie miała głowy do żartów. Trudno być w nastroju do żartów, kiedy się samotnie wychowuje trzech synów. I dlatego D’Andre jej słuchał.

I tyle.

Był jej najstarszym dzieckiem i rozumiał, że ma ciężkie życie. Pracowała całymi dniami, do domu wracała dopiero po szóstej. Babcia szykowała kolację, mama sprawdzała mu zadania domowe. D’Andre widział, jak bardzo jest zmęczona, gdy w końcu kładła się do łóżka.

– Nie chcę dla ciebie takiego życia – powiedziała któregoś wieczoru, kiedy siedzieli przy kuchennym stole nad jego zadaniem z matematyki. – Chcę, żebyś się dobrze uczył, skończył studia i został lekarzem albo prawnikiem.

Szkoła była najważniejsza. Raz już dostał szlaban za spóźnienie się do domu i wiedział, że mama nie zawaha się tego powtórzyć.

– Nie chowam głupka. Na to, by być zawodowym koszykarzem, masz szansę jedną na milion, ale jeśli solidnie przyłożysz się do nauki

w szkole i na studiach, wszystko stanie przed tobą otworem.

Nie należał do szkolnych osłów, którzy przynoszą do domu tróje i dwóje. Był piątkowym uczniem ze wszystkiego z wyjątkiem matematyki. Musi więc błysnąć na czwartkowym sprawdzianie. Nie dlatego, że zyska na tym coś konkretnego. Mama nigdy nic mu nie obiecywała za dobre stopnie.

– Dlaczego miałabym cię nagradzać za coś, co jest twoim obowiązkiem? – mawiała.

D'Andre poprawił piłkę pod pachą i zerknął na wyświetlacz komórki. Do dziewiątej zostało dziesięć minut. Jeśli się spręży, to może zdążyć. Nasunął na uszy słuchawki z rapującym Lil Wayne'em, którego puszczenie w domu było zabronione. Mama nazywała Lil Wayne'a „walniętym świrem”, co wydawało mu się całkiem zabawnym epitetem. Naciągnął kaptur bluzy na słuchawki i puściwszy się biegiem, odmierzał każdy wydech białym obłokiem pary. Było tak zimno, że nie zdziwiłby się, gdyby za chwilę zacząć sypać śnieg, choć jak dotąd nigdy nie widział śniegu w Seattle. Ludzie opowiadali, że w 2008 roku spadło go bardzo dużo, był jednak wtedy za mały, by to zapamiętać. Spojrzał w niebo, ale nie bardzo wiedział, czego na nim szukać. Chmury na granatowoczarnym niebie wyglądały w blasku księżyca w pełni jak kłęбки waty z iskrzącymi się srebrzyście brzegami.

Biegł Rainier Avenue w rytmie dudniących mu w uszach słów *Tha Block Is Hot*. Będąc myślami na boisku, zrobił nagły zwód, by wyminąć wyimaginowanego obrońcę, i skręcił ostro w lewo w Henderson. To była jego specjalność: nagła zmiana kierunku biegu bez utraty szybkości. Podpatrzył to u Terrella, który przed przejściem na zawodowstwo co najmniej rok studiował na Uniwersytecie Stanu Waszyngton. D'Andre nie planował przejścia na zawodowstwo po roku nauki w college'u. Najpierw skończy studia.

– Przestań pleść bzdury o zawodowstwie – mówiła mama. – Rozwalisz sobie kolano i co wtedy zrobisz?

Przyśpieszył, dostosowując krok do rapu Lil Wayne'a. Przebiegnie na drugą stronę Renton Avenue, skręci w Chief Sealth Trail, przeskoczy przez płot i wpadnie do domu przez kuchenne drzwi z zapasem paru minut. Mama obrzuci go tym swoim spojrzeniem, żeby wiedział, że miała oko na zegar, po czym odgrzeje mu porcję

spaghetti i usiądzie z nim przy stole, żeby pogadać. Lubił te chwile, gdy bracia byli już w łózkach, a on i mama przy stole.

– Kiedyś kupię ci wielki dom – obiecywał jej. – Tak wielki, że będziesz musiała jeździć po nim na hulajnodze.

– A po co mi taki dom? – pytała. – Mam dość kłopotu z utrzymaniem tego w czystości.

– Zatrudnię ci też służącą.

– Sam sobie kupisz wielki dom – odpowiadała z uśmiechem.

– I wtedy ty i babcia zamieszkacie u mnie.

– Twoja żona może nie być zachwycona.

– A która to? – pytał i zaczynał się śmiać.

Mama nalewała mu drugą szklankę mleka i cmokała go w czubek głowy.

– Jedz spaghetti i marsz do łózka. Najbardziej rośnie się przed północą.

Raz jeszcze pomyślał o dryblingu i rzucie z wysokoku. Marvin cały wieczór się go czepiał, próbując go denerwować. Chciał wyprowadzić go z równowagi. Ale były to tylko durne zaczepki i wcale D'Andrego nie zezłościły. Zresztą mama raz go ostrzegła:

– Jeśli kiedyś stracisz panowanie nad sobą podczas gry, to zejdziesz z trybuny i wyprowadzę cię za ucho z boiska.

Dobiegł do skrzyżowania i przeciął Południową Czterdziestą Szóstą Aleję, zbliżając się już do domu. Taki piękny był ten drybling. D'Andre przebiegł wzdłuż boiska, kozłując nisko lewą ręką, potem nagle przyspieszył, biorąc Marvina na prawe biodro. Dobiegł do trzypunktowej linii i opuścił ramię, jakby zamierzał ruszyć na kosz. Marvin kupił jego zwód, też przykucnął i wtedy D'Andre ostro zaparł się lewą nogą. Marvin nie zdołał już zahamować i potykając się, odskoczył od niego w tej samej chwili, w której D'Andre przerzucił piłkę z lewej ręki do prawej.

Skoczył z krawężnika Południowej Renton Avenue i pchnięta czubkami palców pomarańczowa piłka pofrunęła łukiem do wyimaginowanego kosza. W myślach ujrzał, jak piłka wpada w obręcz, i usłyszał cudowny świst, gdy przelatowała przez siatkę kosza.

Na krawędzi pola widzenia odnotował jakiś ruch. Odwrócił głowę, ale zbyt późno. Piłka wystrzeliła spod jego ręki i na moment jakby



zamarła nad maską samochodu, po czym z dużą siłą walnęła w przednią szybę i odbiła się do przodu. Spadła na jezdnię, wysoko podskoczyła, potem jeszcze kilka razy coraz niżej, potoczyła się po asfalcie, wpadła do rynsztoka i lekko odbiła się od krawężnika.

I znieruchomiała.

## Rozdział 2

Tracy Crosswhite wyczytała w jakimś czasopiśmie, że Smith Tower na historycznym Pioneer Square był kiedyś najwyższym budynkiem na zachód od Missisipi; teraz nie załapywał się nawet do pierwszej trzydziestki w samym tylko Seattle, a jego znaczenie dla miasta miało obecnie walor głównie zabytkowy. Miasto zmieniało się w oczach, niekoniecznie na lepsze.

W Seattle zapowiadał się rekordowy rok pod względem liczby zabójstw.

Wraz z piętnastką detektywów z Sekcji Ciężkich Przestępstw Kryminalnych Tracy zajmowała się średnio trzydziestoma zabójstwami rocznie, ale podobnie jak wysokość wieżowców w centrum miasta, także ta liczba stale rosła, stając się jedną z uciążliwości życia w metropolii należącej do najszybciej rozwijających się w Stanach Zjednoczonych. A to oczywiście oznaczało coraz więcej pracy, do której żadne z nich się nie garnęło.

Tracy zdjęła sztruksowy żakiet i powiesiła go obok skórzanej kurtki Kinsingtona Rowe'a na wieszaku na ścianie American Grill and Irish Pub Shawna O'Donnella. Jej partner Kins już się szykował, by usiąść, gdy nagle skrzywił się z bólu i gwałtownie wyprostował.

– Znów to twoje biodro? – spytała Tracy.

– Czasami daje o sobie znać. Najgorsza jest zimna wilgoć. – Kins poruszył lekko biodrem. Coś w nim cicho chrupnęło i ból ustąpił. Tracy aż się skuliła. Kontuzja odniesiona kiedyś na boisku futbolowym coraz bardziej dawała się Kinsowi we znaki.

– Kiedy masz tę operację?

– Nie przypominaj mi – mruknął, siadając naprzeciwko niej.

– Boisz się?

– Cholera, jasne, że się boję. Opowiadałem ci o kobiecie, która się przekręciła na serce w trakcie takiej samej operacji, nie?

– Mówiłeś, że miała osiemdziesiąt lat.

– Osiemdziesiąt trzy, ale co z tego? Podobno tak zmarł ten aktor, Bill Paxton. Na zawał serca po operacji.

– Był chory na serce. A ty co, czytasz nekrologi ludzi zmarłych na zawał?

Kins miał raptem czterdziestkę i od lat przesuwiał termin operacji, ratując się łykaniem ibuprofenu. Wymyślił sobie, że ma to być jedyna operacja w jego życiu, a na wszczepiony staw biodrowy dawano tylko trzydzieści lat gwarancji. Ale ostatnio bóle stawały się coraz częstsze i coraz ostrzejsze.

– Lekarz mi powiedział, że mam się do niego zgłosić, kiedy bóle staną się nie do zniesienia – mruknął.

– No i chyba tak właśnie jest.

– Termin mam za dwa tygodnie. I chciałbym to już mieć za sobą. Czuję się tak, jakby mi ktoś wbijał w staw rozgrzany do czerwoności nóż, i ból promieniuje aż do kolana. – Kins wziął do ręki menu, przez chwilę je studiował, po czym odłożył na stół. – Co obstawiłaś w loterii?

Detektywi i reszta personelu policji w Seattle zrzucali się po dwadzieścia dolców na udział w policyjnej loterii, w której obstawiano liczbę zabójstw w danym roku, i tegoroczny wynik stał się gorącym tematem rozmów na korytarzach komendy. Na ścianie działowej boksu Tracy wisiała trupia czaszka jako makabryczne przypomnienie, że ona i Kins stoją w kolejce do któregoś z tych zabójstw, choć aktualnie mieli na tapecie dwa niedokończone śledztwa. Liczyła, że uda jej się dotrzeć do końca tygodnia bez nowego zabójstwa, ale zważywszy na „ruch w interesie” podczas pierwszych miesięcy roku, szanse na to były znikome. Sekcja Ciężkich Przestępstw Kryminalnych wciąż jeszcze nie uporała się ze sprawą z ubiegłego tygodnia, kiedy to zazdrosny młodzian zabił na domówce trzech kolegów z liceum, strzelając z kupionego w internecie kałasznikowa AK-47. Te trzy ofiary śmiertelne podniosły liczbę zabójstw w Seattle w ciągu pierwszych dziesięciu tygodni tego roku do dwudziestu dwóch.

– Trzydzieści osiem – odparła Tracy, przeglądając menu. – Myślałam, że przesadziłam, ale teraz wygląda na to, że nie doszacowałam.

Nagły wzrost liczby przestępstw, w tym także zabójstw, wielu kładło na karb szybkiego przyrostu liczby mieszkańców oraz rosnącej

popularności twardych narkotyków w rodzaju metamfetaminy i heroiny, co w Seattle i większości amerykańskich miast osiągało rozmiary epidemii.

– Jeśli ty nie doszacowałaś, to ja jestem w ciemnej dupie. – Kins rzucił na stół swój los, na którym widniała liczba trzydzieści sześć. – Coś mi się zdaje, że osiągniemy to już w czerwcu.

W pubie będącym ich regularnym miejscem oddechu podczas wieczornej zmiany było przyjemnie ciepło, ale mógł to być jedynie kontrast między temperaturą wewnątrz i na zewnątrz budynku. W marcu zwykle mocno wiało i padały ulewne deszcze, lecz nie w tym roku. Tegoroczny marzec przyniósł temperatury rzędu minus pięciu stopni Celsjusza, w powietrzu wisiał śnieg i wystarczyło przejść z komendy na rogu Piątej i Cherry Street, żeby nieźle zmarznąć. A poza tym Tracy lubiła panującą w pubie atmosferę. Wiszący na ścianie i świecący na zielono zegar cyfrowy odliczał dni, godziny i minuty do Dnia Świętego Patryka. Aktualny odczyt pokazywał, że do święta brakuje już tylko niecałych dwóch tygodni, dokładnie trzynastu dni, dwóch godzin i trzydziestu sześciu minut, co tłumaczyło atakującą uszy i oczy mieszaninę muzyki irlandzkiego zespołu U2 i zjadliwie zielonego wystroju wnętrza, jeszcze zieleńszego niż zwykle. Nad głowami gości dyndały tabliczki z napisem: *Pocałuj mnie, jestem Irlandką*, czterolistne koniczyny na ścianach reklamowały guinnessa. Nad Kinsem wisiał oprawiony w drewnianą ramę napis:

*Jeśli kiedyś zaginę, umieście moją fotkę na butelce piwa,  
nie na kartonie mleka.*

*Dzięki temu moi kumple się dowiedzą,  
że zaginąłem.*

Tracy zerknęła na komórkę, choć ta nie zadzwoniła. Wychodząc z komendy, zostawiła swój numer w dyspozytorni.

– A u ciebie wszystko w porządku? – spytał Kins. – Bo tak się zachowujesz, jakbyś to ty szła pod nóż.

Po latach partnerstwa znali się jak łyse konie i wyczuwali swoje nastroje. Wiedzieli, kiedy które pokłóciło się z mężem czy żoną, kiedy Kins miał problemy z dziećmi i kiedy mieli za sobą niezły seks.

– Wszystko gra – odparła.

Ale nie wszystko grało. Następnego dnia po południu miała umówioną wizytę u specjalisty od płodności. Nigdy w życiu nie uprawiała tyle seksu i nie czuła takiej frustracji jak w ciągu ostatnich sześciu miesięcy, które minęły od dnia ślubu. W wieku czterdziestu trzech lat Tracy dowiadywała się, że decyzja o urodzeniu dziecka i zajście w ciążę niekoniecznie idą w parze.

Zupełnie nie.

Kins ponownie wziął do ręki menu.

– Przed operacją powinienem trochę schudnąć – zauważył. – To zmniejsza ryzyko zawału.

– Możesz przestać się zamartwiać tym zawałem? To zbieg okoliczności. Tamta kobieta miała dwa razy tyle lat co ty.

– Powinienem zjeść sałatkę. Za każdym razem to mówię, nie? – Rzeczywiście, mówił to za każdym razem. – A potem zamawiam hamburgera. Mam silną wolę jak ostatnia parowa.

Tracy zignorowała jego słowa. Kins używał słowa „parowa” na określenie wszystkiego, co mu się nie podobało. Dupowaty kierowca na drodze – parowa. Powolna kasjerka w sklepie spożywczym – parowa. Kłamiwy świadek – parowa. Wyjaśnił kiedyś Tracy, że ten jego nawyk wziął się stąd, że jako dziecko zagalopował się i w rozmowie z matką rzucił słowem na „k”. Najpierw zdrowo mu przywaliła, a potem powiedziała, żeby znalazł sobie własne przekleństwo. No i wtedy wymyślił tę parowę.

Raz jeszcze przebiegła wzrokiem menu. Wspomniany przez Kinsa hamburger brzmiał kusząco, ale zje sałatkę. Przy wzroście metr siedemdziesiąt cztery nie zaliczała się do wiotkich. Ćwiczenia na siłowni były dobre na serce, ale utrzymywanie wagi robiło się coraz trudniejsze. Wszystko, co trafiało do ust, odkładało się w biodrach i udach.

Kins rzucił menu na stół.

– Sałatka. Zamawiam sałatkę. – Zawibrowała jego komórka. Rzucił okiem na wyświetlacz i odłożył telefon. – Faz i Del idą tu.

Vic Fazio i Delmo Castigliano stanowili drugą połowę zespołu A Sekcji Ciężkich Przestępstw Kryminalnych. Litera „A” w ich nazwie była znakiem czysto porządkowym, ale nie przeszkodziło im to wmawiać pozostałym trzem zespołom sekcji, że wyraża jakość ich ekipy.

– Del wrócił już do pracy? – spytała Tracy.

– Zaczął dziś wieczorem. Wybrali się z Fazem na poszukiwania tego świadka w White Center. Faz prosił, żebym się upewnił, czy serwują dziś kanapkę z peklowaną wołowiną na żytnim chlebie. – Kins pokręcił głową. – Przecież to irlandzki pub. Ale na Faza nie ma siły.

– Powiedział, jak Del sobie radzi?

Zaczął się bawić torebeczką z porcją cukru; zaginał i rozprostowywał jej rogi.

– Pytałem go o to wczoraj. Powiedział, że nadal jest bardzo przybity. I trudno mu się dziwić.

Poprzedniej soboty Tracy i Kins wraz z Fazem uczestniczyli w pogrzebie siostrzenicy Dela. Miała zaledwie siedemnaście lat i przedawkowała heroinę. Jako piętnastolatka zaczęła od marihuany, potem przeszła na leki na receptę i w końcu została nałogową heroinistką. Del wysłał ją na detoks w Yakimie i gdy po kuracji wróciła do domu, oświadczyła, że wyszła na prostą. Po czym przedawkowała i umarła.

– Faz twierdzi, że przedawkowała aż cztery razy. Słyszałaś o tym?

– Wiem to od Dela – potwierdziła Tracy.

Kins potrząsnął głową. Był ojcem trzech nastolatków.

– Cztery razy? Gdyby któryś z moich chłopaków wdał się w to gównno, tobym tego nie przeżył.

Do stolika podszedł Liam, właściciel lokalu. Kiedy robiło się tłoczno, sam obsługiwał stoliki i stawał za barem.

– Pewnie znów macie wieczorną zmianę, co?

– Tylko my i prostytutki, Liam – rzucił Kins. – Tyle że one zarabiają dużo więcej od nas i nie muszą wpisywać tego do PIT-u.

– I komu to mówisz! – prychnął Liam. – Władze miejskie mówią mi, że muszę płacić pracownikom piętnaście dolarów za godzinę. Jeden z pomocników kelnera przyszedł do mnie z prośbą, żebym mu skrócił godziny pracy, bo inaczej straci rządowy zasiłek. Czasami się zastanawiam, czy ci w radzie miejskiej w ogóle myślą. – Westchnął ciężko. – Chcecie coś do picia?

– Wypiłbym twoją specjalną zupkę, gdybym nie był na służbie – mruknął Kins. Na tablicy przy wejściu do pubu reklamowano zupełną będącą specjalnością lokalu, czyli whisky z lodem bez wody.

– Rozumiem. – Liam popatrzył w okno. – Jest dziś pełnia, więc z zakamarków wypełzną świrusy. Normalnie w poniedziałkowe wieczory mamy tu puchy.

W Ciężkich Przystępstwach świrusy wypełzały co wieczór, jak na przykład kobieta dzwoniąca do nich z wiadomością, że wie, kto zabił wokalistę Kurta Cobaina, lub mężczyzna donoszący, że nieżyjąca żona chce go poćwiartować i roznieść po mieście walizki z kawałkami jego ciała. W czasach przedmażeńskich Tracy lubiła pracować na wieczorną zmianę, która trwała od piętnastej do północy. Przynajmniej świrusy bywali zabawni, a siedzenie w samotności pozwalało nadgonić zaległości w papierkowej robocie. Ale od czasu ślubu z Danem wołała jak najwcześniej wracać do domu.

– Mrożoną herbatę – powiedział Kins.

– Dla mnie z cytryną – rzuciła Tracy.

– Domyślam się, że czekacie na waszych dwóch makaroniarzy.

– Już są w drodze. Faz kazał mi spytać, czy jest dziś w karcie peklowana wołowina.

– Jaki szanujący się irlandzki pub nie miałby peklowanej wołowiny tak blisko Dnia Świętego Patryka? – Liam przeżegnał się, ucałował kciuk i odszedł od stolika.

Kins popatrzył ponad ramieniem Tracy w stronę drzwi wejściowych.

– Już są – mruknął.

Tracy odwróciła się. Wkraczający do restauracji Del i Faz byli jak dwa księżycy zaciemniające słońce. Mieli po co najmniej metr dziewięćdziesiąt wzrostu i ważyli dobrze ponad sto kilogramów każdy. Obaj byli w garniturach, choć bez krawatów. Może Seattle się zmieniało, ale nie dotyczyło to Faza i Dela. Garnitur bez krawata to był ich codzienny ubiór.

Del zdjął prochowiec i powiesił go na haku. Patrząc na niego, Tracy pomyślała, że wygląda na steranego życiem. Worki pod oczami dowodziły niedospania, ruchy miał ociężałe. Od Faza wiedziała, że spędza noce na kozetce w mieszkaniu siostry, opiekując się jej dziewięcioletnimi bliźniakami.

Wsunął się na kanapę obok Kinsa, Faz usiadł koło Tracy i wlepił w Kinsa głodne spojrzenie labradora, który wpatruje się w ustrzeloną kaczkę.

– Pytałeś o peklowaną wołowinę? – rzucił.

Kins skrzywił się.

– Cholera, Faz, zapomniałem.

– Jak mogłeś zapomnieć? Przecież wysłałem ci esemesa. – Faz pokazał mu swój telefon.

– Coś mnie musiało rozproszyć. – Kins wzruszył ramionami.

Faz bez słowa obrócił się na siedzeniu i zaczął się rozglądać za Liamem.

– Jak sobie radzisz? – zwróciła się Tracy do Dela.

– Jakoś – odparł cicho.

– Gdzie, u diabła, jest ten Liam? – burknął Faz, kręcąc głową.

Del skinął na stojącego za barem właściciela, a ten od razu podszedł.

– Dla mnie kawa – rzucił Del. – Czarna.

– Macie dziś peklowaną wołowinę? – spytał Faz.

– Kins zjadł ostatnią porcję – odpowiedział Liam. – Ale mamy polską kielbasę z kapustą kiszoną.

Faz zrobił zbolalą minę.

– Polską... Jaja sobie robisz? – Spojrzał na Kinsa. – Jaja sobie ze mnie robi?

Kins i Liam parsknęli śmiechem.

– A co, myślałeś, że jestem Włochem? – rzucił Liam. – Irlandzki pub bez peklowanej wołowiny krótko przed Dniem Świętego Patryka to by było przestępstwo.

– Chcesz mnie przyprawić o atak serca? – burknął Faz do Kinsa. – Nie rób mi takich numerów.

– Coś do picia? – spytał Liam.

– Kawa – odrzekł Faz. – Muszę się rozgrzać. Z zimna jestem sztywny jak moi Netsi w ostatnich dziesięciu meczach. – Urodzony w New Jersey Faz nadal kibicował drużynom ze swego rodzinnego miasta.

Tracy zamówiła sałatkę cezar z łososiem.

– Burger z irlandzką whisky i serem – powiedział Kins, oddał Liamowi menu i spojrzał na Tracy. – Mówiłem ci, że mam silną wolę jak parówa.

Liam patrzył wyczekująco na Dela.



– Dla mnie tylko kawa – powiedział Del, co zupełnie do niego nie pasowało, bo kochał jeść tak samo jak Faz.

Gdy właściciel odszedł, Tracy zwróciła się do Dela:

– Jak siostra?

– Nie najlepiej. Trochę to potrwa, nim dojdzie do siebie.

– Tak tylko, żebyś wiedziała – wtrącił Faz. – Zasadzamy się na tego dilera.

– My, czyli kto? – spytała Tracy.

– My znaczy „my” – odparł Faz, dostrzegając zaniepokojenie we wzroku Tracy. – Del nie jest w to oficjalnie włączony.

Del w żadnym razie nie powinien zajmować się śledztwem dotyczącym śmierci siostrzenicy.

– Uzgodniłeś to z Nolaskiem? – spytała Tracy. Kapitan Johnny Nolasco był szefem Sekcji Ciężkich Przestępstw Kryminalnych.

Faz obrzucił ją spojrzeniem mającym znaczyć, że pogadają o tym później.

– Dał zielone światło pod warunkiem, że ja to poprowadzę.

Była ciekawa, czy rezygnacja Nolasca z wyznaczenia zupełnie innej ekipy śledczej miała związek z niedawnym wzrostem liczby zabójstw. Bo rzeczywiście detektywi we wszystkich ekipach śledczych ledwo zipsali z nawału pracy.

– Siostra ma jakieś zamiary? – zwrócił się Kins do Dela.

– Na razie nie jest w stanie się tym zajmować – odparł Del. – Damy jej jeszcze parę dni. Domyślam się, że siostrzenica zamawiała prochy przez komórkę i że jej chłopak był w to zamieszany. Jeśli był... to wyjawi nam swojego dilera.

Tracy znów spojrzała na Faza, a ten lekko kiwnął głową na znak, że sprawy są pod kontrolą.

– Po prostu potrzebuje trochę czasu – dodał.

– Wciąż mi się przypomina to powiedzenie – powiedział Del, patrząc na Tracy. – I wciąż myślę o tobie.

– O mnie?

– Znasz to powiedzenie: „Żaden rodzic nie powinien nigdy chować swego dziecka”. Chyba nie do końca rozumiałem jego znaczenie. Tak mi żal twojej siostry. I tak mi żal twoich rodziców. Dopiero teraz rozumiem, jaki to był dla nich cios. Jak mógł się czuć twój ojciec.

Dwa lata po zniknięciu Sary ojciec Tracy nie wytrzymał, popadł w depresję, chyba zaczął zażywać leki psychotropowe i odebrał sobie życie.

Wzmianka o dziecku znów skierowała jej myśli ku nieudanym próbom zajścia w ciążę. Najbardziej na świecie pragnęła urodzić syna lub córkę, ale nie wyobrażała sobie rozpaczki po utracie dziecka. Porwanie i zniknięcie siostry autentycznie nią wstrząsnęły, lecz nie dało się tego porównać z rozpaczką rodziców.

Zawibrowała leżąca na stole komórka i oboje z Kinsem machinalnie spojrzeli na swoje telefony. Świecił się wyświetlacz na komórce Tracy.

– To z dyspozytorni – mruknęła, kręcąc głową.

– Ta cholerna liczba zabójstw ani na chwilę nie przestaje rosnać – jęknął Kins.

## Rozdział 3

Piłka do koszykówki leżała w rynsztoku nieopodal przykrytego białą płachtą ciała. Jadąc na miejsce, Tracy i Kins zastanawiali się nad przyczyną wezwania zespołu A do zwykłego wypadku, jakimi z reguły zajmowali się koledzy z Zespołu Badania Wypadków Drogowych. Wezwanie ekipy z wydziału zabójstw było czymś niezwykłym.

Siedzący za kierownicą Kins zaparkował przy krawężniku na Południowej Henderson Street, Del i Faz ustawili się tuż za nim. Do Tracy zadzwonił Billy Williams, sierżant dowodzący zespołem A, z którym chwilę wcześniej skontaktował się telefonicznie Joe Jensen, sierżant z ZBWD.

– Billy ci powiedział, po co my tam jedziemy? – spytał Kins.

Tracy pokręciła głową.

– Sierżant z ZBWD myśli, że chodzi o ucieczkę z miejsca wypadku. Nic więcej nie wiem.

Wysiedli z ciepłego samochodu i na przejmującym zimnie czekali na Dela i Faza. Otynkowane na biało ściany i zakratowane okna budynków biurowych jarzyły się na niebiesko i czerwono w blasku migających lamp radiowozów. Na jezdni stało ich kilka, zaparkowanych pod różnymi kątami i blokujących wjazd w Południową Renton Avenue. Policjant w mundurze, zimowej kurtce i rękawiczkach kierował ruchem. Na miejsce wezwano też straż pożarną i karetkę pogotowia, ale załogi obu pojazdów stały beczynnymi i wyglądały na zziębnięte.

– Co myślisz o tym, że Nolasco wyraził zgodę na to, żeby Del zajmował się sprawą śmierci siostrzenicy? – spytała Tracy.

Kins obrzucił ją spojrzeniem, po czym powrócił do rozglądania się po miejscu wypadku.

– Faz go przypilnuje – mruknął.

– Del nie powinien się do tego włączać.

Partner znów na nią spojrzał.

– Ty mu o tym powiesz?

– To nie moja rola. To należy do Nolasca.

– Nie sądzisz, że możesz się kierować względami osobistymi? – Tracy i Nolasco mieli za sobą długą i wyboistą drogę osobistych relacji, która sięgała aż do studiów Tracy w akademii policyjnej.

– To nie ma nic wspólnego ze mną. Takie są zasady.

– Faz powiedział, że ma to pod kontrolą. Myślę, że ty i ja powinniśmy przymknąć na to oko. – Kins odwrócił głowę i spojrzał na białą płachtę. – Jak myślisz, jak daleko jest to ciało od skrzyżowania?

Wiedziała, że partner celowo zmienia temat, ale udała, że tego nie zauważa, i chwilę się zastanawiała.

– Myślę, że jakieś siedem, osiem metrów.

– Nie będzie to miły widok.

Faz i Del dołączyli do nich i wszyscy czworo ruszyli w stronę Williamsa.

Wszelkie dźwięki tłumiała gruba warstwa szarych chmur, które wisiały nad głowami tak, jakby za chwilę miał zacząć padać śnieg. Williams rozmawiał z dwoma mężczyznami w żółtych kamizelkach odblaskowych, opasanych szarą, również odblaskową, taśmą z napisem *Policja Seattle* na plecach. Williams, wyglądający niemal jak sobowtór Samuela L. Jacksona, miał na głowie modny kaszkiet w czerwono-czarną kratę, a szyję omotał takim samym szalikiem i wetknął jego końce pod poły płaszcza.

– Nigdy bym nie zgadł, że jesteś Szkotem – mruknął Faz. – Czapkę i szalik dostałeś od Seana Connery’ego?

– Według informacji z ancestry.com jestem takim mieszańcem, jaki ci się nawet nie śnił – odparł z ironicznym uśmiechem Williams. – A wszystko dzięki takim jak ty.

– Ze mnie jest stuprocentowy Włoch i możesz mi podziękować za dobre jedzenie i *Ojca Chrzestnego*.

– Ty nas tu wezwałeś, Joe? – zwróciła się Tracy do wyższego z dwóch policjantów, Joego Jensena, w naciągniętej na uszy czarnej wełnianej czapce.

Jensen od dwudziestu lat pracował w ZBWD. Gdy Tracy była szeregową policjantką w prewencji i awans do wydziału zabójstw wydawał się jej nieosiągalnym marzeniem, starała się o przeniesienie do ZBWD, bo uważała, że praca w tym zespole pozwoli jej poszerzyć

wiedzę i doświadczenie. Od kandydatów wymagano znajomości matematyki i fizyki, a także pojęć w rodzaju pędu liniowego, podczas gdy ona była specjalistką od chemii, której przez trzy lata uczyła w liceum. Dopiero po zniknięciu siostry zdecydowała się podjąć pracę w policji i zrezygnowała z nauczania.

– Kiedy przenosisz się do Ciężkich Przestępstw? – spytał Kins.

– Po przejściu na emeryturę. – To była standardowa odpowiedź Jensena. Wielokrotnie proponowano mu przejście do wydziału zabójstw, ale jak kiedyś powiedział Tracy, sprawy w zabójstwach były dla niego zbyt mgliste, a „podejrzany w jednym tygodniu stawał się ofiarą w następnym”. Poza tym był dumny ze swej wiedzy miłośnikiem matematyki. Poprawił czapkę i spojrzał na białą płachtę.

– To prawdziwa tragedia – mruknął. – Chłopak miał zaledwie dwanaście lat.

– No nie! – wykrzyknęli razem Tracy i Kins.

Del odszedł parę kroków.

– Afroamerykański dzieciak w drodze do domu po treningu koszykówki – dodał Jensen.

– W związku z obecnym klimatem w kwestiach rasowych szefostwu zależy, byśmy wykazali szczególną troskę – wyjaśnił Williams.

– Czarne życie się liczy, tak? – mruknął Faz. Jak w całych Stanach Zjednoczonych, także w Seattle kampania pod tym hasłem narobiła dużo szumu i nikt nie musiał im przypominać, że znajdują się w dzielnicy zamieszkannej głównie przez społeczność afroamerykańską.

Williams pokiwał głową.

– Szefostwu zależało, żeby sprawa trafiła do wydziału zabójstw. Bez obrazy – dodał, przenosząc wzrok na Jensena.

– Bez. – Jensen kiwnął głową.

– To ze względów politycznych. Ale będziemy się konsultowali z ZBWD.

– Nie masz nic przeciwko temu? – upewniła się Tracy.

– Nie moja działka, ale im nas więcej, tym weselej. Choć w tej sprawie niczego wesołego nie będzie.

– Jak to się stało? – spytała Tracy.

– Samochód tak go grzmotnął, że klapki chłopaka leżą na jezdni trzy metry dalej.

– Rozumiem, że ofiara nie została zidentyfikowana.

– Nie, ale jeden ze świadków twierdzi, że chłopak nazywał się D'Andre Miller. – Jensen wskazał brodą grupkę gapiów stojących na rogu.

– Był świadkiem wypadku?

– Nie. Szedł Południową Henderson i usłyszał uderzenie. Wiesz, jak to jest.

Tracy wiedziała. Przeważająca większość świadków wypadków samochodowych nie ma nic do powiedzenia. Często chcą być pomocni, ale jest niemal regułą, że samego wypadku nie widzieli. Co najwyżej słyszeli huk i zobaczyli skutki, ale nie samo zdarzenie. Podświadomie zaczynają wypełniać luki i materiał dowodowy często przeczy ich wersji. W rezultacie, jeśli sprawa trafia do sądu, zeznania tak zwanych naocznych świadków często nie tylko nie pomagają, ale też wprowadzają dodatkowe zamieszanie.

Jensen wskazał ręką innego spośród mężczyzn stojących na rogu.

– Tamten gość wracał samochodem do domu i zatrzymał się na widok radiowozów. Zeznał, że chłopak grał dziś w koszykówkę w ośrodku rekreacyjnym i śpieszył się do domu. – Wskazał w dół ulicy. – Mówi, że ofiara szła na skróty Chief Sealath Trail.

– To w odwrotnym kierunku – zauważył Kins. Miał na myśli miejsce znalezienia ciała w stosunku do skrzyżowania.

– Tak, wiem – potwierdził Jensen. – Jeśli akurat przechodził przez skrzyżowanie, to musiał zostać uderzony z ogromną siłą.

– Rodzice już wiedzą? – spytała Tracy.

– Od nas nie. Ale pewnie ktoś już im powiedział.

Tracy rozejrzała się po plątaninie wiszących świateł ulicznych i wiązek czarnych drutów między słupami telefonicznymi. Światła na Renton Avenue zmieniły się z zielonych na czerwone.

– Jakies problemy ze światłami? – spytała.

– Niczego takiego nie zauważyłem – odrzekł Jensen. – Ale jeszcze to sprawdzimy. – Zauważył, że Tracy patrzy na Renton Avenue, wspinając się na dość strome wzniesienie i dopiero przed samym skrzyżowaniem biegnącą poziomo, i dodał: – I nie, nie znaleźliśmy żadnych śladów hamowania.

– Czyli kierowca nawet nie próbował hamować? – spytała.

– Nie ma na to dowodów – potwierdził Jensen. – Sądzę, że to było owinięcie albo odrzucenie.

Tracy wiedziała, że owinięcie następuje wtedy, gdy uderzona ofiara owija się wokół maski samochodu, a odrzucenie jest dokładnie tym, co to słowo sugeruje.

– Sądząc po odległości ciała od skrzyżowania, należy przypuszczać, że przód samochodu uległ uszkodzeniu – dodał Jensen. – Popytamy o to.

– A co z kamerami monitoringu? – spytał Faz, rozglądając się po narożnikach skrzyżowania. Warsztat blacharsko-lakierniczy miał okna i drzwi zasłonięte czarnymi żaluzjami, podobnie wyglądały okna na parterze trzypiętrowej kamienicy po południowo-wschodniej stronie. Na trzecim rogu stał biurowiec w musztardowym kolorze, gdzie na parterze mieściła się pralnia chemiczna. Czwartą narożnik zajmowała restauracja z wejściem przysłoniętym wyblakłą czerwoną markizą. Zarośnięte chwastami okna od ulicy wskazywały na to, że restauracja od dłuższego czasu jest nieczynna.

– Jeszcze nie wiemy – odparł Jensen.

Williams wyjął ręce z kieszeni.

– Zabierajmy się do roboty. Del, Faz, sprawdźcie, czy mieszkańcy tej kamienicy czegoś nie widzieli i czy w tym warsztacie blacharskim nie ma kamer monitoringu, które mogły coś nagrać.

Del i Faz już mieli odejść, gdy do ich grupki podeszła policjantka.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale chyba coś mamy – powiedziała.

Wszyscy podążyli za nią i zatrzymali się jakieś trzy metry od rogu.

– Początkowo tego nie zauważyliśmy, bo jest przezroczyste – wyjaśniła policjantka i skierowała strumień światła latarki na ziemię i leżący na niej trójkątny kawałek plastiku. Według Tracy wyglądał on na osłonę reflektora samochodowego.

– Dobra robota – pochwalił Jensen. – Teraz pozostaje nam tylko znaleźć pasujący do tego samochód.

Na jezdni zapiszczały opony, przyciągając ich uwagę. Na skrzyżowaniu gwałtownie zahamował starszy model białej hondy, drzwi kierowcy się otworzyły i wyskoczyła Afroamerykanka, zostawiając pracujący silnik i zapalone światła.

– Mój syn! Gdzie jest mój syn?! – zawołała, nie kierując tego do nikogo i jednocześnie zwracając się do wszystkich.

Policjanci ruszyli, aby ją powstrzymać, ale strząsnęła ich rękę.

– Chcę widzieć mojego syna! Gdzie jest D’Andre?

Ludzie stojący na rogu zaczęli pokrzykiwać. Mężczyzna wskazany wcześniej przez Jensena wyszedł na jezdnię i kobieta zwróciła się do niego:

– Terry! Gdzie on jest? Gdzie jest D’Andre?

Spojrzał na nią załzawionym wzrokiem i wskazał ręką białą płachtę.

Kobieta zatkała usta dłonią i na moment znieruchomiała, zaraz jednak kolana się pod nią ugięły i padła na jezdnię, jęcząc i zawodząc. Tracy podeszła do niej. Terry też się nad nią pochylił, nie bardzo wiedząc, jak się zachować. Tracy uklękła; kobieta uniosła na nią wzrok i Tracy dojrzała tę samą bezdenną rozpacz, jaką widziała na twarzach rodziców w dniu, gdy zaginęła Sara.

– Tak mi przykro – szepnęła, przypominając sobie słowa wypowiedziane przez Dela w restauracji.

Żaden rodzic nie powinien nigdy chować swego dziecka.

\* \* \*

Gdy otworzyła frontowe drzwi, dwa psy nie wypadły ze szczeniem z sypialni. Widać przywykły już do jej późnych powrotów z wieczornej zmiany. Postawiła buty na ławeczce w przedpokoju, powiesiła żakiet na wieszaku i ruszyła do kuchni.

Dan przerobił wnętrze ich parterowego kamiennego domu; rozwalił ścianki działowe w części jadalniano-salonowej i doprowadził do porządku dębowe parkiety przez usunięcie z nich wszystkich zadrapań i uszkodzeń, jakich można się było spodziewać w wiejskim domu. Sufit był lekko nachylony i przez całą jego długość ciągnęły się grube drewniane belki; w części salonowej stał wielki kamienny kominek. Dan znalazł firmę, która umieściła w nim urządzenie z dmuchawą, dzięki któremu palące się w nim drewno przez wiele godzin ogrzewało cały dom. Przed kominkiem stała czerwona skórzana kanapa, ich gniazdko miłości, podłogę pokrywał dywan. W części jadalnej stał antyczny dębowy stół z takimi samymi



krzesłami, wygodny fotel i lampa w kącie zapraszały, by usiąść i poczytać. Znajdująca się w głębi domu niewielka sypialnia ledwie mieściła ich podwójne łoże. Sąsiadująca z nią kuchnia była tak mała, że nie było w niej miejsca na zmywarkę i na więcej niż dwie osoby naraz.

Tracy wyjęła szklankę z kuchennej szafki, podstawiała ją pod kran i zapatrzyła się w okno. Niebo rozjaśnione było blaskiem księżyca w pełni, w którym trawa przybierała smutny niebieskawy odcień. Dziś cały świat był pogrążony w smutku.

Dan kupił dwuhektarowe gospodarstwo z wiejskim domem, bo podobało mu się jego odseparowanie od reszty świata, przypominające mu rodzinny dom w Cedar Grove. Jednak Tracy, która wynajmowała przez lata mieszkanie w centrum Seattle, a potem dom w zachodniej części Seattle, trudniej było przyzwyczać się do odosobnienia i pustki otaczającej dom. Czuła to zwłaszcza w takie wieczory jak dzisiejszy, gdy potrzebowała czegoś mogącego oderwać jej myśli od białej płachty i matczynej rozpacz, której czas nigdy do końca nie zaleczy.

Z sypialni przydreptał Sherlock, a za nim Roger, kot Tracy. Zakręciła wodę, która zdążyła się przelać przez krawędź szklanki. Roger wskoczył na kuchenny blat, przeszedł się po nim i cicho zamiauczał. Trwało to całe miesiące, ale w końcu psy Dana, Rex i Sherlock, siedemdziesięciokilogramowe mieszańce mastifa z rodezjanem, ostatecznie straciły zainteresowanie kotem.

– Nie musiałeś się zrywać – szepnęła Tracy do Sherlocka, bardziej rycerskiego od swego brata. Sherlock uniósł łeb i wlepił w nią spojrzenie. – Tak, wiem, czego chcesz. – Otworzyła szafkę i wyjęła psiego suchara, on go jednak nie Chapman; patrzył na nią smutnymi oczami, jakby wyczuwał jej ból. – W porządku, możesz wziąć – powiedziała i Sherlock delikatnie wyjął suchara z jej dłoni. – Tylko nic nie mów bratu. – Cmoknęła go w czubek łba.

Cicho weszła do sypialni, po ciemku się rozebrała, włożyła koszulę nocną i wsunęła się pod kołdrę.

– Hej! – mruknął Dan zaspanym głosem, gdy mościła się w ciepłe bijącym od jego ciała. Objął ją ramieniem. – Późno wróciłaś. Próbowałem na ciebie czekać, ale usnąłem.

Czuła w jego oddechu zapach miętowej pasty do zębów. W ciemnościach rozległo się przeciągłe ziewnięcie Rexa, który jakby ich upominał, żeby oboje się zamknęli. Roger wskoczył na pościel i zaczął mruzczeć.

– Przepraszam, że cię obudziłam – szepnęła. Wiedziała, że Dan bez wytchnienia pracuje w swojej kancelarii prawniczej w Redmond, do której przeniósł sprawy i reputację dobrego adwokata z kancelarii w Cedar Grove. Gdy Tracy wypadła wieczorna zmiana, praktycznie nie widywali się całymi dniami. – Mamy kolejne zabójstwo.

– Tak myślałem. Ciężkie?

Raz jeszcze pomyślała o zwłokach pod białą płachtą. Chłopak. Właściwie jeszcze dziecko.

– Dwunastoletni chłopiec. Zginął pod kołami. Kierowca zbiegł.

Pocałował ją w czubek głowy i delikatnie pogładził po włosach.

– Dobrze się czujesz?

Przez wiele lat powrotów do pustego mieszkania zawsze sobie wmawiała, że u niej wszystko w porządku, nawet jeśli tak nie było. Nie miała wyboru. Nie było nikogo, kto mógłby ją pocieszyć, i nie przywykła do bycia pocieszaną. Ale się starała.

– Nie najlepiej – rzuciła.

– Współczuję. – Przytulił ją mocno; poczuła wznoszenie się i opadanie klatki piersiowej Dana i jego oddech na włosach. – Chcesz o tym porozmawiać?

Uśmiechnęła się. Rozmawiali o tym od wielu dni. Myślała o tym od lat. Ale dziś Dan był zmęczony. Ona zresztą też.

– Śpij – powiedziała.

– O której masz jutro wizytę u lekarza?

Zapomniała o doktorze Kramerze i klinice płodności.

– O drugiej.

– Mogę poprzestawiać swoje sprawy i przyjechać tam na drugą.

– Jadę tylko po odbiór wyników testów. Jak je poznamy, to zdecydujemy, co dalej.

Zaczął mówić urywanym, sztucznie wojskowym tonem:

– Cóż, ze swej strony melduję pełną gotowość do dalszego spełniania obowiązków. I pragnę cię zapewnić, że ani śnieg, ani słońce, ani nocne ciemności nie przeszkodzą mi w stanięciu na wysokości zadania.

– Chodzi o zrobienie dziecka, nie doręczenie przesyłki – szepnęła.

Dan nie martwił się o siebie. Przeszedł już pomyślnie test płodności po operacji odwrócenia wazektomii, której poddał się podczas swego pierwszego małżeństwa. Wkroczył wtedy do ich domu w Redmond, dumnie ogłaszając, że „jest w pełni uzbrojony i strzela ostrą amunicją!”.

Innymi słowy, cokolwiek było przyczyną ich problemu, nie miało związku z nim. I dlatego, choć z jednej strony wołałaby, żeby towarzyszył jej podczas wizyty u lekarza, z drugiej – nie chciała, by usłyszał przy niej werdykt, którego coraz bardziej się obawiała. Że problem z zajściem w ciążę, jakikolwiek jest, tkwi w niej.

Mąż wypuścił ją z objęć, przekręcił się na bok i nie minęła nawet minuta, jak usłyszała jego głęboki, spokojny oddech. Znowu pomyślała o Shaniqui Miller i o tym, jak ta kobieta padła na jezdnię, podcięta wiadomością o śmierci syna. A także o Maggie, siostrze Dela, i o tym, co musiała poczuć, gdy weszła do pokoju córki i znalazła ją martwą. Oraz o swojej własnej matce i jej bólu, który jak niegojąca się rana miał ją już zawsze nękać.

I wreszcie o swym gorącym marzeniu o dziecku. Że może bezpłodność wcale nie jest tragedią, tylko błogosławieństwem.

## Rozdział 4

Wczesnym rankiem we wtorek, nim jeszcze tryby sprawiedliwości zaczęły mleć kolejne werdykty i wyroki w sprawach cywilnych i karnych, Delmo Castigliano znalazł się na korytarzu gmachu sądu okręgowego. Z jasno rozświetlonej marmurowej posadzki wciąż unosił się lekki cytrynowy zapach płynu do czyszczenia, ale nie rozbrzmiewała jeszcze salwą kroków prawników, urzędników sądowych i mieszkańców okręgu King, którzy mieli coś do załatwienia w sądzie.

Zdaniem Dela sądy w fascynujący sposób ukazywały przejawy życia miasta i jego mieszkańców. To w ich murach ludzie wygłaszali przysięgi małżeńskie i uprawomocniali testamenty kończące ich życie, to tu z rąk do rąk przechodziły tytuły własności ziemi i budynków, to tu w wyniku procesów cywilnych tracono i zyskiwano fortuny, to tu wreszcie zapadały wyroki w sprawach karnych, które raz na zawsze zmieniały losy skazanych i ich rodzin. Mury tych sal bywały świadkami ogromnej radości i niewysłowionej rozpacz.

A teraz jednym z sądowych petentów był Del.

Stracił siostrzenicę, jego siostra straciła córkę i żadne mowy prawnicze i apele nie mogły tego zmienić. Nikt nie mógł zmienić tego, co się wydarzyło. Nikt nie przywróci życia Allie.

Ale można było wymierzyć sprawiedliwość tym, którzy byli temu winni. I on do tego doprowadzi.

Podjął się tego bez wiedzy szefa, kapitana Johnny'ego Nolasca, który – choć niechętnie – pozwolił Fazowi znaleźć dilerza zaopatrującego siostrzenicę Dela w narkotyki. Del obiecał nie uczestniczyć aktywnie w tym śledztwie, ale nie zamierzał siedzieć cicho w imieniu swojej siostry. Doprowadzenie tego do końca było sprawą rodzinną. Czyli jego sprawą.

Wszedł do biura prokuratora okręgu King i oświadczył recepcjonistce, że chce się widzieć z Rickiem Cerrabone'em.

- Jest na sali sądowej – odparła recepcjonistka.
- Jesteśmy umówieni.

Parę minut po jej telefonie Cerrabone wyłonił się z wewnętrznego korytarzyka i skinął na Dela, że ma iść za nim. Faz zauważył kiedyś, że zastępca prokuratora okręgowego ze swymi worami pod oczami i obwisłymi policzkami jest kropka w kropkę podobny do Joego Torre'a, byłego managera Yankees, i podobieństwo to zapadło Delowi w pamięć.

Poszedł wąskim korytarzykiem za Cerrabone'em do jego zagraconego gabinetu. Każdy centymetr powierzchni zajmowały stosy teczek i segregatorów z dokumentami. Cerrabone był prawą ręką prokuratora okręgowego Kevina Dunleavy'ego, prowadził większość spraw o zabójstwa pierwszego stopnia, w tym także te zagrożone karą śmierci, i był właśnie w trakcie kolejnej.

– Przepraszam za ten bałagan, ale akurat jesteśmy w środku sprawy Westerberga – powiedział Cerrabone, zamykając za sobą drzwi, przez co w gabinecie zrobiło się jakby jeszcze ciasniej.

Del poczuł woń kawy i zauważył stojący na biurku kubek.

– Tak, wiem – rzucił. – Mam nadzieję, że nie sprawiam ci kłopotu.

Cerrabone machnął uspokajająco ręką.

– Sędzia dał nam dziś rano wolne. Jedna z przysięgłych zadzwoniła, że jej opiekunka do dziecka się spóźni.

Rozsiadł się na ergonomicznym fotelu mającym uśmierzyć jego bóle kręgosłupa, Del zajął jedno z dwóch wyściełanych krzeseł. Jedyнным dowodem świadczącym o tym, że Cerrabone ma jakieś życie osobiste, była stojąca w ramce fotografia żony, która była jak on prokuratorem, ale występowała pod panieńskim nazwiskiem. Kiedy człowiek wysyła morderców do więzienia, stara się chronić swoją prywatność. Na ścianach wisiały standardowe czarno-białe widoczki z Seattle sprzed lat.

– Przykro mi z powodu twojej siostrzenicy, Del.

– Dzięki. – Del mówił to już chyba po raz tysięczny. – I dziękuję za udział w pogrzebie.

– Wyglądasz na wykończonego. Czy ty w ogóle sypiasz?

– Mieliśmy wczoraj śmiertelny wypadek uliczny, kierowca zbiegł. Zginął dwunastoletni chłopiec.

– Słyszałem. Może trafić na moje biurko.

Te słowa zaskoczyły Dela. Cerrabone zwykle zajmował się sprawami z kodem PONSZ, co było skrótem od Przystępstw o Najwyższym Stopniu Zagrożenia.

– Dlaczego?

– Z tego samego powodu, dla którego trafiło to do was. Szefostwo boi się publicznej reakcji.

– Tym bardziej doceniam twoją pomoc w mojej sprawie. – Del zaczął mieć wyrzuty sumienia, że zawraca prokuratorowi głowę w tak gorącym dla niego okresie.

Cerrabone znów lekceważąco machnął ręką.

– Nie ma sprawy. Poprosiłem koleżankę, żeby się temu przyjrzała w czasie, kiedy siedzę na sali sądowej. – Pogrzebał w stosie papierów na biurku, znalazł szukaną notatkę i podał Delowi. – Nie masz nic przeciwko temu?

– Nie, skąd – odrzekł Del.

Prokurator wziął do ręki słuchawkę, wcisnął guzik na telefonie i powiedział:

– Możesz tu przyjść?

Chwilę później do gabinetu zapukała atrakcyjna czarnoskóra kobieta.

– Chodź, chodź – rzucił Cerrabone i dokonał prezentacji. – Celia McDaniel. Del Castigliano. Del jest tym detektywem od śmiertelnego przedawkowania, o którym ci mówiłem.

McDaniel zamknęła drzwi i podeszła do Dela, a ten wstał, by się przywitać.

– Witam, detektywie. – Wyciągnęła do niego rękę.

Del podał jej dłoń i poczuł zdecydowany uścisk kobiety. Nigdy wcześniej nie zetknął się z Celią McDaniel i zerkając na nią, ocenił jej wiek na trzydzieści pięć do czterdziestu lat. Poprawiła na sobie granatowy zakiet włożony na kremową bluzkę. Długie ciemnoblonde włosy miała splecione w warkocze, na jej twarzy nie widać było makijażu.

– Jest pani nowa? – spytał.

– Niezupełnie – odparła z uśmiechem. – Nowa jestem tylko tu.

– Celia pracowała w narkotykach w Georgii – wyjaśnił Cerrabone. – Przeprowadziła się w te strony pół roku temu i od dwóch miesięcy pracuje u nas.

- Przejechała pani kawał drogi.
- Potrzebowałam zmiany klimatu.
- I chyba pani znalazła. Mokro przez okrągły rok.
- Lubię deszcz – odparła.
- Pomyślałem, że będzie szybciej, jeśli sama przekażesz Delowi swoje ustalenia, bo może mieć jakieś pytania – powiedział Cerrabone.
- Jasne. – McDaniel usiadła, założyła nogę na nogę i zwróciła się twarzą do Dela. – Przede wszystkim, przykro mi z powodu pańskiej siostrzenicy.
- Dzięki – odparł po raz tysiąc pierwszy.
- Z tego, co wiem, ona albo jej chłopak kupili heroinę wieczorem, a rano już nie żyła.
- Też znam taką wersję. Siostra nie jest w stanie mi wiele pomóc, ale o ile mi wiadomo, Allie udusiła się własnymi wymiocinami... – Na ostatnim słowie zaciął się i musiał odchrząknąć.
- Czyli możemy udowodnić ponad wszelką wątpliwość, że to heroina kupiona tamtego wieczoru ją zabiła, czy tak? – spytała łagodnym tonem.
- Absolutnie. Od ponad dwóch miesięcy była czysta. – Del łąpczywie chwycił powietrze. – Wysłaliśmy ją na odwyk do ośrodka w Yakimie.
- Typowe – mruknęła McDaniel, jakby do siebie. – Jeśli uda nam się zidentyfikować dilerów i udowodnić, że dostarczył heroinę, która zabiła pańską siostrzenicę, to na podstawie paragrafu sześćdziesiąt dziewięć-pięćdziesiąt-cztery jeden kodeksu karnego stanu Waszyngton będziemy mogli go oskarżyć o zabójstwo, ponieważ dostarczył ofierze zakazaną substancję. Jego czy ją, ktokolwiek okaże się dilerem.
- Zabójstwo? – Del spojrzał pytająco na prokuratora.
- Zgadza się – potwierdziła McDaniel.
- A jeśli ten ktoś tylko dostarczył heroinę? Jeśli sam jej nie wyprodukował?
- Zapis w kodeksie jest stosunkowo nowy i dość pojemny. Zgodnie z nim przestępcą jest każdy, kto produkuje, dostarcza, posiada z zamiarem przetwarzania lub dostarczenia zakazaną substancję. Del nie znał tego zapisu, ale jego brzmienie mu się podobało.
- I jaka jest za to kara?

– To przestępstwo kategorii B. Winny popełnienia go może zostać skazany na karę więzienia do dziesięciu lat, maksymalną grzywnę do dwudziestu pięciu tysięcy dolarów lub obie te kary, gdy chodzi o substancję w ilości poniżej dwóch kilogramów, z czym, jak się domyślam, mamy tu do czynienia.

Dziesięć lat więzienia? W uszach Dela zabrzmiało to wręcz nieprawdopodobnie.

– Kiedy ostatnio skazano kogoś z tego paragrafu? – spytał.

– Jest on coraz częściej przywoływany z powodu gwałtownego wzrostu spożycia heroiny i metamfetaminy – wtrącił Cerrabone, spoglądając na Dela znad okularów.

– Ale ja zetknęłam się tylko z paroma przypadkami postawienia winnego w stan oskarżenia – dodała McDaniel. – I żaden z nich nie stanął przed sądem. Za każdym razem doszło do ugody z prokuraturą.

– I jakimi karami się skończyło?

– Dwa do czterech lat i trzy do pięciu tysięcy dolarów.

– To niezbyt wysoka cena za pozbawienie kogoś życia.

– Zgadzam się, ale i tak jest lepiej, niż było. Poza tym są jeszcze inne względy.

– Na przykład jakie? – spytał Del.

Zadzwoił telefon na biurku i Cerrabone sięgnął po słuchawkę. Przez chwilę słuchał.

– Co za wniosek? – rzucił w końcu. – Przecież to bzdura. Tak, powiedz sędziemu, że już idę. – Odłożył słuchawkę, wstał zza biurka, odwinął rękawy koszuli i zapiął mankiety. – Muszę iść walczyć z wnioskiem o wyłączenie jednego z przysięgłych. Ale możecie tu zostać, czujcie się jak u siebie.

– Pije pan kawę? – spytała Dela McDaniel, patrząc, jak prokurator wkłada marynarkę.

– Aż za dużo – odparł Del.

\* \* \*

Po zaledwie paru godzinach snu Tracy weszła do sali konferencyjnej na szóstym piętrze gmachu komendy policji. Przy stole siedzieli już Faz i Kins, zajęci komentowaniem meczów NBA.

– A gdzie Del? – spytała Faza.



Sączył kawę z wielkiego kubka ozdobionego z jednej strony napisem *WŁOSI NAJLEPIEJ KOCHAJĄ*, a z drugiej *JEŚĆ*. Słodko-gorzki aromat pobudził kubki smakowe Tracy, choć wiedziała, że jeśli wypije kawę na pusty żołądek, przez cały dzień będzie ją męczyła zgaga.

– Miał dziś rano spotkanie i prosił, żeby zacząć bez niego.

– Jak on sobie naprawdę radzi? – Przyciągnęła sobie krzesło po drugiej stronie stołu i usiadła. Przez wysokie, wąskie okna widać było krople deszczu padające na betonowe patio.

– W porządku. – Faz wzruszył ramionami. – Tylko jest wściekły. Chce kogoś za to dopaść.

– Na tyle, by popełnić jakieś głupstwo? – spytała Tracy.

– Będę miał na niego oko – rzucił Faz swym knajackim akcentem z New Jersey. – Nic mu nie będzie.

– Nie powinien zajmować się sprawą siostrzenicy.

– Wszyscy w wydziale są po uszy zajęci, a Del próbuje zrobić coś dla siostry, kapujesz? Jej mężusia nie ma już od lat. Nic się nie martw, będę go pilnował.

– A Joe się zjawi? – spytał Kins.

– Zadzwoił i powiedział, że siedział wczoraj do późna nad tą sprawą i od rana stara się coś dla nas zdobyć.

– Wszyscy się staramy – mruknął Faz, pogimnastykował sobie ramiona i pokręcił szyją. W jego przekrwionych oczach widać było, że spędził długą bezsenłą noc i wstał o świcie.

Tracy czuła się tak, jakby dostała od kogoś po głowie. Prawie w ogóle nie spała.

– Coś wynika z waszych rozmów z lokatorami budynków w pobliżu miejsca wypadku? – spytała.

Faz pokręcił głową.

– Nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał. Napiszę notatkę i dołączę do akt sprawy.

– To by potwierdzało wersję Jensena, że kierowca nawet nie próbował hamować – zauważył Kins.

Na salę wszedł ich kapitan Johnny Nolasco, co zaskoczyło Tracy. Jej relacje z szefem przypominały zawarte na siłę zawieszenie broni.

– Podobno mieliście wczoraj wypadek z ucieczką kierowcy.

– Tak, dwunastoletni dzieciak – potwierdził Faz.

– Ze skutkiem śmiertelnym?

– Niestety – odparła Tracy.

– Wystąpię, żeby sprawę przejęło ZBWD.

– Ale to zabójstwo – powiedziała Tracy. – Billy powiedział nam, że szefostwo naciska, byśmy to my się tym zajęli, przynajmniej we współpracy z ZBWD.

– Doskonale o tym wiem, ale śledztwo w sprawie wielokrotnego zabójstwa z ubiegłego tygodnia nabiera rozpędu i potrzebna jest każda para uszu do prowadzenia przesłuchań. A to tylko śmiertelny wypadek drogowy z ucieczką kierowcy i od tego jest ZBWD.

– A jeśli to było celowe zabójstwo?

– Nie będziemy się martwić na zapas.

W drzwiach stanął Jensen, Nolasco obrzucił go spojrzeniem i wyszedł z sali. Jensen zsunął z ramienia pasek torby z laptopem i położył ją na krześle.

– Przepraszam za spóźnienie, ale od rana grzebałem w czymś, co może wam się przydać.

Jensen bez wełnianej czapki i puchatej kurtki wyglądał zupełnie inaczej. Na głowie miał bujną rudą czuprynę i był masywnie zbudowany. Dziś miał na sobie dżinsy, sportowe buty, koszulkę polo i marynarkę, którą od razu zdjął i rozwiesił na oparciu wolnego krzesła.

– W ogóle dziś spałeś? – spytał Kins.

Jensen wyjął z torby laptopa, otworzył go i włączył.

– Tak, wszystko w porządku. Adrenalina buzuje.

– To dolej mi jej trochę do kawy – mruknął Faz.

Wyjawszy z torby kilka kartek, Jensen podał je Tracy, po czym zerknął na zegarek.

– Możemy jeszcze zdążyć na poranną odprawę – powiedział.

– A powinniśmy? – spytała Tracy.

– Sama zobacz.

Wzięła do ręki kartkę.

– Subaru outback – przeczytała. – Znasz już markę i model samochodu? Jest nagranie wypadku?

– Jest, ale z kamery umieszczonej zbyt daleko, by można było mieć pewność.

– No to skąd wiesz, że to subaru? – spytał Kins.

– Dziś z samego rana zawiozłem ten znaleziony fragment do policyjnego laboratorium. Znaleźli numer seryjny i ustalili, że fragment pochodzi z subaru. Znajomy ma serwis subaru, pojechałem więc do niego z tym fragmentem, a on na podstawie numeru ustalił, że pochodzi z obudowy prawego reflektora modelu subaru outback z roku dwa tysiące trzeciego, w kolorze czarnym.

Tracy szybko rzuciła okiem na zegarek, po czym spojrzała przez stół.

– Faz...

– Już lecę.

Faz odsunął fotel i wstał z kartką w jednej ręce i kubkiem w drugiej. Jeśli zdążą przekazać tę informację sierżantowi prowadzącemu poranną odprawę, to policjanci już na pierwszej zmianie będą mogli rozglądać się za wytypowanym samochodem. Następnie Faz wrzuci wiadomość do stanowego systemu informatycznego, dzięki czemu trafi ona do wszystkich służb policyjnych w całym stanie, łącznie z patrolami autostradowymi, a także do wszystkich warsztatów samochodowych.

– Wspomniałeś coś o nagraniu – powiedziała Tracy, gdy Faz wyszedł z sali.

– Kawalek dalej jest kamera monitoringu miejskiego. Nagranie nie jest najlepsze, ale znając markę samochodu i przybliżony czas wypadku, mogliśmy szybko znaleźć właściwy moment. – Jensen postukał palcem w laptopa. – Lepiej przejdź tu do mnie.

Tracy i Kins stanęli za nim i zapatrzili się w ekran.

– Jakies sto metrów od skrzyżowania na czubku latarni miejskiej na Południowej Henderson jest kamera monitorująca przystanek autobusowy. To dobrej jakości kamera, ale z powodu odległości i oświetlenia... nagranie nie jest najlepsze. A samochód jechał z południa na północ, więc tablice rejestracyjne są w ogóle niewidoczne. – Jensen nacisnął klawisze i po sekundzie na ekranie pojawił się gruboziarnisty, czarno-biały, lekko zażółcony obraz ulicy. – Światła zniekształcają barwę – wyjaśnił, po czym sprawdzając swoje notatki na kartce, postukał w klawiaturę, by przyspieszyć odtwarzanie. – Jeśli dobrze się przyjrzyjecie, to zobaczycie kogoś idącego chodnikiem lewą stroną ulicy.

Tracy wypatrzyła jakiś błąd cień.

– Trudno powiedzieć – mruknęła.

– Zgadza się to z godziną, o której według zeznań świadka D’Andre Miller wyszedł z ośrodka rekreacyjnego. I wygląda na to, że biegnie. Teraz patrzcie tu. – Jensen nacisnął klawisz i zwolnił odtwarzanie. – Samochód pojawia się w kadrze tu, u szczytu wzniesienia. W miarę jak zbliża się do skrzyżowania, jego obraz nieco się poprawia.

Tracy patrzyła, jak ciemna sylwetka samochodu zsuwa się z pochyłości i przejeżdża przez skrzyżowanie, ani na moment nie zwalniając.

– Narożna kamienica zasłania chłopaka i nie widać momentu jego zejścia z krawężnika – zauważyła.

– Jak już mówiłem, nagranie nie jest najlepsze, ale odczyt czasu, jadący samochód i widok chłopaka biegnącego ulicą potwierdzają wersję ustaloną na podstawie fragmentu reflektora: dzieciak został potrącony przez subaru w ciemnym kolorze.

– Da się jeszcze bardziej wyostrzyć ten obraz? – spytała Tracy.

– Ale kosztem jeszcze grubszego ziarna. Z tego nagrania nie da się ustalić numeru rejestracyjnego. Jedyne szansa, że samochód zarejestrowały jeszcze inne kamery.

– Ktoś to sprawdza? – Tracy wyprostowała się. – Może nam się poszczęści i da się odczytać choćby fragment tablicy rejestracyjnej.

– Już się tym zajmujemy. – Jensen uśmiechnął się do niej. – Mówiłem ci, że to ciekawsza robota niż te twoje szampowe zabójstwa.

## Rozdział 5

Po wyjściu z sądu Celia McDaniel zaczęła sprawiać wrażenie kobiety gnanej misją i Del próbował za nią nadążyć. Zdecydowanym krokiem minęła Starbucksa i Seattle's Best Coffee i zatrzymała się dopiero przy Top Pot Doughnuts przy Piątej Alei, kilka przecznic od budynku sądu.

– Nie piję kawy, jeśli nie towarzyszą jej pączki – oznajmiła, otwierając drzwi.

Wypełniający wewnątrz zapach parzonej kawy i świeżo smażonych pączków był w równym stopniu zniewalający, co odpychający. Ostatnią rzeczą, jakiej Del potrzebował, był pączek. Właśnie poprzedniego dnia był na corocznej kontrolnej wizycie u lekarza i okazało się, że ma mocno podwyższone ciśnienie – co w świetle wydarzeń ostatnich paru tygodni nie było niczym zaskakującym – ale lekarz wygłosił też kilka cierpkich uwag na temat jego wagi.

Del zamówił więc kawę, ale czarną i bez pączka. McDaniel zamówiła latte i dwa pączki: jeden tradycyjny i jeden z lukrem. Usiedli przy stoliku z dala od innych, McDaniel na małej kanapie, Del na krześle po drugiej stronie stolika. Ujęła filiżankę obiema rękami, jakby chciała ogrzać sobie dłonie.

– Nienawidzę zimna – mruknęła. – Dzięki Bogu, że chociaż śnieg tu nie pada.

– Może jeszcze popadać – ostrzegł ją Del. – Zwyczajnie pada w grudniu i styczniu, ale nie pamiętam tak zimnego marca.

– Staram się zachować optymizm. – Uśmiechnęła się; wychodziło jej to w wyjątkowo naturalny sposób. Biła od niej pozytywna energia, co zapewne sprawdzało się w kontaktach z ławami przysięgłych, i Del pomyślał, że jej zazdrości. Od dnia, gdy siostra zadzwoniła, by powiadomić go o śmierci Allie, właściwie się nie uśmiechał.

– Na pewno nie zje pan pączka? – spytała McDaniel.

– Mój lekarz uważa, że zjadłem już za dużo pączków w życiu. – Del zdjął płaszcz i przewiesił go przez oparcie drugiego krzesła.

McDaniel spojrzała na jego filiżankę.

– I kawa bez cukru i śmietanki – zauważyła. – Jest pan człowiekiem pozbawionym wad.

– Waga w mojej łazience byłaby innego zdania.

– No cóż, właśnie pan poznał jedną z moich wad: nie umiem żyć bez pączków. Tylko w ten sposób potrafię wypić kawę.

– To może niech pani przestanie ją pić.

– I miałabym zrezygnować z pączków?

– I w ten sposób wracamy do początku.

– To się nazywa racjonalizacja.

– Je pani tak co rano?

– Boże, skąd! – Uśmiechnęła się filuternie. – Najwyżej parę razy w tygodniu.

– I jak się pani udaje utrzymać... – Del zawiesił głos i łyknął kawy.

– Moją figurę?

– Tego nie powiedziałem. Wystarczy mi komentarzy o poprawności politycznej u mnie w biurze.

– Często mówi pan niewłaściwe rzeczy? – spytała McDaniel.

– Zbliżam się do pięćdziesiątki i cały jestem niewłaściwy.

– A wracając do pańskiego pytania, i przy okazji bardzo dziękuję... Oprócz obsesji na punkcie pączków, mam fioła na punkcie ćwiczeń fizycznych.

– Chciałbym móc mieć taką radość z ćwiczeń jak z jedzenia lasagne.

– Codziennie rano o piątej od poniedziałku do piątku ćwiczę pilates i to mi potem pozwala tak jeść. – Zamoczyła kawałek pączka w kawie i wsunęła do ust.

– Ja też zrywam się codziennie o piątej – powiedział Del. – Idę do łazienki i wracam do łóżka.

Wybuchła śmiechem i szybko zasłoniła usta dłonią. Przez chwilę się zanosilo, że może nie zdzierżyć i parsknąć kawą, ale pomachała na niego ręką, odwróciła głowę i wytarła sobie usta serwetką.

– Następnym razem proszę mnie uprzedzić – mruknęła.

Podobała mu się. Zachowywała się swobodnie, nie udawała. Zauważył też, że nie nosi obrączki. Wyprostował się. Nogi miał

ciężkie, ciało oklapnięte z braku snu, ale odczuwane od tygodnia wewnętrzne napięcie jakby gdzieś wyparowało.

– Mogę panią o coś spytać?

– Jasne.

– W gabinecie prokuratora powiedziała pani, że to, co stało się z moją siostrzenicą, jest typowe. Co pani miała na myśli?

– Wspomniał pan, że krótko przed przedawkowaniem wróciła z detoksu, tak?

– Któregoś dnia przyszła do domu i oświadczyła matce, że ma tego dość i chce się wyzwolić z prochów. Że zmęczyły ją narkotyki i to, co z nią wyczyniają. Siostra zadzwoniła do mnie, a ja pociągnąłem za parę sznurków i załatwiłem jej miejsce w ośrodku rehabilitacyjnym na wschodzie stanu. Od blisko trzech miesięcy była czysta, chodziła na sesje AA i spotykała się z doradcą. Znalazłem jej pracę w Starbucksie i wyglądało na to, że naprawdę wychodzi na prostą. Wszyscy tak myśleliśmy. To było dla nas jak grom z jasnego nieba. – Del zamilkł, bo głos uwiązał mu w gardle.

McDaniel odstawiła kawę.

– Kiedy narkoman powraca do brania, często aplikuje sobie taką samą dawkę heroiny... lub heroinę o takiej samej mocy, do jakiej przywykł przed odwykiem. Tylko że jego organizm nie jest gotowy na przyjęcie takiej porcji trucizny i, niestety, często dochodzi do przedawkowania.

– Cerrabone powiedział, że pracowała pani w narkotykach w Georgii.

– Ścigałam przestępców narkotykowych. Ostatnio zajmowałam się prawodawstwem oferującym narkomanom sądowe alternatywy.

– Co panią tu sprowadziło?

Przeniosła wzrok na taflę szkła oddzielającą ich od chodnika.

– Potrzebowałam zmiany otoczenia po rozwodzie.

– Ja po swoim chciałem się przenieść na inną planetę.

– Aż tak źle?

– Dobrze nie było.

– Ma pan dzieci? – spytała Celia.

– Na szczęście nie. A pani?

– Urodziłam syna. – Przerwała, po czym dodała: – Chciałam się zająć poradnictwem, a gdzieś wyczytałam, że w okręgu King działa

grupa zadaniowa walcząca ze wzrostem narkomanii. Więc dołączyłam do niej.

– Czytałem o tej grupie – rzekł Del. Nie chcąc jej urazić, nie dodał, że nie zgadza się z ich filozofią.

– Wzrost użycia heroiny w całym kraju osiągnął rozmiary epidemii – powiedziała. – A liczba ofiar śmiertelnych po przedawkowaniu opioidów przewyższa obecnie liczbę zabitych w wypadkach drogowych.

– Za moich czasów tylko zdeklarowani nałogowcy wstrzykiwali sobie heroinę.

– Od chwili zalegalizowania marihuany wszystko się zmieniło. Meksykańskie kartele narkotykowe odnotowały spadek zysków, zaorały swoje plantacje koki i posiały mak. Ludziom, którzy walczyli o legalizację marihuany, nawet nie przyszedł do głowy taki scenariusz. Podobnie jak mediom.

– Dobre stare zasady kapitalizmu – mruknął Del. – Zwiększyć produkcję i obniżyć koszty.

– I to o ile! Dziś da się kupić heroinę za mniej niż paczkę papierosów. Przyczyniła się do tego nie tylko legalizacja marihuany. Analitycy rynku przypisują ten dramatyczny wzrost narkomanii również zmianom w filozofii opieki zdrowotnej, w której kładzie się teraz większy nacisk na leczenie bólu pacjenta niż na leczenie powodujących go schorzeń. To doprowadziło do wzrostu użycia opioidów.

– O tym też czytałem.

– Kiedyś stosowanie opioidów było ograniczone do leczenia raka czy ciężkich urazów fizycznych, ale od pewnego czasu zaczęto ich używać przy szerszej gamie schorzeń, na przykład przy bólach chronicznych. Nic dziwnego, że firmy farmaceutyczne wypuściły na rynek agresywnie promowane opioidy w rodzaju oksykodonu.

– Dostawałem to po operacji barku – powiedział Del.

– Nałogowcy szybko doszli, jak radzić sobie z opóźnionym działaniem na ból. Zaczęli kruszyć lub rozpuszczać tabletki i wstrzykiwać sobie roztwór.

– I jak przechodzą od tego do heroiny?

– Dzięki dostępności i cenie. Gdy problem nałogu stał się głośny, wprowadzono przepisy utrudniające dostęp do opioidów na zwykłe



recepty, a producent oksykodonu zmienił recepturę tak, że nie można go już było kruszyć ani rozpuszczać. Ludziom się zdawało, że te dwa utrudnienia rozwiążą problem, ale nie wzięto pod uwagę tego, że w tym momencie było już bardzo wielu uzależnionych, którym nagle zablokowano dostęp do leku i których nie było już na niego stać. I w ten sposób stworzono rynek dla meksykańskich karteli narkotykowych.

– Które przerzuciły się z marihuany na heroinę i weszły na gotowy rynek.

– Zasypały go taną, łatwo dostępną heroiną, czyniąc z niej narkotyk najpowszechniej używany w grupie wiekowej od osiemnastu do dwudziestu dziewięciu lat. Nic dziwnego, że właśnie w tej grupie występuje najwyższa śmiertelność po przedawkowaniu.

– Więc teraz wsadzamy dilerów do więzienia i surowo karzemy ich wyrokami rzędu dziesięciu lat – powiedział Del, przypominając sobie nowe prawo.

– Zamykamy w więzieniu jednego i zwalniamy miejsce, na które czeka dziesięciu następnych.

– Może nie będą tacy chętni, jeśli zaostrzymy kary i dopilnujemy, by każdy skazany odsiedział pełne dziesięć lat. Wtedy wielu się zastanowi.

– Wielu dilerów może tak. – McDaniel pokręciła głową. – Ale nie da się w ten sposób wyrugować zwyczajów, jakie przyjęły się w ciągu minionej dekady. A skoro są odbiorcy, znajdą się też dostawcy. Twoja siostrzenica była uzależniona, Del. Kryminalizacja tylko jeszcze bardziej oddala uzależnionych od tych, którzy ich kochają i mogliby im pomóc, a zbliża do tych, którzy ich wykorzystują.

Del poczuł, że znów wewnątrz się spina.

– Ale ja nie chcę nękać użytkowników. Chcę nękać dostawców. Podnieśmy kary dla dilerów z dziesięciu do dwudziestu pięciu lat lub dożywocia. Wtedy się ich pozbędziemy.

– I co z nimi zrobimy? Nasze więzienia są już i tak przepełnione. I co zrobimy z uzależnionymi?

Na żadne z tych pytań nie miał gotowej odpowiedzi.

– Niestety, podchodzisz do sprawy bez znajomości problemu – dodała McDaniel. – Jesteś przygnębiony i zły i chcesz, żeby ktoś poniósł karę za śmierć twojej siostrzenicy.

– W tym, co mówisz, jest dużo racji.

– To typowe podejście. Ale kluczem nie jest eliminacja dilerów. Kluczem jest uwolnienie uzależnionych od nałogu. Potrzeba nam więcej takich jak ty, Del, którzy zetknęli się z tym problemem w najbardziej bolesny sposób.

– Mam nadzieję, że nie przyprowadziłaś mnie tu po to, żeby mnie kaptować – powiedział z cierpkim uśmiechem.

– To nie fair, co mówisz. Rozejrzałam się i przedstawiłam ci aspekt prawny. O to mnie proszono.

Del nie miał ochoty na kłótnię. Był na to zbyt zmęczony. Odsunął krzesło i wstał.

– Masz rację. Dziękuję. Jestem ci wdzięczny.

– Posłuchaj, wiem, przez co teraz przechodzisz...

Uciszył ją gestem ręki.

– Wiesz, chciałbym, żeby ludzie przestali mi to mówić, bo z całym szacunkiem, ale nie masz pojęcia, przez co teraz przechodzę. I nie masz pojęcia, przez co przechodzi moja siostra. Ludzie mówią „wiem”, ja też mówiłem „wiem”. Mówiłem, jak współczuję z powodu poniesionej straty, ale póki samemu się tego nie doświadczy... póki się przez to nie przejdzie, to naprawdę człowiek nie wie. – Chwycił płaszcz i przewiesił go sobie przez rękę. – Dzięki za wyjaśnienia.

– Co byś dał, by uratować życie siostrzenicy? – spytała McDaniel. – Co by dała twoja siostra?

– Wszystko – odparł bez wahania. – Dałbym wszystko i moja siostra też. Tylko że Allie już nie wróci i nic tego nie zmieni.

– To prawda. Zapłaciłeś za jej terapię odwykową, a ona i tak umarła.

Del się zjeżył.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Że to był błąd?

– Oczywiście, że nie. Podziwiam cię za to. I podziwiam twoją siostrzenicę, że się na to zdobyła. Mówię tylko, że bycie uzależnionym oznacza ciągłą walkę o następną dawkę. Staje się to sensem życia.

– Jeśli zajmiemy się dilerami i zaczniemy wymierzać im duże wyroki, a zdobywanie heroiny stanie się trudniejsze i kosztowniejsze, może da to szansę ich klientom.

– Nie powiem, że się nie zgadzam. Ale co w tym czasie zrobisz z uzależnionymi? – Del nie odpowiedział, więc McDaniel ciągnęła: –

Jest propozycja, aby stworzyć w Seattle dwa punkty bezpiecznych wstrzyknięć, pierwsze w kraju, i dać w ten sposób szansę narkomanom.

– Tak, czytałem o tym – zachnął się Del. – I wiesz, co o tym myślę? Myślę, że to o kant dupy. Chcesz, żeby ktoś napełniał im strzykawki? I robił zastrzyki? Żeby mogli być na haju? Niby jak ma to im pomóc? Tylko zachęci ich to do nałogu.

– W Vancouver stosują to od dwa tysiące trzeciego roku. W rezultacie zmniejszyło się wstrzykiwanie w miejscach publicznych i wzrosła liczba zgłaszających się na leczenie.

– I jak to pomaga w rozwiązaniu problemu? Wciąż mają uzależnionych.

– Ale nikt nie umarł, Del, a dla ciebie i twojej siostry byłoby to najważniejsze.

Odczuł to jak walnięcie w klatkę piersiową.

– Zanotowali ponad tysiąc pięćset przypadków przedawkowania, ale ani jednego zgonu. Allie mogłaby wciąż żyć. Mój syn mógłby wciąż żyć. A gdyby żył, miałabym przynajmniej szansę wysłać go na leczenie. – Odwróciła wzrok i westchnęła. A potem zgmiotła serwetkę i rzuciła ją na stół obok niedojedzonego pączka.

Del zdrętwiał, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć.

– Przykro mi. Nie wiedziałem, że...

– Nie, nie wiedziałeś. – Chwyciła płaszcz. – Wiem, przez co przechodzisz, Del. Stałam na głowie, by doprowadzić do skazania dilerów mojego syna, i udało się. Ale oddałabym wszystko, gdyby ktoś go uratował. Gdyby ktoś dał mi jeszcze jedną szansę, by można go było z tego wyprowadzić.

## Rozdział 6

Tracy siedziała na niewygodnym plastikowym krześle w spartańsko urządzonym gabinecie kliniki płodności w Seattle i czekała na wyrok, czy nauka poradzi sobie z czymś, z czym natura wyraźnie sobie nie radziła. Lampy na suficie irytująco brzęczały, zalewając pomieszczenie tak jasnym światłem, że pokryta linoleum podłoga i białe ściany niemal się jarzyły. Chciałaby wstać i trochę pochodzić, by rozproszyć napięcie, ale gabinet był niewiele większy od pokoi przesłuchań na komendzie.

Jej nastrój oscylował pomiędzy przygnębieniem, złością, frustracją i wstydem. Robiła wszystko, co zalecił jej lekarz ginekolog – mierzyła cykle menstruacyjne, co rano zawzięcie sikała na plastikowe paski, by wychwycić moment jajczkowania, i napastowała Dana jak wyposzczony marynarz na przepustce po roku spędzonym na morzu. Wszystko na nic.

Drzwi do gabinetu otworzyły się i na Tracy spłynęła nagła fala niepokoju. Spędziła wiele dni i nocy – w ostatnim miesiącu zwłaszcza nocy – na ściganiu zabójców i innych przestępców, ale nigdy nie czuła takiego niepokoju jak w tej chwili. Tym razem to nie ona kontrolowała bieg wydarzeń i takie poczucie bezsilności było dla niej nieznośne.

Do środka wszedł doktor Scott Kramer w białym kitlu, z nazwiskiem wyszytym na niebiesko nad kieszonką na piersi. Jak zwykle ciepło się uśmiechnął, zatrzymał w progu i wskazał ręką pistolet w kaburze na pasie, obok odznaki policyjnej.

– Mam nadzieję, że to znaczy, że potem idzie pani do pracy.

– Mam wieczorną zmianę – rzuciła z uśmiechem.

Kramer przyciągnął sobie stółek na kółkach, usiadł przed klawiaturą komputera i obrócił metalowy stelaż tak, by mogła widzieć ekran. Poczowała lekką woń wody kolońskiej lekarza. Już miał zacząć mówić, ale nagle jakby o czymś sobie przypomniał, bo odjął ręce od klawiatury.

– Co u pani słyhać? – spytał.

– Chyba dowiem się tego od pana – odparła.

Kramer pokiwał głową i jego uśmiech jakby nieco przygasł. Był po pięćdziesiątce, miał łysą czaszkę i łagodne oczy, które bezustannie mrużył, do tego sprężyste i opalone ciało tenisisty. Jego wygląd i łagodny sposób bycia pasowały do siebie.

– No cóż, przede wszystkim musi pani pamiętać, że te badania są dość relatywne. Ich wyniki to nie ostateczny wyrok.

Kiwnęła głową.

– Rozumiem. – Czyli nie miał dla niej dobrych wiadomości.

Postukał palcem w ekran i ciągnął łagodnym tonem:

– Relatywność dotyczy zmian płodności kobiety wraz z jej wiekiem.

– Na ekranie pojawił się wykres i Kramer przeciągnął po nim palcem wskazującym. – Do około trzydziestego piątego roku życia występuje powolny spadek, po czym linia robi się bardziej stroma. – Wykres wyglądał jak odwzorowanie upadku ze skały. – W wieku czterdziestu trzech lat ma pani mniej więcej trzydziestoprocentową szansę na zajście w ciążę.

– I zwiększone ryzyko poronienia, jeśli się uda – dodała Tracy. Przeczytała wszystko, co znalazła na ten temat w internecie, choć wiedziała, że czerpanie wiedzy z sieci niemal zawsze jest ryzykowne.

– Powiedzmy, że jakieś trzydzieści pięć procent – sprostował lekarz.

– I co mówią wyniki moich badań? – spytała.

Kramer skierował ją na kilka badań w trzecim dniu cyklu miesięczkowego, by sprawdzić AMH, czyli stan rezerwy jajnikowej. Wyjaśnił jej wtedy, że na podstawie badania krwi można ustalić, ile ma jajeczek i jak są one aktywne podczas owulacji.

– Szczerze mówiąc, pani wynik AMH nie jest najlepszy – oznajmił, nie próbując owijać w bawełnę. – Jak już mówiłem, nie jest to dobra wiadomość, ale niczego nie przesądza.

– Rozumiem, że szansa na zajście w ciążę zależy od moich jajeczek – powiedziała Tracy. Czyli nie wróci dziś do domu z okrzykiem, że jest „uzbrojona, załadowana i gotowa na przyjęcie”.

– Niewątpliwie korzystne okienko jest otwarte dużo krócej. Od jak dawna próbuje pani zajść w ciążę?

– Od odwrócenia wazektomii męża, czyli od jakichś sześciu miesięcy. – Czy powinna mu też wyznać, jak często uprawiają seks?

Nie była pewna.

Doktor Kramer założył nogę na nogę i pochylił się. Był niezwykle precyzyjny w ruchach, co w takich chwilach bywało trochę irytujące. Tracy wiedziała już z przeczytanych artykułów, że sześć miesięcy nieudanych prób uważa się za okres, po którym należy zasięgnąć rady lekarza. Oboje z Danem mieli już ten kamień milowy za sobą.

– To okres prób, jaki zwykle rekomendujemy – przyznał Kramer.

– Jakie mam teraz opcje? – spytała.

– No cóż, możemy spróbować leków na płodność.

– W pańskim głosie nie słyszę zbytniego optymizmu – powiedziała z bladym uśmiechem.

– Biorąc pod uwagę pani wiek i wynik AMH oraz czas bezskutecznych prób, powiedziałbym, że szanse na ciążę naturalną są dość ograniczone.

– Ograniczone, czyli...?

– Małe.

Chwilę się zastanawiała.

– O jakim leku na płodność mówimy?

Zrobił taką minę, jakby pytanie go zaskoczyło. Pewnie chciał rozmawiać o skorzystaniu z jajeczka dawczyni, ale Tracy nie chciała dziecka, które w połowie byłoby Dana, a w połowie jakiejś zupełnie obcej kobiety. Nie chciała dziecka poczętego na płytce Petriego. Chciała ich własnego dziecka.

– Gdybyśmy mieli pójść drogą farmakologiczną, zaczęlibyśmy od clomidu z monitorowaniem, które by nam powiedziało, czy i kiedy pani jajeczkuje. Podjęlibyście z mężem próby i dziesięć do czternastu dni później wykonalibyśmy test ciążowy. Ale w tych okolicznościach...

– Jakie miałabym szanse?

Kramer zrobił taką minę, jakby obliczał coś w głowie.

– Trudno określić to procentowo, ale w tych okolicznościach... – Zawahał się. – Bądźmy realistami. Moglibyśmy lekami na bezpłodność pobudzić pani jajniki do obfitszego jajczkowania, ale to nie znaczy, że byłyby gotowe do zapłodnienia. A jeśli nawet tak, to proszę mieć na uwadze wysokie ryzyko poronienia lub urodzenie dziecka niepełnosprawnego, na przykład z zespołem Downa. Jest pani pewna, że da pani sobie z tym wszystkim radę?

– Ale powiedział pan, że wynik AMH nie jest ostatecznym wyrokiem.

– Nie jest definitywny. Stanowi jednak wyraźną wskazówkę. W pani przypadku szanse na zajście w ciążę metodami naturalnymi są w najlepszym razie nikłe. Ale istnieją też inne metody.

– Jajeczko od dawczyni?

– Tak.

Tracy westchnęła. Jeśli miałyby korzystać z cudzego jajeczka, to równie dobrze może adoptować dziecko. Zapewnić dobry, kochający dom dziecku w potrzebie. Uzgodnili z Danem, że tego typu decyzje będą podejmować wspólnie. Że zdecydują, czy ma rozpocząć farmakologiczne leczenie bezpłodności, o którym wiedzieli, że ma pewne wady. Uzgodnili też, że ewentualną decyzję o adopcji podejmą razem po dokładnym zapoznaniu się ze szczegółami. Lecz zrobili to, jeszcze zanim Tracy dowiedziała się, że to ona, a nie Dan jest źródłem problemu.

– Chciałabym spróbować kuracji clomidem – powiedziała. – Przynajmniej spróbować.

## Rozdział 7

Joe Jensen zadzwonił do Tracy w jej drodze powrotnej od doktora Kramera.

– Chcesz usłyszeć dobrą czy złą wiadomość? – zapytał.

Pomyślała o swojej rozmowie z lekarzem i uznała, że złych wiadomości ma już dość.

– Wolę dobrą.

– Specjalistom od nagrań z monitoringu nie udało się namierzyć subaru po jego ucieczce ze skrzyżowania. Pewnie dlatego, że to głównie rejon mieszkalny i nie ma tam kamer.

– Jeśli to jest dobra wiadomość, to tej złej nie chcę słyszeć.

– Dobra wiadomość jest taka, że patrol dostał sygnał od mieszkającej w sąsiedztwie kobiety.

– Odnaleźli samochód?

– Czarne subaru z uszkodzonymi maską i reflektorem.

– Gdzie?

– Na pustym placu za domem tej kobiety, niedaleko od skrzyżowania.

\* \* \*

Pół godziny później Tracy i Kins jechali już do wskazanego miejsca przy Południowej Renton Avenue. Ulica, na której trwał jakiś remont, była obstawiona pomarańczowymi pachołkami i kręciła się po niej grupa pracowników w żółtych kamizelkach i białych kaskach. Kins zjechał do krawężnika i zaparkował za radiowozem stojącym na pochyłym podejździe. Wysiadł i błysnął odznaką policyjną nadgorliwemu pracownikowi, który próbował mu wmówić, że nie może tu parkować.

– I jeździ pan priusem? – rzucił z niedowierzaniem pracownik.



Akurat na niego dziś trafili. Kins nazywał to autko maszyną do szycia marki Toyota.

– Staramy się dbać o środowisko – mruknął.

Tracy wciągnęła rękawiczki, otuliła się przed zimnem kurtką i weszła na betonowe schodki. Ścieżka wyłożona spękаныmi płytami wiodła do drzwi małego parterowego domku z prefabrykowanych płyt, typowego dla tej dzielnicy. Stała na podeście i wyczuła, że Kinsa nie ma za jej plecami. Okazało się, że stoi u stóp schodków.

– Coś nie tak? – spytała.

– Daj mi chwilę – odparł. – Zasiedziałem się i jest mi zimno, a to zła kombinacja. – Skrzywił się z bólu i ruszył po schodkach.

Poczekala, aż się z nią zrówna, i razem podeszli do stojącego pod drzwiami mundurowego. Wyglądał na skostniałego z zimna, miał ręce wetknięte głęboko w kieszenie kurtki, brodę wtuloną w futrzany kołnierz, policyjną bejsbolówkę zsuniętą nisko na oczy. Podchodząc do niego, Kins ominął leżący rowerek dziecięcy.

– Mój partner jest za domem i rozmawia z właścicielką – wyjaśnił policjant; z jego ust dobył się kłęb pary, jakby wypuszczał dym papierosowy. Poprowadził ich ścieżką obramowaną betonowym krawężnikiem do drewnianej furtki za domem. – Kiedyśmy tu przyjechali, przypomniałem sobie komunikat z porannej odprawy. Czarne subaru, nie? Wygląda, jakby uczestniczyło w jakimś wypadku.

Policjant pociągnął za sznurek, dolna krawędź furtki poszorowała po kamiennej płycie i furтка się otworzyła. Trawa była skoszona wokół zwirowego placu, na którym stały dwa niejeżdżące od lat wraki samochodów osobowych, kamper i kilka skorodowanych przyczep do transportu łodzi. W głębi placu, częściowo ukryte w krzakach i drzewach, widać było czarne subaru.

Obok niego stał Joe Jensen i rozmawiał z kobietą w czarnych dzinsach z nogawkami wetkniętymi w cholewki kozaków, nad którymi kończyła się sięgająca do kolan długa kurtka. Jensen znów miał na głowie czarną wełnianą czapkę.

Tracy i Kins przedstawili się.

– Zobaczyłam ten samochód dziś rano i pomyślałam, że to może któregoś z sąsiadów – wyjaśniła kobieta. W jej głosie pobrzmiwało zaniepokojenie, ale i satysfakcja, że jest obiektem takiego zainteresowania. – Mąż bierze pięćdziesiąt dolarów miesięcznie za

parkowanie samochodu albo przyczepy i sto dolarów za kamper. Rano zawiozłam córkę do szkoły i obesłam sąsiadów, żeby spytać, czyj to samochód, ale nikt się do niego nie przyznał. Zgłosiłam go więc i poprosiłam o odholowanie, ale mi powiedzieli, że muszę z góry zapłacić. – Powiedziała to z taką naganą w głosie, jakby zażądano od niej nerki. – A to nie mój samochód. Na szczęście ktoś zgłosił jego kradzież.

Na szczęście, powtórzyła za nią w myślach Tracy.

Jensen posłał jej i Kinsowi znaczące spojrzenie. Pewnie zdążył już wysłuchać opowieści kobiety, i to nie raz. Rzucił w jej stronę grzeczne „Przepraszam” i wszyscy troje podeszli do subaru.

– Wiemy, kiedy zgłoszono jego kradzież? – spytała Tracy. Czują, jak zimno szczypie ją w policzki.

– Dziś o siódmej rano. Właściciel oświadczył, że wyszedł z domu, żeby wsiąść do samochodu i pojechać do pracy, ale samochodu nie było. – Jensen wyjął z plastikowej torebki na dowody ukruszony fragment i przyłożył do prawego reflektora. – Pasuje. To ten samochód – powiedział. Przednią szybę po prawej stronie pokrywała pajęczyna pęknięć, błotnik był wgnieciony. – Przypuszczalnie chłopak owinął się wokół maski, uderzył w przednią szybę i został odrzucony do przodu. Dlatego leżał tak daleko od skrzyżowania.

Tracy zajrzała do samochodu, niczego nie dotykając.

– Poduszka powietrzna wystrzeliła – zauważyła.

– To dobrze – powiedział Jensen. – Jeśli znajdziemy na niej ślady DNA kierowcy, będziemy wiedzieć, kto prowadził w chwili wypadku. Zakładając, że jego DNA znajduje się w bazie. Już dzwoniłem, żeby odholowali samochód na parking ZBP, i czekam na nakaz przeszukania wnętrza. – ZBP było skrótem od Zespołu Badań Pojazdów policji w Seattle, mieszczącego się w sąsiedztwie Laboratorium Kryminalistycznego Policji Stanu Waszyngton. – Chcecie, bym włączył w to CSI?

Jeśli sprawą miałyby się zajmować wydział zabójstw, specjaliści z CSI powinni obejrzeć samochód. Lecz pamiętając okazaną przez Nolasca niechęć, Tracy zdecydowała, że jednak nie.

– Nie – rzuciła. – Zajmijcie się tym sami. Ale powiadomcie nas, kiedy dostaniecie nakaz przeszukania wnętrza.

– Jasne.

– Właściciel mieszka tu gdzieś w pobliżu? – Tracy podejrzewała, że kierowca subaru musiał wiedzieć o istnieniu tego złomowiska.

Jensen pokręcił głową.

– Z danych wydziału komunikacji wynika, że mieszka w budynku na Bremerton.

– Na Bremerton? – zdziwił się Kins. – To co, u diabła, jego samochód tutaj robi?

– Przecież został skradziony – przypomniał mu Jensen.

Bremerton było wyspą w cieśninie Puget na zachód od Seattle, na którą można się było dostać albo promem, co zajmowało około godziny, albo objeżdżając cieśninę od południa i korzystając z mostu nad Tacoma Narrows, co trwało jakieś półtorej godziny.

– I co ten gość robi na Bremerton? – spytała Tracy.

– Służy w wojsku – odparł Jensen.

– No to super – mruknęła, kręcąc głową.

Na Bremerton mieściła się jedna z największych stocznicy amerykańskiej marynarki wojennej.

\* \* \*

Niewiele brakowało, a Tracy i Kins spóźniliby się na prom, bo wydział transportu zamknął kilka ulic prowadzących do terminalu, wywołując tym u Kinsa częsty u niego atak furii związany z komunikacją miejską. W Seattle trwały prace nad budową podziemnego tunelu, który miał zastąpić wiadukt przeznaczony do rozbiórki, a w każdym razie tak zapowiadano. Budowę nowego rozwiązania komunikacyjnego niemal od samego początku nękały, jak zwykle w Seattle, opóźnienia, procesy sądowe i gwałtowny wzrost kosztów.

„Więc skoro wy nie możecie zdążyć na czas, to użytkownicy mogą płacić podwójnie”, mawiał Kins.

Wjechali na prom i przeszli na górny pokład, bo rejs trwał godzinę.

– Idę po kawę – powiedział Kins. – Chcesz coś?

Tracy podziękowała i znalazła wolny stolik. Prom pruł szare wody cieśniny Puget, jego silniki nisko buczały, przez okno widać było niknącą w oddali panoramę Seattle. Otworzyła laptopa i ściągnęła na ekran wszystkie informacje o właścicielu samochodu, Laszlu

Gutierrezie Treju, jakie udało jej się znaleźć w bazie wydziału komunikacji oraz aktach wojskowych i rejestrze wykroczeń. Trejo zarobił dwa mandaty za przekroczenie szybkości, ale nie był notowany. Od pięciu lat służył w marynarce wojennej i awansował na szczebel specjalisty logistyka, w skrócie SL. Nie bardzo wiedziała, co to znaczy, i zajrzała do Google'a. Wyglądało na to, że SL to ktoś kierujący ruchem w ładowni okrętowej lub w lądowych magazynach baz wojskowych.

Potem zadzwoniła do Treja i powiadomiła go, że zbierają informacje w związku z kradzieżą jego samochodu, a skoro on nie może przyjechać do nich – stwierdził, że nie ma innego samochodu do dyspozycji – ona i jej partner wybiorą się na Bremerton. Trejo podał jej adres na osiedlu Jackson Park, kompleksie mieszkaniowym marynarki wojennej, leżącym jakieś sześć kilometrów na północ od Bazy Marynarki Wojennej Kitsap.

Kins wrócił do stolika z kawą i hot dogiem w bułce napakowanej smażoną cebulą i innymi dodatkami.

– Myślałam, że jesteś na diecie.

– To cała moja kolacja.

– Aha. I musiała być z cebulą, tak?

– Kocham cebulę w hot dogach.

– Niestety, ona nie kocha ciebie – mruknęła. – Mam nadzieję, że nie zapomniałeś miętówek na odświeżenie oddechu.

– Żartuj sobie ze skazańca.

– Na litość boską, przecież to tylko operacja biodra. Naprawdę tak się tym przejmujesz, czy mnie nabierasz?

– Oczywiście, że się przejmuję. Muszą podać mi narkozę.

– Robili to już tysiące razy, Kins.

– Lekarz też mi tak powiedział. Ale wiesz co? Gównu mnie obchodzi ten tyśiąc, kiedy wszystko poszło im gładko. Mnie martwi ten raz czy dwa, kiedy im się nie udało.

– Jesteś młody i zdrowy, Kins. Nie przesadzaj.

Odłożył hot doga.

– Mam trzech synów, Tracy, których trzeba jeszcze przepchnąć przez college. Kiedy ostatni z nich skończy studia, będę miał pięćdziesiąt trzy lata, i to zakładając, że skończą edukację na

licencjacie. Wiesz, ile teraz kosztuje nauka w college'u? Rozmawiamy o dwustu tysiącach kawałków.

Tracy szybko policzyła w głowie. Jeśli będą z Danem mieli dziecko, kiedy ich córka czy syn skończy college, ona będzie już dobrze po sześćdziesiątce. Bóg raczy wiedzieć, ile wtedy będzie kosztować nauka.

Odgryzł kęs bułki z parówką i serwetką wytarł musztardę z kącika ust.

– Co myślisz o naszym Łazarzu? – zapytał.

– O Laszlu? – powtórzyła, myśląc, że niewyraźnie usłyszała imię wypowiedziane ustami pełnymi hot doga.

– Co o nim myślisz?

– Myślę, że jeśli to on, to miał wielki kawał drogi do przejechania późnym wieczorem.

– Sądzisz, że to prawda, że skradziono mu samochód?

– Chętnie posłucham jego wersji.

– Czy przy bramie bazy nie rejestrują wszystkich wjazdów i wyjazdów?

– On nie mieszka na terenie bazy – zauważyła Tracy. – Mieszka w szeregowcu.

– Mówiłaś, że na osiedlu marynarki wojennej.

– Bo tak jest, ale osiedle nie znajduje się na terenie bazy. Dzięki temu możemy się z nim spotkać bez żadnych wojskowych ceregieli. Nigdy nie miałaś do czynienia z marynarką wojenną?

– Nigdy. – Kins odgryzł kolejny kęs. – A ty?

– Raz. Chodziło o włamanie do domu. Wojskowy obrabował swoją byłą dziewczynę i włączyło się w to NCIS<sup>2</sup>. W służbie śledczej marynarki pracują cywile, nasi odpowiednicy. Początkowo samo dotarcie do podejrzanego było dla nas koszmarem, w końcu jednak postanowili zrezygnować ze swoich uprawnień i odpuścili.

– Tak, podobno potrafią być upierdliwi.

– Słyszałam, że po jedenastym września zabrano im najlepszych śledczych i przeniesiono do służby antyterrorystycznej. Ci, którzy zostali, nie są już tak dobrzy i łatwi we współpracy. Osiedle mieszkaniowe Laszla podlega jurysdykcji federalnej i cywilnej, a to oznacza, że możemy z gościem rozmawiać bez pytania NCIS o zgodę.

Godzinę i kwadrans po wypłynięciu z Seattle prom z lekkim szarpnięciem zacumował w terminalu na wyspie Bremerton. Słońce schowało się za grubą warstwą chmur i w zapadającym zmierzchu wszystko poszarzało, niemal przybierając barwę otaczającej wyspę wody. Mocno się też ochłodziło i temperatura spadła do paru stopni poniżej zera. Tracy i Kins wrócili na pokład samochodowy i wsiedli do wozu.

– No to jak ci się podoba życie na końcu świata? – zagaił Kins, gdy czekali na sygnał do opuszczenia promu.

– Nie bądź snobem – burknęła Tracy. Kins mieszkał w Madison Park, w pobliżu uniwersytetu. – Redmond nie leży na końcu świata.

– Nie tęsknisz za mieszkaniem w zachodnim Seattle?

– Tęsknię za dojazdami z zachodniego Seattle. I za widokami. – Dom, który tam wynajmowała, znajdował się w odległości piętnastu do dwudziestu minut jazdy samochodem od komendy, a z tarasu roztaczał się zapierający dech w piersiach widok na Zatokę Elliotta i panoramę Seattle. – Niekiedy dojazd rano zajmuje mi godzinę, ale w Redmond mieszka się jak w raju i w ogóle nie myśli się o pracy.

Ktoś z załogi promu zaczął kierować zjazdem samochodów.

– Rozmawialiście z Danem o dzieciach? – spytał Kins.

To pytanie wystrzeliło jak grom z jasnego nieba i kompletnie zaskoczyło Tracy.

– Trochę. A co?

Wzruszył ramionami.

– Bo mówiłaś, że chciałybyś mieć dzieci.

– Może kiedyś.

– Próbujecie?

– To sprawa dość osobista, nie uważasz?

– Równie osobista jak docieranie się z nowym partnerem, co z jednym zdrowym biodrem wcale mi się nie uśmiecha.

– To nie ja się dokądś wybieram, Kins, tylko ty.

– Moja żona po ślubie też nie zrezygnowała z pracy. Ale jak pojawiają się dzieci, wszystko się zmienia.

Pokręciła głową. Wiedziała, że jego głędzenie wynika ze stresu przed czekającą go operacją i lęku przed przerwą w pracy, która potem nastąpi.

– No cóż, będę miała dziewięć miesięcy na zastanowienie się.

- Ale nie jesteś jeszcze w ciąży, co?
- Nie, nie jestem. – Stojący przed nimi samochód ruszył. – Jedź. Jeśli mamy stąd wyjechać, to proponuję, żebyś ruszył.
- Gaz do dechy! – burknął Kins, kpiąc z mizernej mocy silnika priusa.

\* \* \*

Na pierwszy rzut oka Jackson Park, graniczący od wschodu z plażą nad zatoką Ostrich i od zachodu z Country Clubem i polem golfowym Kitsap, wyglądał na całkiem fajne miejsce do życia. Jak w większości baz wojskowych, było w nim wszystko, co personelowi i rodzinom mogło być potrzebne do życia – przedszkole, szkoła podstawowa, szpital, stacja benzynowa ze sklepem z artykułami pierwszej potrzeby, korty tenisowe i boiska do koszykówki. Sunąc labiryntem uliczek, Tracy nie dostrzegła ani jednego porzuconego skrawka papieru. Trawniki były wypielęgnowane, drewniany siding na domach mimo zapadającego zmierzchu wyglądał jak świeżo pomalowany, parterowe i jednopiętrowe domy zdawały się wycięte jedną sztancą. Znaki informowały o parkingach pod wiatami lub na wyznaczonych miejscach u stóp długich, opadających ku ulicy trawników, co – jak Tracy uznała – sprzyjało kradzieży samochodów.

– Jak na tym filmie z Jimem Carreyem – mruknął Kins, rozglądając się po idealnie czystej okolicy. – Tym, w którym wszyscy żyją na planie filmowym.

– *Truman Show*?

– O właśnie. Wszystko jest tak idealne, że aż straszne.

Straszne i kompletnie wyludnione. Tracy pomyślała, że pustki na ulicach pewnie częściowo wynikają z przejmującego zimna, ale i tak dziwnie było jechać przez osiedle mieszkaniowe i nie widzieć nikogo idącego chodnikiem, jadącego samochodem czy wyprowadzającego psa. Może subaru rzeczywiście skradziono. Jeśli stało się to w takim dniu i o takiej porze jak ta, mógł tego nikt nie zauważyć.

Laszlo Trejo mieszkał na parterze budynku przylegającego do ogrodzonego siatką boiska do koszykówki. Kins zaparkował na miejscu wyznaczonym dla gości i oboje ruszyli obsadzoną drzewami i oświetloną latarniami dróżką. Dotarli do budynku i zeszli po

schodkach do drzwi wejściowych. Kins zapukał i chwilę później otworzyła im przyjaźnie uśmiechnięta niespełna trzydziestoletnia kobieta o latynoskim wyglądzie.

– Wy musicie być tymi policjantami z Seattle – powiedziała ze śladami meksykańskiego akcentu w głosie. Zaprosiła ich do środka, zamknęła za nimi drzwi i poprowadziła ich do skromnie urządzonego, lecz schludnego salonu. Białe fotele i kanapa wyglądały na stałe wyposażenie mieszkania. – Laz właśnie wrócił z pracy. Pójdę go zawołać.

Do salonu przylegała niewielka wnęka kuchenna ze stołem kuchennym i podłogą pokrytą linoleum. Tracy podeszła do kominka i przyjrzała się stojącym na nim fotografiom z ceremonii ślubnej państwa Trejów. Ona w białej sukni, on w nienagannie białym mundurze oficera marynarki wojennej. W mieszkaniu było ciepło i trąciło trochę tak jak w domu Tracy, gdy przez parę dni nie sprzątała po swoim kocie.

– Jesteście z policji w Seattle? – spytał Laszlo Trejo, wyłaniając się z przedpokoju.

Był w granatowo-szarej koszuli polowej i spodniach z nogawkami upchniętymi w czarne buty z cholewami. Musiał mieć niecałe metr siedemdziesiąt wzrostu; był niewiele wyższy od żony. Miał krótko przystrzyżone czarne włosy, w ręce trzymał puszkę z napojem energetycznym, który Tracy w pierwszej chwili wzięła za piwo.

– Znaleźliście mój samochód? – rzucił. Miał nieco silniejszy akcent od żony i nie sprawiał wrażenia ani trochę spłoszonego wizytą policjantów, jak człowiek niemający nic do ukrycia.

– Mamy do pana kilka pytań, panie Trejo – odezwał się Kins.

– Już powiedziałem na policji wszystko, co wiem w tej sprawie. – W jego głosie nie było ani szczególnej wrogości, ani życzliwości.

– Ma pan na myśli policję na Bremerton?

– Aha.

– Pański samochód znalazł się w Seattle.

– Tak mi powiedziała. – Trejo machnął ręką w stronę Tracy.

– Kiedy go pan widział po raz ostatni? – wtrąciła szybko, nie chcąc dopuścić do przejęcia przez niego inicjatywy.

Trejo chyba w tym momencie najwyraźniej zdał sobie sprawę, że nie przyjechali z kluczykami od jego samochodu, bo rozsiadł się na



jednym z foteli.

– W poniedziałek wieczorem – mruknął, na zmianę pociągając napój i gniotąc aluminiową puszkę. – Wróciłem nim z roboty i zaparkowałem pod wiatą.

Tracy i Kins usiedli na kanapie przy niskim stoliku. W miarę upływu czasu Tracy była coraz pewniejsza, że ten facet ma dokładnie obmyślony przebieg tej rozmowy i jego ostentacyjny luz na początku był częścią planu. Rozmowa nie przebiegała jednak według jego scenariusza i widać było, że Trejo zaczyna się gubić i traci sztuczną pewność siebie. Mówił ze spuszczonego wzrokiem, nie patrzył im prosto w oczy i nie przestawał gnieść puszki.

– O której wrócił pan z pracy? – spytała.

– Myślę, że koło szóstej.

– Pod którą wiatą pan zaparkował?

– Tam, na górze. – Machnął niezbyt precyzyjnie ręką.

– Widać ją stąd?

– Nie.

– I już pan tego wieczoru więcej nie wychodził? – upewniła się Tracy.

– Tego dnia już nie.

– Żona też nigdzie nie wyjeżdżała?

Pokręcił głową.

– Nie.

– Więc kiedy pan zauważył brak samochodu?

– Następnego dnia rano. Chciałem pojechać do pracy i samochodu nie było. – Wzruszył ramionami. – Wszystko to powiedziałem tej policjantce, która spisała protokół. – Mówił jak aktor, który wypowiada wyuczoną kwestię.

– Tylko że my jeszcze nie czytaliśmy tego protokołu – wtrącił się Kins.

– To jak został skradziony? – spytała Tracy. – Bo pan miał do niego kluczyk, tak?

– Tak, ale pod tylnym zderzakiem miałem skrytkę, w której trzymałem zapasowy. Mogli go tam znaleźć.

– Kto wiedział o tej skrytce? – Tracy nie bardzo mu wierzyła, ale udała, że bierze jego słowa za dobrą monetę.

– Nie wiem. Może ktoś zauważył.

– Co pan zrobił, kiedy się okazało, że nie ma samochodu?

– Wróciłem do domu i zapytałem żony, czy coś z nim zrobiła – odrzekł bez namysłu, zapewne znów zgodnie ze scenariuszem. – Odpowiedziała, że nic, więc zadzwoniłem na policję i zgłosiłem kradzież.

– I co zrobiła policja?

Trejo zmarszczył czoło. Wyraźnie zaczynał okazywać zniecierpliwienie. Wprowadzenie go w taki stan było świadomym zamysłem Tracy.

– Przysłali tu policjantkę. Zadała mi te same pytania, powiedziała, że spisze protokół, i obiecała, że będziemy w kontakcie. Nie miałem jak dojechać do pracy.

– Macie tylko ten jeden samochód? – spytała Tracy.

– Już to pani mówiłem przez telefon. – Odstawił napój i wychylił się do przodu, w stronę Kinsa. – Mogę teraz ja o coś spytać? Znaleźliście mój samochód?

Tracy zignorowała jego pytanie.

– Zna pan kogoś w Seattle, panie Trejo?

Przeniósł na nią wzrok.

– Czy znam kogoś? Co to znaczy?

– Ma pan rodzinę lub znajomych mieszkających w Seattle?

– Nie mam – mruknął i sięgnął po napój. Tracy pomyślała, że to jego kolejny zaplanowany ruch.

– Skąd pan jest? – spytała.

– Stąd.

– Chodzi mi o to, gdzie się pan urodził i dorastał.

– Dorastałem w okolicach San Diego. Co to ma za...

– Służy pan w wojsku od pięciu lat?

– Prawie od sześciu.

– Nigdy nie mieszkał pan w Seattle?

– Już pani mówiłem, że nie.

– Co pan robi na Bremerton?

– Jestem specjalistą logistykiem w CLF.

– Co to jest CLF?

– Centrum Logistyczne Floty.

– I co pan tam robi? Na czym polega pańska praca?

– Na pokładzie pracuję w ładowni. Jak stoimy w doku, pracuję w magazynie. Co to ma wspólnego z moim samochodem?

– Zamawia pan części, pilnuje stanu magazynowego, tego typu sprawy? – ciągnęła jakby nigdy nic.

– Zgadza się.

– Służył pan gdzieś za granicą?

Skinął głową.

– Byłem w Kuwejcie i w Iraku.

– Także w służbie magazynowej?

– Tak. A, i jeszcze w Afganistanie. Tam też byłem.

– Na jakim okręcie?

– Na USS *Stennis*.

– Co to za jednostka?

– Lotniskowiec. Lotniskowiec z napędem atomowym.

– Kiedy był pan w Afganistanie?

– Ostatnio? W dwa tysiące trzynastym. Jaki to wszystko ma związek z moim samochodem?

Tracy nie odpuszczała w nadziei, że Trejo całkiem się pogubi w swoim scenariuszu.

– A na Bliskim Wschodzie? Kiedy był pan tam ostatnio?

– Ostatni raz w dwa tysiące dwunastym.

– Od jak dawna stacjonuje pan w bazie na Bremerton?

– Od czterech miesięcy.

– A przedtem okręt gdzie był?

– W Tajlandii. – Spojrzał na Kinsa. – Znaleźliście mój samochód?

Mogę go odebrać?

– Znaleźliśmy pański samochód w Seattle, panie Trejo.

– Tego się już domyśliłem – rzucił ze złością. – Mogę po niego pojechać?

– Wie pan, jak to się stało, że trafił do Seattle? – spytała Tracy.

– Już mówiłem. Ktoś go musiał ukraść.

– Często zdarzają się tu kradzieże samochodów?

– Nie mam pojęcia. – Wzruszył ramionami. – Spytajcie na policji. To kiedy mogę odebrać samochód?

– Trochę to potrwa.

– Dlaczego? – W głosie Treja słyhać było wyraźne podenerwowanie. – Potrzebuję samochodu, żeby jeździć do pracy.

– Pański samochód uczestniczył w wypadku, po którym kierowca uciekł, panie Trejo. – Tracy wpatrywała się w niego w poszukiwaniu reakcji świadczącej o tym, że o tym wie, ale twarz mężczyzny pozostała doskonale obojętna.

– Kolizja z innym samochodem? Czy z człowiekiem? Jak mocno jest uszkodzony?

– Uderzył w przechodnia. W dwunastoletniego chłopca. Chłopiec zginął na miejscu.

Trejo wbił wzrok w podłogę i na chwilę zapadło milczenie. Tracy pomyślała, że to akurat zrozumiała reakcja.

– To straszne – bąknął w końcu i łyknął napoju.

– Jeszcze jedno pytanie, panie Trejo – powiedziała Tracy.

Opuścił rękę z puszką i Tracy odczekała, aż na nią spojrzy.

– Skąd to skaleczenie na czole?

## Rozdział 8

Skromny parterowy domek z cegły w dzielnicy Loyal Heights pasował wyglądem do innych budynków w sąsiedztwie. Opadający ku ulicy trawnik trwał jeszcze w zimowym śnie, nie wykazując śladów wiosennego przebudzenia, to samo dotyczyło rabatki kwiatowych. Robiło to przygnębiające wrażenie, jakby dom też przeżywał żałobę po Allie.

Samochód z tyłu lekko zatrąbił, Del zerknął w lusterko wsteczne i przepaszająco machnął ręką. Po obu stronach ulicy stały rzędy zaparkowanych pojazdów – w wielu tutejszych domach nie było garaży ani podjazdów – i prześwit między nimi był tak wąski, że na jezdni z trudem mieścił się jeden samochód. Del wpasował swoją zieloną impalę z 1965 roku w wolne miejsce przy krawężniku. Udało mu się zatrzymać ten samochód przy rozwodowym podziale majątku, choć była żona wyceniła go bardzo wysoko. Samochód należał kiedyś do ojca Dela i ten przekazał go synowi po swoim trzecim zawale, gdy wydział komunikacji odmówił mu przedłużenia prawa jazdy. Od tamtej pory Del jeździł impalą codziennie do pracy, na liczniku miała już niemal sześćset tysięcy kilometrów. Mimo to oryginalny silnik wciąż był na chodzie, a lakier nadal błyszczał w świetle ulicznych latarni. Del pilnował regularnych zmian oleju i filtra, w razie potrzeby wymieniał świece i klocki hamulcowe i raz do roku wszystkie płyny. Zapewniał znajomych, że bardziej dba o ten samochód niż o własne zdrowie. I wcale nie żartował. Gdy jego siostrzeńcy zaczęli grać w Małej Lidze, błagali go, by wziął ze swym samochodem udział w ulicznej paradzie; Del zgodził się i chłopcy byli zachwyceni.

Raz jeszcze popatrzył na dom siostry, ukryty za gałęziami dwóch wiekowych śliw, które rosły na kwadratach ziemi wydzielonych z chodnika. Lampa nad wejściem rzucała smutny żółtawy blask, jakby oznaczając dom symbolem biblijnej zarazy. Zimą w Seattle ciemności zapadają wcześniej i ciągną się do późnego ranka, ale mrok

spowijający dom nie miał nic wspólnego z porą roku czy godziną na zegarze.

Del wspomógł Maggie przy kupnie domu swoimi oszczędnościami, które były skromne, więc i dom należał do skromnych. Miał tylko dwie sypialnie na stu pięćdziesięciu metrach kwadratowych łącznej powierzchni użytkowej i dopiero Del zaadaptował widną piwnicę na pokój dla chłopców, jednojajowych bliźniaków. Nie sądził, by siostrzeńcy chcieli się przenieść na górę do pokoju Allie, który stał nietknięty i nieużywany od dnia, gdy Maggie znalazła w nim martwą córkę.

Zabrał brązową papierową torbę z siedzenia pasażera i ruszył ścieżką wyłożoną betonowymi płytami. Przymrozek srebrzył trawnik i liście rododendronów. Okno od ulicy było zasłonięte, ale brzegi zasłony rozświetlała szaroniebieska poświata. Gdyby zapukał do drzwi, telewizor zostałby natychmiast wyłączony, ale nie musiał tego robić. Drzwi wejściowe były zamykane na klucz tylko wtedy, gdy siostra szła spać, a ostatnio nawet to zaniedbywała, wbrew upomnieniom brata.

Del pchnął drzwi i siostrzeńcy zerwali się z kanapy jak wystraszone wiewiórki. Jeden z nich chwycił nawet pilota, ale było już za późno. Del nakrył ich na oglądaniu powtórki *Seinfelda*. Sam był temu winien, bo przekonał chłopców do przygód Jerry'ego, George'a, Elaine i Kramera, kiedy przez tydzień mieszkał u siostry podczas jej wyjazdu na ślub przyjaciółki.

– Lekcje odrobione? – rzucił groźnym tonem.

– Zrobiliśmy tylko krótką przerwę – powiedział Stevie. W jego głosie i postawie dało się wyczuć podenerwowanie.

Na podłodze przy wejściu leżała poczta wciśnięta przez listonosza w szparę w drzwiach; nieruszone gazety były rozrzucone na stoliku wśród misek po zupie, kubków, skarpetek i butów. Del wpadał do siostry przed wieczorną zmianą, ale z powodu rosnącej liczby zabójstw wygospodarowanie ekstra czasu stawało się coraz trudniejsze.

– Oho! – Wypatrzył pustą torbę po czipsach i słoik salsy wśród stosu gazet i czasopism na stoliku. – Zjedliście kolację?

– Nie – odparł Mark. – Mama śpi... Chyba.

Del spojrział w głąb ciemnego korytarzyka.

- Rozmawialiście dziś z tatą?
- Nie – odpowiedzieli zgodnym chórem.

Nie było w tym nic dziwnego. Ich ojciec pracował w firmie ubezpieczeniowej w Los Angeles, gdzie zresztą poznał swoją młodą drugą żonę. Przyjechał na pogrzeb Allie, obciążył Maggie winą za jej śmierć i następnego dnia wyjechał. I jego szczęście, bo inaczej Del odeskortowałyby go do Los Angeles z butem wbitym w bardzo niewygodne miejsce.

Pochylił się i zebrał z podłogi pocztę.

- Nie mogliście podnieść listów, chłopaki?
- Nie widzieliśmy – odrzekł Mark. Często wypowiadali się w liczbie mnogiej.

– Może trzeba kupić wam okulary – mruknął Del i popatrzył na dwa plecaki ciśnięte na podłogę przy drzwiach, tuż obok czterech tenisówek i dwóch kurtek. – Bo plecaków i swoich rzeczy też nie widzicie.

Nic nie odpowiedzieli, co u dziewięcioletnich chłopców jest zawsze równoznaczne z przyznaniem się do winy; inaczej potrafią błyskawicznie wymyślać wytłumaczenie. Del przejrzał pocztę i zobaczył list z adresem Allie Marcello w przejrzystym okienku koperty. Podejrzewał, że w środku jest ostatni czek za jej pracę w kawiarni, ale nie chciał tego teraz oglądać. Nie chciał też, by widziała to siostra.

Czując nabiegające do oczu łzy, zwrócił się do chłopców:

- Dobra, chodźcie do kuchni. Przyniosłem burrito.

Chłopcy zerwali się z kanapy i pobiegli za nim jak psiaki wołane do miski z jedzeniem. Zapalił światło w kuchni. Stół i zlewozmywak były zavalone stertą garnków, patelni, talerzy i szklanek z wetkniętymi w nie sztućcami. Drzwi szafek były pootwierane, na podłodze leżała ścierka. Dołożył listy do kupki, którą zostawił na blacie poprzedniego dnia. Wszystkie były wciąż nieotwarte. Jego listy zakupów też najwyraźniej nikt nie tknął.

- Znajdź jakieś czyste talerze, Stevie – zarządził.

Otworzył lodówkę i znalazł w środku tylko słoiki z sosami i resztkę spaghetti, które przyrządził dwa dni temu. Jeśli nie uda mu się wyciągnąć siostry z jej pokoju, będzie musiał znowu wybrać się na zakupy.

– Nie ma żadnych – oświadczył Stevie, zaglądając do pustej szafki.  
Del zajrzał do zmywarki.

– Mówiłem wam wczoraj, żebyście ją opróżnili.

– Zapomnieliśmy – bąknął Mark.

– Pewnie to odrabianie lekcji tak wam obciążęło pamięć.

Zdziwiony Mark wytrzeszczył oczy.

– Odrabianie lekcji może obciążyć pamięć?

– Wszystko może. – Del wyjął czyste talerze ze zmywarki i wręczył chłopcom. – Chcecie sztucę?

– A po co? – rzucił Stevie.

– Dobra, nieważne.

Chłopcy przenieśli talerze na stół kuchenny i z hurgotem odsunęli krzesła. Mark sięgnął po niedopitą butelkę dietetycznej coli i zabrał się do odkręcania nakrętki.

– Nie dla was – mruknął Del.

Mark spojrzał na niego tak zbolałym wzrokiem, jakby wujek pozbawiał go jego konstytucyjnych praw.

– To czym mamy popijać? – spytał.

– Mlekiem.

– Nie mamy mleka.

Del położył torbę na blacie i wyjął z niej karton mleka. Powinien był kupić dwa. A może lepiej całą krowę, zważywszy, jak szybko ci dwaj potrafią opróżnić karton.

– Super! – Stevie wyciągnął rękę. – Tylko nie każ mi czekać, wujku!

Del przybił mu piątkę. Mark nie mógł być gorszy i wyciągnął rękę z dłonią zwiniętą w pięść.

– Do dzieła, wujku D.

Del stuknął w nią pięścią i napełnił szklanki. Chłopcy niemal jednym haustem je opróżnili. Mark beknął i Stevie natychmiast spróbował go przebić jeszcze głośniejszym beknieniem.

– A może by tak „Przepraszam”, co?

– Za co? A co, pierdnąłeś? – rzucił Mark i bracia parsknęli śmiechem.

– Nieźli z was komicy – powiedział Del i podał im po burrito z kurczakiem. Rozwinęli je z folii i rzucili się na nie tak, jakby cały dzień nie mieli nic w ustach. – Zostawiłem wam forszę na lunch. Jedliście coś?



– Aha – wymamrotał Stevie ustami pełnymi ryżu i fasoli.  
– Co?  
– Pizzę.  
– A kiedy ostatni raz jedliście jakieś warzywa?  
– Nie pamiętam – mruknął Mark.  
– Ja zjadłem w szkole krojone jabłko – przypomniał sobie Stevie.  
– Chociaż tyle. Po jedzeniu pokażecie mi swoje zeszyty. Chcę zobaczyć, co macie zadane.

– Nic nie mamy – bąknął Stevie.

Del uniósł brwi.

– Zdawało mi się, że zrobiliście sobie tylko przerwę w odrabianiu lekcji, nie?

Stevie zerknął na Marka, a ten posłał bratu spojrzenie z uniwersalnym przesłaniem: „Zamknij się, ty idioto!”.

– Nigdy nie próbujcie okłamywać detektywa – poradził im Del, potargał obu włosy i wyszedł z kuchni, zapalając po drodze światło w przedpokoju. Minął wciąż zamknięte na głucho drzwi pokoju Allie i dwukrotnie zapukał do sypialni Maggie. W szparze pod drzwiami migotały kolorowe błyski od telewizora. Del nacisnęła klamkę.

Maggie siedziała na poślanym łóżku w spodniach od pizamy i szlafroku. Światło było zgaszone; pokój wypełniała niebieskoszara poświata od telewizora.

– Nie słyszałam, jak przyszedłeś – powiedziała, chowając pod siebie nagie stopy i nieporadnie próbując poprawić włosy. Wyglądała jak ktoś złożony od tygodnia grypą, kto w tym czasie nie miał okazji wejść pod prysznic.

– Wstałaś dziś z łóżka, Maggie?

– Aha – rzuciła odrobinę zbyt skwapliwie. – Wyszłam... wychodziłam z domu. Położyłam się dopiero godzinę temu.

– I gdzie byłaś?

– Załatwiałam sprawy.

– Zrobiłaś zakupy, tak jak cię prosiłem?

– Taaa, kupiłam parę rzeczy.

Del podszedł do okna i je uchylił. W pokoju wisiała ciężka woń jak w szafie z rzeczami staruszki. Zapalił lampę po drugiej stronie łóżka.

– Bo lista zakupów wciąż leży na kuchennym blacie.

– Zapomniałam ją wziąć.

- Samochód stoi dokładnie w tym samym miejscu co wczoraj.
- Postawiłam go tam po powrocie. Miejsce było wolne.

Del poprzedniego dnia zrobił kredą kreskę na przedniej oponie. Kreska była nadal w tym samym miejscu. Nigdy nie próbuj okłamywać detektywa.

– Dzwoniłaś do terapeuty? – Wskazał karteczkę na jej zawalonym drobiazgami stoliku nocnym. – Dałem ci na niego namiary.

Spojrzała na nią tak, jakby widziała ją po raz pierwszy w życiu.

– Ooo... hm... nie. Zajęłam się czymś innym i wyleciało mi z głowy.

– Jak jutro nie zadzwonisz, to sam cię z nim umówię.

– Nie musisz, zadzwonię i umówię się.

– Jutro. Bo jak nie, to dzwonię.

Maggie westchnęła i odwróciła głowę.

Del podniósł jej rzeczy z podłogi i złożył na krześle w rogu pokoju.

– Maggie, wciąż masz dwóch synów, którym potrzebna jest matka. W domu nie ma nic do jedzenia. Nie zmienili ubrań od wczoraj i nie odrabiają lekcji.

Wytarła łzy rękawkiem prześcieradła i przytknęła je do piersi.

– To tak strasznie boli, Del – jęknęła. – Cały czas boli.

Przełknął łzy.

– Wiem – powiedział. – Ale chłopcy potrzebują matki, Maggie. Teraz nawet bardziej niż przedtem.

– Allie też mnie potrzebowała. A mnie przy niej nie było. – Zaczęła głośno płakać.

– Zrobiłaś dla niej wszystko, co mogłaś. To nie twoja wina.

– Byłam jej matką – szepnęła. Łzy ciekły jej po policzkach, ciałem wstrząsał bolesny szloch.

Del podszedł i objął ją ramieniem.

– To heroina zabiła Allie. Heroina i ci, którzy jej ją dostarczyli, nie ty. – Usiadł obok siostry na łóżku i przez długą chwilę oboje milczeli. W końcu, czując wzbierający w nim gniew, wstał. – Przyniosłem burrito. Chodź i zjedz z chłopcami.

– Nie jestem głodna.

– Kiedy ostatnio jadłaś?

– Dziś rano. Wypiłam kawę.

– Kawa to nie jedzenie. Musisz jeść.

– Nie mogę. Od jedzenia robi mi się niedobrze.

- To przynajmniej wstań i usiądź z nimi.
- Wstanę. Jutro wstanę.
- Del postanowił odpuścić.
- A co z pracą?
- Jestem na urlopie okolicznościowym. Mam jeszcze dwa tygodnie.
- Dobra, a co potem?
- Potem wrócę do pracy.
- Myślisz, że będziesz mogła tak po prostu?
- Nie wiem. – Westchnęła.
- Nikt nie chce przechodzić nad tym dalej, Maggie, ale nie mamy wyboru. Ja też muszę pracować. Faz nie może mnie wiecznie kryć.

– Co więcej mogłam zrobić, Del? – jęknęła. – Co więcej powinnam była zrobić?

Zadawała mu to pytanie już od ponad tygodnia, a on za każdym razem tak samo na nie odpowiadał.

- Zrobiłaś wszystko, co było do zrobienia, Maggie.
- To dlaczego ona nie żyje?

Przypomniał sobie rozmowę z Celią McDaniel. Co Maggie by dała, aby córka mogła żyć? Wszystko i jeszcze trochę.

Gdy okazało się, że Allie bierze, rodzina próbowała się włączyć, ale dziewczyna uciekła z odwyku. Starali się ją wysłać na przymusowe leczenie na oddziale psychiatrycznym, ale też się wywinęła, a gdy próbowali ją do tego zmusić, okazało się, że nie mogą tego zrobić wbrew jej woli, bo zgodnie z prawem stanu Waszyngton nastolatki mogą odmówić leczenia, chyba że psychiatra uzna, że stanowią zagrożenie dla siebie lub innych. Najwyraźniej przedawkowania heroiny nie uznawano za wystarczające zagrożenie. Allie przedawkowała po raz drugi i niedługo potem po raz trzeci. Pielęgniarze przywieźli ją do domu, ustabilizowali stan i zostawili w pokoju, bo nie mieli dokąd jej zawieźć. Na przyjęcie do zakładów leczniczych czekała długa kolejka pacjentów. Maggie zadzwoniła wtedy do Dela z prośbą, by aresztowali Allie, ale prawo stanu Waszyngton na to nie pozwala. A poza tym, gdyby nawet ją aresztowano, to po paru godzinach zostałaby wypuszczona. Jak wynikało ze słów Celi McDaniel, nie da się rozwiązać tego problemu metodami czysto policyjnymi.

A potem nagle i niespodziewanie któregoś ranka Allie weszła do domu po trzydniowej nieobecności; wyglądała – jak określiła Maggie – jak trzy ćwierci do śmierci. Była tak wychudzona, że ubranie wisiało na niej jak na drucianym wieszaku. Oczy miała podkrążone, ramiona pokłute niczym poduszczyka na szpilki. Oznajmiła matce, że ma tego dość i że nie chce umierać. I zaczęła błagać o pomoc. Del i Maggie wyskrobali resztę zaskórniaków na opłacenie jej pobytu w ośrodku na wschodzie stanu. Ośrodek nie był tani, Del musiał nawet zaciągnąć kredyt pod swoją emeryturę, ale zrobiłby to bez wahania jeszcze raz i jeszcze raz. Myśląc o tym, przypomniał sobie słowa McDaniel.

Odcięli Allie od jej ćpających przyjaciół i znajomych i znanych jej miejsc zakupu dragów. Mimo zażywania leków na złagodzenie głodu narkotycznego dziewczyna bez wątpienia przeżyła wtedy piekło, fizyczne i psychiczne. W dniu wypuszczenia jej z ośrodka prowadzący ją konsultant oświadczył Delowi i Maggie: „Porzucenie nadziei jest niemal tak niebezpieczne jak narkotyki. Narkomani czują nienawiść do samych siebie. Dochodzą do wniosku, że są nic niewarci. Allie bardzo się boi, że może wrócić do brania, a to może osłabić jej wolę”.

Gdy przywieźli ją do domu, wyglądała już lepiej, była tylko bardzo wystraszona. Przybrała na wadze, cienie pod oczami zniknęły i zaczynała przypominać dawną Allie – radosną, zabawną i dowcipną nastolatkę. Z błyskiem w oczach mówiła o skończeniu liceum i pójściu jesienią na Uniwersytet Gonzagi w Spokane. Del załatwił jej pracę w kawiarni, a ona zaczęła chodzić na spotkania AA. Maggie jej w tym towarzyszyła, Del zostawał z bliźniakami. Za którymś razem poszedł z siostrzenicą i upewnił się w czymś, co już wiedział: że jest dobrym dzieckiem z dobrej rodziny, ale musi walczyć o swój los, prowadząc codzienną walkę na śmierć i życie. I tę walkę ostatecznie przegrała. Boże święty, jak mogło dojść do czegoś tak strasznego u kogoś tak młodego?

Nie potrafiła się wyzwolić. Gdzieś na krawędzi świadomości wciąż pojawiała się kwestia brania, a szatan nie przestawał szukać najmniejszej choćby szczeliny w jej gardzie obronnej, by wcisnąć się i zacząć ją kusić. Kuszenie przybierało różne formy i atakowało z różnych stron: od przyjaciół narkomanów po dostawców dragów, którym zależało tylko na zarobku i których nie obchodziło, kto przepłaci to życiem.

Ale obchodziło to Dela.

Zabili niewłaściwą dziewczynę.

– Jeśli mam poznać prawdę o Allie, muszę wejść do jej pokoju – powiedział.

Po policzkach Maggie nadal ciekły łzy. Znow otarła je prześcieradłem. Pokój Allie pozostawał nietknięty od chwili, gdy znalazła ją tamtego ranka, łącznie ze strzykawką i rozrzuconymi ubraniami na podłodze, niedopitą puszką coli na toaletce, plakatami na ścianach i niedokończonym zadaniem domowym na biurku.

– Muszę się włamać do jej smartfona i komputera. Muszę wiedzieć, z kim rozmawiała, żeby ustalić, co się stało. Dowiedzieć się, kto jest temu winien. Już czas, Maggie.

– Nie dam rady tam wejść.

– Nie musisz. Sam to zrobię. Pójście do przodu nie oznacza zapominania o przeszłości. Pójście do przodu oznacza, że chce się coś zrobić w sprawie przeszłości. Pozwól mi pójść do przodu, Maggie. Pozwól mi zrobić to, co do mnie należy.

## Rozdział 9

Tracy i Kins nie zdążyli na prom odpływający o dziewiętnastej pięćdziesiąt pięć i stali teraz w krótkiej kolejce do rejsu o dwudziestej pierwszej pięć. A właściwie nie tyle oni, ile ich samochód. Było za zimno, by siedzieć w zaparkowanym aucie, choć właściwie nie to skłoniło Tracy do przeniesienia się do baru po drugiej stronie ulicy. Miała rozstrój żołądka i od powrotu do samochodu po rozmowie z Trejem odczuwała nagłe uderzenia gorąca. Doktor Kramer uprzedził ją, że oba te objawy mogą towarzyszyć zażywaniu clomidu. Poszła do toalety, spryskała sobie twarz wodą i kilkakrotnie szybko odetchnęła, czując, że zbiera jej się na wymioty.

Gdy nudności minęły, wróciła do stolika. Ściany i sufit restauracji były pomalowane na morskie kolory zieleni i błękitu i udekorowane pamiątkami nawiązującymi do drużyn Mariners i Seattle Sounders. W ten wtorkowy wieczór gości było niewiele i w lokalu panowała senna atmosfera. Kins siedział przy stoliku zagapiony w jeden z płaskoekranowych telewizorów. Albo był nieświadomy tego, że Tracy przepadła w toalecie na czas wystarczający do napisania *Wojny i pokoju*, albo nie chciał o nic pytać w obawie, że jej długa nieobecność mogła się wiązać ze „sprawami kobiecymi”. Telewizor był nastawiony na kanał ESPN, na którym nadawano powtórkę przedsezonowego meczu baseballowego Mariners i rezultat nie miał większego znaczenia. Dan robił dokładnie to samo: z zacięciem oglądał nagrane mecze, nawet jeśli znał już wynik.

Gdy usiadła, Kins podniósł na nią wzrok.

– Chcesz na spółę porcję frytek? – zapytał.

Z trudem opanowała beknięcie.

– Zdawało mi się, że starasz się zrzucić trochę wagi przed operacją.

– Postanowiłem, że jeśli mam odejść, to odejdę w pełni chwały.

– Głupek – burknęła. – Mam nadzieję, że nie pleciesz takich bzdur przy Shannah.

Kins zamówił kawę, Tracy poprosiła o napój imbirowy, ale okazało się, że jest tylko sprite.

Zaczęli rozmawiać o Treju.

– Facet kłamie – stwierdził Kins, chyba już po raz trzeci od wyjścia od Treja, i upił łyk kawy. – I wie, że my wiemy, że on kłamie.

– A my wiemy, że on wie, że my wiemy, że on kłamie – dodała Tracy, przekrzykując dwóch głośnych facetów przy barze.

– Brzmi to jak rozmowa Abbotta z Costellem.

– Tyle że nie bardzo wiem, w jakiej sprawie.

– Jak możemy go przyskrzynić?

– Linia promowa ma monitoring w obu terminalach. Nagrywają samochody wjeżdżające na prom i zjeżdżające z niego. Jeśli popłynął wczoraj do Seattle, jego subaru powinno być na nagraniu. – Upiła łyk sprite'a i złożyła ręce na brzuchu.

– Niekoniecznie płynął promem – zauważył Kins. – Mógł pojechać okrężną drogą mostem nad Tacoma Narrows i przez Tacomeę.

– Jeśli tak zrobił, to też o czymś świadczy.

– Że nie chciał zostać nagrany?

– Może.

– Na moście też są kamery – powiedział Kins. – Kiedyś dostałem mandat za niezapłacenie za przejazd. Nie zdawałem sobie sprawy, że jadę pasem zarezerwowanym dla samochodów z większą liczbą pasażerów. Po paru dniach przyszedł pocztą mandat wraz ze zdjęciem z moim numerem rejestracyjnym.

Tracy przetała stół serwetką.

– To kamery ruchu drogowego – rzuciła.

– Ale stanowa drogówka ma dostęp do ich nagrań. – Kins odstawił filiżankę.

– Tylko co można rozpoznać na takim nagraniu? Pewnie tablice rejestracyjne. Może markę samochodu – zastanowiła się głośno Tracy. – Myślisz, że widać na nim twarz kierowcy? Trejo mówi, że samochód został skradziony, więc takie nagranie tylko potwierdzi jego wersję.

– Może, ale powinniśmy naszym ludziom od nagrań kazać skontaktować się z drogówką i zobaczyć, co im się uda wygrzebać. Może znajdą nagranie tego samochodu. Trejo twierdzi, że tego dnia był w pracy i skończył około piątej. To by znacznie zawężyło przedział

czasowy, w którym mógł albo wjechać na prom, albo przejechać przez most.

– Dobrze, zajmij się tym – zgodziła się, zdejmując płaszcz. – Tylko pamiętaj, że jeśli nawet znajdziesz nagranie, będzie na nim tylko samochód, nic więcej. A nas interesuje, kto siedział za kierownicą.

– Możemy tego dowieść badaniem DNA.

– Ślady DNA Treja będą wszędzie w tym samochodzie. Był jego właścicielem i nim jeździł. Ale kluczowe może być jego DNA na poduszce powietrznej.

– Lub jeśli w samochodzie są ślady krwi – zauważył Kins. – Będzie mu dużo trudniej wyjaśnić, skąd się tam wzięły, niż to skaleczenie na czole, które, jak twierdzi, pochodzi od uderzenia w szafkę kuchenną. – Kins zamilkł na chwilę, po czym dodał: – Czy kiedy ktoś wstępuje do wojska, nie robią mu obowiązkowego testu DNA?

– Tylko do celów identyfikacyjnych. I można go wykorzystać tylko wówczas, gdy żołnierz ginie w akcji. Nie wolno go używać w sprawie karnej.

– Wiesz, że tak jest, czy tylko tak sądzisz? – spytał.

– Przerobiłam to z NCIS w tej sprawie, o której ci opowiadałam. Nie można wyników tych testów wykorzystywać do udowodnienia odpowiedzialności karnej. Jeśli chcesz się posłużyć DNA podejrzanego, musisz mu zrobić oddzielny test.

– Na który Trejo może nie wyrazić zgody.

– Może nie mieć wyboru – powiedziała. – Z tego, co pamiętam, w marynarce wojennej są dwie procedury: dobrowolna i przymusowa. Jeśli zbierzemy wystarczająco dużo poszlak, marynarka może go zmusić do dania próbki DNA. – Tracy sprawdziła czas na komórce. Mieli jeszcze pół godziny do odpłynięcia promu. Czują, że zbliża się następne uderzenie gorąca. – Trzeba też poprosić Jensena, żeby poszukał tej skrytki na kluczyk pod tylnym zderzakiem.

– Mogło go tam nigdy nie być – mruknął Kins.

– Nie sądzę, żeby był – potwierdziła, sącząc swój napój. – Ale jeśli to on prowadził, to jak wrócił na Bremerton bez samochodu?

– I jak znalazł miejsce na ukrycie samochodu – dodał Kins. – Ten plac ze złomem za domem nie rzuca się w oczy, a facet podobno pochodzi z San Diego. Trzeba by sprawdzić, skąd jest jego żona. Może zna tę okolicę i to ona pomogła mu ukryć samochód.



– I jak wrócili do domu? – powtórzyła Tracy. – Mają tylko ten jeden samochód.

– Mogła od kogoś pożyczyć i przyjechać po niego.

– Mogła, ale to by wprowadzało do gry jeszcze jednego świadka i jeszcze jeden samochód. – Znów sprawdziła godzinę.

– Powinniśmy przynajmniej popytać.

– Zgoda. – Zadzwoiła jej komórka i Tracy zerknęła na wyświetlacz. – To Jensen – powiedziała, po czym rzuciła do telefonu: – Masz dobre wiadomości, tak? – Przez chwilę słuchała. – Dobra, będziemy. – Rozłączyła się i zwróciła do swojego partnera: – Wkrótce będziemy mieli jasność co do DNA. Dostali nakaz przeszukania samochodu i zajmą się tym jutro z samego rana.

## Rozdział 10

Del wyjął papierowy kubek z kawą z automatu i wrócił z nim do poczekalni w biurze koronera okręgu King przy Jefferson Street.

– O której się położyłeś? – spytał go Faz.

Była środa rano i Del odczuwał efekty kolejnej nieprzespanej nocy. Po wyjściu z pracy pojechał do siostry, dotarł na miejsce trochę po wpół do pierwszej i za piętnaście druga jeszcze nie spał; pamiętał, że odczytał tę godzinę na telefonie komórkowym. O szóstej rano wstał, przygotował chłopców do szkoły, odwiózł ich, po czym wyruszył do centrum. Poprzedniego dnia zadzwonili do niego z Centrum Medycyny Sądowej, że mają gotowy raport toksykologiczny Allie.

Był nieco otumaniały z powodu braku snu i czuł się trochę tak jak wtedy, gdy w młodości wspinał się na Mount Rainier i dopadła go choroba wysokościowa: zawroty głowy i lekkie zachwiania równowagi. Teraz w jego stawach odłożyło się zmęczenie i zamierzało w nich pozostać.

– Za późno się położyłem i za wcześnie wstałem – odparł. Potrząsnął nadgarstkiem, by zluzować złoty łańcuszek otrzymany w szczęśliwszych latach małżeństwa w prezencie od swojej byłej. Ceny złota tak ostatnio wzrosły, że często trzymał więcej pieniędzy na nadgarstku niż na swoim koncie w banku. – Nakarmiłem chłopaków i odwiozłem ich do szkoły, ale dom jest jak po wybuchu bomby i nie ma w nim nic do jedzenia. Siostra jest w fatalnym stanie. – Westchnął ciężko. – Nie bardzo wiem, co mam z tym fantem zrobić.

– Dałeś jej nazwisko tego terapeuty?

– Sam do niego zadzwoniłem i umówiłem ją na wizytę, ale zmobilizowanie jej, by poszła, to już zupełnie inna sprawa. Oboje wiemy, że nie mogę jej zmusić.

– Jak chłopcy sobie radzą?

Del wzruszył ramionami.

– Wracają ze szkoły, siadają na kanapie, jedzą chipsy z salsą i oglądają telewizję. Lekcji nie odrabiają.

– Chodzą przynajmniej do szkoły?

– Zawożę ich, ale nie wiem, kto po trzeciej po południu ma na nich oko. Wkrótce zacznie się sezon Małej Ligi. Muszę ich zapisać i w przyszły weekend zawieźć na sprawdzian.

– Powinieneś ich potrenować.

– No, to by dopiero był widok – prychnął Del. – Ja w portkach baseballowych!

– Byłeś kiedyś dobry w te klocki. Bóg mi świadkiem, że byłbyś lepszy od wielu dwudziestoparoletnich tatusiów, którym się zdaje, że ich dziewięciolatki za chwilę trafią do Wielkiej Ligi.

Del rzeczywiście był dobrym chwytaczem z dynamitem w ręce, ale nie miał syna, którego mógłby uczyć.

– Mam co robić – mruknął i łyknął cierpkiej kawy. – Myślę o przeprowadzce do siostry. Mogę tam nadal spać na kanapie.

– Ty na kanapie? Wyglądałbyś jeszcze śmieszniej niż w portkach do baseballu.

– Tylko na parę tygodni. Póki siostra nie stanie znów na nogi.

– Dlaczego nie weźmiesz urlopu, Del? Bierzesz sobie za dużo na głowę. Wyślij siostrę na terapię i wszystko ułóż. A ja się zajmę tą sprawą.

Del wstał z miejsca.

– Wiesz przecież, że najlepiej robi mi praca. Muszę coś robić, bo inaczej zwariuję.

– Formalnie nie powinieneś się w ogóle tym zajmować. To moja działka. Ty masz się tylko przyglądać, pamiętasz? Taka była umowa.

– Nie musisz mi przypominać. Rozumiem zasady. – Del znowu łyknął kawy. – Przekonałem ją wczoraj, żeby mnie wpuściła do pokoju Allie.

Faz uniósł brwi.

– I masz telefon Allie?

Del kiwnął głową.

– I jej komputer. Tylko że nikt w domu nie zna jej haseł. Rano podrzuciłem telefon i komputer do TESU<sup>3</sup>. Przy składaniu ich podałem twoje nazwisko, więc jesteście kryci. Rozbebeszą je i po skończeniu

prześlą wszystko do Mike'a. – Miał na myśli Michaela Meltona z Laboratorium Kryminalistycznego Policji Stanu Waszyngton.

– Dlaczego do niego?

– Bo jemu ufam.

– Chcesz sam zajrzeć do kontaktów Allie, prawda?

– To moja siostrzenica.

Faz skrzywił się.

– I właśnie dlatego nie powinienes. Sprawę kontaktów zostaw mnie.

Del zerknął na zegarek, ale nie odpowiedział.

– Dostaniesz wykaz jej kontaktów telefonicznych? – spytał Faz.

– Zajmuję się tym.

– Coś jeszcze było w jej pokoju?

Delowi znów stanął przed oczami moment, gdy siostra przekręciła klucz w drzwiach pokoju Allie. Odczekali, aż Stevie i Mark pojedą do szkoły. Siostra odmówiła wejścia do środka, nie chciała nawet sama otworzyć drzwi. Przekręciła tylko klucz i wróciła do siebie. Del wszedł, czując się tak, jakby wkraczał do kapsuły czasu. Jak zawsze kiedy wkraczał do pomieszczenia z trupem w środku. Wszystko było tak, jak Allie zostawiła, łącznie ze strzykawką i łyżeczką do topienia heroiny, która ją zabiła, zapalniczką BIC i plastikową torebkę. Zebrał to, co konieczne, i przesłał do pracowni toksykologicznej w laboratorium. Specjaliści z policji Seattle mieli sprawdzić torebkę na obecność odcisków palców. W pokoju były osobiste rzeczy Allie – jej bielizna i koszulki rozrzucone po podłodze, wypchane zwierzaki, plakaty. Usiadł na krawędzi łóżka siostrzenicy i rozpłakał się.

Teraz pokręcił głową.

– Bycie w tym pokoju ze świadomością, że jej tam nie ma i już nigdy nie będzie, złamało mi serce. Trzymałem to maleństwo na dłoni, kiedy się urodziła. Spędzaliśmy razem wszystkie jej urodziny i wakacje. – Potrząsnął głową, jakby chciał pozbyć się wspomnień. – Tak dobrze się zapowiadała. Mogła osiągnąć wszystko, co chciała.

– Wpadła w uzależnienie, Del – odezwał się cicho Faz. – A nałóg nie wybiera.

– To prawda. Ten szajs też tam leżał, na toalecie tuż pod plakatami Shanii Twain i Justina Biebera. – Przygryzł dolną wargę, a potem

wybuchnął: – Nie rozumiem tego, Faz. Jak ktoś może przemienić się z niewinnej istoty w potwora wstrzykującego sobie ten szajs do żyły. To piekło na ziemi. Tak powiedział jej terapeuta. Dosłownie, piekło na ziemi.

– Nie wiem, Del. Też tego nie rozumiem.

Koroner okręgowy Stuart Funk wpadł do poczekalni z rozwichrzoną czupryną, jak ktoś w ferworze gonitwy za zaginionym dzieckiem. Zawsze tak się zachowywał. Jak zwykle miał na sobie koszulę z długimi rękawami, spodnie khaki i buty na grubych podeszwach, które Faz nazywał buciorami Frankensteinia.

– Przepraszam za spóźnienie – rzucił Funk. – Mieliśmy wczoraj dwa przedawkowania.

– Jednocześnie? – spytał Del. – W jednym miejscu?

– W jednym miejscu – potwierdził Funk.

Dwie ofiary przedawkowania w jednym miejscu wskazywały albo na bardzo mocny narkotyk, albo na domieszkę jakiejś trucizny, która czyniła z niego śmiertcionośną mieszaninę.

– Heroina? – Del czuł, jak jego przytłumiony umysł nagle ożywa.

– Tak – powiedział Funk i pokręcił głową. – To dziewiąte i dziesiąte przedawkowanie w tym tygodniu. I tylko jeden delikwent przeżył.

– Gdzie? Gdzie znaleziono wczoraj te dwa ciała?

– W północnym Seattle.

Del popatrzył na partnera.

– Ile lat miały ofiary? – spytał.

– Po dwadzieścia parę – odparł Funk i spojrzał na zegarek. – Chodźcie.

Poszli korytarzem do jego zagraconego gabinetu. Na biurku leżały stosy papierów, a wśród nich stały filiżanka z niedopitą kawą i brązowa torba z kanapkami. Gabinet pasował do Funka, który zawsze sprawiał dość niechlujne wrażenie – włosy rozczochrane, szkła wielkich okularów brudne, koszula nie do końca wetknięta w spodnie – nie ulegało jednak wątpliwości, że Funk jest bardzo kompetentny w swoim zawodzie. Natychmiast wyłowił kartkę z bałaganu na biurku i podał Delowi.

– To wyniki badania toksykologicznego – powiedział.

– Dzięki za szybką akcję – rzucił Del.

Badania wykonywane były w obsługującej cały stan pracowni toksykologicznej Laboratorium Kryminalistycznego Policji Stanu Waszyngton, co tłumaczyło, dlaczego na wyniki czekało się zwykle od sześciu do ośmiu tygodni, a w związku z niedawną falą śmiertelnych zatruć należało się nawet liczyć z jeszcze dłuższym oczekiwaniem. Funk z szacunku dla Dela musiał pociągnąć za jakieś sznurki.

Zaczął od razu mówić, ale najwyraźniej uzmysłowił sobie, że nie chodzi o jedną ze zwykłych ofiar, bo w pół słowa przerwał i spytał:

– Chcesz tego słuchać?

– Tak, chcę – odparł Del i widząc, że Faz mu się przypatruje, dodał:  
– Wszystko w porządku. Dobrze się czuję.

Funk zaczerpnął powietrza.

– Testy wykonano na próbkach krwi, wątroby i moczu – oznajmił. – Daj mi znać, jeśli będę mówił coś, co już wiesz.

– Wszystko w porządku – powtórzył Del, choć w żołądku tak go paliło, jakby rozpętał się w nim pożar.

Funk poprawił okulary.

– No więc tak. Wstrzyknięta heroina szybko przetwarza się w 6-monoacetylmorfinę, zwaną w skrócie 6-MAM, oraz w jej pierwotny składnik, morfinę. 6-MAM jest dużo mocniejsza od morfiny, a ponieważ zostaje wstrzyknięta do żyły, niemal natychmiast oddziałuje na mózg. Problem w tym, że obecność 6-MAM niełatwo jest wykryć. Jej obecność we krwi można stwierdzić tylko przez jakieś dwie minuty po wstrzyknięciu. Po upływie dziesięciu do piętnastu minut pozostają jedynie śladowe ilości, poniżej dziesięciu nanogramów na mililitr krwi.

– Tu jest napisane dwadzieścia dwa nanogramy – zauważył Faz, studiując raport Funka.

– Co dowodzi jednej z dwóch rzeczy. – Funk przeniósł wzrok na Dela. – Albo działka zażyta przez twoją siostrzenicę była niezwykle mocna, czyli 6-MAM też było mocne i pobudziło substancje utajone, albo twoja siostrzenica umarła zaraz po wstrzyknięciu, co spowodowałoby spowolnienie, a w końcowym efekcie wstrzymanie procesu metabolicznego, który rozkłada 6-MAM.

– Nie wiem, kiedy umarła – powiedział Del. – Siostra znalazła ją dopiero rano. Nic więcej na ten temat nie wiem. Znajoma prokurator

powiedziała, że mogła umrzeć dlatego, że wstrzyknęła sobie dawkę, jaką stosowała przed pójściem na detoks.

– To bardzo prawdopodobne – potwierdził Funk.

– Ale mówisz, że mogła to też być wyjątkowo mocna heroina, tak?

– Biorąc pod uwagę liczbę przedawkowań, z jaką mamy ostatnio do czynienia, w tym te dwa z tej nocy, powiedziałbym, że to bardzo możliwe.

– Gdzie dokładnie w północnym Seattle znaleziono te dwie ostatnie ofiary? – spytał Del.

– Nad Green Lake – odparł Funk.

Del popatrzył na partnera.

– To blisko Loyal Heights – zauważył.

– Parę minut drogi – potwierdził Faz.

– A te inne przypadki? – dopytywał się dalej Del.

– Musiałbym sprawdzić. Pamiętam, że jeden był na Capitol Hill, jeden w Dzielnicy Centralnej. Obie ofiary były starsze, pod trzydziestkę.

– Przeprowadziliście ich sekcję?

– Tak. Ale trochę potrwa, zanim dostaniemy raporty toksykologiczne.

– A te dwa przypadki z wczoraj? – spytał Del.

– To samo. Sądząc po znalezionych śladach piany, powiedziałbym, że na dziewięćdziesiąt procent była to heroina.

Del wiedział, że heroina działa tłumiąco na układ oddechowy i powoduje spowolnienie pracy mózgu. Ślady piany pojawiają się w okolicach nosa i ust ofiary i wynikają z mieszania się w płucach płynu z obrzęku z powietrzem, w miarę jak oddech i serce zwalniają.

Funk westchnął i przez chwilę się zastanawiał.

– Ale jeśli chodzi o ofiary z ubiegłej nocy... – odezwał się w końcu – jesteśmy teraz zarobieni po uszy i to na pewno trochę potrwa.

Del sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął torebeczkę czegoś przypominającego wyglądem cukier.

– Wiem, że jesteś zajęty, i doceniam wszystko, co dla mnie robisz. Jest mi bardzo trudno, ale muszę cię poprosić o jeszcze jedną przysługę. Czy mógłbyś zlecić komuś, żeby się temu przyjrzał i coś o tym powiedział?

– Skąd to masz? – spytał Faz.

– Z pokoju Allie.  
– Myślałem, że przekazałeś wszystko do laboratorium.  
– Przekazałem – mruknął Del. – To tylko resztki, które tam zmiotłem.

– Cholera, Del – rzucił jego partner.  
– Spokojnie, Faz. To było rozsypane na stole, nie w torebce. Jakies śmieci.

Funk wziął torebeczkę do ręki i przyjrzał się jej zawartości.

– Z całą pewnością to nie smoła – powiedział.

Del wiedział, że meksykańskie kartele narkotykowe mają rynki zbytu na Zachodnim Wybrzeżu i dostarczają na ten obszar smołę – heroinę o wyglądzie przypominającym czarną smołę dachową – którą często pakowano w torebki z laminowanego plastikiem papieru. Z kolei z Azji Południowo-Wschodniej pochodziły dostawy heroiny o nazwie „chińska biel”, która wyglądem przypominała kokainę i trafiała do odbiorców na Wschodnim Wybrzeżu i w Vancouver w Kanadzie.

– Wygląda mi to na chińską biel – ocenił Funk, przypatrując się proszkowi w przezroczystej torebce. – Ale nigdy dotąd nie widziałem tego u nas. Jeśli ten proszek był w pokoju twojej siostrzenicy, to mamy do czynienia z dość niezwykłą sytuacją, która może nam skomplikować całą sprawę.

– Dlaczego? – spytał Faz.

Funk odłożył torebeczkę i na moment zamilkł. Widać było, że się zastanawia.

– W zeszłym roku mieli problem z chińską bielą w Nowym Jorku. Zanotowali całą serię śmiertelnych przedawkowań, wszystkie w krótkich odstępach czasu i z grubsza w tym samym rejonie miasta. Odnotowano to w SOR-ach i wiadomość o tym trafiła na ulice. W końcu ustalono, że powodem śmierci była bardzo czysta heroina zaprawiana fentanylem.

– Co to jest fentanyl? – zainteresował się Faz.

– To bardzo silny syntetyczny środek przeciwbólowy, czasem używany do fałszowania heroiny. Te dwie substancje po zmieszaniu mogą mieć potężną siłę. I mogą zabijać. Czarna smoła ma taką konsystencję, że trudno ją czymkolwiek zaprawić. – Funk uniósł torebeczkę. – Ale to? Tego tu nie widzujemy.



Del już próbował główkować, jak Allie mogła dotrzeć do czegoś w rodzaju chińskiej bieli.

– Czy na podstawie sekcji daje się ustalić, czy ofiara używała tej czy innej odmiany heroiny? – spytał.

– Nie – odparł Funk. – W obu przypadkach badanie toksykologiczne wykaże obecność morfiny. Najpewniejszym sposobem jest zbadanie samego produktu. Jeśli znalazłeś to w pokoju siostrzenicy, to jestem skłonny uznać, że właśnie ta substancja ją zabiła.

– Media już się zainteresowały wczorajszym przedawkowaniem? – spytał Faz.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Trzeba dać wiadomość ulicy – zwrócił się Faz do Dela.

– Nie wiem, czy to nie najgorsze, co moglibyśmy zrobić – wyraził swoje wątpliwości Funk.

– Dlaczego? – zdziwił się Faz. – Przecież ludzie umierają.

– Jeśli damy cynk o pojawieniu się wyjątkowo silnej heroiny, zlecą się tłumy jak ćmy do ognia. Uzależnieni zaczną tego szukać. Przedawkowanie to najlepsza reklama jakości produktu. W rezultacie możemy mieć dużo więcej zgonów.

– Ale to chyba źle dla biznesu. Dostawcy powinni się martwić, jeśli ich klienci umierają – powiedział Faz.

– Tak by się mogło zdawać, tyle że statystycznie rzecz biorąc, ich klienci i tak umrą – odparł Funk. – I, niestety, nigdy nie brakuje nowych na ich miejsce.

## Rozdział 11

W środę z samego rana Tracy przyjechała do zakładu badań pojazdów w Laboratorium Kryminalistycznym Policji Stanu Waszyngton przy Airport Way. Znow miała za sobą źle przespaną noc. Po tak zwanej „cementarnej szychcie” trwającej do północy dotarła do domu po pierwszej, przespaała parę godzin i zerwała się o świcie, by spotkać się z Joem Jensenem. Uprzedziła w tym Kinsa, który też dwoił się i troił; zadzwonił do niej na komórkę, że się spóźni, bo musi odwieźć dzieci do szkoły. Oboje pracowali na dwie zmiany, co było całkiem fajne w czasach, gdy Tracy była młodsza i niezamężna, ale teraz chętnie zamieniłaby dodatkowe pieniądze na parę godzin snu. I wiedziała, że jej partner myśli podobnie.

W chwili gdy weszła do hali, technicy już przeczesywali wnętrze subaru. Towarzyszący im Jensen powitał ją bez uśmiechu. Wręcz zrobił kwaśną minę i pokręcił ze zniechęceniem głową.

– Ktoś dokładnie wszystko wytarł – mruknął.

– Jak to? Chcesz powiedzieć, że nie ma żadnych odcisków palców?

– Są, ale nie tam, gdzie byśmy się ich spodziewali. – Podszedł do samochodu. – Na przykład klamka zewnętrzna od strony kierowcy jest czysta.

– A poduszka powietrzna?

Jensen wolno pokręcił głową.

– Nic. Zero.

– Zero znaczy, że ktoś ją wytarł, czy zero znaczy, że na poduszce nie było śladów DNA kierowcy?

– Ktoś wszystko dokładnie wytarł. Są ślady alkoholu izopropylowego, który znajduje się w niemal każdym płynie czyszczącym.

Tracy prychnęła ze złością.

– A znaleźli jakieś szmatki do wycierania? – spytała.

– Też nie – odparł Jensen.

- Czyli wiemy, że to celowe działanie.
- I przemyślane – dodał Jensen. – Więc kazałem mimo wszystko zbadać poduszkę razem z próbką krwi z przedniego siedzenia, ale zajmie to kilka tygodni.
- Znalazłeś krew w samochodzie? – zdziwiła się Tracy.
- Po stronie kierowcy. Tapicerka siedzenia jest z materiału. Ktoś próbował usunąć tę krew, ale nie do końca mu się udało.
- Tracy podeszła do otwartych drzwi kierowcy i spojrzała na fotel.
- Kins i ja rozmawialiśmy wczoraj z właścicielem. Miał rozcięcie na czole, tuż pod linią włosów.
- Wyjaśnił, jak się skaleczył?
- Twierdzi, że uderzył głową w kant szafki kuchennej. – Zamilkła i po chwili dodała, jakby myślała na głos: – Problem w tym, że to jego samochód. Może podać sto różnych powodów obecności śladów swojej krwi.
- Być może. – Jensen pokiwał głową i uśmiechnął się. – Ale z tym może mieć więcej kłopotu. – Wyciągnął rękę z plastikową torebką na dowody, w której prześwitywał sklepowy paragon. Wyglądał jak wyprasowany po zgnieceniu. – Znaleźliśmy go z tyłu, w szparze między siedzeniem a tylnymi drzwiami. Ze sklepu wielobranżowego w Renton. – Podał torebkę Tracy. – Ktoś w poniedziałek o ósmej trzydzieści osiem wieczorem kupił dwie puszki napoju energetycznego Red Bull.
- Większość tego typu sklepów ma teraz kamery monitoringu – zauważyła Tracy.
- Jeśli ten ma, to być może uda nam się zobaczyć twarz nabywcy...
- ...i jeśli to Trejo był w tym sklepie, to ślady krwi na siedzeniu nabiorą zupełnie innego znaczenia – weszła mu w słowo Tracy.

\* \* \*

Tracy zabrała Kinsa z komendy policji i pojechali do sklepu mieszczącego się tuż przy zjeździe z autostrady w Renton. Betonowa ściana budynku od strony parkingu pokryta była graffiti i podartymi starymi afiszami o koncertach. Od frontu tynk i aluminiowe ramy drzwi i okien pokrywał ciemny nalot ze spalin tysięcy pojazdów jadących autostradą.

Sterczący nad budynkiem zielony billboard z wielką białą strzałą zapraszał kierowców do punktu sprzedaży marihuany na przeciwległym narożniku.

– Kompleksowe zakupy – mruknął Kins, przyglądając się reklamie.  
– Możesz kupić trawkę, przejść na drugą stronę ulicy i dokupić czipsy, mrożone burrito i colę.

– Lub napój energetyczny – dodała Tracy.

– Zdecydowanie napój energetyczny.

Kins otworzył przeszklone drzwi i oboje drgnęli na ostry dźwięk brzęczyka. Tracy zauważyła spękaną i poplamioną miarkę do mierzenia klientów, przytwierdzoną do wewnętrznej strony aluminiowej futryny drzwi. Rozejrzała się po kątach i wypatrzyła zamontowaną na suficie kamerę z obiektywem skierowanym na kasę i drzwi wejściowe.

W sklepie pachniało waniliowym odświeżaczem powietrza w rodzaju tych, które wieszają się w samochodach. Towar był rozłożony na półkach, na końcu alejek stały nieotwarte kartony, mrożonki, napoje bezalkoholowe i alkohole wypełniały zamrażarki i szafy chłodnicze pod tylną ścianą. Obeszli kartony, dotarli do lady i Kins pokazał legitymację i odznakę policyjną młodemu śniadoskóremu mężczyźnie w turbanie na głowie. Na regale obok lady leżały stosy czasopism i papierosów różnych marek.

– Ty jesteś Archie? – spytał Kins.

Do obejrzenia nagrań z kamery monitoringu nie był potrzebny nakaz, chyba że właściciel sklepu odmawiał, co od początku pracy Tracy w wydziale zabójstw ani razu się nie zdarzyło. Większym problemem bywało pozostawienie taśmy w kamerze pracującej zwykle przez dwadzieścia cztery godziny i nieumyślne skasowanie nagrania. Dlatego od razu po rozmowie z Jensenem Tracy zadzwoniła do sklepu, by zapytać o nagranie. Właściciel potwierdził, że mają zamontowany monitoring, tyle że kamera jest już dość wiekowa, ale przejrzy nagranie i upewni się, że nie zostało skasowane. By ułatwić mu zadanie, Tracy podała godzinę wydrukowaną na paragonie.

– Jest na zapleczu – odparł młodzieniec, wskazując ręką drzwi w głębi sklepu, na których widniała wywieszka TYLKO DLA PERSONELU. – Mówił, że przyjdziecie. Jest w swojej kanciapie. To pomieszczenie po lewej za tymi drzwiami. Bez trudu go znajdziecie.

Tracy i jej partner weszli na zaplecze, gdzie było jeszcze ciasniej niż w sklepie. W powietrzu wisiał lekki zapach gnijącej żywności. W kanciapie po lewej siedział mężczyzna w jasnoniebieskiej tunice i w turbanie na głowie, wpatrzony w mały telewizorek. Kins zapukał, mężczyzna odwrócił głowę i spojrzął na nich znad okularów z połówkami szkieł. Trzymał przy uchu komórkę, ale dał znak ręką, żeby weszli.

– Już są – rzucił do telefonu. – Dobra, zadzwonię później.

Rozłączył się, wstał i podał im rękę.

– Pan jest Archie? – spytał Kins.

Właściciel sklepu pogładził czarną brodę z nitkami siwizny.

– Właśnie rozmawiałem z adwokatem – oświadczył.

– A co, jest jakiś problem? – spytała Tracy.

– Nie, nie. Chciałem się tylko upewnić, że nie musicie mieć nakazu.

Bo nie chcę żadnych kłopotów. – Mówił z silnym hinduskim akcentem.

– Ale adwokat powiedział, że nakaz jest niepotrzebny.

– Ma pan to nagranie? – zapytał Kins.

Archie wskazał głową mały ekran.

– Właśnie przeglądałem taśmę. Wydruk godziny na paragonie zaoszczędził mi kupę czasu.

– Ma pan to w komputerze? – spytała Tracy.

– Nie – odparł i przysunął się bliżej do przenośnego telewizora z odtwarzaczem wideo w jednej obudowie. – Nie mam tak zaawansowanego systemu.

– Nie jest cyfrowe? – zdziwił się Kins.

– Co nie jest cyfrowe?

– To ta taśma? – spytała Tracy, wskazując kasetę wideo wystającą z odtwarzacza na biurku.

– Tak.

– Może pan ją puścić?

– Jasne.

Archie usiadł, obrócił się z fotelem do ekranu i włożył kasetę do odtwarzacza, po czym uniósł głowę, przyjrzał się pilotowi i wcisnął na nim jakieś przyciski. Zadowolony, odsunął fotel, wstał i przesunął się na bok, odsłaniając gościom ekran. Obraz był czarno-biały i rzeczywiście nie najwyższej jakości. Brakowało dźwięku; słyhać było tylko szum przesuwającej się taśmy. Mocno przestarzały

odtworzyć z trudem sobie radził i w każdej chwili taśma mogła się zerwać. Na ekranie pojawił się mężczyzna w białej koszuli i bejsbolówce na głowie; wszedł do sklepu i szybkim krokiem zbliżył się do szafy chłodniczej pod tylną ścianą. Tracy nawet nie próbowała zatrzymać obrazu, by zmierzyć wysokość wchodzącego na miarce na drzwiach. Będą mogli zrobić to później. Nie potrafiła też powiedzieć, czy wchodzącym jest Trejo.

Mężczyzna otworzył drzwi zamrażarki, zawahał się, zamknął je i otworzył sąsiednie. Wyjął z chłodziarki dwie puszki i ruszył alejką do lady. Podchodząc do niej, znalazł się bliżej kamery i obraz stał się dużo ostrzejszy. Nadal nie był idealny, ale wystarczająco wyraźny, by Tracy i Kins mogli nabrać pewności.

## Rozdział 12

Tracy zadzwoniła do Laszla Treja z wiadomością, że oględziny jego samochodu zostały ukończone i może go odebrać z parkingu policyjnego przy komendzie. Bez chwili zastanowienia oświadczył, że zależy mu na szybkim odzyskaniu auta i wsiądzie na prom prosto po pracy. Tracy poinstruowała go, jak ma trafić z terminalu promowego do komendy policji, która mieściła się kawałek dalej, przy Piątej Alei.

Tuż po dziewiętnastej oficer dyżurny przy wejściu do budynku zadzwonił do Tracy, że Trejo już jest. Poleciała przyprowadzić gościa na szóste piętro i czekała na niego na korytarzu przy drzwiach windy. Trejo był po cywilnemu; miał na sobie dżinsy i tenisówki i trzymał obie ręce w kieszeniach sportowej bluzy bez jakichkolwiek naszywek. Bez munduru wyglądał młodziej, niemal jak nastolatek, zwłaszcza że był niższy od Tracy o dobre dziesięć centymetrów.

Gdy podała mu rękę, bez entuzjazmu ją uścisnął. Dłoń miał drobną i ciepłą.

– Przejdźmy do biura – powiedziała Tracy, ruszając korytarzem. – Napije się pan kawy?

– Nie, dziękuję. Przyjechałem tylko po samochód.

Weszła do sali konferencyjnej, odsunęła dla siebie krzesło i gestem ręki wskazała gościowi, by zrobił to samo. Na stole stał przenośny telewizor z wbudowanym odtwarzaczem wideo. Kins i ona strawili dziś pół popołudnia na wyszukanie takiego sprzętu.

– Niech pan siada – rzuciła.

Zmieszanie Treja jeszcze się wzmogło. Trzymał ręce w kieszeniach bluzy jak nadąsany uczeń, którego wezwano na dywanik do dyrektora szkoły. Nerwowo strzelał oczami na boki, unikając patrzenia prosto w oczy.

Na salę wszedł Kins z plikiem papierów, które miały służyć temu, by nadać mu wygląd kogoś bardzo zajętego.

– Udało się – powiedział.

– Skończyli z moim samochodem? – Trejo wstał, jakby nie mógł się doczekać, żeby stąd wyjść.

– Już go wiozę z policyjnego parkingu – odrzekł Kins.

Trejo wyjął z kieszeni komórkę i sprawdził godzinę.

– A co, śpieszy się panu? – spytał Kins.

– Chcę zdążyć na prom o dziewiętnastej pięćdziesiąt pięć.

Kins odsunął krzesło od stołu i usiadł.

– A co będzie, jak pan nie zdąży? – zapytał.

– To są jeszcze inne – odparł Trejo, nadal stojąc.

– Lub może pan pojechać dookoła przez most – wtrąciła Tracy. Na nagraniach uzyskanych z terminali promowych na Bremerton i w Seattle nie znaleźli czarnego subaru. Popatrzyła na swojego partnera.

– Jak się nazywa ten most za Tacomą?

Kins zrobił minę, jakby nie mógł sobie przypomnieć.

– Tacoma Narrows – podpowiedział Trejo i opadł na krzesło.

– O właśnie. Jeździ pan czasem tym mostem?

Trejo pokręcił głową.

– Już mówiłem, że rzadko ruszam się z wyspy.

Zapadło niezręczne milczenie. Po chwili przerwał je Kins.

– Czy policja na Bremerton ma coś więcej w sprawie kradzieży pańskiego samochodu? Wiedzą, kto to mógł zrobić?

– Nie mam pojęcia.

– Nic panu nie powiedzieli?

Trejo znowu pokręcił głową, nie przestając się wiercić na krześle. Może zaczynał zdawać sobie sprawę, że przyjazd tu był błędem.

– Jest pan ciekaw, co policja znalazła w pańskim samochodzie? – spytała Tracy.

– O... tak, pewno. Znaczący... znaleźli jakieś odciski?

– Znaleźli – potwierdziła. – Są teraz identyfikowane. Zbadanie DNA potrwa trochę dłużej.

– DNA?

– Z poduszki powietrznej. Z poduszki da się zdjąć ślady DNA. Tak że powinniśmy wiedzieć, kto prowadził w chwili wypadku.

Trejo milczał.

– Znaleźli też ślady krwi na siedzeniu kierowcy. – Wzrok Tracy powędrował do skaleczenia na jego czole.



– Mówiłem, że poplamiliem siedzenie, kiedy skaleczyłem się w głowę.

– Naprawdę? Nie pamiętam, żebym to słyszała. – Tracy spojrzała na swojego partnera. – Mówił coś takiego?

Kins wzruszył ramionami. Trejo niczego takiego nie mówił. Zresztą nie pasowałoby to do podanej przez niego wersji.

– To kiedy skaleczył się pan w głowę? – spytała Tracy. Zamierzała przyłapać go na kłamstwie.

– Już mówiłem. Byłem w kuchni i za szybko wstałem od stołu. Uderzyłem głową w drzwiczki szafki.

– I kiedy to było? – spytała.

– Nie pamiętam – rzucił szybko. – To mogę już odebrać samochód?

– To diabelnie boli... takie uderzenie – wtrącił Kins. – Kiedyś też się walnąłem w głowę w garażu, prawie straciłem przytomność. I głowa strasznie krwawi, nie?

Trejo wzruszył ramionami.

– Wygląda na to, że próbował pan to zetrzeć – powiedziała Tracy. – Znaczący plamę z siedzenia. Czym pan to ścierał?

– Nie wiem, jakąś serwetką czy czymś.

Oboje pokiwali głowami ze zrozumieniem. A potem Tracy bąknęła:

– Bo laboratorium twierdzi, że użyto gazika antyseptycznego.

Trejo nie zareagował.

– Kiedy był pan ostatnio po tej stronie cieśniny? – zapytał Kins.

Trejo znów spojrział na komórkę.

– Możecie mi powiedzieć, jak długo to jeszcze potrwa? – burknął.

– Na pewno są już niedaleko – rzekł Kins. – A która jest? – Odwrócił się na krześle i spojrział na zegar na ścianie. – Macie jakieś plany, pan i żona?

Trejo sprawiał wrażenie kompletnie zaskoczonego tym pytaniem.

– Co?

– Pomyślałem, że tak się panu śpieszy do domu, bo macie z żoną jakieś plany na wieczór.

– Nie, żadnych. Tylko chcę zdążyć na prom.

– Nie macie dzieci, prawda?

– Nie.

– Bo ja mam trzech chłopaków. Dwóch już w liceum. Najstarszy niedługo pójdzie do college'u. Wie pan, jest już w tym wieku, kiedy

robi się różne głupoty. Chociaż nie, nie powinienem mówić „głupoty”.  
– Kins skubał palcami dolną wargę. Tracy już widziała to jego przedstawienie i parę razy nawet sama je odegrała. – Coś palnie, rozumie pan, a potem próbuje to ukryć. Cały czas mu powtarzam, żeby nie udawał i mówił prawdę. Tłumaczę mu, że może ponieść konsekwencje tego, co zrobił, ale że nie będą one tak surowe jak wówczas, gdy spróbuje to ukryć i zostanie na tym przyłapany. – Ani na chwilę nie odrywał wzroku od Treja. – Bo nikt nie lubi być okłamywany.

Trejo odsunął krzesło i wstał.

– Mogłaby pani zadzwonić i zapytać, co z moim samochodem? – zwrócił się do Tracy. – Chciałbym już pojechać.

– A nie lepiej nam powiedzieć, panie Trejo, co naprawdę się zdarzyło tamtego wieczoru?

Obrzucił ją i jej partnera spojrzeniem i parsknął nerwowym śmiechem.

– Co tu jest grane? Gdzie mój samochód?

– Wiemy o pańskiej wizycie w sklepie spożywczym w Renton, panie Trejo – powiedziała Tracy.

Wyglądał jak przyłapany na gorącym uczynku nastolatek. Oblizął wargi i kompletnie zaskoczony, wydusił z siebie tylko:

– Co?

– Zostawił pan w samochodzie paragon sklepowy – odparła. – Są na nim data i godzina.

– To bzdura! Już wam mówiłem, że tego dnia byłem w pracy. A potem wróciłem do domu. – I nagle, jakby doznał olśnienia, dorzucił: – To pewnie ten człowiek, który ukradł mi samochód.

– Kupił pan dwie puszki red bulla – dodała Tracy. – Tego samego napoju energetycznego, który pan pił, kiedy pana odwiedziliśmy.

– Mówiłem już, że wieczorem byłem w domu – powtórzył nieco pewniejszym tonem. – Moja żona może to poświadczyć. W sklepie był na pewno ten człowiek, który ukradł mi samochód.

– W tym sklepie są kamery wideo – poinformowała go Tracy.

Trejo zamilkł i spojrzał na telewizor; pewnie dopiero teraz się domyślił, po co stoi na stole. Na górnej wardze wystąpiły mu kropelki potu.

Tracy nacisnęła klawisz i na ekranie pojawiło się nagranie wchodzącego do sklepu mężczyzny. Gdy chwilę potem skierował się do szafy chłodniczej i podszedł z puszkami do lady, to mimo że twarz miał przysłoniętą czapką, nie mogło być wątpliwości, że mężczyzną tym jest Trejo.

– Znamy datę i godzinę tego nagrania – powiedziała Tracy. – Było to mniej więcej pół godziny przed potrąceniem D’Andrego Millera. Więc może pan nam powie, co robił pan w Seattle?

Trejo przygryzł dolną wargę; bandaż na jego czole nagle nieco bardziej poczerwieniał.

– To nie ja. Nie wiem, kto to jest.

– Ile pan ma wzrostu, panie Trejo? – spytała Tracy, ale odpowiedzią było milczenie. – To nagranie trafi do prokuratora, który oskarży pana o przestępstwo. Wysokość kary jest określona w odpowiednim paragrafie kodeksu. A to oznacza, że sędzia nie będzie miał wyboru. Potrącenie pieszego ze skutkiem śmiertelnym i ucieczka z miejsca wypadku to przestępstwo klasy B, za które grozi do dziesięciu lat więzienia.

– Rodzina D’Andrego Millera zażąda ukarania winnego, panie Trejo – oznajmił uroczystym tonem Kins, co było częścią jego przedstawienia. – Opinia publiczna też będzie chciała ukarania winnego. Ludzie będą się domagać, byśmy złapali i aresztowali sprawcę śmierci D’Andrego. Kłamanie nic panu nie pomoże.

Trejo nie skupiał już wzroku na niczym konkretnym, jakby patrzył w przyszłość i widział w niej siebie w celi więziennej, która na wiele lat stanie się jego domem.

## Rozdział 13

Leah Battles schyliła głowę poniżej wylotu lufy pistoletu, wyciągnęła ręce i uchwyciła broń obiema rękami, jednocześnie wymierzając cios kolanem w krocze napastnika. Następnie szybko odskoczyła i gwałtownie skręciła jego ręce w nadgarstkach, wrywając mu broń i kierując jej wylot w jego czoło.

– Nieźle – orzekł z silnym brytyjskim akcentem instruktor. – Ale niepotrzebnie się zawahałaś.

Battles przygryzła język. U tego faceta zawsze musiało być jakieś „ale”.

– Jednego możecie być pewni – dodał, zwracając się do kursantów. – Gdy ruszacie do ataku na napastnika, ten zawsze będzie próbował wystrzelić. Więc jeśli się zawahacie, jeśli nie zejdziecie natychmiast poniżej linii strzału, to już po was. – Klasnął w dłonie dla lepszego efektu. – Więc ruchy jak błyskawica. Rozumiesz, co mówię, Lee?

Skinęła głową. Po trzech latach trenowania krav magi i osiągnięciu czwartego poziomu nie miała prawa się wahać. Powinna sama to wiedzieć.

– Rozumiem.

Swoje zawahanie mogłaby położyć na karb ciężkiego dnia w pracy – klient postawiony przed sądem wojskowym za szczeniackie wybryki – ale byłoby to szukaniem wymówek. A ona nie należała do tych, którzy stosują lub akceptują wymówki. Często słyszała, że prawo jest jak zazdrosna kochanka. Ale miała gdzieś takie bzdury. Dla niej prawo było zawziętą suką, tyle że Leah wiedziała o tym, zanim się zdecydowała na karierę adwokata procesowego. I choć jej praca wymagała sporego – niekiedy wręcz ogromnego – wysiłku fizycznego, zdarzały się dni, że czuła się wypluta przede wszystkim psychicznie. Miewała bezsenne noce, kiedy myślała o zmianie zawodu na taki, który pozwoli jej zostawiać sprawy służbowe w szufladzie biurka i spokojnie wracać z pracy do domu. Ale choć często myślała o tym

z utęsknieniem, wiedziała jednocześnie, że szybko by ją to znudziło. Kochała taktykę i strategię prawniczą i dostrzegała podobieństwa między uprawianiem prawa i grą w szachy, w których była bardzo dobra. Ty robisz ruch, a ja kontruję. Jeśli ja kontruję, a ty nie, wtedy wygrywam. Sprawdzało się to zwłaszcza w trakcie procesów sądowych, które najbardziej lubiła ze wszystkich swych prawniczych zajęć. Kto by ich nie lubił? Po co w ogóle zostawać prawnikiem, jeśli nie po to, by stawać przed sądem? Oczywiście proces sądowy może być wielkim utrapieniem, gdy człowiek ma na głowie coś innego – na przykład trening lub chory związek – ale prawo przynajmniej jest konsekwentne, czego nie da się powiedzieć o mężczyznach, z którymi ostatnio się zadawała.

Codziennie obciążenie psychiczne w pracy było jednym z powodów, dla których tak chętnie znosiła wysiłek fizyczny związany z uprawianiem krav magi, więc bardzo się starała znaleźć czas na jedno i drugie. Zniecierpliwienie budził w niej prokurator wymyślający jakieś bzdury, które kolidowały z jej harmonogramem ćwiczeń. Będzie musiał drogo za to zapłacić, już ona się o to postara.

Z krav magą zetknęła się podczas studiów w Wyższej Szkole Prawniczej Marynarki Wojennej w Newport w stanie Rhode Island, odbytych po trzyletniej nauce na wydziale prawa cywilnej uczelni. Chciała zarówno służyć krajowi, jak i bronić przed sądem w prawdziwych sprawach karnych, nie w jakichś bzdurnych kłótniach o pieniądze. Program kształcenia prawników marynarki wojennej umożliwiał realizację obu tych ambicji, jako że po skończeniu studiów od razu zaczynała służyć krajowi jako prawniczka wojskowa oraz stawać przed sądem jako obrończyni w sprawach karnych. To prawda, że niektóre z tych spraw bywały gówniane, ale nawet wtedy miała szansę się wykazać, wygłaszając mowę przed ławą przysięgłych czy przesłuchując świadków, na co nie mogłaby liczyć, gdyby była zatrudniona w wielkiej kancelarii prawniczej. W takich firmach zarabiano się duże pieniądze, ale nabywało minimalne doświadczenie.

Ta sama logika przyciągnęła ją do krav magi. To nie były typowe ćwiczenia wysiłkowe. Trening krav magi jest poważnym praktycznym ćwiczeniem umiejętności zostawania przy życiu – zadawania ciosów w gardło, kopniaków w krocze, podcinania nóg. Technika opracowana

w izraelskich siłach specjalnych zasadzała się na unikaniu bezpośredniej konfrontacji, ale także uczyła, że jeśli konfrontacji nie da się uniknąć, należy zakończyć walkę. Innymi słowy, zawrzeć pokój. A gdy zawarcie pokoju jest niemożliwe, skopać tyłek.

To było coś, co pozwalało jej oderwać myśli od prawa.

– Jeszcze raz – polecił instruktor.

Przyjęła pozycję, a jej partner uniósł makietę pistoletu. Już miała uderzyć, gdy usłyszała dzwonek swojego telefonu, który przebił się przez jęki i stękanie innych kursantów. To nie był jej prywatny telefon. Prywatnego telefonu nigdy nie zabierała na zajęcia. Ten telefon miała przy sobie tylko wtedy, gdy pełniła służbę oficera dyżurnego. Instruktor pogodził się ze szczególną sytuacją, która wymagała jej dwudziestoczterogodzinnej dyspozycyjności. Rzuciła „Przepraszam” i podbiegła do swojej torby, która leżała wetknięta w jedną z przegródek na końcu sali.

– Porucznik Battles.

Przez chwilę słuchała, czując narastającą w niej sprzeczność. Oczywiście, że chciałyby do końca odbyć trening, ale też nigdy nie omijała okazji do dobrej napażanki sądowej, a sytuacja opisywana przez telefon miała wszelkie znamiona smakowitej awantury.

\* \* \*

Tracy zaparkowała na odgrodzonym siatką i porośniętym trawą poboczu nieopodal skrzyżowania, na którym zginął D’Andre Miller. Nie mogła uwolnić się od myśli, że chłopiec był tak blisko domu, tak blisko bezpiecznej przystani, tak blisko zostania przy życiu.

Wysiadła i otworzyła bramkę, za którą ciągnęła się betonowa dróżka przecinająca zadbane, ale zupełnie pusty trawnik przed domem. Na ganek przed brązowymi drzwiami z siatką ochronną wchodziło się po dwóch betonowych schodkach. Pociągnęła za siatkę, ale okazała się zamknięta. Nie widząc nigdzie przycisku dzwonka, zapukała. Po chwili drzwi za siatką otworzyły się i stanęła w nich kobieta, nie była to jednak Shaniqua Miller. Kobieta nie wyciągnęła ręki, by otworzyć siatkę.

– Dobry wieczór – powiedziała Tracy. – Szukam Shaniqui Miller. Czy jest w domu?

– A o co chodzi? – Kobieta z prostymi czarnymi włosami, w dżinsach i T-shircie, wyglądała młodo. Tracy dostrzegła w niej wyraźne podobieństwo i pomyślała, że musi być starszą siostrą lub matką Shaniqui. Kobieta patrzyła na nią przez okrągłe okulary w drucianej oprawce.

– Nazywam się Tracy Crosswhite, jestem detektywem w zespole zajmującym się sprawą D’Andrego Millera. Pani jest jego ciotką?

– Babcia. – Ramiona kobiety zeszywniały, lecz jej głos pozostał łagodny. – To coś pilnego? Bo Shaniqua szykuje chłopców do spania.

– Tak, to pilne. Ale nie zabiorę jej dużo czasu.

Babcia D’Andrego zmarszczyła czoło, jakby nie do końca przekonana, po czym odwróciła się i nie otwierając drzwi siatkowych i nie zapraszając Tracy do środka, wycofała się.

– Shaniqua! – Tracy usłyszała jej wołanie z głębi domu, ale reszta słów była już niezrozumiała.

Sandy Clarridge, komendant policji w Seattle, życzył sobie zaangażowania miejskiej policji w tę sprawę i zaznaczył, że nie chodzi mu o ograniczenie go jedynie do Zespołu Pomocy Ofiarom. Chciał, by detektywi informowali rodzinę na bieżąco o postępie dochodzenia, i to w miarę możliwości osobiście. Jego życzenie dotarło drogą służbową do szefa Tracy, kapitana Johnny’ego Nolasca, i na końcu łańcucha do Tracy, co tłumaczyło jej wizytę w tym domu.

– Kto? – usłyszała kobiecy głos.

– Jakaś detektyw.

– Czego chce?

– Rozmawiać z tobą.

Chwila przerwy i znów ten sam głos:

– Powiedziała o czym?

– Nie. Powiedziała tylko, że chce z tobą rozmawiać. I że to pilne.

– Niech zaczeka.

Babcia D’Andrego wróciła do drzwi.

– Za chwilę przyjdzie – oznajmiła.

Przez moment stały w milczeniu, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć.

Shaniqua Miller podeszła do drzwi; ona również miała na sobie dżinsy i T-shirt. Odczepiła haczyk na siatkowych drzwiach i otworzyła je. Z szyi zwisał jej złoty łańcuszek z krzyżykiem. Wyglądała na

zmęczoną, oczy miała podpuchnięte. Czarne włosy, także rozprostowane, były związane do tyłu, co podkreślało kości policzkowe i wyraziste oczy.

– O co chodzi? – spytała.

– Pani Miller, poznałyśmy się już tamtego wieczoru.

Matka D’Andrego nie zareagowała, jakby nie chciała sobie tego przypominać.

– Jestem Tracy Crosswhite, należę do grupy detektywów zajmujących się wypadkiem pani syna.

– Tak – rzuciła cicho Shaniqua. – Pamiętam. Była pani na ulicy, kiedy zabili mojego syna.

– Zgadza się. Chciałam panią powiadomić, że dziś aresztowaliśmy mężczyznę, który siedział za kierownicą tego samochodu.

Shaniqua Miller patrzyła na nią nieruchomym wzrokiem, nic nie mówiąc i niczego nie okazując. Nie zareagowała ani złością, ani smutkiem, ani radością. Tylko jej dłoń wolno powędrowała do krzyżyka na szyi.

– Jest pani pewna?

– Zidentyfikowaliśmy jego samochód jako ten, który potrącił pani syna – oznajmiła Tracy. – I zdobyliśmy nagranie wideo, które zarejestrowało, jak ten człowiek niedługo przed wypadkiem kupuje coś w przydrożnym sklepie niedaleko skrzyżowania, gdzie został potrącony pani syn.

– Co mówi? – spytała Shaniqua, pocierając krzyżyk palcami.

– Początkowo zapierał się, że jego samochód został skradziony i że tego wieczoru nie było go w Seattle. Dziś, kiedy pokazaliśmy mu nagranie, nie powiedział nic i poprosił o adwokata.

Wbrew oczywistym dowodom Trejo najpierw uparcie twierdził, że mężczyzna na nagraniu to nie on, a potem zamilkł. Zwykle Tracy i Kins potrafili skłonić podejrzanego do mówienia, zwłaszcza jeśli dysponowali nagraniem wideo zaprzeczającym jego wersji. Trejo mógł dojść do wniosku, że nie jest w stanie wyjaśnić tego nagrania, i uznał, że najlepiej będzie milczeć.

– Co to za jeden?

– Wojskowy.

– Z armii?



– Z marynarki. Stacjonuje w Bazie Marynarki Wojennej Kitsap na Bremerton.

– I co teraz będzie? – spytała Shaniqua.

Po tej rozmowie Tracy miała wrócić na komendę, gdzie przetrzymywano Treja do chwili oficjalnego aresztowania.

– Zostanie osadzony w areszcie okręgowym. Jego przesłuchanie odbędzie się jutro po południu. Chcielibyśmy, żeby pani przy tym była... jeśli to możliwe.

Shaniqua Miller nie odpowiedziała od razu. Popatrzyła na Tracy nieobecny wzrokiem i dopiero po chwili jakby oprzytomniała.

– O której?

– O czternastej.

Westchnęła.

– Muszę być w pracy. Muszę pracować, nie mam wyboru. Mam jeszcze dwóch chłopców.

Te słowa zaskoczyły Tracy. Minęło tak niewiele czasu od śmierci D’Andrego, ale życie szło swym torem, czy się to komu podobało, czy nie. Przekonała się o tym sama po zniknięciu Sary.

– Przesłuchanie ma ułatwić sądowi podjęcie decyzji, czy są podstawy do zatrzymania podejrzanego w areszcie – wyjaśniła. – Jego przyznanie się do winy może nastąpić dopiero po oficjalnym postawieniu go w stan oskarżenia, do czego nie dojdzie wcześniej niż za jakieś dwa tygodnie. – Zawiesiła głos, uzmysławiając sobie, że Shaniqui Miller na pewno nie interesują szczegóły procedury karnej. – Czy chciałaby pani, żebym wyjaśniła sytuację pani pracodawcy?

– To niczego nie zmieni. Tak czy tak mi nie zapłaci.

Tracy pokiwała głową.

– Powiedziała pani, że o której? – spytała Shaniqua.

– O drugiej po południu. – Tracy podała numer sali sądowej na pierwszym piętrze aresztu i dała kobiecie swoją wizytówkę z numerem telefonu i drugą z telefonem do Zespołu Pomocy Ofiarom.

– Może pani zadzwonić do mnie albo do tego zespołu. Ktoś został wyznaczony do informowania pani i objaśniania całej procedury. Odpowie na wszystkie pani pytania w kwestii przesłuchań i postawienia w stan oskarżenia.

– Zobaczę, co da się zrobić – rzuciła Shaniqua, po czym cofnęła się i cicho zamknęła drzwi.

\* \* \*

Leah Battles wsiadła na rower, ruszyła na południe Westlake Avenue i dotarła na Piątą Aleję. Mieszkała w kamienicy przy Pioneer Square na drugim krańcu miasta. Możliwość mieszkania poza terenem bazy była jednym z przywilejów posiadania stopnia oficerskiego, a dziś wynikała z tego dodatkowa korzyść. Laszlo Trejo powiadomił ją telefonicznie, że siedzi w celi w budynku komendy w oczekiwaniu na przeniesienie do aresztu okręgowego, a zarówno komenda, jak i areszt mieściły się pomiędzy salą ćwiczeń a jej mieszkaniem, czyli spotkanie z Trejo, rozmowa z nim i zebranie informacji odbędą się niejako po drodze do domu.

Battles wiedziała, że to mało prawdopodobne, by przydzielono jej sprawę Treja, jeśli jednocześnie będzie pełniła obowiązki oficera dyżurnego, do którego należało zapewnienie natychmiastowej pomocy prawnej zatrzymanemu wojskowemu. Dopiero jakieś dziesięć, czasem czternaście dni po zatrzymaniu marynarka przydzielała służącemu w niej podejrzanemu obrońcę. Ten nie mieszał się w procedurę aresztowania, zwłaszcza jeśli chodziło o przestępstwo popełnione poza terenem bazy wojskowej. W praktyce wyglądało to następująco: miejscowa policja dokonywała zatrzymania, podejrzany powiadamiał oficera dyżurnego, a ten informował dowództwo bazy i wszystko toczyło się ustalonymi kanałami. Jeżeli uznawano to za konieczne, sprawę przekazywano NCIS, które rozpoczynało własne dochodzenie i gdy sprawa należała do jurysdykcji marynarki wojennej, stawiało zarzuty. Dopiero wtedy Leah Battles mogła zostać wyznaczona na obrończynię podejrzanego. Takie sytuacje zdarzały się coraz częściej od czasu nadania w telewizji programu dokumentalnego *Niewidzialna wojna*, w którym ujawniono wiele przypadków napastowania seksualnego kobiet służących w siłach zbrojnych. Powszechne oburzenie opinii publicznej skłoniło Kongres do wywarcia presji na dowódców baz wojskowych, by zajęli się tą sprawą, i w rezultacie we wszystkich rodzajach wojsk zapanowała atmosfera ostrego reagowania na wszelkiego rodzaju wykroczenia. Marynarka wojenna nie była tu wyjątkiem.

Tym razem nie chodziło o napaść seksualną, ale sprawa wyglądała poważnie i mogła rzucić cień na marynarkę wojenną. Potrącenie

dwunastolatka ze skutkiem śmiertelnym i ucieczka z miejsca wypadku brzmiało strasznie i było zachowaniem tchórzliwym – oczywiście jeśli zarzut się potwierdzi. Battles wiedziała, że w Biurze Obsługi Prawnej ostatnio brakuje ludzi, a ona pełniła w nim funkcję starszego obrońcy. Więc szansa na to, że sprawa trafi w jej ręce, wydawała się duża i mogła nawet wzrosnąć, jeśli Battles już teraz zajmie się nią wstępnie w roli oficera dyżurnego dowództwa.

A chciała, by ta sprawa do niej trafiła.

Bardzo chciała.

O wpół do dziewiątej wieczorem ruch uliczny w Seattle nie stanowił problemu. Problemem było natomiast przenikliwie zimno; jej mokra od potu bluza działała jak lodowaty kompres i dojeżdżając do komendy, Battles była skostniała i dygotała z zimna. Zsiadła z roweru i przypięła go do stojaka na dziedzińcu przed budynkiem. Tak, tu było bezpiecznie. Gdy w pierwszym tygodniu po przyjeździe do Seattle postawiła rower przy stojaku pod domem i zamknęła go na łańcuch z kłódką, następnego dnia rano znalazła tylko łańcuch i kłódkę. Od tamtej pory rower jeździł z nią do mieszkania i jeśli komuś z pasażerów windy to nie odpowiadało, mógł iść schodami.

Battles zamieniła buty rowerowe na sandały, które nosiła na skarpetki, popełniając w ten sposób poważne wykroczenie modowe, nawet jak na wyjątkowo liberalne Seattle.

Weszła do holu budynku komendy i ruszyła ku policjantowi, który siedział za biurkiem osłoniętym kapsułą z kuloodpornego pleksiglasu. Wyglądał na rówieśnika Battles; pod bluzą munduru miał kamizelkę kuloodporną, na głowie – krótkiego jeża w wojskowym stylu. Zobaczył zbliżającą się kobietę i zmierzył ją wzrokiem.

– Dobry wieczór. Chciałabym się widzieć z Laszlem Trejem – oznajmiła. – Rozumiem, że został dziś zatrzymany i jest tu przetrzymywany.

– Nie mam pojęcia – odparł policjant. – Jeśli zatrzymano go dzisiaj, musi pani poczekać na wprowadzenie go do systemu w areszcie. Ale i tak jest już po godzinach widzeń. – Uśmiechnął się radośnie jak nastolatek na widok pierwszego w życiu zdjęcia nagiej kobiety. – Może pani liczyć na widzenie najwcześniej jutro rano.

Przyłożyła służbową legitymację do pleksiglasu.

– Wbrew mojemu profesjonalnemu wyglądowi nie chodzi o towarzyskie spotkanie w celu ustalenia, gdzie są ławice łososi. Pan Trejo zadzwonił do mnie z prośbą o adwokata i ja nim jestem. I chcę z nim porozmawiać, zanim zrobi to ktokolwiek inny.

– Jest pani oficerem marynarki wojennej? – zdziwił się policjant, zerkając na jej legitymację. – Porucznik Battles?

– Zgadza się. A także adwokatem pana Treja. – Ponownie się uśmiechnęła, tym razem nieco bardziej wyzywająco.

– No cóż, pani porucznik. Jeśli nie wprowadzono go jeszcze do systemu, to i tak będzie pani musiała poczekać. – Uśmiechnął się szeroko. – A tak nawiasem mówiąc, to ławice łososi w tym roku są bardzo obfite. Sam w tym tygodniu złapałem dwa olbrzymy.

Miała nadzieję, że ten facet nie próbuje jej podrywać.

– Naprawdę? Nie jem łososi. Mam po nich mdłości.

– To chyba trudno się tu pani żyje.

– Owszem. Na każdej imprezie wrzucają mi na talerz kawał ryby, a ja zazwyczaj oddaję go partnerowi, który mi akurat towarzyszy.

– Pani partnerzy muszą być zachwyceni dodatkową porcją. – Policjant się uśmiechnął.

– Są zachwyceni. Ale tylko do czasu, gdy do nich dociera, że tego wieczoru nie mogą liczyć na nic więcej.

Szach i mat. Koniec gry.

– Więc byłabym wdzięczna, gdyby pan podniósł tę słuchawkę, zadzwonił na górę i spytał, co się dzieje z moim klientem.

Policjant rozsiadł się na krześle, uśmiech zniknął z jego twarzy.

– Proszę usiąść, pani porucznik – powiedział, wskazując ręką rząd krzeseł. – Może panią czekać długa noc.

Korzystając z wolnej chwili, Battles wysłała odpowiedzi na otrzymane maile. Po kilku minutach usłyszała gong windy, drzwi się rozsunęły, wyszła z nich kobieta, zlustrowała spojrzeniem Battles, po czym – chyba lekko zdezorientowana – przeniosła wzrok na policjanta w dyżurce. Pewnie oczekiwała mężczyzny w trzyczęściowym garniturze i krawacie, a nie rowerowego posłańca. Policjant kiwnął jednak głową i kobieta wyszła z za barierki zamykającej przejście.

W papierach Battles z marynarki wojennej w rubryce „wzrost” podawano metr siedemdziesiąt pięć, ale policjantka była od niej znacznie wyższa, przy czym większą część jej postaci zajmowały nogi.

Miała blond włosy i niebieskie oczy i przypominała wyglądem siatkarkę z olimpijskiej reprezentacji kraju; do pełnego kamuflażu brakowało jej tylko luźnych szortów. Battles nikt nigdy nie nazwał długonogą blondynką ani nie kojarzyła się nikomu z bywalczynią plaż południa Kalifornii. Po ojcu miała ciemne włosy i ciemną karnację, zwłaszcza latem, kiedy była opalona. Urodziła się i dorastała na Wschodnim Wybrzeżu.

Kobieta, która do niej podeszła, jakby miała wypisane na czole „policja”. I nie chodziło tylko o to, że ma przyczepioną do pasa odznakę policyjną i kaburę z pistoletem ani że Battles spotyka ją na komendzie. Po prostu z jej ruchów i zachowania biła pewność siebie, tak charakterystyczna dla policjantów.

– Coś mi mówi, że pani nie jest Laszlem Trejem – odezwała się Battles.

– Detektyw Tracy Crosswhite. W czym mogę pomóc?

– Może mi pani wyczarować marynarza Treja i znaleźć pokój, w którym będę mogła z nim porozmawiać.

Crosswhite nie wyglądała na specjalnie rozbawioną.

– A kim pani jest?

– Leah Battles. Jestem adwokatem, prawnikiem wojskowym w Bazie Marynarki Wojennej Kitsap na Bremerton. Przepraszam za mój wygląd, ale nie miałam czasu się przebrać. Gdybym miała na sobie mundur, zaoszczędziłoby to niepotrzebnego zamieszania.

– Ma pani jakiś dokument tożsamości? – Z głosu Crosswhite było powątpiewanie.

Battles spojrzała na policjanta za biurkiem, ale ten tylko się uśmiechnął. Ze złością pogrzebała w plecaku i ponownie wyjęła legitymację.

– Miewacie tu dużo petentów, którzy udają prawników wojskowych i proszą o rozmowę z zatrzymanym?

– Nie – odparła Crosswhite, biorąc do ręki legitymację. – Głównie dlatego, że nikomu nie pozwalamy rozmawiać z zatrzymanymi. Zwłaszcza po godzinach widzeń.

Zgrabne posunięcie. Policjantka podobała się Battles. Była gotowa się założyć, że Crosswhite umie nieźle grać w szachy.

– Jako adwokat mam prawo widzieć się z klientem, kiedy tylko zechcę – oświadczyła.

Policjantka nie odpowiedziała; w milczeniu przyglądała się legitymacji.

– Tu jest napisane Wirginia – powiedziała po chwili. – Ma pani też licencję na stan Waszyngton?

– Jestem licencjonowanym prawnikiem w Marynarce Wojennej Stanów Zjednoczonych, a to jest równoznaczne z pracą w globalnej firmie prawniczej. Aktualnie stacjonuję w Bazie Marynarki Wojennej Kitsap na Bremerton, gdzie stacjonuje też Laszlo Trejo. Dlatego do mnie zadzwonił, dlatego tu przyjechałam i dlatego chciałabym z nim porozmawiać.

Crosswhite zachowywała kamienny spokój.

– Czy marynarka wojenna bierze tę sprawę pod swoją jurysdykcję?

– Tego nie wiem. Wiem natomiast, że pan Trejo zwrócił się o pomoc do oficera dyżurnego dowództwa, czyli do mnie. Powiadomił mnie o zatrzymaniu i poprosił o adwokata. To ja jestem jego adwokatem.

– Szybko tu pani dotarła z Bremerton.

– Jestem dobra w pływaniu.

Crosswhite uśmiechnęła się i oddała jej legitymację.

– Niepotrzebnie się pani śpieszyła. Nie zobaczy się pani ze swoim klientem do chwili wprowadzenia go do systemu.

– Miałabym zrezygnować z tak świetnej zabawy? Jestem ciekawa, pani detektyw, skąd pan Trejo wziął się na komendzie? – Trejo powiedział Battles, że przyjechał po odbiór swojego samochodu z policyjnego parkingu i że tylko z tego powodu znalazł się w Seattle.

– Będzie pani musiała go o to spytać.

– Bo nie ściągnęliście go tu, broń Boże, pod jakimś fałszywym pretekstem, prawda...? Żeby wywabić go z bazy i móc aresztować?

– Pan Trejo nie mieszka na terenie bazy, więc nie potrzebowaliśmy pretekstu, by go zatrzymać – odparła Crosswhite. – Ale może go pani o to spytać, kiedy będzie pani z nim rozmawiać. – Odwróciła się i bez słowa ruszyła w stronę bramki w barierce.

– Poprosił o kontakt z adwokatem – powiedziała Battles do pleców policjantki. – Byłabym wdzięczna, gdyby zechciała pani przekazać ten szczegół swoim koleżkom.

Crosswhite nie zareagowała, nie odwróciła nawet głowy. Otworzyła bramkę, weszła za barierkę i zamknęła za sobą bramkę.

Policjant za biurkiem rozparł się na krześle z pełnym satysfakcji uśmiechem.

Battles też się uśmiechnęła. Lubiała twardą grę. Pomagało jej to wznieść się na wyżyny umiejętności, a utarczka słowna z Crosswhite jeszcze bardziej wzmogła jej apetyt na tę sprawę.

Choć i bez tego był już wielki.

\* \* \*

Tracy wrzuciła kluczyki do drewnianej misy na starym wiejskim stoliku, który kupili z Danem na wyprzedaży majątku w pobliżu kanadyjskiej granicy. Poza misą stało na nim także ich oprawione w ramkę ślubne zdjęcie. Dwa wielkie okna za stolikiem dawały dużo światła, choć nie o tak wczesnej porze. Wychodziły na wschód, na łąkę i linię zalesionych wzgórz, co zwalniałoby z konieczności zasłaniania okien, gdyby się nie było detektywem w wydziale zabójstw i nie poświęcało czasu na tropienie patologicznych i zdeprawowanych osobników. Tracy chciała więc mieć zasłony w oknach, ale Dan nie. Poszli na kompromis i Dan zainstalował wokół domu reflektory na czujniki ruchu. Wydawało się to dobrym rozwiązaniem, szybko jednak okazało się, że ich posiadłość nawiedza cała masa dzikich zwierząt – wiewiórek, szopów i jeleni – oraz kręcą się po niej Rex i Sherlock, a nawet kot Roger i reflektory co chwila się zapalają.

– Tracy?

Dan wyszedł z sypialni w długich spodniach od piżamy i T-shircie z logo Uniwersytetu Bostońskiego, jego Alma Mater. Rex i Sherlock wybiegli, machając zawzięcie ogonami, a z sypialni dochodził odgłos włączonego telewizora. Ustawienie go tam było wbrew wszelkim zasadom szczęśliwego pożycia małżeńskiego, lecz w domu nie było żadnego innego miejsca, gdzie można by go postawić. Dan miał w ustach szczoteczkę do zębów i trochę przez to seplenił.

– Nic nie słyszałem... – wysyczał. – Czekał... – Zawrócił do łazienki, Tracy usłyszała lejącą się wodę do umywalki, a po chwili Dan pojawił się już bez szczoteczki. – Nie słyszałem, jak weszłaś.

Pogłaskała oba psy po łbach.

– Zatrzymaliśmy dziś sprawcę potrącenia i ucieczki z miejsca wypadku i trzeba go było oficjalnie aresztować przed jutrzejszym

przesłuchaniem. – Pocałowała męża, wyminęła go i weszła do kuchni.

– Tego gościa z marynarki wojennej? – spytał.

– Tak. – Otworzyła szafkę i napełniła szklanek wodą z kranu.

– Od początku go podejrzewałaś.

Przełknęła dwie tabletki advilu i popiła.

– Nagranie wideo nie pozostawia wątpliwości – powiedziała.

– Boli cię głowa?

– Nie, dokucza mi ramię. – Nieco ponad dwa lata wcześniej miała kontuzję ramienia, gdy napadł na nią od tyłu stalker, który przedostał się do jej domu w zachodnim Seattle. Ortopeda powiedział wtedy, że naderwane zostały mięśnie barku i jeśli nie pomoże fizjoterapia, czeka ją operacja i sześciomiesięczna rekonwalescencja. Albo będzie jak Kins codziennie łykała ibuprofen do czasu, aż ból stanie się nie do zniesienia.

– Co powiedział, kiedy mu pokazałaś nagranie? – zapytał Dan.

– Że chce zadzwonić. – Przeszła do sypialni, usiadła na łóżku i zaczęła się mocować ze zdjęciem kozaków.

– Do adwokata? – Dan chwycił kolejno za pięty kozaków i pomógł jej je ściągnąć.

– Do oficera JAG<sup>4</sup> na Bremerton – odparła, zdejmując dzinsy.

– Naprawdę? – W głosie Dana zabrzmiało zdziwienie.

– Tak, a co? – Podeszła do szafy i powiesiła spodnie.

– JAG zwykle nie włącza się na tak wczesnym etapie, zwłaszcza ich obrońcy. Zwykle sprawa musi najpierw przejść przez różne szczeble dowódcze i dopiero na końcu zapada decyzja, czy wojsko uznaje ją za swoją. A tu już uznali? – zdziwił się Dan.

– Tego nie wiem. Spytałam o to, ale ta kobieta nie wiedziała. – Zdjęła bluzkę i biustonosz i włożyła jeden z T-shirtów męża z nadrukowanym zdjęciem Rexa i Sherlocka. Podpis pod nim głosił: *Nie jesteśmy uparci. Po prostu wiemy lepiej.* – Ale zjawiała się w areszcie, żeby porozmawiać z podejrzanym.

– Wygląda na to, że przejęli to pod swoją jurysdykcję. No, chyba że podejrzanym błagał ich o pomoc. Macie nagranie, więc jak on może się tłumaczyć?

– Na razie nic nie mówi, twierdzi tylko, że to nie on jest na nagraniu. Myślałam, że może będzie próbował coś wyjaśniać. Ale



pewnie nie ma jak. Nie wiem. – Umyła zęby nad umywalką w łazience i wróciła do sypialni.

– Jesteś głodna? Zrobić ci coś do jedzenia? – spytał Dan.

– Dzięki. Kupiłam sobie sałatkę i zjadłam przy biurku. – Kins też szykował się na sałatkę, dopóki nie zajrzał do menu na wynos i nie znalazł w nim kanapki z pastrami. – Jestem strasznie zmęczona.

Dan oparł się o framugę drzwi sypialni.

– A poza tym dobrze się czujesz?

– Tak, a co? – Uniosła kołdrę.

– Bo dzwonił doktor Kramer z pytaniem, jak się czujesz. Zostawił dla ciebie wiadomość.

Tracy znieruchomiała.

– Łykasz clomid? – spytał.

Nie powiedziała mężowi o lekarstwie. Poinformowała go tylko, że lekarz uznał, że powinni nadal próbować. Miała cichą nadzieję, że dzięki lekarstwu zajdzie w końcu w ciążę i nie będzie musiała przyznać się Danowi, że to ona stanowi problem. Że jest za stara.

– To jedna z twoich technik przesłuchiwania świadka? Najpierw skłonić go do mówienia, a potem walnąć między oczy pytaniem?

– Przestań – rzucił bez cienia uśmiechu, nie spuszczając z niej wzroku. – Rozmawialiśmy o tym. Ustaliliśmy, że wspólnie podejmiemy decyzję.

– To prawda.

– A ty mnie z tego wyłączyłaś.

Tracy westchnęła.

– Moje szanse na zajście w ciążę są znikome, Dan. Dotychczasowe próby nic nie dały. Miałam do wyboru albo lek na płodność, albo jajeczko od dawczyni.

– I jaki to ma związek z wyłączeniem mnie z podjęcia decyzji?

– Nie ma żadnego. Przepraszam. – Usiadła na łóżku.

– To czemu to zrobiłaś?

– Możemy pogadać o tym kiedy indziej?

– Nie. Ukryłaś to przede mną. A ja uważam, że mam prawo wiedzieć.

– Niczego nie ukrywałam.

– Ale nic mi nie powiedziałaś.

– Muszę być jutro wcześniej w pracy i przygotować się do przesłuchania po południu – mruknęła, zrzucając niepotrzebne poduszki na podłogę.

– A mnie czeka przyjmowanie zeznania.

– Więc chodźmy do łóżka i porozmawiajmy o tym później.

Dan oderwał się od framugi drzwi.

– Clomid ma skutki uboczne – powiedział. – Już o tym rozmawialiśmy.

– Dajesz mi w ten sposób do zrozumienia, że wpadam w gówniane nastroje?

– Jeszcze nie. Ale tak może być.

– Bardzo sprytnie. – Wzięła poduszkę pod pachę i wyminęła go w drzwiach na znak, że idzie spać na kanapie w salonie.

– Hej, nie zachowuj się tak, jakby to była moja wina. Powinnaś była mnie w to włączyć. To także moje dziecko.

Wiedziała, że ma rację, ale po ojcu odziedziczyła skłonność do uporu.

– Hm... wygląda na to, że w najbliższym czasie nie będziesz musiał się tym martwić. – Zabrała koc z fotela i ruszyła ku kanapie.

– Co to niby miało znaczyć?

Zatrzymała się i zwróciła do niego twarzą.

– To miało znaczyć, że nie mogę zająć w ciążę, jasne? To znaczy, że to ja jestem problemem.

Chwilę milczał, zostawiając Tracy w niepewności co do swego stosunku do tej sprawy. Czy chce za wszelką cenę mieć dzieci? A może zaczyna się zastanawiać, czy dobrze postąpił, żeniąc się z nią?

– Na dziecku mi nie zależy – odezwał się w końcu łagodnym tonem.

– Martwię się o ciebie i o twoje zdrowie.

Tracy odetchnęła.

– Lekarz powiedział, że skutki uboczne są minimalne. Tylko skoki nastroju i uderzenia gorąca. Czuję się dobrze. Przepraszam, że ci nie powiedziałam. Powinnam była.

Dan zaczerpnął powietrza i po chwili zaczął już mówić spokojnie. Zawsze mówił i zachowywał się spokojnie. Czasami nawet wołałaby, by wrzasnął, żeby miała powód na niego nawrzeszczeć.

– Wytlumacz mi tylko, dlaczego zachowałaś to dla siebie.

Pokręciła głową.

– No co?

Wiedziała, że to, co powie, zabrzmie dziecinnie, i to też ją gryzło. Ale chciała mieć dziecko z nim, ich wspólne.

– Wróciłeś wtedy od lekarza cały w skowronkach, skakałeś z radości... Więc nie chciałam sprawić ci zawodu. Nie chciałam ponosić winy za to, że nie możemy spłodzić dziecka.

Wypuścił z sykiem powietrze, podszedł do Tracy, wyjął jej z rąk poduszkę i objął ją.

– Byłem w skowronkach, bo myślałem, że chcesz mieć dziecko.

– A ty nie chcesz?

– Oczywiście, że chcę. Ale nie za cenę twojego zdrowia. Ty jesteś dla mnie najważniejsza, Tracy, nie dziecko, którego nie widziałem nawet na oczy. Przepraszam, jeśli przesadziłem z reakcją po tamtym zabiegu. Po prostu mnie poniosło. Myślałem, że cię ucieszy, jeśli okażę nieco więcej entuzjazmu. – Uśmiechnął się, jej jednak nie drgnął ani jeden mięsień. – Hej, no przestań. Fizjologicznie mężczyźni i kobiety się różnią, Tracy. Kurczę, Mick Jagger właśnie spłodził dziecko numer osiem w wieku siedemdziesięciu trzech lat.

– I to ma mi poprawić nastrój?

– Co dokładnie powiedział lekarz?

– Zapisał mi czternastodniową kurację clomidem. Jeśli to nie pomoże, powinniśmy szukać dawczyni jajeczka. Albo adoptować dziecko.

– No dobrze, więc...

Wyślizgnęła się z jego objęć.

– Ja nie chcę czyjegoś dziecka, Dan. Chcę naszego. Chcę urodzić nasze maleństwo. – Zaczynała zawodzić i zdawała sobie z tego sprawę.

– W porządku. – Dan pokiwał głową. – Więc będziemy dalej próbować, a jeśli się nie uda, to wtedy porozmawiamy, co dalej. – Uśmiechnął się i znów ją objął. – Hej, wszystko w porządku? – spytał, widząc, że żona zaczyna płakać.

– Nie, nie wszystko jest w porządku – jęknęła, wycierając oczy. Czowała się zgnębiona. – Nie takie życie sobie wymarzyłam, Dan. Nie tak miało być. Miałam mieć trójkę dzieci. Miałam być ich mamą, chodzić na zebrania komitetu rodzicielskiego i mecze piłki nożnej, pomagać im w lekcjach i zasiadać do rodzinnych kolacji. – Westchnęła

i potrząsnęła głową. – Co się porobiło z moim życiem, Dan? Co się, u diabła, z nim stało?

Przez dłuższą chwilę stali w milczeniu. Nagle Tracy uzmysłowiła sobie, że sprawiła mu przykrość.

– Dan, nie chciałam...

Wzruszył ramionami.

– Sądziłem, że uważasz, że życie całkiem fajnie ci się ułożyło.

Poczuła mdłości i tym razem nie miało to żadnego związku z ubocznymi skutkami clomidu.

– Przepraszam. Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało.

Odsunął się od niej.

– Myślisz, że nie czułem się tak samo po rozwodzie? Że nie zastanawiałem się, co się stało z moim życiem? Miałem żonę, dobrą pracę w dobrej firmie i robiłem to, co kocham. Jeździłem bmw i miałem abonament na mecze Red Soxów... i żaglówkę. I nagle w jednej chwili wszystko się skończyło. Kolega z pracy przejął żonę, abonament i żaglówkę, a ja znalazłem się z powrotem w Cedar Grove. Myślisz, że nie zastanawiałem się, jak do tego doszło? Gdzie popełniłem błąd?

Podeszła do niego.

– Nie popełniłeś żadnego błędu, Dan.

– Może popełniłem.

– Zdradziła cię.

– Tak, ale może dlatego, że zbyt często mnie przy niej nie było.

– Czasem też się nad tym zastanawiam – powiedziała cicho.

– Nad czym?

– Gdybym wtedy odwiozła Sarę do domu.

Pokręcił głową.

– Sarę zabił psychopata, Tracy. Prześladował ją i prześladował ciebie. I choć to, co teraz powiem, może zabrzmieć strasznie, to czasami sobie myślę, że może Bóg ochronił cię... dla mnie.

Znów zaczęła płakać. Dan zawsze umiał powiedzieć coś właściwego. Nawet kiedy byli jeszcze dziećmi i razem dorastali w Cedar Grove, zawsze potrafił powiedzieć to, co chciała usłyszeć. Była to umiejętność, której ona nie posiadała: patrzeć na sprawy z odpowiedniej perspektywy tak, by w zaistniałej sytuacji znaleźć coś, jeśli nie pozytywnego, to przynajmniej dającego nadzieję.

Oboje zamilkli.

– Naprawdę trudno się z tobą pokłócić, wiesz o tym? – odezwała się po dłuższej chwili.

## Rozdział 14

Gdy w piątek po południu Tracy i Kins ujrzeli Leah Battles w ciasnej salce na pierwszym piętrze budynku aresztu okręgu King, nie mogli już mieć cienia wątpliwości, że jest obrończynią z JAG. Siedziała w pierwszym rzędzie, przyciągając spojrzenia nienagannie odprasowanym granatowym mundurem z dwoma złotymi paskami na rękawach i mozaiką kolorowych baretek nad lewą kieszenią na piersiach. Włosy miała spięte w kok na tyle głowy, na jej kolanach leżała biała czapka z granatowym daszkiem i złotym szamerunkiem na otoku. Obok niej siedział starszy mężczyzna, także w granatowym mundurze oficera marynarki wojennej.

– Odpicowali się jak na bal – mruknął Kins. – Wygląda na to, że postanowili przejąć to pod swoją jurysdykcję.

– Na to wygląda – rzuciła niechętnie Tracy.

– Jak myślisz, co na to powie rodzina ofiary?

– Nie wiem. Już samą procedurą nie byli zachwyceni. Chyba nie poprawi im to humoru.

Celem dzisiejszego przesłuchania nie było postawienie Treja w stan oskarżenia, a jedynie umożliwienie sędziemu podjęcie decyzji, czy zaistniałe okoliczności wskazują na popełnienie przestępstwa przez zatrzymanego. Jeśli tak, Trejo będzie czekał w areszcie na postawienie w stan oskarżenia oraz rozważenie możliwości wypuszczenia go za kaucją, co zwykle trwało jakieś dwa tygodnie. Czas ten pozwoliłby Tracy i Kinsowi zebrać dowody, na których prokuratura oparłaby oskarżenie. Zważywszy na obecność oficerów marynarki wojennej w pełnym rynsztunku, Tracy wątpiła, czy do tego dojdzie.

Mimo stosunkowo banalnego charakteru przesłuchania wstępne wszystkie miejsca dla publiczności były zajęte i z tyłu pod ścianą stał tłumek niemal wyłącznie Afroamerykanów – krewnych i przyjaciół Millerów. Tracy ucieszył widok otoczonej przez nich Shaniqui Miller,

która stała między matką a przedstawicielką Zespołu Pomocy Ofiarom. Wszystkie trzy w milczeniu słuchały Ricka Cerrabone'a, który coś im tłumaczył. Shaniqua i jej matka wyglądały na zgnębione, ale miały do tego pełne prawo.

Cerrabone zauważył Tracy i Kinsa, przerwał swe wywody i dał im znak głową, że mają z nim wyjść z sali. Znaleźli ciasny kącik, żeby porozmawiać.

– Wygląda na to, że chcą to przejąć – powiedziała Tracy.

– Dunleavy rozmawiał dziś rano z którymś ze starszych obrońców sądowych marynarki wojennej – oznajmił Cerrabone. Mówił o Kevinie Dunleavym, prokuratorze okręgu King.

– Z tym, który siedzi obok Battles?

– Kto to jest Battles?

– Ta porucznik – odparła Tracy. – Wczoraj wieczorem przyszła na komendę i chciała rozmawiać z Trejem.

– Więc pewnie ten obok niej to jej szef.

– Powiedział Dunleavy'emu, że przejmują jurysdykcję? – spytała Tracy.

– Nie pytałem, ale na to wygląda, prawda? – Cerrabone poprawił węzeł krawata. – Dunleavy powiedział, że marynarka przyśle dwóch śledczych z NCIS, którzy mają z tobą porozmawiać i przyjrzeć się materiałowi dowodowemu. Pewnie na tej podstawie zdecydują.

– Parę lat temu miałam z nimi do czynienia i nie byłam zachwycona.

– Niewiele da się zrobić – mruknął Cerrabone i rzucił okiem na nadgarstek, na którym miał czarną opaskę Fitbit. – Słuchaj, jeśli nawet marynarka wojenna przejmie tę sprawę, Dunleavy będzie chciał, żebyśmy nadal w tym uczestniczyli. Rodzina jest bardzo wzburzona i z uwagi na obecne nastroje Dunleavy'emu zależy, byśmy okazali troskę o przebieg sprawy.

– To samo powiedział Clarridge – powiedziała Tracy. – Ale jak to zrobić, jeśli przejmą sprawę?

– Oskarżę Treja o ucieczkę z miejsca wypadku i przejazd na czerwonym świetle. Nawet jeśli marynarka weźmie to pod swoją jurysdykcję, przejazd na czerwonym świetle nadal dotyczy nas. A więc i waszego wydziału.

– Mówisz poważnie? – prychnął Kins. – Przejazd na czerwonym świetle?

Cerrabone wzruszył ramionami.

– Przejazd na czerwonym świetle to przestępstwo z kodeksu cywilnego. Więc jeśli marynarka przejmie jurysdykcję, a my nie będziemy zadowoleni z rezultatu, zachowamy prawo do postawienia Treja przed sądem wyższej instancji.

– Nolasco nie będzie chciał angażować swoich ludzi w przejazd na czerwonym świetle – wyraził swoje powątpiewanie Kins. – Nie przy takiej liczbie zabójstw jak w tym roku. A poza tym co z zasadą niedopuszczalności powtórnego sądzenia?

– Tu nie ma zastosowania – odparł Cerrabone. – I rzadko stanowi problem, bo wojsko nie jest ograniczone tymi samymi zapisami kodeksu, jakie obowiązują nas. Jeśli uznają Treja za winnego, mogą mu wlepić dużo dłuższy wyrok niż my. Właśnie tłumaczyłem to matce i babci ofiary.

– Jak one to wszystko przyjmują? – spytała Tracy.

– Nie wiem. – Cerrabone wzruszył ramionami. – Ale z trudem się trzymają.

– I nie ma się co dziwić.

– Myślę, że nie mają zaufania do systemu.

– Odniosłam takie samo wrażenie, kiedy poszłam je zawiadomić, że aresztowaliśmy sprawcę – powiedziała Tracy. – Boję się, że przejęcie sprawy przez marynarkę wojenną w niczym tego nie zmieni.

– Na pewno nie. Raczej uznają, że marynarka włącza się po to, by chronić jednego ze swoich. Dunleavy wyraził tę samą obawę i w odpowiedzi usłyszał, że jeśli przejmą sprawę, to szybko rozwieją wszelkie podejrzenia, organizując przesłuchanie na mocy artykułu trzydziestego drugiego.

– O sędzie wojennym? – spytał Kins.

Cerrabone pokręcił głową.

– Nie, artykuł trzydziesty drugi jest wojskowym odpowiednikiem naszego skierowania sprawy do wielkiej ławy przysięgłych, z tą jedynie różnicą, że ich obrady są dostępne dla publiczności i mediów. Ich prawnik powiedział, że mogą to zorganizować w ciągu dwóch tygodni. Być może to, że podchodzą poważnie do osądzenia Treja, uspokoiłoby matkę ofiary. – Cerrabone popatrzył na Tracy. – Dunleavy



będzie obstawał przy tym, żebyś wystąpiła jako świadek, co pokazałoby, że policja Seattle jest zaangażowana w tę sprawę. Trzeba to będzie dobrze rozegrać. – Znów podciągnął rękaw, by spojrzeć na zegarek. – Musimy już wracać.

Wszyscy troje wrócili na salę, Cerrabone usiadł obok matki i babci D'Andrego Millera, Tracy i Kins stanęli pod tylną ścianą. Choć na dworze było zimno, ciepło stłoczonych ludzkich ciał nagrzało pomieszczenie na tyle, że zrobiło się duszno. Wentylator na stole sędziowskim próbował temu zaradzić, ale Tracy poczuła się tak, jakby ktoś skierował na nią promienniki ciepła, które rozpełzło się po jej całym ciele.

– Strasznie tu gorąco, nie? – szepnęła do Kinsa.

– Da się wytrzymać – odparł, wzruszając ramionami.

A więc to uderzenie gorąca spowodowane clomidem. W dobrym momencie, pomyślała. Pozostawało mieć nadzieję, że to tylko efekt clomidu. Jej matka przeszła menopauzę we wczesnym wieku, a u Tracy oznaczałoby to definitywny koniec nadziei na dziecko.

O czternastej trzydzieści na salę wszedł sędzia Milo Yokavich, który miał podobno siedemdziesiąt trzy lata, ale wyglądał i ruszał się jak stulatak. Towarzyszący mu dwaj masywnie zbudowani funkcjonariusze aresztu okręgowego wyglądali przy nim jak wielkoludy przy karzełku.

– Gringott – mruknął pod nosem Kins.

Z kosmykami rzadkich włosów na głowie, wielkimi uszami i haczykowatym nosem, Yokavich zwany był Gringottem, jak goblin bankowiec z *Harry'ego Pottera*. Na to przezwisko wpadł pewien złośliwy adwokat, który dostrzegł podobieństwo z książkową postacią.

Yokavich usiadł między flagami Stanów Zjednoczonych i stanu Waszyngton, dał znak głową urzędniczce i ta wywołała sprawę numer 17285 SEA, stan Waszyngton przeciwko Laszłowi Gutierrezowi Trejowi. Sędzia najwyraźniej tak ustawił swą agendę, by odfajkować sprawę Treja jako pierwszą i pozbyć się tłumu z sali przed przystąpieniem do następnych.

Trejo wszedł drzwiami po prawej; był w więziennym białoczarnym pasiaku z napisem POD SZCZEGÓLNYM NADZOREM na plecach. Cerrabone podszedł do biurka i stanął obok dwojga oficerów marynarki, podczas gdy Yokavich zaczął czytać leżący przed nim

dokument. Czytał przez kilka minut, w skupieniu przewracając kartki, choć zapewne zapoznał się z jego treścią jeszcze przed wejściem na salę. Skończył, przerzucił kartki z powrotem do początku i ułożył dokument przed sobą na stole.

– Przeczytałem... – popatrzył na dwójkę oficerów marynarki, jakby zaskoczony ich obecnością – przeczytałem oświadczenie. Coś jeszcze ze strony władz?

– Nie, Wysoki Sądzie – odrzekł Cerrabone.

– Stwierdzam istnienie wystarczającego uzasadnienia do zatrzymania podejrzanego w areszcie. – Yokavich popatrzył na stojących przed nim prawników. – Czy któraś ze stron chce zabrać głos?

Mężczyzna w mundurze skinął głową.

– Obrona chciałaby zabrać głos.

– Tak też myślałem. – Yokavich kiwnął głową i odchylił się na oparcie fotela.

– Wysoki Sądzie, melduje się kapitan Cameron Moore, starszy obrońca sądowy Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych. Obok mnie stoi porucznik Leah Battles, adwokat przydzielona do Bazy Marynarki Wojennej Kitsap na Bremerton w stanie Waszyngton, gdzie służy oskarżony. Jak zapewne Wysoki Sąd poznaje po naszych mundurach, oskarżony służy w Marynarce Wojennej Stanów Zjednoczonych.

– Nie umknęło to mojej uwadze – mruknął Yokavich.

– Przez chwilę w to nie wątpiłem. Ściśle mówiąc, pan Trejo jest specjalistą logistykiem w Bazie Marynarki Wojennej Kitsap. Dziś rano rozmawiałem z prokuratorem okręgowym o możliwości przekazania tej sprawy pod jurysdykcję Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych.

Yokavich spojrzał na Cerrabone'a.

– Panie prokuratorze?

– Wysoki Sądzie, wiem, że prokurator okręgowy miał telefon od kapitana Moore'a – odparł Cerrabone. – Nic mi natomiast nie wiadomo o podjęciu jakiejś decyzji w kwestii właściwej jurysdykcji dla tej sprawy. Powiedziano mi, że marynarka wojenna podejmie dalsze śledztwo i że decyzja co do jurysdykcji zostanie podjęta po zakończeniu tego śledztwa.

– Czyli marynarka nie przejęła jeszcze tej sprawy? – upewnił się Yokavich.

– Jeszcze nie. O ile mi wiadomo – zastrzegł Cerrabone.

– Jesteśmy w trakcie podejmowania decyzji – wtrącił Moore. – Nasi specjaliści zajmują się tą sprawą. Proszę Wysoki Sąd, by do chwili ukończenia przez nich śledztwa specjalista logistyki Trejo został dla jego bezpieczeństwa osadzony w Fort Lewis, w Zakładzie Karnym Połączonych Sił Zbrojnych Regionu Północno-Zachodniego.

– Dla jego bezpieczeństwa? – szepnęła Tracy do swojego partnera. – Co on pieprzy?

– Nie wiem. – Kins pokręcił głową.

– Wysoki Sądzie – odezwał się Cerrabone. – Jestem pewny, że areszt okręgu King jest w stanie zapewnić panu Trejowi wystarczająco bezpieczne warunki.

– Dlaczego podejrzany nie może pozostać w areszcie okręgowym? – zwrócił się Yokavich do Moore'a.

– Wysoki Sądzie, pan Trejo jest w czynnej służbie wojskowej i podczas swych misji zagranicznych służył na pokładzie USS *Stennis* oraz w naszych bazach operacyjnych w Iraku i Afganistanie. Nie może przebywać w zwyczajnych ośrodkach odosobnienia z uwagi na możliwość szykan ze strony osadzonych tam obcokrajowców.

– Żartuje? – parsknęła Tracy. – Przecież pracował w magazynach.

– Nie sądzę, by żartował – mruknął Kins.

– Do czasu podjęcia decyzji o właściwej jurysdykcji pan Trejo pozostaje w gestii aresztu okręgu King – powiedział Cerrabone. – Tam został umieszczony i wprowadzony do systemu. Jeśli marynarka wojenna przejmie sprawę pod swoją jurysdykcję, będzie go mogła przenieść do swojego zakładu karnego.

– Wysoki Sądzie, pan Trejo jest niewinny do chwili uznania go za winnego. Ponieważ nie da się zagwarantować mu bezpieczeństwa w cywilnym więzieniu, wolno mu skorzystać z prawa do bezpiecznego aresztu w zakładzie karnym połączonych sił zbrojnych w bazie Lewis-McChord, gdzie będzie przebywał w odosobnieniu do chwili zakończenia dochodzenia przez śledczych marynarki wojennej. Ta prośba nie jest w najmniejszym stopniu podyktowana brakiem zaufania do prokuratora okręgu King.

Może i nie, pomyślała Tracy, ale tego typu postępowanie będzie w oczach Shaniqui Miller i reszty zgromadzonego tłumu wyglądało na przejaw pobłażliwego traktowania oskarżonego przez marynarkę wojenną.

Yokavich wlepił wzrok w sufit i zaczął dumać nad problemem.

– Nie widzę w tym śladu braku zaufania – odezwał się w końcu, przenosząc wzrok na Cerrabone’a. – Widzi pan w tym brak zaufania?

– To zupełnie zbędny krok, panie sędzio, który jest oparty na przewidywaniu czegoś, co nigdy dotąd się nie wydarzyło i może się nigdy nie wydarzyć – odrzekł Cerrabone. – Taką decyzję można podjąć wówczas, kiedy marynarka wojenna przejmie jurysdykcję nad sprawą. Na razie jednak tak nie jest i nie wiadomo, czy do tego dojdzie. Do tego czasu pana Treja należy traktować tak, jak każdego innego podejrzanego w okręgu King.

– Ale skoro już tu jesteśmy, załatwmy to może od razu – powiedział Moore. – Zapobiegnie to konieczności przenoszenia pana Treja w późniejszym terminie i zapewni mu bezpieczeństwo.

Yokavich pokiwał głową.

– Uznaję wniosek marynarki wojennej. Podejrzany będzie przebywał w jej areszcie do czasu zakończenia przez śledczych marynarki dochodzenia.

– Cholera – burknęła Tracy na tyle głośno, że Kins odwrócił głowę i skarcił ją wzrokiem. Większość zebranych z niezadowoleniem pokręciła głowami.

– Jeśli marynarka nie zdecyduje się przejąć sprawy, ponownie do niej wrócimy – oświadczył Yokavich. – Do tego czasu wysyłam oskarżonego do Północno-Zachodniego Zakładu Karnego... Mówią na to Bryg, prawda? – Sędzia popatrzył na Battles.

– Czy pan sędzia służył w marynarce? – spytała Battles.

– Z dumą – potwierdził Yokavich. – W stopniu bosmana.

Battles uśmiechnęła się radośnie, a Tracy dojrzała sztylety w oczach publiczności.

– Bryg nazywają teraz Zakładem Karnym Połączonych Sił Zbrojnych Regionu Północno-Zachodniego. – Battles wzruszyła ramionami. – Może dla polityków to lepiej brzmi, ale ja wolę Bryg.

Yokavich blado się uśmiechnął. Tracy jeszcze nigdy nie widziała uśmiechu na jego twarzy. A teraz miał minę uczniaka uwodzącego

najładniejszą koleżankę w klasie.

– To strasznie długa nazwa, nie?

– Owszem – potwierdziła Battles.

– Niech oni już to skończą, bo ludzie na sali się zbuntują – mruknęła Tracy.

– I będą mieli rację – rzucił Kins.

– No dobrze. – Yokavich przeniósł wzrok na Cerrabone'a, jakby sobie nagle o nim przypomniał. – Coś jeszcze?

– Nie, Wysoki Sądzie – odpowiedzieli razem Cerrabone i Moore.

– Pani sekretarz, proszę wywołać następną sprawę – zarządził Yokavich.

Tracy patrzyła, jak Trejo odchodzi w towarzystwie dwóch rosłych strażników. Jeden nachylał się do jego ucha, coś szeptał i klepał go po plecach, po czym wszyscy trzej zniknęli za drzwiami.

Obecny na przesłuchaniu pełnomocnik rodziny ofiary mówił coś do Shaniqui Miller i jej matki, ale żadna z nich go nie słuchała. Poszło nawet gorzej, niż Tracy się obawiała. Cerrabone spojrzał na nią, wywrócił oczami, ale poza tym nie zrobił nic więcej.

Battles i Moore ruszyli do wyjścia. Zbliżając się do drzwi, Battles odwróciła głowę, odszukała wzrokiem Tracy i spojrzała na nią tak, jakby rzucała jej wyzwanie.

## Rozdział 15

Del wyszedł z windy, poprawił marynarkę i ruszył po marmurowej posadzce w stronę sali rozpraw sędzi Deborah Kerr. Otworzył ciężkie drewniane drzwi, wemknął się do środka i usiadł na pustawej galerii dla publiczności. Kilkoro przysięgłych z ławy po prawej stronie sali obrzuciło go przelotnymi spojrzzeniami i powróciło wzrokiem do Celi McDaniel. Tak jak przypuszczał, McDaniel była dobra w swoim fachu i skupiała na sobie uwagę. Zachowywała się swobodnie, a jej południowe przeciąganie głosek brzmiało wręcz czarująco.

Dziesięć minut później, gdy przerwała na moment swój wywód, by przejść do następnego tematu, sędzia Kerr popatrzyła na zegar na ścianie.

– Może to dobry moment, pani prokurator, by zakończyć na dziś? – powiedziała.

McDaniel niby z zaskoczeniem spojrzała na zegar, ale Del czuł, że chętnie skorzysta z propozycji. Sędzia stwarzała jej okazję wysłania przysięgłych do domu po długim tygodniu procesu, więc McDaniel musiałaby być głupia, by z tego nie skorzystać. A Celia McDaniel nie była głupia.

– Doskonale, Wysoki Sądzie. Może uda nam się dotrzeć do domów przed godzinami szczytu.

Gdy przysięgli zaczęli zbierać się do wyjścia, Del podszedł do stołu oskarżenia, przy którym McDaniel pakowała swoje papiery do kartonowego pudła. Na jego widok przerwała i uniosła lekko górną wargę, co mogło być zarówno uśmiechem, jak i złośliwym uśmieszkiem. Nie widzieli się od spotkania w kawiarni, w której go zostawiła z niedojedzonym pączkiem i niedopitą kawą.

– Cóż tu pana sprowadza w piątkowe popołudnie, detektywie? Namierzył pan tego dilerę?

Del miał przystąpić z McDaniel do przygotowania oskarżenia, ale dopiero po ustaleniu nazwiska czy nazwisk dostawców prochów,

które zabiły Allie i mogły się wiązać ze śmiercią innych ofiar przedawkowania. Ale nie to było celem jego dzisiejszej wizyty.

– Nie, jeszcze nie. – Del odchrząknął. – Przyszedłem przeprosić za tamto spotkanie. Nic nie wiedziałem o pani synu i zachowałem się...

– Gburowato?

Wzruszył ramionami.

– Chciałem powiedzieć „niedelikatnie”, ale niech będzie gburowato.

– Nic się, kochany, nie przejmuj. – Skinęła głową. – Słyszałam dużo gorsze rzeczy. Co wiadomo o dilerze twojej siostrzenicy?

Ucieszyło go, że może zmienić temat, choć śledztwo w sprawie śmierci Allie nie było powodem jego wizyty w sądzie.

– Wczoraj przekazałem technikom telefon i laptopa Allie. Melton obiecał, że zajmą się tym jak najszybciej.

– Wiem od Funka, że są kolejne ofiary.

– Dwie. Podobne okoliczności i wszystko wskazuje na to, że chodzi o ten sam produkt. Dostarczyłem Funkowi próbkę, żeby się temu przyjrzał i w miarę możliwości dokonał analizy. Twierdzi, że to nie czarna smoła i że może chodzić o chińską biel.

– To by było dość niezwykle na Zachodnim Wybrzeżu.

– Funk też tak uważa.

– Powiadomiłeś o tym narkotyki?

Del skinął głową.

– Rozmawiają z uzależnionymi. Słyszałem też, że ich rowerowi agenci rozsyłają wici. Mówi się, że mogą odebrać tę sprawę Sekcji Ciężkich Przystępstw... czyli mnie.

McDaniel chwilę się zastanowiła.

– Może w kwestii składu produktu i źródła jego pochodzenia, ale nie w sensie ścigania dostawców śmiertelnej substancji – powiedziała w końcu. – To na pewno zostanie w gestii Sekcji Ciężkich Przystępstw.

– Dzięki – bąknął.

Wyciągnęła ręce, by podnieść pudło, ale Del powstrzymał ją ruchem ręki. Wciąż jeszcze nie wyjawiał celu swej wizyty.

– Miałem nadzieję, że przyjmiesz zaproszenie na drinka... w ramach zadośćuczynienia za moje gburowate zachowanie.

Uniosła brwi.

– To ma być drink z litości, detektywie?

– Ależ skąd! – rzucił. Wrogość jej odpowiedzi zaskoczyła go. – Nic podobnego.

– Czyli chcesz tylko oczyścić sumienie, bo źle się z tym czujesz, tak? Del zakołysał się na piętach, zupełnie już zbity z tropu.

– To też nie przyszło mi do głowy – bąknął.

McDaniel uśmiechnęła się, w jej oczach pojawiły się iskiereki.

– Tylko się z tobą drocę. Kto by nie chciał pójść na drinka w piątkowy wieczór po długim tygodniu? – Uniosła karton. – Ale nigdy nie piję bez jedzenia, a już ci mówiłam, że kocham jeść. Lubisz tajską kuchnię?

– Jasne. – Nie był wielkim miłośnikiem orientalnego jedzenia, ale bał się coś powiedzieć, by znów czegoś nie palnąć. – Uwielbiam.

Podawała mu pudło.

– Pomóż mi najpierw zawieźć to do biura – powiedziała. – Znam jedną fajną knajpkę.



## Rozdział 16

W poniedziałek rano Leah Battles odpięła stopę od pedału i pociągnęła za sznurek zawieszony na szyi. Na czas jazdy rowerem wkładała legitymację wojskową do plastikowego etui na sznurku i chowała pod koszulkę. Jak co rano machnęła legitymacją wartownikowi przy bramie Charleston i zaczęła upychać etui z powrotem pod koszulkę.

– Chwileczkę. – Wartownik wyszedł z budki i podszedł do Battles.

Jeździła rowerem do pracy w Bazie Marynarki Wojennej Kitsap codziennie od trzech lat, bez względu na pogodę. Czy miała obsesję na punkcie tężyzny fizycznej? Nie. Była po prostu oszczędna. W marynarce wojennej nie zarabiała kokosów, a posiadanie w Seattle samochodu bez własnego miejsca postojowego oznaczało karmienie drogich parkometrów. A ona wolała karmić siebie. Codzienna opłata za przewóz samochodu promem też nie miała sensu. Jeżdżenie rowerem było dużo tańsze, a dodatkowo dawało okazję do jedyne go wysiłku fizycznego w dniach i tygodniach szczególnego nawału pracy, na co właśnie się zanosilo. Terminal promowy znajdował się tylko kilka przecznic od jej mieszkania przy Pioneer Square, a na Bremerton miała tylko nieco ponad trzy kilometry do bramy Charleston.

I co dzień rano okazywała wartownikowi legitymację służbową.

Ale o ile jej codzienny dojazd do pracy rowerem nie ulegał zmianom, to wartownicy obsługujący bramę zmieniali się zbyt często. Niektórzy, tak jak ten dzisiejszy osioł, kazali jej nawet wyjmować legitymację z przezroczystego etui i byli strasznie upierdliwi. Brakowało tylko, żeby zaglądali jej do tyłka.

Zwalczyła chęć rzucenia jakiejś sarkastycznej uwagi i dania upustu nerwom, próbując sobie tłumaczyć, że facet wykonuje tylko swoją pracę. Ale była zmarznięta na kość i chciała jak najszybciej znaleźć się w środku, zrobić sobie kawę i trochę się rozgrzać.

– Macie czytnik czipów, czy wystarczy tylko przesunąć kartę przez szczelinę? – spytała, wręczając wartownikowi legitymację.

Obrzucił ją zdumionym spojrzeniem.

– Słucham?

– Poproszę o dwa losy na loterię Powerball i o pięćdziesiąt dolarów w gotówce.

Wartownik nawet się nie uśmiechnął. Może był kandydatem do Gwardii Królewskiej pod pałacem Buckingham i ćwiczył kamienną twarz. Przenosił wzrok ze zdjęcia w legitymacji na jej twarz i z powrotem. Uśmiechnęła się szeroko.

Oddał legitymację wyraźnie zaskoczony jej stopniem; nawet zasalutował.

– Dziękuję, pani porucznik.

Zasalutowała dość niedbale, wetknęła legitymację do etui i wsunęła pod koszulkę. Wjechała przez bramę, już nie przypinając stóp do pedałów. Został jej do przejechania tylko kawałek z górki, skręt w Barclay Street i przejazd przez parking do budynku numer 433. Ostatnie wejście po prawej prowadziło do Biura Obsługi Prawnej oddziału Bremerton Zachód, w skrócie BOP, jej drugiego domu. Podobnie jak cała Baza Marynarki Wojennej Kitsap, która powstała z połączenia Bazy Marynarki Wojennej Bremerton i Bazy Okrętów Podwodnych Kitsap, BOP powstało w wyniku reorganizacji Biura Usług Prawnych Marynarki Wojennej, do którego obowiązków należało sporządzanie testamentów, zawieranie umów dzierżawy i inne tego typu ekscytujące zadania, ale także występowanie w obronie oskarżonych. W ramach reorganizacji rozdzielono pion cywilny i karny biura i Battles mogła dziękować za to opatrności. Nie podejmowała tej pracy po to, by się handryczyć, kto ile dostanie lub gdzie zamieszka.

Zdjęła kask, wprowadziła cztery końcowe cyfry numeru ubezpieczenia społecznego do szyfratora przy drzwiach, co je odblokowało i zarejestrowało jej przyście do pracy. Weszła do środka i poczuła ożywczy powiew ciepłego powietrza na skostniałym z zimna ciele. Siedząca za biurkiem sekretarka o imieniu Darcy powitała ją jak zawsze przyjaznym uśmiechem.

– Co słychać, pani porucznik?

– Wszystko gra, Darcy – rzuciła Battles, mijając jej biurko. – Dam ci znać, jak przestanie grać.

Podeszła do drzwi swojego gabinetu na początku korytarza, ale nim zdążyła wejść, usłyszała wołanie:

– Podobno miałaś bardzo pracowity weekend, Lee!

Z głębi korytarza wyłonił się uśmiechnięty Brian Cho, starszy oskarżyciel sądowy w bazie Kitsap.

Gabinet Cho mieścił się na pierwszym piętrze obok sali rozpraw i jego obecność na parterze świadczyła o tym, że albo czekał na nią na korytarzu, albo zauważył przez okno, jak przejeżdża przez bramę Charleston. Miał na sobie granatowo-szary mundur połowy nazywany w miejscowym żargonie skrótem MRSB od „marynarski roboczy strój bojowy”, a co Battles nieoficjalnie tłumaczyła jako „mało rajcowne straszne brzydactwo”, marynarze zaś pogardliwie przechrzcili na „borówkę”. Mówiło się, że dowództwo zamierza w ogóle zrezygnować z MRSB, bo noszenie tych mundurów w pobliżu otwartego ognia okazało się niebezpieczne. Łatwopalne mundury? Nieźle! Nawet sam dowódca marynarki wojennej wyraził na ich temat opinię: „To świetny ubiór maskujący dla kogoś, kto wypadnie za burzę”.

Battles zignorowała zaczepkę, bo był to tylko Cho, weszła do gabinetu i usiadła za biurkiem. Zapaliła lampę z abażurem od Tiffany’ego, która niegdyś zdobiła biurko jej ojca, i przybrała minę człowieka bardzo zaabsorbowanego pracą. W pomieszczeniu nie było okna i brak dziennego światła sprawiał, że przypominało celę więzienną. Można w nim było dostać ataku klaustrofobii, zwłaszcza zimą, kiedy często przyjeżdżała przed wschodem i odjeżdżała do domu po zachodzie słońca.

Cho, należący do ludzi, którzy nie przejmują się takimi afrontami, bezceremonialnie wcisnął się do gabinetu.

– Słyszałem o Treju i przesłuchaniu wstępnym – powiedział.

W stosunku do Cho zawsze stała w rozkroku między okazaniem koleżeńskości a daniem kopa w tyłek z repertuaru krav magi. Przystojny Azjata, z uśmiechem olśniewająco białych zębów jak u członków mormońskiego chóru kościelnego, nie krył się z tym, że ma tabun wielbicielek na kiwnięcie palcem. Bywał przy tym arogancki i sarkastyczny – i to były jego zalety. Battles pomyślała, że skoro Cho już wie, to znaczy, że szef prokuratorów sporządził już syt-rap, czyli

raport sytuacyjny, i rozesłał go na biurka decydentów w bazie. Nie tracili czasu, a więc planowali przejąć sprawę pod swoją jurysdykcję.

– To wiesz tyle samo co ja – mruknęła, rzucając kask na biurko.

– Błyskawicznie zadziałałaś. Słyszałem, że byłaś u niego w areszcie. Nie połknęła przynęty.

– Zadzwoił do mnie. Miałam przy sobie telefon i akurat byłam w mieście. – Zdjęła z nóg buty rowerowe. W swojej szafce trzymała czarne kozaki i mundur, ale dla Cho nie stanowiło to wystarczającej zachęty do wyjścia.

– Gdzie jest teraz Trejo?

– W Lewis-McChord – odparła.

– Czyli przejmujemy jurysdykcję?

Pewnie o to mu chodziło.

– Jak już powiedziałam, wiem tyle samo co ty. Po prostu chcieliśmy wydostać go z aresztu okręgowego.

– Od naszych wrażych kombatantów? – W głosie Cho zabrzmiała nutka sarkazmu.

– Wiesz, jak jest.

– Rozmawiałaś z nim?

– O niczym konkretnym.

– Słyszałem, że sprawa będzie nasza – powiedział. – Że przejmujemy jurysdykcję.

Wzięła do ręki jakiś papier i udała, że czyta.

– Nie byłabym zdziwiona – bąknęła.

– Przymierzasz się do niej, przyznaj się.

No więc wreszcie to z siebie wydusił. To był cel jego wizyty.

Odłożyła papier.

– To też słyszałeś?

Cho wyszczerzył zęby w sardonicznym uśmiešku. Uwielbiał zachodzić ludziom za skórę.

– Sprawa tego kalibru dobrze wygląda w CV.

– Mówisz o swoim CV czy o moim? – Ruszyła do drzwi. Wyjście do damskiej toalety mogło być jedynym sposobem na uwolnienie się od tego durnia.

– Moje CV nie wymaga podkolorowania. – Cho nadal się uśmiechał. Jeszcze chwilę stał w milczeniu, po czym bez słowa wyszedł.

Battles, walcząc ze sobą, by nie krzyknąć za nim, że jest aroganckim palantem, zamknęła drzwi i wróciła do biurka. Na ścianie obok oprawionej w ramki makatki przywiezionej z Bombaju, z napisem: *Wstąp do marynarki, poznaj świat!*, wisiały jej dwa dyplomy Obrońcy Sądowego Roku. Zdobycie ich kosztowało ją dużo wysiłku, ale Cho miał rację: zajęcie się sprawą Treja bardzo by poprawiło jej zawodowy wizerunek, tyle że nie zamierzała mu się do tego przyznawać. Cho był jedynym prokuratorem, który dwukrotnie z nią wygrał. A ona z nim ani razu. I choć sprawa zapowiadała się na trudną, podobało jej się to wyzwanie.

Nie zapalając światła, podeszła do szafki i szybko przebrała się w mundur polowy i czarne kozaki, po czym usiadła przy biurku i przejrzała materiały zebrane podczas weekendu. Trejowi groziło wieloletnie więzienie. Zgodnie z Wojskowym Kodeksem Sprawiedliwości, w procesie przed sądem wojskowym mógł być skazany przez sędziego lub wojskową ławę przysięgłych na wyrok znacznie przekraczający dziesięć lat, które byłyby górną granicą w procesie cywilnym. Zważywszy na klimat polityczny, jaki zapanował od czasu kampanii CZARNE ŻYCIE SIĘ LICZY, i biorąc pod uwagę fakt, że sprawca uciekł z miejsca wypadku, Trejo stawał się idealnym kandydatem do przykładowego ukarania.

I to Battles gryzło. Trejo nie zrobił na niej wrażenia kogoś szczególnie tępego czy złego, powinien był też pomyśleć o żonie. Więc czemu uciekł? Jak dotąd do niczego się nie przyznawał i uparcie twierdził, że tego wieczoru w ogóle nie był w Seattle, a człowiek na okazanym mu przez policję nagraniu to nie on. Może rzeczywiście nie on. Nie widziała tego nagrania i nie miała powodu wątpić w prawdziwość słów podejrzanego. Przypuszczała, że dowództwo zdecyduje się na przesłuchanie na mocy artykułu 32. i nie będzie z tym zwlekać. Jeśli Treja nie było tego dnia w Seattle, jego obrona będzie prosta. Ale jeśli był, będą jej potrzebne okoliczności łagodzące. D'Andre Miller śpieszył się do domu i nie rozglądał się. Było ciemno. Chłopak wtargnął na jezdnię, nie zostawiając Trejowi szansy na uniknięcie wypadku. Dzieciak mógł w ogóle nie iść chodnikiem. Mogło zdarzyć się wiele różnych rzeczy, które wyjaśniałyby, dlaczego doszło do tragedii.

Nie było natomiast wyjaśnienia na to, dlaczego Trejo uciekł. Jeśli to był on.

Ktoś zapukał do drzwi.

– Wejść – rzuciła.

– Pani porucznik, można na słówko?

Do pokoju weszła Rebecca Stanley, jej bezpośrednia zwierzchniczka. Battles wstała, ale nie zaskłoniła. Zwyczaje w marynarce wojennej nie były tak sformalizowane jak w innych rodzajach wojsk. Skłoniło się tylko przy spotkaniach na wolnym powietrzu. Tyle że Stanley była nowa w bazie Kitsap i okazała się większą słuźbistką od poprzedniczki. Battles nie chciała wyjść na nieokrzesaną i dlatego wstała.

– Proszę – powiedziała.

Stanley dość niezdarnie odwróciła się i zamknęła za sobą drzwi. Było tajemnicą poliszynela, że doznała kontuzji pleców podczas służby w Kabulu w Afganistanie, gdzie wysłano ją z misją uporania się z niezliczonymi skargami miejscowej ludności na utratę mienia lub członków najbliższej rodziny w wyniku działań amerykańskich sił zbrojnych. Któregoś wieczoru baza Stanley znalazła się pod ostrzałem moździerzy, co nie było niczym niezwykłym, niezwykła natomiast okazała się celność ataku. Pocisk z moździerza trafił w kwaterę Stanley, wyrzucił ją z łóżka i walnął nią o ścianę, w wyniku czego doznała złamania kręgosłupa i kilku żeber.

Spojrzała na niezapalone jarzeniówki na suficie.

– Tu zawsze tak ciemno? – spytała.

– Na swój użytek nazywam to oświetleniem nastrojowym – odparła Battles.

Jej przełożona uśmiechnęła się łagodnie i usiadła ostrożnie na jednym z dwóch brezentowych krzeseł. Battles zajęła swoje miejsce za biurkiem.

– Zapowiadane przesłuchanie w sprawie Treja narobiło dziś rano dość dużo szumu. – Stanley od razu przystąpiła do rzeczy.

– Spodziewałam się, że tak będzie.

– Widziałaś się z nim? – Spojrzenie ciemnych oczu Stanley oscyloowało między pustym i pozbawionym wyrazu a przenikliwym. Odgarnęła ciemne włosy za uszy.

– Tylko przelotnie – odparła Battles, nadal szykując grunt pod przejście tej sprawy. – Odebrałam jego telefon w czwartek wieczorem. Areszt okręgowy miałam po drodze z treningu do domu, więc wstąpiłam tam, uprzedziłam wszystkich, że Trejo nic im nie powie, i poradziłam, żeby nawet nie próbowali czegoś z niego wyciągać. – Wzruszyła ramionami na znak, że nie przywiązuje do tego większej wagi.

– Wiem, że NCIS bada zarzuty, ale niewiele jest do zbadania. Brak naocznych świadków, parę nagrań wideo. Ślady znalezione na samochodzie nie wnoszą nic nowego. Słyszałam też od jednego z szefów Biura Obsługi Prawnej, że marynarka wojenna przejmie tę sprawę pod swoją jurysdykcję.

– Wspominał już o tym w trakcie przesłuchania wstępnego. Nie dziwi mnie to... w tych okolicznościach.

– Trejo coś mówił, że chciałby cywilnego obrońcę?

– Nic nie mówił, ale nie sędzę, żeby było go stać na adwokata.

– A to nagranie wideo. Co miał w tej sprawie do powiedzenia?

– Że to nie on.

– Widziałaś je?

– Jeszcze nie.

Stanley złożyła dłonie jak do modlitwy.

– No cóż, czyli wszystko wraca do nas.

– Tak, pani kapitan.

– Chcesz tę sprawę. – W tym zdaniu nie było znaku zapytania.

– Tak, pani kapitan.

– Wygląda mi to na z góry przegraną sprawę, chyba że Trejo mówi prawdę i to nie on jest na nagraniu.

– To możliwe.

– Myślisz, że sobie z tym poradzisz?

– Absolutnie.

– Bo słyszałam, że oskarżycielem Treja ma być Cho.

Battles od razu wyczuła, że coś się kryje za jego wizytą u niej.

– Nie jestem zaskoczona – rzuciła.

– Cho nigdy nie przegrał w sprawie kryminalnej.

– Zawsze może być ten pierwszy raz. – Battles odchyliła się na oparcie fotela. – Zapoznam się z materiałem dowodowym i zobaczę, jaki jest mocny. Jeśli tak mocny, jak na to wygląda, być może Trejo

będzie musiał wystąpić z wnioskiem o możliwość dobrowolnego poddania się karze.

– Wygląda na to, że masz to pod kontrolą. Tylko nie daj się wymanewrować.

– To znaczy, pani kapitan? – spytała Battles, nieco zaskoczona tą uwagą.

Stanley założyła ręce za oparcie krzeselka i lekko wychyliła się do przodu.

– Dowództwo będzie się uważnie przyglądało tej sprawie, Lee. Bo mówiąc wprost, wygląda to dość paskudnie. Jeśli Trejo przejechał dzieciaka i uciekł z miejsca wypadku, nie postawi to marynarki w zbyt korzystnym świetle, a jeżeli to nagranie ze sklepu jest tak jednoznacznie obciążające, jak twierdzi policja, i Trejo się nie przyzna... – Zawiesiła głos. – Musisz dopilnować, by w pełni zrozumiał ciężar tego czynu, jeśli zdecyduje się nie przyznać do winy. Zwłaszcza przy obecnym klimacie politycznym.



# CZĘŚĆ II

*17 marca, dwa tygodnie później*

## Rozdział 17

Od początku szanse były niewielkie, ale Tracy i tak poczuła ogromne rozczarowanie. Owinęła pasek testu ciążowego w papier toaletowy i wyrzuciła do śmieci razem z pustą fiolką po clomidzie. Jej czternastodniowa kuracja dobiegła końca i poczuła się jak przeterminowany karton mleka. Doktor Kramer zapewnił ją, że wciąż jeszcze może zajść w ciążę, bo lekarstwo będzie przez jakiś czas obecne w organizmie, ale w głosie lekarza nie było słychać zbytniego optymizmu.

Sama też go nie czuła.

Ale przynajmniej skończyła zażywać lek, więc może skończą się chociaż uderzenia gorąca i skoki nastroju. Oby, bo okazała się jedną z tych kobiet, u których efekty uboczne były bardzo silne i przez ostatnie dwa tygodnie doprowadzały ją do szału. Czuła się tak, jakby od środka się pociła. Spała w nocy odkryta, serce waliło jej jak młotem, T-shirt można było wyzymać. Biedny Dan budził się w nocy zmarznięty na kość, aż w końcu zaczął się przykrywać oddzielną kołdrą. Za dnia szukała pretekstów, by choć na chwilę wyjść na dwór, ale w końcu nawet ziąb za oknem przestał ją chłodzić. Zresztą zima wyraźnie miała się ku końcowi i temperatura wahała się wokół dziesięciu stopni, co było całkowicie normalne dla połowy marca. Wraz z wyższą temperaturą przyszły deszcze i przez trzy dni lało non stop, a prognozy na najbliższe dni nie zapowiadały znaczącej poprawy pogody.

Tracy umyła ręce w łazience i przyjrzała się swojemu odbiciu w lustrze nad umywalką. Kurze łapki wokół oczu wydawały się wyraźniejsze, a w blond włosach dostrzegała siwe nitki. Odziedziczona po matce cera nie była tak nienaganna jak kiedyś i przez skórę prześwitywały pierwsze plamy związane z wiekiem. Wcześniej jej to nie przeszkadzało, bo nie miało to znaczenia. Teraz też nie martwiła się samym wiekiem. Martwiło ją to, co wiek z sobą

niesie. Czują go w swoim bolącym barku i kolanie, w którym ją kłuło, jeśli źle postawiła nogę. Wzrok Tracy – niegdyś 20/10, jej największy atut w zawodach strzeleckich – spadł do zwykłego 20/20. Zbliżała się do wieku, w którym ojciec odebrał sobie życie, nie mogąc się pogodzić z utratą córki, młodszej siostry Tracy, Sary.

I do tego jeszcze nie mogła mieć dziecka.

Gdzie się podziała jej młodość?

Popatrzyła na czarno-białą fotografię na ścianie łazienki. Dan zrobił jej niespodziankę, przyczepiając tam to zdjęcie po tym, jak się tu przeprowadzili. On, Tracy i Sara, troje dzieciaków siedzących na gałęziach wierzby płaczącej, która rosła przed domem jej rodziców. Dlaczego nie pamiętała tej chwili bez wspomaganie się fotografią?

Czują własną śmiertelność i zaczynała ją gnębić świadomość, że nie przekaże dalej swych genów, spuścizny jej rodziny. Gałąź drzewa genealogicznego skończy się na niej.

Ale może to tylko kolejny cholerny skok nastroju w wyniku zażywania tego pieprzonego clomidu?

Jedno było pewne. Rozpamiętywanie życia nad umywalką w niczym jej nie pomoże.

– Tracy?! – usłyszała wołanie Dana z sypialni.

Zebrała się w sobie i wyszła z łazienki.

Leżał w łóżku oparty o poduszki i czytał jakiś prawniczy dokument. Okulary w okrągłych drucianych oprawkach i długie szpakowate włosy nadawały mu profesorski wygląd.

– Cieszę się, że jesteś dziś wieczorem w domu – powiedział. Wróciła wcześniej, bo rano zeznawała na przesłuchaniu zwołanym na mocy artykułu trzydziestego drugiego. – Wszystko w porządku?

Wzruszyła ramionami.

– Wynik negatywny.

– Przykro mi.

Ponownie wzruszyła ramionami.

– No cóż, trzeba będzie dalej próbować.

Wślizgnęła się pod kołdrę i przesunęła bliżej Dana.

– Chcesz obejrzeć film? – spytał, obejmując ją ramieniem.

– Lepiej nie. Jutro rano o dziewiątej muszę być w sądzie. Oskarżyciel zaplanował mnie jako drugą, zaraz po śledczym od wypadków drogowych.

Dan się skrzywił.

– Wpuszczą cię na salę przed złożeniem zeznania?

– Nie powinni, ale oskarżyciel oświadczył, że reguły dotyczące prezentowania materiału dowodowego zostały poluzowane, a obrona nie oprotestowała mojej obecności. A Clarridge i Dunleavy chcą, żebym towarzyszyła rodzinie, więc...

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że to zaszło tak daleko mimo tego nagrania wideo. Bo co on może powiedzieć?

– Najwyraźniej utrzymuje, że to nie on jest na tym nagraniu. Że to ktoś inny.

– Jakie ma szanse powodzenia?

– Mniej więcej takie jak ja na zajście w ciążę.

– Przestań, mamy przecież inne możliwości.

Nie odezwała się.

Dan pogłaskał ją po rękę.

– Jest jeszcze wcześniej. Może moglibyśmy zrobić coś innego poza oglądaniem telewizji?

Uśmiechnęła się, ale nie miała ochoty na seks. Fiasko testu ciążowego było zbyt świeże.

– Musisz mieć mnie już dosyć – powiedziała. – Od dwóch tygodni strasznie cię molestuję.

– Poddałaś mnie okropnym torturom. Inni mężczyźni już dawno by padli pod ciężarem tych męczarni.

Spojrzała na Dana i pocałowała go.

– Błazen z ciebie.

– Tak, ale według prawa, twój błazen.

Dan był zawsze ofiarą losu. Już jako chłopiec i jeden z jej najlepszych kumpli był wiecznym nieudacznikiem. I z całą pewnością nie uważała go wtedy za seksownego. Wywoływał w niej uśmiech, a jemu nie zależało na tym, co myślą o nim inni. Zdawało się, że nic nie może go załamać. Był zawsze pełen optymizmu. Nazwała go nawet Misterem Optymizmu, ale doszła do wniosku, że brzmi to zbyt sarkastycznie. A nie chciała zniechęcać go do zachowań, które czyniły z niego kogoś specjalnego i które tak u niego lubiła.

– Lepiej śpijmy – rzuciła.

– Jesteś pewna... Sen zamiast seksu?

– Sen jest jak seks. – Uśmiechnęła się.

– Jak to?

– Im mniej go masz, tym bardziej ci go brakuje.

Dan roześmiał się.

– Kto to powiedział?

– Jeden z moich instruktorów w akademii policyjnej.

– Dobra. Twoja ostatnia szansa. To czy to?

Znowu się uśmiechnęła i szybko zakryła kołdrą.

– Śpimy.

Poprawił poduszki, zgasił światło i przygarnął Tracy do siebie.

– Wiem, że twoje życie nie poszło dokładnie tak, jak to sobie zaplanowałaś – odezwał się po chwili.

– To wszystko przez clomid – szepnęła.

– I zrobiłbym wszystko, by przywrócić do życia Sarę – dodał, a ona zdała sobie sprawę, że Dan mówi poważnie. – Ale jestem szczęśliwy, że jesteś tu i leżysz obok mnie. I chcę, żeby tak było tej nocy i każdej nocy przez następne pięćdziesiąt lat, bo wiem, że to będzie najlepsze pięćdziesiąt lat mojego życia.

– Och, Dan. – Przetoczyła się na niego, przywarła ustami do jego ust i zaczęła go głaskać i pieścić. I nagle uzmysłowiła sobie, że miłość do niego nie ma nic wspólnego z płodzeniem dzieci. Że miłość to potrzeba bycia z nim blisko, potrzeba czucia jego optymizmu i ducha walki, potrzeba kochania go i bycia kochaną przez niego, teraz bardziej niż kiedykolwiek.

## Rozdział 18

*Uważaj, o czym marzysz.*

Matka ostrzegała ją przed bujaniem w obłokach i niedocenianiem tego, co się ma. Dziwne, że Leah Battles wybrała karierę prawniczą – zawód, do którego te słowa pasowały jak ulał. Z biegiem lat zaczęła marzyć o prowadzeniu głośnych spraw, w których jej klient mógł stracić coś ważnego, na przykład wolność. Zajmując się nimi, czuła, jak zalewa ją adrenalina, a mózg pracuje na zwiększonych obrotach. To było jak bycie na haju z przyczyn naturalnych i uwielbiała to. Ale jednocześnie siedziała nad papierami do późna w nocy i zrywała się o świcie, nie mogąc spać. Takie sprawy ją pochłaniały.

Sprawa Laszla Treja też ją pochłaniała.

Pracując nad nią, Battles odczuwała euforię, a po chwili wściekała się na klienta. Przez dwa tygodnie zjawiała się w pracy przed siódmą rano i wracała do domu po północy. Na promie albo jadła i pracowała, albo jadła i spała, wykorzystując sześćdziesiąt minut przymusowej bezczynności. Ćwiczenia kondycyjne ograniczyła w tym czasie do jazdy rowerem do i z terminalu, z wyjątkiem jednego wieczoru, kiedy poczuła, że absolutnie musi dać upust wewnętrznemu ciśnieniu, bo inaczej rozerwie ją na kawałki. Tego dnia wyszła wcześniej z pracy i pojechała na zajęcia krav magi.

Długie godziny pracy były już częścią jej życia, gdy kapitan Peter Lopresti, dowódca Bazy Marynarki Wojennej Kitsap, zarządził przesłuchanie w trybie artykułu 32., dając jednocześnie do zrozumienia, że nie będzie ono typowe, bo nie będzie się opierało wyłącznie na analizie pisemnej dokumentacji sprawy, jak to było w zwyczaju. Lopresti zażyczył sobie prawdziwego przesłuchania z udziałem publiczności, zeznaniami świadków i podsumowaniami stron. Powód takiego odstępstwa od reguły nie został głośno wyartykułowany, ale był oczywisty: Lopresti wierzył, że dając oskarżeniu pole do popisu, uspokoi opinię publiczną, która głośno

spekulowała, że marynarka wojenna przejmuje sprawę pod swoją jurysdykcję po to, by chronić jednego ze swoich. To przeświadczenie tłumaczyło też niezwykle rozbudowane oskarżenie, w którym Brian Cho przywoływał świętą trójcę zarzutów w sprawach o ucieczkę z miejsca wypadku, wymienionych w Kodeksie Sprawiedliwości Marynarki Wojennej:

Zabójstwo bez premedytacji (Art. 118., paragraf 3. KSMW).

Nieumyślne zabójstwo (Art. 119., paragraf 2. KSMW).

Doprowadzenie do śmierci wskutek zaniedbania (Art. 134., paragraf 85. KSMW).

A ponieważ Cho był wyjątkowym palantem, w swym akcie oskarżenia powołał się też na artykuł 111. KSMW, który odnosił się wprawdzie do przestępstw popełnionych po pijanemu, ale znajdowała się w nim wzmianka o prowadzeniu pojazdu mechanicznego w lekkomyślny i nieodpowiedzialny sposób, skutkujący uszkodzeniem ciała. Do aktu oskarżenia dokleił też artykuł 134. KSMW, w którym była mowa o ucieczce z miejsca przestępstwa. Oskarżenie nie musiało udowadniać każdego czynu z osobna. Wystarczyło przedstawić materiał dowodowy i wykazać, że istnieje prawdopodobieństwo popełnienia wymienionych przestępstw, by postawić Laszla Treja przed sądem wojskowym.

Kluczowe dla każdego zarzutu było wykazanie przez Cho, że Trejo zachował się w sposób niebezpieczny i skutkujący śmiercią D'Andrego Millera, okazując bezmyślny brak poszanowania dla ludzkiego życia. Przejazd przez skrzyżowanie na czerwonym świetle z całą pewnością wyczerpywał ten warunek. Potencjalna kara za każde z wymienionych przestępstw mieściła się w szerokim spektrum możliwości – od dożywocia za zabójstwo bez premedytacji po rok więzienia za doprowadzenie do śmierci wskutek zaniedbania.

Jeśli Battles marzyła o sprawie, w której jej klient ma coś do stracenia, właśnie ją dostała.

Uważaj, o czym marzysz.

Dzięki, mamó.

Jej strategia obrony – jeśli sprawa w ogóle trafi do sądu wojskowego – sprowadzała się do podważenia dwóch pierwszych zarzutów zagrożonych najsurowszymi wyrokami i wykorzystania nauk wyniesionych z katolickiej szkoły, to znaczy modlitwy, modlitwy

i jeszcze raz modlitwy o skazanie oskarżonego z artykułu 134. lub artykułu 111. Ale nawet to byłoby cudem mogącym konkurować z przemienieniem przez Jezusa wody w wino na weselu w Kanie Galilejskiej. Battles zagłębiła się w materiał dowodowy i przede wszystkim obejrzała nagranie. I właściwie to wystarczyło, by ją przekonać, że nie może wygrać. Była bez szans. Jakkolwiek na to patrzeć, Laszlo Trejo był winny, a przesłuchanie z artykułu 32. stawało się jedynie formalnym zabiegiem dla uspokojenia opinii publicznej.

Po dojściu do tego wniosku Battles zrobiła to, co zrobiłby każdy dobry adwokat procesowy. Schowała do kieszeni dumę i przedstawiła klientowi cały materiał dowodowy oraz wynikające z niego konsekwencje, by ustalić z nim warunki przyznania się do winy.

Trejo nie był zainteresowany.

Nadal się upierał, że jest niewinny. Twierdził stanowczo, że tego dnia nie był w Seattle, a jego samochód został skradziony. Gdy Battles zaczęła go cisnąć w sprawie nagrania ze sklepu, Trejo tylko wzruszał ramionami. „To nie ja. To ktoś podobny do mnie, ale nie ja”, powtarzał.

Zdumiona, podkreśliła, że Trejo jest tego samego wzrostu co mężczyzna na nagraniu i że detektyw Crosswhite wyciągnie to, że podczas jej wizyty u niego w domu pił z puszki red bulla, taki sam napój, jaki kupuje człowiek na nagraniu. Dodała też, że jeśli sprawa trafi do sądu wojskowego, nagranie zostanie zaprezentowane przysięgłym, a ci dojdą do wniosku, że oskarżony kłamie. A wojskowi przysięgli nienawidzą kłamców, podkreśliła z mocą.

– To nie byłem ja – powiedział.

Zacząła podejrzewać, że może Trejo nie w pełni rozumie relację adwokat–klient. Że jako wojskowy służący w marynarce wojennej wierzy, że Battles, która jest oficerem marynarki, ma obowiązek wyjawiać treść ich rozmowy starszemu stopniem zwierzchnikowi. Spróbowała mu więc wyjaśnić, że choć jest oficerem, to przede wszystkim jest jego adwokatem i nie wolno jej ujawnić niczego z ich rozmów – ani drugiej stronie procesowej, ani sędziemu, ani niezależnemu śledczemu, ani nawet dowódcy.

– Nie było mnie tam – upierał się Trejo. – Nikogo nie przejechałem.

Zdesperowana, ale wciąż trzymająca nerwy na wodzy Battles oświadczyła:

– Nie mogę ci obiecać, że przebiję to, co oni ci zaproponują.



– Nie przyznaję się.

To właśnie wtedy zdecydowała się pojechać na zajęcia krav magi i omal nie zabiła swojego partnera od ćwiczeń.

Ktoś zapukał do drzwi jej dziupli i nie musiała nawet pytać kto. Nikt inny nie siedziałby tak późno w biurze. Brian Cho wyraźnie się naigrawał z jej niemożności namówienia Treja do przyznania się. Wiedział równie dobrze jak ona, że dowództwu zależy na przyznaniu się oskarżonego i że wolałoby nie dopuścić do przesłuchania, a tym bardziej do procesu przed sądem wojskowym, bo towarzyszyć temu będzie zły dla marynarki rozgłos w mediach. Im bardziej Trejo się zapierał, tym głośniej Cho powtarzał, że ona nie potrafi przedstawić klientowi sytuacji w sposób dla niego zrozumiały i że z jakichś powodów dąży do procesu, chociaż z góry wiadomo, że sprawa jest nie do wygrania, jak twierdziła zresztą już na początku Stanley.

Cho pchnął drzwi i wszedł do środka. Battles odchyliła się z fotelem do tyłu. Jarzeniówki na suficie nie świeciły, biurko oświetlała lampa z zielonkawym abażurem od Tiffany’ego. Cho rozejrzał się niczym włamywacz planujący rabunek. Chwilę wpatrywał się w obrazy na ścianie, jakby je widział po raz pierwszy, choć wisiały tu już od dwóch lat.

– To twoje?

Spojrzała na swój olejny obraz, abstrakcję zainspirowaną widokiem pola kwitnących tulipanów, widzianym podczas festiwalu tulipanów w Skagit Valley.

– Aha.

– Dobrze – rzucił. – A co to jest?

– Tulipany.

– Aaa. – Cho jeszcze przez chwilę przypatrywał się obrazowi, po czym zwrócił się do Battles: – Rozmawiałaś jeszcze raz z klientem?

Facet odznaczał się subtelnością młota pneumatycznego.

– Rozmawiałam.

– No i?

– Nie przyznaje się.

Opadł na krzesło z taką miną, jakby wymagało to ogromnego wysiłku. Krąg światła lampy pozostawiał go niemal w cieniu. Cho westchnął ciężko.

– Lee, wiesz, że facet jest bez szans – powiedział tonem tak protekcyjnym, jakby musiał uświadomić jej coś, z czego sama nie zdawała sobie sprawy.

Podejrzewała, że uznał, że to ona namówiła Treja, by się nie przyznawał. Że wojownicza natura nie pozwala jej rezygnować z szansy zdetronizowania Cho, zrzucenia go z jego niekwestionowanego piedestału. Lub że wymyśliła sposób na niedopuszczenie nagrania ze sklepu do materiału dowodowego, czym zaskoczy go w trakcie procesu.

Chciałaby, żeby tak było. Nigdy nie posunęłaby się do tego, by namawiać klienta do rezygnacji z zawarcia ugody tylko po to, by podbudować swoje ego. Zwłaszcza że ta sytuacja nie przysparzała jej popularności wśród zwierzchników. Rebecca Stanley już kilka razy była u niej z pytaniem, dlaczego Trejo odmawia przyznania się do winy i wystąpienia z wnioskiem o możliwość dobrowolnego poddania się karze.

Cho wzruszył ramionami i wskazał ręką pudło z dowodami na jej biurku.

– Z tego nagrania wynika, że Trejo był w Seattle krótko przed wypadkiem. Musisz zdawać sobie sprawę, że polegnie. A to zaboli was oboje.

Owszem, wiedziała. Więcej, była pewna, ale nie zamierzała tego okazywać.

– Prawdopodobnie dlatego konie ścigają się po torze – mruknęła.

– Co?

– Każdy może spekulować, który koń zwycięży, ale dopiero jak dobiegną do mety, wiadomo to na pewno.

Obrzucił ją zdziwionym spojrzeniem, zaraz jednak uśmiechnął się protekcyjnie.

– Myślę, że już teraz wiadomo. – Wstał, ruszył do wyjścia i przed samymi drzwiami zwrócił się do niej twarzą, tak jak się tego spodziewała. – W tym wyścigu startuje tylko jeden koń – rzucił, wyjmując z tylnej kieszeni spodni niebiesko-szarą furazerkę. – Do zobaczenia jutro rano.

Wyszedł z gabinetu.

– Dzięki, zasrańcu! – zawołała, nie czekając, aż zamkną się za nim drzwi.

Odchyliła się na oparcie fotela i przetarła zmęczone oczy.

– Po cholere ty jeszcze siedzisz w biurze? – spytała samą siebie.

Dowody przeciwko jej klientowi były tak przygważdżające, że zastanawiała się nawet nad rezygnacją z udziału w przesłuchaniu z artykułu 32. i przejściem od razu do procesu karnego przed sądem wojskowym, którego termin zostanie zapewne wyznaczony na jesień. Wielu doświadczonych obrońców zastosowałoby tę strategię. Dłuższa odsiadka w areszcie mogła zmiękczyć Treja i wpłynąć na zmianę stanowiska, a także obniżyć temperaturę w kotle opinii publicznej, który teraz aż kipiał od nawoływań o sprawiedliwość.

Ale dowódca bazy, Lopresti, życzył sobie przesłuchania z artykułu 32. i na pewno nie byłby zachwycony, gdyby Battles wyskoczyła z jego łódki. Nie dlatego jednak w niej tkwiła i szykowała się do przesłuchania. Doświadczony obrońca sądowy zbeształ ją kiedyś za próbę rezygnacji z postępowania, które mogło jej i klientowi umożliwić darmowy dostęp do nowej wiedzy. Ponieważ Lopresti zażądał pełnego przesłuchania, Battles miała szansę wstępnie zapoznać się ze świadkami i dowodami oskarżenia. Zmuszenie drugiej strony do pokazania kart – nawet jeśli nie wszystkich – mogło tylko pomóc, zwłaszcza kiedy zanosilo się na to, że bez procesu przed sądem wojskowym się nie obejdzie. Zapewne Cho dostał polecenie, by w związku ze spodziewaną liczną widownią nie kręcić i niczego nie ukrywać. A jeśli tak, to tym bardziej powinna w tym uczestniczyć, by dowiedzieć się, co powiedzą świadkowie i co Cho z tym zrobi.

Innymi słowy, przesłuchanie z artykułu 32. przypominało nieco pojedynki rewolwerowców, którzy stoją daleko od siebie. Strzelający nie ma większych nadziei, że w coś trafi, ale przynajmniej uważnie obserwuje kule lecące w jego stronę.

## Rozdział 19

Następnego dnia rano Tracy postawiła kubek kawy na stole pokrytym formiką i usiadła na skórzanej kanapie naprzeciwko Shaniqui Miller i jej matki.

– Na pewno nie mogę zaproponować paniom nic do picia? – spytała.

Obie ponownie odmówiły.

Od wejścia na prom matka i babcia D'Andrego Millera zachowywały się grzecznie, ale były pełne chłodnej rezerwy. Żadna nie okazywała żywszych uczuć; cedziły słowa i Tracy nie miała wątpliwości, że ich rezerwa skierowana jest w nią i cały system wymiaru sprawiedliwości, a ona nie miała dla nich słów pociechy ani zapewnień, że sprawy przybiorą inny obrót.

Shaniqua, w czarnym kostiumie i ciemnogramatowej bluzce, złożyła ręce na stole; jej siedząca obok matka, także w czerni, miała wzrok wbity w zalaną deszczem szybę w oknie promu. W sąsiednich boksach siedzieli ubrani na czarno wujowie i ciotki D'Andrego Millera oraz pastor z ich kościoła, wszyscy ponuro wpatrzeni w chmury, lejący deszcz i ołowianoszare wody Zatoki Elliotta.

Widok ten przypominał Tracy Dana i to, jak lubił w zimowe poranki wychodzić z psami na spacer i ogłaszać po powrocie zmyśloną prognozę pogody na resztę dnia: „Dziś rano będzie szaro, po południu robi się szarzej, pod wieczór szarość zgęstnieje”.

Z własnego doświadczenia wiedziała, że niecały miesiąc od śmierci syna cały świat Shaniqui Miller jest szary i jeszcze przez długi czas taki pozostanie. Po zniknięciu siostry świat Tracy zaczął wyglądać jak na czarno-białej fotografii i minął prawie rok, nim w spowijającej wszystko szarości pojawiły się pierwsze przebłyski koloru. Nawet teraz, ponad dwie dekady po tej tragedii, zdarzały jej się dni, gdy ogarniał ją posępny mrok – czasami tak gęsty, że trudno jej było zwlec się z łóżka i żadne słowa pociechy nie mogły złagodzić bólu.

Wiedziała więc, że nie może powiedzieć nic, co osłabiłoby nieufność obu kobiet, nic, co podniosłoby je na duchu, uspokoiło nerwy, złagodziło ich ból. Mogła być tylko łącznikiem między nimi a wymiarem sprawiedliwości, starać się odpowiadać na ich pytania i służyć im za przewodnika, jeśli będą go potrzebowały. Jak dotąd o nic jej nie pytały i niczego nie potrzebowały. Otoczyły się zasłoną grubą jak warstwa chmur za oknem i skryły za nią w obawie przed dodatkowym bólem; szukały pociechy w sobie nawzajem i w niewzruszonej wierze w Boga. Tracy nie była częścią ich życia i nie próbowała udawać, że jest inaczej. A ponieważ nigdy nie dostąpiła łaski pełnego pogodzenia się z wolą Bożą, mogła tylko oferować swe doświadczenie i wiarę w to, że marynarka wojenna przejęła sprawę po to, by wymierzyć sprawcy sprawiedliwą karę.

– Wczoraj wieczorem rozmawiałam z Brianem Cho – powiedziała, by przerwać ciężącą ciszę.

– Zadzwoił do pani – domyśliła się Shaniqua, ale nie dodała nic, co mogłoby stanowić zachętę do rozmowy.

– Sprawia wrażenie dobrze przygotowanego do dzisiejszego przesłuchania.

– To tylko wstępne przesłuchanie – mruknęła Shaniqua. – Powiedział, że prawdziwy proces nie rozpocznie się wcześniej niż za kilka miesięcy.

– Też tak słyszałam – potwierdziła Tracy. – Chyba że Trejo się przyzna i wystąpi z wnioskiem o możliwość dobrowolnego poddania się karze.

Matka Shaniqui głośno westchnęła i spojrzała na Tracy znad okrągłych okularów w drucianej oprawce, ale się nie odezwała.

– Jaka będzie pani rola w tym przesłuchaniu? – spytała Shaniqua.

– Zeznam, co podejrzany powiedział, kiedy razem z kolegą pojechaliśmy go przesłuchać. Powiem też, gdzie znaleźliśmy samochód, i zrelacjonuję wyniki przeszukania jego wnętrza.

– Powie pani o paragonie ze sklepu – wtrąciła Shaniqua Miller.

– Tak, a także o tym, że ktoś próbował zatrzeć wszystkie odciski palców. Zeznam też o skaleczeniu na czole Treja.

– Tylko że na nagraniu ma czapkę na głowie i oskarżyciel powiedział, że nie uda się pani udowodnić, że to skaleczenie pochodzi z wypadku.

– To prawda, ale ślady krwi znalezione w samochodzie Treja stanowią poszlakę, że to on prowadził w chwili potrącenia pani syna.  
– Tracy nie chciała zbyt komplikować swego wyводу. – To nagranie ze sklepu powinno wystarczyć do wydania decyzji o prawdopodobieństwie winy.

Wzrok Shaniqui Miller znów powędrował do okna. W strumieniu powietrza wywołanym ruchem promu utrzymywała się mewa. Shaniqua chwilę się jej przyglądała, po czym spojrzała znów na Tracy.

– Oskarżyciel uważa, że po tym przesłuchaniu Trejo może się przyznać.

– Mnie też tak powiedział – potwierdziła Tracy.

– Wierzy pani w to?

– Nie wiem. Myślę, że obrona może próbować podważyć znaczenie nagrania ze sklepu. Starać się wyłączyć je z materiału dowodowego. To praktycznie jedyne wytłumaczenie tego, że Trejo dotąd się nie przyznał.

– Tak sobie myślę, że gdyby miał się przyznać, to już by to zrobił.

Babka zabitego chłopca uniosła głowę i wlepiła wzrok w Tracy. Prawdopodobnie jej też przyszło to do głowy. Shaniqua również spojrzała na Tracy.

– No bo widział to nagranie, nie? – powiedziała. – Więc jak może się nie przyznać? Dlaczego w ogóle musimy uczestniczyć w tym przesłuchaniu?

– Nie wiem – odparła Tracy i mówiła prawdę. Z jej doświadczenia wynikało, że w takiej sytuacji obrona dąży do zawarcia układu w zamian za przyznanie się podejrzanego do winy. Może Leah Battles postanowiła poczekać na wynik dzisiejszego przesłuchania. A może miała pomysł na wyłączenie nagrania z materiału dowodowego i chciała go przetestować. Grając na zwłokę, nic nie traciła, zwłaszcza jeśli jej klient należał do krnąbrnych; na tym przesłuchaniu mogła zapoznać się z całym materiałem dowodowym.

– Cho powiedział, że dla obrońcy to bardzo ważna sprawa – wtrąciła Shaniqua Miller. – Że może chcieć skorzystać z tej szansy, żeby go pokonać. Pani też to mówił?

– Tak – przyznała Tracy.

Babka chłopca pokręciła głową, jej córka gorzko się uśmiechnęła.

– Dla nich to tylko gra, prawda? – rzuciła ta druga.

I znów Tracy nie znajdowała słów na pocieszenie. Wiedziała z własnego doświadczenia, że proces sądowy nie przyniesie im ukojenia bólu ani poczucia satysfakcji. Nie przywróci do życia ich syna i wnuka.

Mogła mieć tylko nadzieję, że przynajmniej spowoduje zamknięcie pewnego rozdziału w życiu Shaniqui Miller.

\* \* \*

Leah Battles zwalczała w sobie pokusę zostawiania na noc w biurze i tworzenia groźnego precedensu, jaki często stawał się udziałem ludzi jej profesji. Znała kiedyś adwokata z dumą opowiadającego, jak często śpi w biurze, i najwyraźniej niezdającego sobie sprawy z tego, że w wieku czterdziestu lat wciąż jest kawalerem. Wobec braku obrączki na palcu, a także braku kogoś rozważającego ozdobienie jej dłoni choćby pierścionkiem, Battles nie chciała stwarzać dodatkowego pola do plotek, jakie niezawodnie towarzyszą wszystkim kobietom służącym w wojsku.

Nie, nie była lesbą.

*Choć nie ma w tym nic złego*, by zacytować słynną kwestię Seinfelda.

Złapała prom o dwudziestej trzeciej czterdzieści, przespała parę godzin w domu i przypląnęła porannym promem do pracy. Zbliżała się dziewiąta rano, a wraz z nią wielkie przedstawienie, na które odpowiednio się ubrała. Lopresti wyraził życzenie, by strony wystąpiły w granatowych mundurach marynarki wojennej, czym zapewne chciał zrobić wrażenie na zebranej publiczności i przedstawicielach mediów. W rezultacie Battles wyglądała jak młoda Demi Moore w *Ludziach honoru* i pozostawało tylko mieć nadzieję, że nie okaże się równie niekompetentna.

Wyszła ze swojej dziupli z plikiem notatek pod pachą, na wypadek gdyby postanowiła jednak przesłuchać któregoś ze świadków oskarżenia, oraz z paroma innymi dokumentami w teczce. Materiał dowodowy został złożony w depozycie u protokolanta sądowego i dzisiejsze przesłuchanie było w zasadzie jednoosobowym show Briana Cho.

Nie miała daleko. Sala rozpraw mieściła się piętro wyżej i wchodziło się do niej przez bramkę z wykrywaczem metalu. W związku ze spodziewanym tłumem na miejscach dla publiczności, do utrzymania porządku wyznaczono kilku żandarmów wojskowych i „załogantów Brygu”, czyli strażników więziennych. W sali, nieprzypominającej wyglądem wielkich sal rozpraw z marmurami, mahoniem i kryształowymi kandelabrami, zapowiadał się ścisk. Dowództwo Bazy Marynarki Wojennej Kitsap kładło większy nacisk na funkcjonalność niż na ceremonialność swojej sali sądowej, ustawiono w niej więc tylko cztery rzędy krzeseł dla publiczności – dwa po prawej stronie i dwa po lewej – a i tak w dziewięćdziesięciu przypadkach na sto miejsca te pozostawały wolne.

Battles otworzyła drzwi i weszła do środka.

Dziś było zupełnie inaczej.

Mimo dostawienia krzeseł na sali nie było ani jednego wolnego miejsca. Zbity tłum publiczności powodował, że pomieszczenie wydawało się jeszcze mniejsze niż w rzeczywistości, a brak okien przyczyniał się do wrażenia klaustrofobii.

Afroamerykańskie twarze zwróciły się ku wchodzącej Battles i odprowadziły ją wzrokiem do barierki oddzielającej stoły stron i sędziego od publiczności. Po drodze wyłowiła wzrokiem matkę D’Andrego Millera, która siedziała w otoczeniu jak ona ciemnoskórych – zapewne rodziny i przyjaciół. Nikt z nich nie patrzył na nią przyjaznym wzrokiem. W pobliżu siedzieli też Tracy Crosswhite i Joe Jensen z policji. By im dopiec, Battles rozważała złożenie wniosku o dopuszczenie ich obecności na sali tylko wtedy, gdy będą zeznawać i po złożeniu przez nich zeznań, w końcu uznała jednak, że to bez sensu. Ich służbowe raporty były dołączone do akt sprawy, co gwarantowało prawdomówność tej dwójki.

Battles przeszła krótkim przejściem między rzędami krzeseł, pchnęła bramkę w barierce i złożyła papiery na stole po prawej. Był z ciemnego drewna, ale z całą pewnością nie z mahoniem. Cho już siedział przy stole po lewej obok swojej asystentki, Lindsay Clark, która według krążących pogłosek była najświeższym podbojem Cho. Oboje prezentowali się nienagannie w galowych granatowych mundurach. Zapewne rola Clark sprowadzi się do podawania Cho papierków i robienia wrażenia kompetentnej, pomyślała Battles. Cho



podniósł na nią wzrok w chwili, gdy mijiała ustawioną między stołami mównicę, i zrobił taką minę, jakby był zdziwiony jej widokiem. Po czym pokręcił głową, jak gdyby mówił „No, trudno”, i wrócił wzrokiem do papierów.

No i jak takiego nie kochać?

Battles popatrzyła na ławę przysięgłych po swojej prawej, która dziś miała pozostać pusta. W głębi, na środku, znajdowało się otoczone barierką miejsce dla świadków. Z jakiegoś powodu proste krzesło z jasnej dębiny zawsze kojarzyło jej się ze Starą Iskrówą, krzesłem elektrycznym z powieści Stephena Kinga *Zielona Milla*. Stół sędziego po lewej stał na niskim podwyższeniu, zaledwie kilkucentymetrowym, a nie jak zwykle w sądach cywilnych ponadmetrowym. Umieszczone we wnękach reflektorki rzucały światło na sztandary Stanów Zjednoczonych i marynarki oraz na dwa niebiesko-złote emblematy na ścianie: Marynarki Wojennej i Korpusu Wojskowego Biura Prawnego.

Zajęła się rozkładaniem papierów, ale nie miała ich wiele. Nie zamierzała wzywać żadnych świadków obrony ani prezentować dowodów. Show należał do Cho, a ona była gotowa ograniczyć się do roli widza.

*Dostajesz za darmo wiedzę wyłożoną jak na talerzu. Nigdy z tego nie rezygnuj.*

Parę minut przed dziewiątą wszyscy byli gotowi, dwóch strażników wprowadziło więc Laszla Treja drzwiami po prawej stronie stołu sędziowskiego i po widowni przetoczył się groźny pomruk. Trejo zdawał się tego nie zauważać. Był w niebieskim kombinezonie, miał wory pod przekrwionymi oczami i sprawiał wrażenie niewyspanego, ale nie przejętego. Być może dlatego, że Battles powiadomiła go, że jeśli nie przyzna się do winy, przesłuchanie będzie tylko formalnością na drodze do właściwego procesu przed sądem wojskowym.

Battles wskazała mu krzesło po swojej prawej, Trejo usiadł i wbił wzrok w pustą ścianę za stanowiskiem dla świadków; tylko od czasu do czasu przenosił go na blat stołu.

Drzwi na lewo od stołu sędziowskiego otworzyły się i stanęła w nich oficer wyznaczona do prowadzenia przesłuchania – Sonya Rivas w czarnej todze. Była sędzią w stopniu komandora porucznika,

co najlepiej świadczyło o wadze zarzutów i trosce dowództwa marynarki, by nadać postępowaniu odpowiednio wysoką rangę. Dzisiejsza rola Rivas sprowadzała się jednak tylko do prowadzenia wstępnego przesłuchania. Rivas i Battles znały się i łączyły je dobre relacje w pracy, ale nie mogło być mowy o jakimkolwiek specjalnym traktowaniu z racji płci. Jeśli już, można było raczej zarzucić Rivas ostrzejsze traktowanie koleżanek niż kolegów ze służby prawniczej. Wiedziała, że kobiety w służbie muszą być lepsze od swych męskich odpowiedników. Nie można też było liczyć na specjalną pobłażliwość wobec Treja w związku z tym, że oboje byli Latynosami. Jedynymi rozróżnianymi przez Rivas kolorami były czerwony, biały i niebieski.

\* \* \*

W jednej z rozmów telefonicznych Cho oznajmił Battles, że Rivas to dobry wybór na oficera prowadzącego przesłuchanie wstępne. Określił ją jako zorganizowaną, dokładną i sumienną, ale nie podatną na współczucie. Siadając za stołem sędziowskim, rzeczywiście sprawiała wrażenie kogoś pełnego powagi i zawodowego prestiżu. Szybko rozejrzała się po sali i od razu przystąpiła do rzeczy.

– Nie traćmy czasu i zaczynamy – rzuciła. – Otwieram przesłuchanie. – Zwróciła się w stronę Battles i Treja. – Z rozkazu dowódcy bazy Petera Loprestiego zostałam wyznaczona do poprowadzenia przesłuchania wstępnego z artykułu trzydziestego drugiego Wojskowego Kodeksu Sprawiedliwości. Jesteśmy tu po to, by zweryfikować prawdziwość zarzutów zawartych w akcie oskarżenia, zbadać te zarzuty i zgromadzić informacje, które pomogą ustalić jego zasadność. Kopie aktu oskarżenia i rozkazu o zwołaniu tego przesłuchania zostały dostarczone oskarżonemu i jego obronie. Czy oskarżony i obrona je otrzymali?

– Tak – bąknął Trejo tak cicho, że Rivas go nie dosłyszała i podniosła na niego wzrok znad papierów. Cho uprzedził Tracy, że wojsko kocha papiery na równi ze skrótami.

Trejo odchrząknął.

– Tak, Wysoki Sądzie.

– Bosmanie Trejo, jeśli w którymś momencie nie zrozumiecie, co do was mówię, zgłóście to swojej obrończyni lub mnie, bym mogła

ponownie wam to wyjaśnić. Między nami nie może być żadnych niedomówień.

Następnie Rivas poinformowała go o zarzutach i oświadczyła, że na podstawie ustaleń poczynionych w trakcie niniejszego przesłuchania przekaze dowódcy bazy rekomendacje co do dalszego postępowania.

– Nie musicie zeznawać w przedmiocie stawianych wam zarzutów. Macie prawo zachować milczenie. Jednocześnie wolno wam składać oświadczenia i przedstawiać dowody na swą obronę, pod warunkiem jednak, że dowody te są bezpośrednio związane z zakresem i celem tego przesłuchania. Cokolwiek tu powiecie, zostanie wzięte pod uwagę i może być potraktowane jako dowód, na równi z zeznaniami innych świadków. Na koniec: wszystko, co powiecie w trakcie tego przesłuchania, może być wykorzystane przeciwko wam w trakcie procesu przed sądem wojskowym. Czy zrozumieliście wszystko, co powiedziałam?

– Tak, Wysoki Sądzie – odrzekł Trejo.

– Odczytam teraz stawiane wam zarzuty.

Battles odsunęła krzesło i wstała.

– Obrona rezygnuje z odczytywania zarzutów, Wysoki Sądzie – oświadczyła.

– W porządku, dziękuję. – Rivas kiwnęła głową i spojrzała na Cho. – Rozumiem, że oskarżenie chce wezwać trzech świadków: oficera sekcji wypadków policji drogowej Seattle, Joego Jensena, panią detektyw z biura śledczego policji Seattle, Tracy Crosswhite, oraz Archibalda Issę, właściciela sklepu spożywczego w Renton w stanie Waszyngton.

Cho wstał i zrobił taki ruch, jakby chciał się skłonić.

– Tak jest, Wysoki Sądzie.

– W porządku. – Rivas powiodła wzrokiem po publiczności. – Proszę państwa, może tu być mowa o sprawach trudnych do wysłuchania przez niektórych lub wszystkich na tej sali, a także o rzeczach, z którymi nie będziecie się zgadzać. W pełni rozumiem emocje, jakie wami targają, niemniej oczekuję, że uszanujecie fakt, że znajdujemy się w sądzie. Jeśli ktoś nie będzie tego respektował, mam prawo przerwać i zamknąć posiedzenie. Wyrażam szczerą nadzieję, że nie będzie to konieczne.

Rivas odłożyła papier i zwróciła się do stron:

– Czy są jakieś wstępne wątpliwości, które powinniśmy wyjaśnić przed przystąpieniem do właściwego przesłuchania? Obrona?

Battles i Cho wstali i kolejno zgodnie oświadczyli:

– Nie, Wysoki Sądzie.

Rivas na moment zamilkła, po czym powiedziała:

– Zatem oskarżenie może wezwać pierwszego świadka.

## Rozdział 20

Battles przysłuchiwała się, jak Cho szybko i sprawnie radzi sobie ze wstępnymi formalnościami, co po części było zasługą Joego Jensena, jego pierwszego świadka, który nie sprawiał mu żadnych trudności. W swej policyjnej karierze wielokrotnie zeznawał przed sądem i znał dobrze obowiązującą procedurę. Wartki tok pytań i odpowiedzi przekonał też Battles, że nie powinna zbyt często się wtrącać. Czuła, że sędzia Rivas będzie skłonna dawać dużą swobodę wypowiedzi i ewentualne protesty obrony i tak niczego nie zmienią.

Zetknęła się wcześniej z Jensenem i wiedziała, czego może się po nim spodziewać. Zeznawał spokojnym, rzeczowym tonem, który budził zaufanie do szczerości jego wypowiedzi. Głęboki tembr głosu, siwiejąca ruda czupryna i dwuczęściowy garnitur dodawały mu powagi. Było trochę tak, jakby oskarżenie wezwało na świadka drużynowego skautów.

Cho szybko ustalił stanowisko, jakie Jensen zajmował w drogówce, to, że miał on dyżur telefoniczny w dniu wypadku, oraz godzinę, o której przybył na miejsce zdarzenia. Dał znak głową Clark, a ta szybko postukała w klawisze laptopa i na dwóch ekranach na ścianie ukazał się gruboziarnisty, czarno-biały obraz pustego skrzyżowania. Po uzyskaniu potwierdzenia, że obraz przedstawia to konkretne skrzyżowanie, i po zadaniu kilku pytań porządkowych Cho poprosił Jensena o wskazanie na obrazie rozmieszczenia pojazdów i członków ekip ratunkowych po przybyciu na miejsce wypadku, a także wszelkich innych wartych wspomnienia szczegółów.

W ten nieco zawołowany sposób dawał świadkowi do zrozumienia, że ma wskazać miejsce znalezienia zwłok oraz rozrzuconych rzeczy chłopca, takich jak piłka, jego buty do koszykówki czy sandały.

– W rynsztoku obok ciała leżała piłka do koszykówki. Na jezdni leżały też klapki Nike, kawałek dalej znaleźliśmy parę związanych

sznurowadłem czerwonych butów do koszykówki marki Nike.

Z krzeseł dla publiczności dobiegło bolesne westchnienie. Battles nie odwróciła głowy ani w żaden sposób nie zareagowała. Spodziewała się, że zeznania świadków wywołają emocje na widowni, i poleciła Trejowi, by w żaden sposób nie odpowiadał i nie reagował na ewentualne zaczepki widzów. Miała jednocześnie nadzieję, że pełne emocje zeznania świadków mogą go poruszyć i skłonić do zmiany stanowiska. Jednak od zajęcia miejsca przy stole Trejo nawet nie drgnął, zaczynała się więc zastanawiać, czy jej klient nie jest na jakichś prochach.

Jensen zeznał, że ciało leżało dziewięć metrów i dziewięćdziesiąt centymetrów od skrzyżowania, co było istotne, bo potwierdzało jego wersję, że ofiara została uderzona na przejściu dla pieszych na skrzyżowaniu z Henderson Street przez samochód jadący Renton Avenue w kierunku północnym.

– Wygląda na to, że ciało ofiary owinęło się wokół maski samochodu, uderzyło w przednią szybę i zostało odrzucone na jezdnię – powiedział.

– Co pan dalej zrobił? – spytał Cho.

Jensen oświadczył, że zaczął szukać śladów opon, ale ich nie znalazł.

– Czy z pańskiego doświadczenia wynika, że brak śladów opon ma istotne znaczenie?

Battles miała ochotę zaprotestować, ale podczas przesłuchania z artykułu 32. można zgłaszać sprzeciw tylko wtedy, gdy pytania są nie na temat lub skłaniają świadka do spekulacji. Pytanie Cho zachęcało Jensena do wyrażenia własnej opinii, ale Battles wiedziała, że Rivas da specjalistom od wypadków drogowych dużą swobodę wypowiedzi.

– Normalnie w sytuacji kolizji z innym samochodem czy, jak w tym przypadku, z pieszym na jezdni znajdujemy ślady opon wskazujące na to, że kierowca próbował hamować lub że wpadł w poślizg. Brak takich śladów może wskazywać na to, że uderzenie było celowe. Może też dowodzić, że kierowca nie zauważył pieszego, bo albo było za ciemno, albo miał odwróconą uwagę, zasnął za kierownicą lub był pod wpływem środków odurzających, narkotyków czy alkoholu.

Trejo ponownie nie okazał żadnej reakcji.

Cho upewnił się, że światła na skrzyżowaniu działały prawidłowo oraz że żadna z kamer monitoringu w okolicznych firmach nie nagrała przebiegu wypadku.

– Ostatecznie ustaliliśmy, że jakieś sto metrów na zachód od skrzyżowania znajduje się kamera monitoringu ulicznego należąca do wydziału ruchu stanu Waszyngton, i uzyskaliśmy kopię nagrania z tej kamery.

– Zanim do niego przejdziemy, proszę powiedzieć, co jeszcze istotnego znaleźliście na miejscu zdarzenia?

Jensen opowiedział o fragmencie karoserii, znalezionym przez jednego z policjantów. Na dany znak Clark podała Cho rzeczony fragment w zamkniętej przezroczystej torebce, Cho przekazał go Jensenowi, a ten potwierdził, że jest to fragment, który przekazał do laboratorium policji drogowej stanu Waszyngton i otrzymał stamtąd numer seryjny części i informację, że pochodzi ona z samochodu marki Subaru. Następnie zawiózł ją do dilera Subaru, gdzie ustalono, że samochód był w kolorze czarnym.

– Znaleziona część pochodziła z obudowy prawego reflektora i kierunkowskazu – dodał.

Znając markę i kolor samochodu, wypatrzyli subaru na nagraniu z ulicznej kamery.

Cho przygotował w ten sposób grunt pod odtworzenie na sali tego nagrania. Zarówno Battles, jak i Rivas znały je i wiedziały, że moment potrącenia D'Andrego nie został zarejestrowany, więc odtworzenie nagrania nie będzie traumatyczne dla widzów. Cho poprosił Jensa, by skomentował, co widać na ekranie. Kiedy policjant to robił, znów usłyszała za plecami stłumiony szloch. W chwili gdy na ekranie pojawiła się sylwetka ciemnego samochodu, Cho poprosił o zatrzymanie odtwarzania. Doił z tego filmu wszystko, co się dało.

– Nagranie jest czarno-białe – powiedział Jensen – ale i tak widać zmieniające się światła na skrzyżowaniu, z górnego czerwonego na dolne zielone, przy którym ruszają pojazdy na Południowej Henderson Street.

Samochód wjechał na skrzyżowanie, nawet nie zwalniając, ale kamera nie zarejestrowała momentu potrącenia D'Andrego Millera.

Cho chwilę odczekał, po czym spytał:

– Czy był pan w stanie określić szybkość, z jaką jechał ten samochód?

– Tak.

– Może pan wyjaśnić, jak to zrobiono?

– Czysta arytmetyka. Nagranie ma szybkość trzydziestu klatek na sekundę. Zmierzyliśmy odległość od budynku na południowo-wschodnim narożniku do nieczynnej restauracji na północno-wschodnim narożniku.

– I ile wynosi ta odległość?

– Pięćdziesiąt dziewięć metrów. Przejazd samochodu między tymi dwoma punktami zajął siedemdziesiąt pięć klatek, czyli dwie i dwadzieścia pięć setnych sekundy. Jeśli podzieli się metry przez sekundy, wychodzi dwadzieścia sześć i dwie dziesiąte metra na sekundę. W godzinie jest trzy tysiące sześćset sekund; mnożąc obie liczby przez siebie, otrzymujemy dziewięćdziesiąt cztery tysiące trzysta dwadzieścia metrów, czyli ponad dziewięćdziesiąt cztery kilometry na godzinę.

Cho chwilę odczekał przed zadaniem następnego pytania.

– Detektywie, jakie ograniczenie prędkości obowiązuje na tym skrzyżowaniu?

– Czterdzieści pięć kilometrów na godzinę.

Oskarżyciel zamilkł, pozwalając, by liczby wszystkim zapadły w pamięć. Trejo ani na chwilę nie oderwał wzroku od ściany.

Jensen opowiedział następnie o znalezieniu przez patrol policji samochodu porzuconego na placu za jednym z domów i o zidentyfikowaniu go na podstawie znalezionej na jezdni fragmentu obudowy reflektora.

– Czy samochód został przewieziony na parking policyjny? – spytał Cho.

– Tak jest. Wystąpiłem też o nakaz przeszukania wnętrza.

Policjant szczegółowo opowiedział o przeszukaniu samochodu i znalezieniu na siedzeniu kierowcy plam krwi Treja, a także jego odcisków palców i śladów DNA w innych miejscach wnętrza. Cho wystąpił o włączenie raportu policji drogowej do materiałów dowodowych, po czym wdał się w rozmowę z Jensenem na temat próby zatarcia śladów w samochodzie za pomocą gazika antyseptycznego.



– Jakie pan wyciągnął z tego wnioski? – zapytał.

– Uważam, że jedynym powodem wycierania wszystkiego, łącznie z poduszką powietrzną, może być tylko próba usunięcia śladów DNA osoby prowadzącej samochód w momencie wystrzelenia poduszki.

– Czy znalazł pan w samochodzie coś jeszcze?

– Tak – odparł Jensen. – Przy tylnym siedzeniu znaleźliśmy paragon sklepowy z datą dnia wypadku. Dotyczył kupna dwóch puszek napoju energetycznego Red Bull w sklepie spożywczym w Renton.

Cho kazał wpisać do protokołu datę i godzinę zakupu, po czym przeprowadził identyfikację paragonu, umieścił go w plastikowej torebce i dołączył do materiału dowodowego.

– Wprowadziliśmy markę i numer rejestracyjny samochodu do systemu i wtedy się okazało, że następnego dnia rano po wypadku właściciel samochodu zgłosił jego kradzież.

– Czy pańskim zdaniem miało to szczególne znaczenie?

Jensen skrzywił się i na moment odwrócił głowę.

– Trudno uwierzyć, że mógłby to być tylko zbieg okoliczności – mruknął.

– Kto był zarejestrowany jako właściciel samochodu?

Policjant przeniósł wzrok na stół obrony.

– Laszlo Trejo – powiedział.

## Rozdział 21

Tego samego dnia rano Mike Melton zadzwonił do Dela z informacją, że zespołowi TESU udało się odzyskać maile i esemesy Allie z jej komputera i telefonu. Ponieważ zlecenie zostało oficjalnie złożone przez Faza, Del zadzwonił do niego do domu i spytał, czy wybierze się z nim do Laboratorium Kryminalistycznego Policji Stanu Waszyngton.

Faz zgodził się i Del podjechał po niego.

– Rozmawiałeś z Maggie? – zapytał Faz, siedząc obok partnera w jego impali.

– Rozmawiałem.

– Radzi sobie jakoś?

– Z dnia na dzień coraz lepiej. Zrobiła chłopakom hamburgery i koktajle mleczne i wszyscy trzej byliśmy zachwyceni. Wciąż prawie nic nie je, ale jest lepiej.

– Chodzi na terapię?

– Dwa razy w tygodniu.

– Powiedziałaś jej, że udało nam się odzyskać esemesy z telefonu Allie?

– Wie o tym. Poprosiła, żebym jej pokazał, jak z nimi skończę.

– Ma do tego prawo. – Faz pokiwał głową.

– Jasne. Mam tylko nadzieję, że sobie z tym poradzi. Bo co do siebie nie jestem taki pewien.

Zapadło milczenie, które wypełniła stacja KJR Sports Radio.

– Widziałeś się z tą kobietą z prokuratury? – spytał Faz.

Del spojrzał na niego z ukosa.

– Z Celią McDaniel?

– Nią. Tą urodziwą czarnoskórą.

Del uśmiechnął się.

– Zaprosiłem ją na drinka po pracy, żeby przeprosić za moje niedelikatne zachowanie.

- Zdawało mi się, że mieliście iść na kolację.
- Na kolację i drinka. – Del wzruszył ramionami.
- Brzmi jak randka.
- Jaka tam randka? – prychnął Del. – Zaprosiłem ją na drinka, a ona zaproponowała kolację, bo nie lubi pić na pusty żołądek.
- No to zadzwoń jeszcze raz i tym razem zaprosź ją na randkę. Zobaczysz, co ci odpowie.
- A ty co, robisz teraz za swatkę?
- Mówię tylko, że byłoby fajnie, gdybyś mógł czasem wpaść do nas z kimś, z kim Vera mogłaby sobie pogadać.
- Del odchylił się na oparcie siedzenia.
- A co, myślisz, że by się zgodziła? – mruknął po chwili.
- Dlaczego miałyby się nie zgodzić?
- Nie wiem. Wiesz, trochę czasu minęło.
- Od twojego rozwodu?
- Od mojej ostatniej randki.
- Nie przejmuj się. – Faz machnął ręką. – Ty jesteś jak ten samochód. Masz w sobie trochę przebiegu, ale karoseria jest w całkiem dobrym stanie. Jesteś nadal w dobrej formie.
- W ciągu ostatnich dwóch tygodni spadło mi pięć kilo.
- Lepiej mi nie mów – jęknął Faz. – I nie mów Verze. Jak ty chudniesz, to ona mnie też każe schudnąć. Dlaczego straciłeś na wadze? Chory jesteś?
- Nie, próbuję być zdrowy. Zdrowszy.
- Ty sukinsynu! Spodobała ci się ta laska, co? Dlatego się odchudzasz.
- A co, człowiek nie może trochę schudnąć bez powodu?
- Jak jest Włochem, to nie. Dla nas, Włochów, jedzenie jest jak oddychanie. Więc o ile nie masz dobrego powodu, jak na przykład jakaś kobieta...
- To myślisz, że ona by się zgodziła?
- Już raz się zgodziła, nie?
- To było co innego.
- Dlaczego? Zaprosiłeś ją na drinka, a ona zrobiła z tego kolację. Ja w tym widzę kobietę, która się zgadza.
- No to może zadzwonię.
- Zadzwoń teraz.

- Nie będę przy tobie z nią rozmawiał.
- To zadzwoń po spotkaniu z Meltonem.
- Może.
- Nie czekaj. Wracaj i od razu dzwoń.
- Już powiedziałem, że to zrobię.
- Jak stoisz z kondomami?
- Del udał, że się zamierza, by walnąć partnera w twarz.
- Na litość boską!

\* \* \*

Mike Melton, szef Laboratorium Kryminalistycznego Policji Stanu Waszyngton, należał do grupy dinozaurów, jak Del i Faz. Pracował w laboratorium od ponad dwudziestu lat i jak powiedział kiedyś Delowi, objął stanowisko dyrektora z tych samych powodów, dla których osobiście trenował córki w konkurencjach sportowych.

- Jeśli ktoś ma to spieprzyć, to ja to zrobię najlepiej.

Przemawiała przez niego skromność, bo trzy z jego córek zdobyły stypendia sportowe, a laboratorium pod jego kierownictwem kwitło. Masą ciała dorównywał Fazowi i Delowi i wyglądał bardziej na drwala niż naukowca. Detektywi nadali mu ksywę Grizzly Adams w związku z dużym podobieństwem do aktora występującego w serialu *Niedźwiedź pana Adamsa*. Miał szopę rozwichrzonych ciemnych włosów i równie zmierzwioną brodę, w której pojawiało się coraz więcej siwych pasemek.

Gabinet Meltona mieścił się na parterze betonowego bunkra przy Airport Way. W odróżnieniu od innych tutejszych pracowników, którzy obwieszali swoje pokoje dyplomami, ściany w gabinecie Meltona były udekorowane pamiątkami z dawnych spraw kryminalnych, takimi jak młotek zakończony szpikulcem czy kij baseballowy.

Del wszedł do gabinetu i stanął jak wryty. Melton miał przycięte włosy i brodę długości, którą można było nazwać cywilizowaną.

- O kurczę! – wykrzyknął. – Ty naprawdę serio traktujesz to dyrektorowanie.

– Znasz mnie i wiesz, że nigdy bym się nie ostrzygł dla pracy. W ten weekend wydaję za mąż córkę numer cztery i żona kazała mi się

doprowadzić do porządku z uwagi na przyszłych teściów córki.

– Przyprowadź ich tu. Na pewno wystarczająco ich wystraszysz.

– Przyprowadzam tu wszystkich swoich zięciów.

Del rozejrzył się po gabinecie.

– Kochany, coś ty tu nawyczyniał od czasu awansu?

– Grożą, że mnie stąd wyprowadzą. Powiedziałem im, żeby po mojej śmierci rozsypali moje prochy na komputer i zamknęli drzwi. – Melton obrzucił Dela wzrokiem. – Chyba schudłeś.

– No, ubyło mi parę kilo.

Melton przeniósł wzrok na Faza.

– Za to ty wyglądasz tak samo – rzucił.

Faz zrobił żalostną minę i pokręcił głową.

– I widzisz, co narobiłeś – zwrócił się do swojego partnera.

– Bardzo mi przykro z powodu twojej siostrzenicy – powiedział Melton.

– Dzięki. I dziękuję, że tak szybko się tym zająłeś.

Melton wręczył Delowi pendrive'a.

– Dokumentacja obejmuje dwa tygodnie wstecz od daty, którą podałeś w wezwaniu dla operatora telefonicznego. Spisaliśmy wszystkie jej e-maile i esemesy.

– A jeśli coś z nich skasowała? – spytał Del.

– W TESU odzyskali najpierw najświeższe, potem je przekopiowali i zajrzeli do historii. Nie znaleźli tego dużo, ale trochę było. Masz tu wszystkie.

– Dzięki, Mike.

– Szkoda, że trzeba to było robić z tak paskudnego powodu – rzekł Melton.

## Rozdział 22

Leah Battles korciło, by przesłuchać Joego Jensena. Chciałaby ustalić nie to, co wie, ale czego nie wie. Na przykład że nie wie, czy D'Andre Miller przechodził przez skrzyżowanie po przejściu dla pieszych, czy rozejrzał się przed wejściem na jezdnię, czy nie miał myśli zajętych grą w kosza. Według słów Terry'ego O'Neila, który tego dnia był w ośrodku rekreacyjnym w Rainier Beach, chłopak spisał się na medal i był to pierwszy raz, gdy dopuszczono go do gry. Mógł być tym tak przejęty, że wtargnął na jezdnię bez patrzenia. Mógł słuchać głośnej muzyki przez słuchawki, które też znaleziono na ulicy. Było ciemno i miał na sobie ciemne ubranie. Przychodziło jej do głowy wiele spraw, o które mogłaby spytać Jensena, ale nie powstrzymałoby to sędzi przed wydaniem orzeczenia o istnieniu wystarczających przesłanek do postawienia podejrzanego przed sądem wojskowym, a ujawniłoby oskarżeniu strategię Battles wobec świadków w trakcie procesu i pozwoliło Cho się na nią przygotować. I choć zachowanie milczenia było dla niej niełatwe, wiedziała, że czasami najlepiej nic nie mówić.

– Nie mam pytań – oświadczyła.

Rivas zwolniła Jensena i ogłosiła krótką przerwę.

Po przerwie stanowisko dla świadków zajęła Tracy Crosswhite. Tym razem miała na sobie jak prawniczka granatowy kostium, ale i tak roztaczała wokół siebie aurę policjantki. Nie wyglądała na ani trochę speszoną. Przygotowując się do dzisiejszego przesłuchania, Battles pogrzebała trochę w archiwaliach i stwierdziła, że Crosswhite i ona mają z sobą dość dużo wspólnego. Battles też dorastała w małym miasteczku, tyle że na Wschodnim Wybrzeżu. Jej rodzice nie byli zbyt zamożni, w każdym razie nie w stopniu mogącym się odbić na życiu dziecka, więc do wszystkiego musiała dochodzić sama. Szachy umożliwiły jej zdobycie stypendium. Podobnie było z Tracy Crosswhite, tyle że w jej przypadku chodziło o wyniki w konkursach

strzeleckich z broni ręcznej, w których była mistrzynią. Battles wiedziała, że tego rodzaju pewności siebie nie nabywa się, wstając co rano z łóżka i jadąc do pracy. Trzeba w tym celu podejmować wyzwania, zmagać się z innymi, stawiać czoło ryzyku przegranej i wychodzić z tego zwycięsko.

Po zaprzysiężeniu Crosswhite Cho zadał kilka rutynowych pytań dotyczących jej kwalifikacji, doświadczenia i obecności na miejscu zdarzenia.

– Czyli odniosła pani takie samo wrażenie jak detektyw Jensen, czy tak? – spytał następnie. Spojrzał przy tym na Battles jakby z politowaniem, bo nie zażądała usunięcia Crosswhite z sali na czas zeznań Jensena, i jakby ją podpuszczał, by teraz zaprotestowała. Battles nie zareagowała.

– Wyglądało to na wypadek drogowy i ucieczkę z miejsca zdarzenia – potwierdziła detektyw.

Potem opowiedziała o spotkaniu z Jensenem następnego dnia rano w budynku komendy policji, podczas którego ten poinformował ją o nagraniu samochodu marki Subaru przez kamerę wydziału ruchu, i jak jej się udało od razu przekazać tę informację kolegom na porannej odprawie.

Cho w tym miejscu jej przerwał.

– Czy może nam pani powiedzieć, co było potem?

– Odebrałam w biurze telefon od detektywa Jensena, który powiadomił mnie o zgłoszeniu. Zadzwoiła do niego kobieta z wiadomością, że na placu za jej domem stoi samochód. Jego opis pasował do tego, którego szukaliśmy.

– Może nam pani opowiedzieć o wizycie na tym placu?

Crosswhite spełniła prośbę.

Cho wypytał ją o część pasującą do uszkodzonego samochodu i o to, jak Jensen powiązał znaleziony pojazd z kradzieżą zgłoszoną tego ranka przez Treja.

– Jak pani zareagowała na tę wiadomość? – spytał oskarżyciel.

– No cóż, biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, zaczęłam mieć wątpliwości, czy samochód rzeczywiście został skradziony, i pomyślałam, że warto to sprawdzić.

Battles zanotowała, żeby podczas procesu zaatakować Crosswhite i zasugerować, że prowadzone przez nią i Jensena czynności śledcze

nie były obiektywne, bo zaważyło na nich ich z góry powzięte przekonanie, że Trejo kłamie.

Cho przeszedł do szczegółowego omówienia przebiegu wizyty Crosswhite i jej partnera, Kinsingtona Rowe'a, w mieszkaniu oskarżonego.

– Co pani powiedział pan Trejo? – zapytał.

– Potwierdził, że samochód został skradziony i że zgłosił kradzież na policji na Bremerton.

– Czy coś zwróciło pani szczególną uwagę podczas tej rozmowy?

– Pan Trejo pił z puszki napój energetyczny Red Bull, a na czole miał opatrunek.

Zeznała następnie, jak Trejo wyjaśnił swoją ranę: że uderzył się o kant szafki kuchennej. A później, gdy usłyszał o śladach krwi w samochodzie, tłumaczył, że nie zauważył, że wciąż jeszcze krwawi, i próbował wyczyścić siedzenie z krwi.

Co brzmi całkiem logicznie, zanotowała Battles. Zrobiła też notatkę, że rany na czole obficie krwawią. Z trudem się powstrzymywała, żeby się nie zerwać i nie zaprotestować.

Crosswhite była zaprawionym w bojach świadkiem i odpowiadając na pytania oskarżenia, gładko zeznała o znalezieniu w samochodzie paragonu ze sklepu spożywczego w Renton, będącego dowodem zakupu dwóch puszek napoju energetycznego pół godziny przed wypadkiem. Stanowiło to wstęp do zaliczenia do materiału dowodowego najbardziej obciążającego Treja dowodu: nagrania z kamery monitoringu w sklepie spożywczym.

Battles zauważyła, że w tym czasie Lindsay Clark szukała czegoś najpierw w stojącym na podłodze pudle z dowodami, a potem na stole oskarżenia.

– Wysoki Sądzie... – Cho przerwał, bo Clark zaczęła dawać mu jakieś znaki. – Przepraszam, Wysoki Sądzie, chciałbym zamienić kilka słów z asystentką. – Podszedł do stołu i zaczęli szeptać, po czym Cho obrzucił ją zdumionym spojrzeniem i sam zabrał się do przeszukiwania zawartości pudła. Chwilę później podszedł do protokolanta sądowego, Boba Grassillego, którego Battles dobrze знаła. Coś do niego szepnęła i Grassilli zaczął się rozglądać po swoim biurku.



– Wysoki Sądzie, czy moglibyśmy zrobić krótką przerwę? Musimy znaleźć jeden dowód.

Rivas spojrzała na zegar na ścianie.

– Ogłaszam przerwę – powiedziała. – Ile czasu panu trzeba?

– Tylko parę minut, Wysoki Sądzie.

Gwar na widowni się wzmógł i protokolant w towarzystwie Cho i Clark wyszedł z sali. Battles wstała, by rozprostować nogi, i zwróciła się twarzą do Treja, ale ten siedział nieporuszony ze wzrokiem wbitym w ścianę. Już miała się do niego odezwać, gdy dostrzegła, że detektyw Crosswhite odwraca głowę w stronę publiczności, patrzy na Jensena i wzrusza ramionami.

## Rozdział 23

Del odebrał z laboratorium zapis esemesów i maili Allie i odwiózł Faza na komendę, ale sam nie wszedł do środka. Wiedział, że mając dokumentację w teczce, i tak nie będzie w stanie zająć się czymś innym, pojechał więc do domu.

Po rozwodzie wynajął dom na Capitol Hill od koleżanki, którą przeniesiono służbowo do Portlandu, ale która po przejściu na emeryturę zamierzała wrócić do Seattle. W każdym razie tak twierdziła. Sąsiadujące domy poddano wielokrotnym przeróbkom, lecz w tym wynajmowanym przez Dela, w stylu Craftsman z lat trzydziestych dwudziestego wieku, nie dokonano prawie żadnych zmian, co znaczyło, że dom miał wprawdzie dużo uroku, ale wymagał jeszcze więcej zachodu. W zamian za obniżony czynsz Del zobowiązał się o niego dbać, naprawiać to, co się zepsuje, i generalnie utrzymywać go w stanie używalności. Zajmował się nawet otoczeniem domu, choć działka była nieduża. Koszenie trawnika przed i za domem zajmowało mu niecałe pół godziny.

Tylko dzięki obniżonemu czynszowi Dela było stać na mieszkanie w jednej z bardziej ekskluzywnych dzielnic Seattle. Z domu stojącego na szczycie stromego wzniesienia na wschód od centrum roztaczał się piękny widok na panoramę wieżowców Seattle, Zatokę Elliotta, wznoszące się na niej wyspy i widoczne na horyzoncie Góry Olimpijskie. U stóp wzniesienia biegła autostrada I-5.

Zaparkował impalę na pokrytej żwirem bocznej dróżce, którą sam wytyczył pod boczną ścianą domu, bo nie zamierzał parkować swego cacka na ulicy. Gdy tylko stanął na górnym schodku ganku, Santino, jego shih tzu, wskoczył na oparcie kanapy, jak to robił zawsze, gdy pan wracał z pracy.

– Nie można odmówić ci konsekwencji – mruknął Del, spoglądając na psiaka przez okno. – Ale z twoim wyczuciem czasu na kupę już gorzej.

Santino wpadał w niekontrolowany dygot i zaczynał się miotać między oparciem kanapy, oknem, do którego się wspinał na tylnych łapach, i drzwiami wejściowymi. Del kupił Santina – inaczej Sonny’ego – dla żony w nadziei, że towarzystwo psa wypełni jej pustkę w te wieczory, gdy on był na służbie, skończyło się jednak na tym, że jej stosunek do zwierzaka stał się równie niechętny jak do męża. Santino to czuł i wolał Dela. Mówi się, że shih tzu to wyjątkowo inteligentna rasa.

– Dobrze już, dobrze – rzucił Del, otwierając drzwi. Pies skoczył i zatańczył na tylnych łapach niczym bąk. Miał brązowo-białą gładką sierść, chyba że Del postanowił go wykąpać, bo wtedy Sonny wyglądał jak nastroszona kulka bawełny. Del nazwał go na cześć syna dona Vita, granego przez Jamesa Caana w *Ojcu Chrzestnym*, najlepszym filmie, jaki kiedykolwiek nakręcono.

Podniósł go z podłogi, poskrobał pod brodą i pozwolił się polizać po twarzy.

– Przecież nie było mnie raptem godzinę. Mam nadzieję, że nie rzuciłeś mi żadnych bomb.

Santino nie zawsze korzystał z psich drzwiczek, które jego pan zainstalował w tylnym wyjściu z domu, zwłaszcza w takie dni jak dziś, gdy padało. Del zrobił szybki przegląd pokrytej linoleum podłogi w kuchni i uznał, że teren jest wolny od min.

– Dobry piesek – mruknął, chwycił psi smakołyk z pudełka na kuchennej półce i postawił Sonny’ego na podłodze. – Gotowy? – Wycelował w niego palec jak pistolet i krzyknął: – Trach! – Psiak padł na grzbiet i wyciągnął łapy w powietrze, jakby został postrzelony. – Wstań! – rozkazał Del. Zwierzę zerwało się na nogi i dostało nagrodę z ręki pana. – Dobry piesek.

Gdy Sonny zajął się smakołykiem, Del przeniósł wzrok na telefon. Zadzwoił do Celi McDaniel poprzedniego wieczoru, ale od razu włączyła się poczta głosowa. Zostawił wiadomość, lecz Celia się nie odezwała.

– Nie ma sensu siedzieć i czekać jak osiemnastoletni prawiczek – powiedział do Sonny’ego.

Przeszedł do swojego gabinetu na tyłach domu, prawdziwej męskiej pieczary. Miał w niej telewizor – stary model kineskopowy – który rzadko włączał. Regał na całą wysokość pokoju wypełniony był

książkami, zarówno powieściami, jak i literaturą faktu, w tym sporą kolekcją opracowań historycznych o wojnie secesyjnej. Przeczytał biografie wszystkich centralnych postaci konfliktu: Roberta E. Lee, Stonewalla Jacksona, Ulyssesa S. Granta i Joshuy Chamberlaina. Zgromadził też trochę pamiątek z wyjazdów – autentycznych drobiazgów z Gettysburga i Antietam oraz innych pól bitewnych, które odwiedził. Na ścianie nad kanapą wisiał oprawiony w ramki plan budynku sądu z potyczki w Appomattox, ostatniej bitwy stoczonej przez Roberta E. Lee dziewiątego kwietnia 1865 roku i zakończonej jego kapitulacją, która oznaczała koniec wojny secesyjnej.

Del usiadł na skórzanej kanapie, twarzą do wykuszowego okna, za którym roztaczał się jego ukochany widok, włączył komputer i wetknął do gniazda pendrive'a od Meltona. Kliknął na plik z mailami Allie i otworzył. Widok imienia siostrzenicy na ekranie odczuł jak ukłucie nożem; tak go zabolalo, że musiał odjąć ręce od klawiatury, odchylić się na oparcie kanapy i przez chwilę walczyć z emocjami. Kilka razy głęboko odetchnął, zebrał się w sobie i zaczął przeglądać maile. Nie było ich wiele. Dzisiejsze dzieciaki piszą maile mniej więcej tak często, jak dorośli listy. Porozumiewają się esemesami, snapami oraz czymś, co jego siostrzeńcy nazywali „My Story”.

Większość maili Allie dotyczyła szkoły i lekcji. Przerzucał je szybko, koncentrując się w miarę zbliżania się do daty jej śmierci. Zatrzymał się na mailu, który dostała dwa tygodnie przed śmiercią.

**Hej, dlaczego nie odpisałaś? Podobno wyszłaś z pudła. Uciekłaś? Ha, ha. Czemu nie zadzwoniłaś? Mailuję na wypadek, gdyby mama zabrała ci telefon.**

Del spojrział na nadawcę. Jakiś J-Man, adres nadawcy: jman@cdrpm.net.

Następnego dnia, jako że Allie nadal nie odpowiadała, J-Man wysłał kolejnego maila.

**Unikasz mnie? Myślę o tobie ciągle, od kiedy zniknęłaś!!! Po prostu zapadłaś się pod ziemię. Co jest, kurwa? Naprawdę chciałbym cię zobaczyć.**

Allie ponownie nie odpowiedziała.

Del przebiegł wzrokiem kolejne maile, w tym trzy dalsze od tego samego nadawcy. W końcu, po piątym mailu J-Mana, Allie wreszcie odpowiedziała:

**Przepraszam. Mama zabrała mi telefon, więc nic nie czytałam. Jestem strasznie zajęta. Myślę, że nie powinniśmy się widywać. To by było za trudne. W tym semestrze nie wracam do szkoły. Idę do pracy. Łee! Kończę lato w domu i idę do Gonzagi.**

**Trzymaj się.**

**Al**

Niezrażony tym, co napisała, J-Man natychmiast odpowiedział. Wyraźnie nie przejął się jej słowami.

**Cieszę się, że żyjesz! Głupio z tym twoim telefonem. Spotkałem TC. Powiedziała, że się zaharowujesz. Nie imprezujesz? Rany, ja bym tak nie umiał. Ja jakoś daję sobie radę i trzymam z TC. Idziesz do pracy, żeby zarobić na college czy na furę? Mam nadzieję, że na furę, bo większy z niej pożytek. Ha, ha.**

Allie odpisała:

**Nie na furę :). Ha, ha. Po prostu jestem zajęta. Doprowadzam się do porządku. TC mówiła, że cię widziała. Powiedziała, że jesteś już zaklepany. Szczerze, bardzo się cieszę.**

J-Man odpisał o 23.54.

**Gówno prawda. Liczy się tylko moja muzyka.**

Del domyślił się, że „zaklepany” znaczy, że ma już dziewczynę. Był gotów się założyć, że „trzymanie” J-Mana z TC trwało przez cały pobyt

Allie na odwyku.

J-Man pisał dalej:

**Ja i TC tylko się przyjaźnimy. Powaga.**

Odpowiedź Allie była utrzymana w tonie tak wiernopoddańczym, że Dela aż zemdliło. Był pewien, że J-Man miał jakieś swoje własne cele.

**Przepraszam. Nie chciałam cię zranić. Nie sądziłam, że będziesz na mnie czekał.**

Na co J-Man odpisał:

**Powinniśmy się spotkać. Kiedy będziesz u siebie? Masz już telefon? Jutro?**

Odpowiedziała natychmiast:

**Zły pomysł. Rodzina mnie pilnuje. A wujek jest gliniarzem ze spluwą. Ha, ha.**

J-Man nie przestawał napierać. Del, który wyczuwał, że chłopak jest narkomanem, starał się opanować narastający gniew, ale miał coraz większą ochotę odnaleźć tego typka i zerwać mu kolejno wszystkie paznokcie.

**Spoko. Stęskniłem się. Nikt mnie tak nie kręci jak ty, Al. Smutek odkąd odeszłaś. Jestem sam. (:**

Tym razem Allie nie odpowiedziała i Del niemal słyszał, jak siostrzenica ze sobą walczy.

J-Man wysłał jej kolejnego maila, ale z jednym tylko słowem:

**Zadzwonisz?**

Nie rób tego, dziewczyno, pomyślał Del. Nie dzwoń do niego.  
Znow trochę potrwało, nim odpowiedziała, a gdy to w końcu  
zrobiła, jej słowa złamały Delowi serce.

**Jutro. Zadzwońię.**

## Rozdział 24

Po paru dłużących się minutach drzwi obok stołu sędziowskiego otworzyły się i Tracy śledziła wzrokiem powracających Cho, Clark i Grassillego. W przeciwieństwie do początku przesłuchania, kiedy Cho wyglądał na wyluzowanego i pewnego siebie, teraz sprawiał wrażenie spiętego. A nawet więcej – wyglądał na przybitego, a towarzysząca mu Clark przypominała jelenia w świetle reflektorów, który bezradnie wpatruje się w nadjeżdżający samochód. Grassilli, protokolant sądowy, też sprawiał wrażenie wytrąconego z równowagi. Wrócił na swoje miejsce i raz jeszcze się rozejrzał. Cho ponownie przeszukał pudło na dowody i stół oskarżenia.

– Panie prokuratorze, czy możemy kontynuować? – spytała Rivas.

– Wygląda na to, Wysoki Sądzie, że mamy pewien kłopot. Nie możemy odnaleźć jednego dowodu.

– Jakiego dowodu?

– Nagrania wideo ze sklepu spożywczego.

– Jak to? Zginęło? – spytała z niedowierzaniem sędzia, przenosząc wzrok z Cho na Grassillego, który przechowywał materiał dowodowy do czasu dzisiejszego przesłuchania.

Tracy popatrzyła na publiczność. Shaniqua Miller spuściła wzrok i zaraz potem głowę. Siedząca obok niej matka zamknęła oczy i zaczęła głośno dyszeć. Spełniał się ich najgorszy koszmar.

– Znaczący... mieliśmy je, tylko że... – Cho jakby zaczynało brakować tchu. – Gdzieś się zapodziało.

– Kiedy widział je pan po raz ostatni?

– Pobraliśmy dowody z depozytu NCIS wczoraj po południu, by przygotować się do tego przesłuchania.

– I co potem?

– Zwróciliśmy wszystko do depozytu.

– I wtedy widział je pan po raz ostatni?

Cho chwilę się zastanawiał.



– Nie – powiedział wolno, jakby coś sobie przypomniał. – Nie wtedy. – Odwrócił głowę i spojrzał na Battles. – Ostatni raz widziałem je wczoraj wieczorem przed wyjściem z biura. Leżało na biurku obrończyni oskarżonego.

Do publiczności, początkowo zaskoczonej i zdezorientowanej, zaczynały docierać konsekwencje tego niespodziewanego obrotu sprawy i na sali odezwały się odgłosy protestu. Dla ludzi z góry przekonanych, że marynarka będzie chroniła jednego ze swoich, zaginięcie nagrania nie mogło być przypadkowe. Dla nich była to świadoma próba niedopuszczenia do wymierzenia sprawiedliwości, a słowa Cho umiejscowiły Battles w samym centrum tego spisku. Kilka osób wstało z miejsc i zaczęło pokrzykiwać, wyciągając ku niej ręce. Żandarmi wojskowi szybko utworzyli szpaler między publicznością a barierką, dwaj strażnicy wyprowadzili Treja z sali.

– Proszę strony do mojego gabinetu! – rzuciła Rivas, przekrzykując narastający harmider.

\* \* \*

Del przejrzał resztę maili siostrzenicy, ale nie znalazł już nic ciekawego. Wiedział, że gdy tylko Allie odzyskała smartfona, jak większość nastolatków zaczęła od razu esemesować i korzystać z Instagrama.

Sonny przydreptał do gabinetu, wskoczył na kanapę i spojrzał na swojego pana, jakby pytał: „Co ty tu robisz?”.

Del przesunął gazetę i pies zwinął się w kulkę obok niego.

– Tylko jesz i śpisz – mruknął Del. – Niezłe masz życie.

Otworzył konto Allie na Instagramie i po chwili poczuł się tak, jakby próbował czytać zaszyfrowany tekst w obcym języku, przetykany zdjęciami – głównie selfie Allie – i emotikonami w rodzaju uśmiechniętej buźki. Był świadkiem jej przemiany ze słodkiego podlotka, jakiego znał, w narkomankę. Na niektórych zdjęciach była tak chuda, że wręcz nie do rozpoznania – ze sterczącym wydatnym nosem i podbródkiem, zapadłymi policzkami i półprzymkniętymi oczami. Niektóre teksty brzmiały bezsensownie lub sprowadzały się do skrótowców, których nie był w stanie rozszyfrować. GLHF. IANAL. FWB.

Przewinął szybko dalej do daty po wymianie maili z J-Manem. Zaraz następnego dnia J-Man do niej napisał.

– Uparty skurwiel – pomyślał głośno Del.

J-Man: **KKUT.**

Del nie miał pojęcia, co ten skrót znaczy, ale towarzyszyło mu selfie J-Mana. Miał długie do ramion, tłuste ciemne włosy, niebieskie oczy i rzadką kozią bródkę. Del wyobrażał go sobie zupełnie inaczej: jako niechlujnego punka, kogoś nadającego się na obiekt jego złości. Tymczasem J-Man wyglądał jak gówniarz. Del pamiętał słowa terapeuty Allie, który powiedział, że wielu uzależnionych to „dobre dzieciaki z dobrych domów”.

Allie: **A tu ja.**

Załączyła swoją fotkę, na której się uśmiechała, ale wyglądała na niepewną, nawet trochę wystraszoną.

J-Man: **Nareszcie. Wow. Za długo!**

Allie: **Tak, wiem.**

J-Man: **Więc widzimy się dziś?**

Allie: **Muszę pracować.**

J-Man: **Gdzie? Wpadnę do ciebie.**

Allie: **Nie możesz. Żadnych znajomych. Szef to faszysta.**

J-Man: **O której kończysz?**

Allie: **7.**

J-Man: **Odwieźć cię do domu?**

– Nie odpuszczał, sukinsyn – burknął Del z taką złością, że Sonny aż poderwał łeb i na niego spojrział.

Allie: **Rodzina w domu.**

Tym razem J-Man wysłał swoje selfie, na którym miał uniesione brwi, co musiało być jakimś umówionym znakiem. Jakimś milczącym komunikatem. Może zaproszeniem do ćpania albo uprawiania seksu. Paznokcie to za mało. Del był gotów łamać mu kolejno wszystkie palce.

Allie: **Zły pomysł.**

J-Man nie odpowiedział, więc spytała: **Wszystko OK?**

J-Man: **Nie bardzo. Naprawdę cię kochałem... Wciąż Kocham.**

– Jaja sobie, kurwa, robisz? – burknął pod nosem Del.

Zapadła dłuższa cisza ze strony Allie i Del już zaczynał się modlić w duchu, że siostrzenica się nie odezwie. Że wszystko było jedną

wielką pomyłką. Spojrzał na ścianę i wiszący na niej krucyfiks, który niegdyś ozdobił sypialnię w domu jego matki w Wisconsin, i przeżegnał się. Nie za siebie, za Allie.

J-Man: **Jesteś tam jeszcze?**

Allie: **Muszę kończyć.**

Późnym wieczorem tego samego dnia, po wyjściu Allie z pracy, bombardowanie esemesami znów się zaczęło i Del poczuł, jak wszystko się w nim gotuje. Kilka razy musiał przerwać czytanie i odsunąć komputer na bok. Podchodził wtedy do okna i wpatrywał się w ruch na autostradzie. Wiedział, do czego zmierzają podchody J-Mana, i zastanawiał się, czy gdyby chłopak dał za wygraną i więcej nie pisał, a Allie przestałaby odpowiadać, gdyby Del zmiażdżył obcasem jej telefon lub gdyby dopadł J-Mana i zmiażdżył jego, to końcowy rezultat byłby inny.

Powrócił do komputera.

J-Man: **Jesteś w domu?**

Allie: **Tak. Co robisz?**

J-Man: **Żyję. CJG?**

Del odczytał skrót jako: „Co jest grane?”.

Allie: **Jesteś na haju?**

J-Man: **Może trochę. Całusy.**

Allie: **Myślałam, że z tym skończyłeś.**

J-Man: **Mam nowy szajs, naprawdę odjazdowy.**

To wzbudziło zainteresowanie Dela. J-Man załączył kolejne zdjęcie. Wyglądał na nim jak klaun. Głupkowaty uśmieszek, przymknięte oczy. Młoda dziewczyna w wieku Allie, też na haju, wciskała się obok niego w kadr.

Allie: **Jesteś z TC?**

J-Man: **Powinnaś tu przyjechać.**

Allie: **Przeleciałeś ją?**

J-Man: **Ha, ha.**

Allie: **Mówiłeś, że nic między wami nie ma.**

J-Man: **Wszystko jest jak trzeba. Tylko się przyjaźnimy. Przyjedź.**

Znów minęła dłuższa chwila, zanim odpowiedziała.

Allie: **Nie mogę.**

J-Man: **Rób, jak chcesz.**

Dela aż zemdliło. Musiał się zmusić, by przebrnąć przez resztę konwersacji, która ciągnęła się niemal bez przerwy przez następne trzy dni i noc. J-Man był niezmordowany w przekonywaniu Allie, jak ją kocha, i zachwalaniu nowej heroiny. Powoli przełamywał opór dziewczyny. Ona wciąż odmawiała, ale może tylko dlatego, że nie miała dostępu do samochodu. W końcu się poddała i motywy J-Mana stały się jasne.

Del zaczął czytać esemesy, których najbardziej się obawiał. Ostatni wieczór przed znalezieniem Allie martwej.

J-Man: **Odebrać cię z roboty?**

Allie: **OK.**

J-Man: **Cieszę się, że cię zobaczę!!!**

Allie: **Możemy pojechać do mnie.**

J-Man: **A co z rodziną?**

Allie: **Późno wróci.**

J-Man: **Super. Może wreszcie przyda się ta forsa, którą zarabiasz.**

No i o to chodziło!

To nie była żadna miłość. Nawet nie przyjaźń. Było tak, jak powiedział Delowi i Maggie terapeuta: J-Man nie różnił się od całej bandy innych ćpunów. Chodziło mu o forszę. Chodziło o kupno następnej działki i było mu obojętne, skąd są pieniądze i jak je zdobędzie, byle były.

Ostatnia wiadomość od Allie była jak cios nożem w serce. Wzięta w kleszcze przez uzależnienie, heroinę i nieustępliwość J-Mana, dziewczyna nie miała cienia szansy.

Allie: **Może.**

Del zamknął oczy, po policzkach spłynęły mu łzy. Wypuścił wstrzymywane powietrze i w piersiach aż mu zagrało. Zadzwoiła jego komórka. W pierwszej chwili nie mógł jej znaleźć. Sięgnął pod Sonny'ego i ją wygrzebał.

– No? – rzucił, pewien, że to Faz.

– „No”? To tak odbierasz telefony? – usłyszał kobiecy głos z nutką rozbawienia.

Odsunął aparat od ucha i spojrzał na ekran, ale wyświetliło się tylko: *Numer nieznany.*

Odchrząknął.

– Celia?

- Najwyraźniej nie ktoś, kogo się spodziewałeś.
- Myślałem, że to mój partner. – Del spojrział na zegarek. Do powrotu na komendę zostały mu jeszcze dwie godziny. – Dostaliśmy maile i esemesy ściągnięte z telefonu i laptopa Allie i postanowiłem przejrzeć je w domu.
- Celia na moment zamilkła, po czym cicho spytała:
  - Dobrze się czujesz?
  - Tak – odparł. – Wszystko w porządku.
  - Oddzwaniem, bo wczoraj nie mogłam odebrać – powiedziała. – Mam zadzwonić później?
  - Nie, nie, w porządku. Zadzwoniłem, bo chciałem spytać, czy... czy nie zjedlibyśmy znów czegoś?
  - Jestem w trakcie procesu i... i nie wygląda na to, żebyś ty miał jakieś wolne wieczory w tym miesiącu.
- Do Dela dotarło to, czego nie powiedziała. A nie powiedziała, że wybrałaby się z nim na kolację.
  - Tak, jasne – bąknął. – Chyba byłoby trudno.
  - Jutro rano mam mowę końcową – dodała.
  - Powodzenia. Na pewno świetnie ci pójdzie. Przysięgli będą zachwyceni.
  - Del, u ciebie na pewno wszystko w porządku?
- Nie był tego pewny.
- Tak, nie ma problemu. Zadzwonię, kiedy wszystko trochę się uspokoi.

\* \* \*

Wychodząc z sali z Cho i Clark, Battles słyszała, jak publiczność za jej plecami nadal się burzy. Weszli do przydzielonego Rivas na czas dzisiejszego przesłuchania ciasnego pokoiku na końcu korytarza. Stały w nim tylko skromne metalowe biurko i metalowy regał z kilkoma książkami. Rivas wcisnęła się za biurko, Battles stanęła przy regale po lewej, a Clark i Cho obok niej po prawej. Protokolant sądowy, Bob Grassilli, ustawił się najbliżej drzwi.

– Powtórzmy to sobie jeszcze raz – zwróciła się sędzia do Cho uspokajającym tonem. – Kiedy pobrał pan tę taśmę z depozytu?

– Wczoraj po południu – burknął Cho. Wciąż był wkurzony i wiercił się niespokojnie, jakby łąziły po nim mrówki. – Przygotowywaliśmy się do przesłuchania.

– I jest pan pewien, że ją pan tam zwrócił?

– Tak. Odnotowaliśmy to w rejestrze dowodów. Zwróciliśmy nie tylko taśmę. Można to sprawdzić. – Spojrzał na Grassillego, jakby szukał u niego potwierdzenia.

– Zgadza się, Wysoki Sądzie – powiedział protokolant, u którego znajdował się rejestr. – Zwrócili pudło o siedemnastej trzydzieści.

– Czy w pudle była wtedy taśma?

– Sadzę, że tak – odparł Cho.

– Ale nie wie pan na pewno.

– Była tam, kiedy przeglądaaliśmy materiał dowodowy, więc tak, powiedziałbym, że taśma na pewno była w pudle, kiedy je oddawaliśmy.

Rivas przeniosła wzrok na Battles.

– Miała pani wczoraj tę taśmę?

– Miałam u siebie to samo pudło z dowodami. – Battles starała się mówić pewnym siebie głosem. – Pobrałam je z depozytu i poprosiłam o przyniesienie do mojego pokoju na krótko przed wyjściem Boba do domu, ale nie pamiętam, czy widziałam w nim tę taśmę.

– Co chce pani przez to powiedzieć? – spytała Rivas.

– Chcę powiedzieć, że wczoraj wieczorem nie oglądałam tego nagrania. Nie miałam powodu, by je ponownie oglądać. A poza tym nie mam u siebie odtwarzacza, na którym mogłabym je odtworzyć.

Sędzia znów spojrzała na Cho.

– Zdawało mi się, że pan powiedział, że widział tę taśmę wczoraj wieczorem na biurku porucznik Battles, czy tak?

– Pudło z dowodami – odparł z naciskiem Cho. – Nie konkretnie taśmę, tylko pudło z dowodami. Wczoraj wieczorem stało na jej biurku, więc...

– Zwróciła je pani? – przerwała mu Rivas, patrząc na Battles.

Ta skinęła głową.

– Zniosłam je do pokoju Boba i postawiłam na jego krześle. Nie było go już wtedy w pracy.

– Czyli nie wpisała go pani do rejestru?

Grassilli pokręcił głową.

– Ale odniosłam. Znalazł je pan dziś rano, prawda? – dodała, zwracając się do Grassillego.

– Owszem, znalazłem pudło – potwierdził Grassilli.

– Ale bez taśmy – wtrącił Cho.

– Oddałam całe pudło – oświadczyła Battles. – Nic nie wiem o taśmie. Nie mam pojęcia, czy była w pudle, czy nie.

– I taśmy u pana nie ma? – zwróciła się Rivas do Grassillego.

– Nie znalazłem jej.

– Dziś rano nie było jej w pudle?

– Nie – odparli jednocześnie Cho i Clark.

– A może została w waszym biurze?

– Nic mi o tym nie wiadomo – odrzekł Cho.

– Ja jej nie wyjmowałam – dorzuciła Battles.

– Sprawdźcie wszyscy w swoich pokojach – nakazała sędzia.

Każdy z nich obiecał, że to zrobi.

– Istnieje kopia tego nagrania? – spytała Rivas protokolanta.

– To była taśma magnetowidowa, pani sędzio. – Grassilli westchnął.

– Nie dysponujemy urządzeniami do kopiowania takich staroci, a poza tym była w ciągłym użyciu... wszystkim się śpieszyło. Mieliśmy wysłać ją do skopiowania po dzisiejszym przesłuchaniu.

– A co z policją? Czy oni nie zrobili dla siebie kopii? – spytała Rivas.

– Wątpię – odparł Cho. – Przejęliśmy tę sprawę niemal od razu pod naszą jurysdykcję.

– Mimo to dowiedzmy się tego.

– Sprawdzę to – rzucił Cho bez entuzjazmu w głosie.

Rivas spojrzała na Grassillego, złożyła dłonie w piramidkę i przytknęła do ust. Nie powiedziała tego głośno, ale pewnie jak wszyscy pozostali pomyślała, że to poważny problem dla oskarżenia, zwłaszcza jeśli dojdzie do procesu przed sądem wojskowym, dla którego potrzebne będą mocniejsze dowody winy.

– Wysoki Sądzie – odezwał się Cho. – Mogę udowodnić istnienie tego nagrania, powołując na świadka Archibalda Issę, właściciela sklepu spożywczego. Zarówno on, jak i detektyw Crosswhite zeznają, że widzieli na nagraniu Laszla Treja.

Rivas pokręciła głową i opuściła ręce.

– Brak taśmy uniemożliwiłby oskarżonemu i jego obronie skuteczne podważenie zeznań detektyw Crosswhite związanych z tym

nagranie. Nie wolno mi do tego dopuścić. I mogę was zapewnić, że sędzia wyznaczony do procesu w sądzie wojskowym uznałby, że brak nagrania narusza prawo oskarżonego z tytułu Szóstej Poprawki do podważenia prawdziwości słów nie tylko detektyw Crosswhite, ale także pana Issy i każdego, kogo wezwie pan na świadka.

– Moglibyśmy wezwać Issę i uzyskać zeznanie, że pamięta wizytę Treja w jego sklepie – podsunęła Clark.

– Na pewno pamięta? Bez podparcia się taśmą? Czy może twierdzi tak tylko dlatego, że zadzwoniono do niego z policji, a potem obejrzał to nagranie? To było... kiedy? Blisko trzy tygodnie temu? Pamięta także innych klientów z tego dnia? – Ponownie pokręciła głową i dodała z naciskiem: – Nawet jeśli zapamiętał wizytę oskarżonego w sklepie, brakuje najważniejszego dowodu i jemu, i wam. Gdybym nawet przyjęła, że to nagranie łączy się w jedną całość z innymi dowodami, na przykład ze znalezionym w samochodzie paragonem sklepowym, i dzisiejsze przesłuchanie zakończyłoby się po myśli oskarżenia, to na pewno nie przejdzie to w sądzie wojskowym, dużo bardziej wymagającym w kwestii przedstawiania dowodów i dowodzenia swych racji.

Cho wycelował palec w Battles.

– Nie ulega wątpliwości, że oskarżenie zdało wczoraj pudło z dowodami do depozytu i odnotowało ten fakt w rejestrze, podobnie jak nie ulega wątpliwości, że porucznik Battles później poprosiła o wydanie go i trafiło w jej ręce. Zresztą sama przyznała, że miała to pudło jako ostatnia, więc sprawa nie podlega dyskusji.

Battles jednak pokręciła głową.

– Powiedziałam, że nie pamiętam, żebym oglądała nagranie, i jestem oburzona pańskimi insynuacjami. Odniosłam pudło z powrotem do biura Boba.

– Nie znajduje to potwierdzenia w rejestrze depozytowym – zauważył Cho.

Rivas spojrzała na Grassillego, a ten niechętnie skinął głową. Battles uzmysłowiła sobie, że właśnie narobiła mu kłopotu, i od razu tego pożałowała.

Cho patrzył na nią i Grassillego niczym promotor walki dwóch bokserów podczas ich konferencji prasowej przed walką.



– Zostawiłam pudło na krześle Boba – burknęła Battles. – Może taśmy już wtedy w nim nie było.

– To najpodlejsze kłamstwo, jakie... – syknął Cho przez zaciśnięte zęby.

– Dość tego! – przerwała mu Rivas i Cho zwrócił się ku niej, przechylając głowę w wyzywającym geście. Zrobiło się nagle tak, jakby ktoś wyssał z pomieszczenia całe powietrze i nie było czym oddychać. – Niestety, poruczniku, świętym obowiązkiem oskarżenia jest pilnowanie materiału dowodowego.

– I pilnowaliśmy! – zaperzył się. – Dowodzi tego wpis w rejestrze. To obrona miała w ręce dowody jako ostatnia, a więc podejrzenie, że któryś z nich został utracony lub zniszczony, spada na nią, a wszelkie wynikające stąd konsekwencje powinny obciążać oskarżonego.

Rivas pokręciła głową.

– To już temat na następne posiedzenie – oświadczyła. – I niezależnie od wszystkiego, oskarżenie też ma problem, bo żaden sąd wojskowy nie skáže człowieka tylko z powodu rzekomych niedociągnięć jego obrony. Pan Trejo siedział w tym czasie w areszcie w bazie Lewis-McChord i nie ponosi żadnej winy za to, co się stało. Jak już powiedziałam, na dzisiejszym przesłuchaniu może wam się udać, ale proces przed sądem wojskowym to zupełnie inna sprawa. – Zamilkła. Pewnie rozważała polityczne reperkusje nieodnalezienia zaginionego nagrania, bo potrząsnęła głową, jakby rozpędzała złe myśli. – Daję oskarżeniu dwadzieścia cztery godziny na odnalezienie taśmy lub na złożenie wyczerpującego wyjaśnienia przyczyn jej zaginięcia. Do tej chwili odraczam przesłuchanie z artykułu trzydziestego drugiego, ale go nie zamykam. Jeśli nie uda się odnaleźć taśmy, wydam orzeczenie na podstawie dotychczas przedstawionych dowodów. Jeżeli chce pan złożyć oświadczenie, że odpowiedzialność za zaginięcie dowodu spada na obronę, może pan to zrobić, ale na pańskim miejscu zadzwoniłabym na policję w Seattle i przeszukałabym wszystkie zakamarki w waszym biurze.

Cho skinął głową i wraz z Clark i Grassillim wyszli z pokoju. Battles odczekała chwilę, by nie wychodzić razem z nimi, po czym też ruszyła do wyjścia.

– Pani porucznik?

Battles stanęła i zwróciła się twarzą do sędzi. Z góry wiedziała, co usłyszy. Jako ostatnia miała do czynienia z pudłem i logiczne było, że konsekwencje zaginięcia kluczowego dowodu muszą spaść na nią.

– Na pani miejscu zastanowiłabym się nad poszukianiem nowego obrońcy dla pana Treja – poradziła jej sędzia. – I być może dla siebie też.

\* \* \*

Battles wróciła do siebie i zamknęła za sobą drzwi, nie pozostały jednak długo zamknięte.

Otworzyły się bez pukania i do jej dziupli wparował Brian Cho.

– Czy pokonanie mnie jest tak dla ciebie ważne, że jesteś gotowa zaryzykować całą swoją karierę zawodową?

Uniosła na niego wzrok.

– Opanuj się. Tu nie chodzi o ciebie.

Cho zrobił krok do przodu, tak że znaleźli się dosłownie centymetry od siebie.

– Oczywiście, że nie chodzi o mnie. Chodzi o ciebie. Jak cholera. Złożymy ten wniosek, a potem zrzuć bombę „e” na Waszyngton. Trejo nie będzie jedynym, który stanie przed sądem wojskowym.

Bombą „e” nazywano skargę etyczną składaną w Wojskowym Biurze Prawnym Pentagonu, a gróźb tego rodzaju nie rzucono na wiatr i traktowano je bardzo poważnie. Oficerów WBP delegowanych do przeprowadzenia dochodzenia w sprawie skargi nazywano „głowicami”, bo zwykle byli ludźmi inteligentnymi, ale całkowicie pozbawionymi zdrowego rozsądku i poczucia humoru.

– A złóżcie sobie! – Battles zjeżyła się i jeśli Cho spodziewał się, że ją nastraszy, to się przeliczył. – Nie zabrałam tej pieprzonej taśmy, a jak ją w końcu znajdziesz na swoim biurku albo w łóżku Clark, to przeprosiny możesz sobie wetknąć w dupę.

Cho zrobił taką minę, jakby zaraz miał wybuchnąć, co ucieszyłoby Battles, bo mogłaby roześmiać się mu w twarz i wyrzucić go z pokoju, a on przez tydzień łąziłby z podkulonym ogonem, nim odważyłby się ją tknąć.

– Panie prokuratorze? – Do pokoju weszła Rebecca Stanley i Cho szybko się cofnął. – Jakiś problem?

– Nie, pani kapitan – odparł Cho.

– Zatem myślę, że powinien pan zająć się szukaniem taśmy wideo, nie uważa pan?

Skinął głową i wypadł na korytarz w stanie przypominającym czajnik, w którym za chwilę zagotuje się woda.

– Poruczniku! – zawołała za nim Stanley.

Odwrócił się z drgającą ze złości szczęką.

– I proszę zamknąć za sobą drzwi.

Cho bez słowa sięgnął za siebie, obrzucił Stanley wymownym spojrzeniem i zamknął drzwi.

Stanley wolno obróciła się twarzą do Battles.

– Zechcesz mi opowiedzieć, co tu się stało? – odezwała się spokojnym tonem.

– Kiedy sama nie wiem. – Battles pokręciła głową.

– Miałaś to pudło z dowodami jako ostatnia?

– Wczoraj wieczorem przyniesiono mi je do pokoju. Bob powiedział, że są w nim ważne dowody, i zabranie z depozytu całego pudła wydało mi się prostsze.

– Osobiście ci je tu przyniósł?

– Tak.

– I potem je zwróciłaś?

– Koło jedenastej.

– Ale Boba już tam nie było.

– Nie. Zostawiłam pudło na jego krześle. Wcześniej też tak robiłam.

– Być może, ale to niezgodne z procedurą, Leah. Przepis mówi, że protokolant sądowy osobiście wydaje i przyjmuje oraz odpowiada za cały materiał dowodowy do przesłuchań z artykułu trzydziestego drugiego.

– Tak, wiem.

– Postawiłaś Boba w bardzo niezręcznej sytuacji. – Stanley westchnęła. – I nie wiesz, czy ta taśma w ogóle była w pudle?

– Nie pamiętam, bym ją z niego wyjmowała. Z całą pewnością wczoraj jej nie oglądałam.

– Ale w ogóle ją widziałaś, tak?

– Wczoraj nie.

– Czyli nie wiesz?

– Nie mogę stwierdzić, że na pewno tam była.

Zapadło milczenie.

– Niemniej byłaś ostatnią osobą, która miała w ręce pudło z dowodami – orzekła po chwili uroczystym tonem Stanley.

Battles starała się wrócić myślami do poprzedniego wieczoru, podpuszczającego ją Cho i stojącego na biurku pudła z dowodami.

– Tak, byłam ostatnią osobą, która je miała – odrzekła, ostrożnie dobierając słowa. Wiedziała, że od teraz będzie musiała już stale to robić.

Stanley opuściła rękę.

– No to pozostaje mieć nadzieję, Leah, że Cho znajdzie taśmę i że to wszystko okaże się jednym wielkim nieporozumieniem. Bo Lopresti koniecznie chce postawić kogoś pod publicznym pręgierzem i jeśli to nie będzie Trejo...

Zostawiła resztę zdania niedopowiedzianą, ale nie musiała kończyć. Obie wiedziały, kogo Lopresti postawi pod pręgierzem i że nie będzie to Stanley.

\* \* \*

Del dotrwał do końca wieczornej zmiany i wsiadł do windy fizycznie i psychicznie wykończony. Po przejrzeniu maili i esemesów Allie pojechał do pracy, czując potrzebę zajęcia się czymś, a na to na komendzie mógł zawsze liczyć. Jednak jak na złość dzisiaj nic się nie działo i jego myśli nie przestawały się kręcić wokół tego, co przeczytał. Nie mógł się też uwolnić od myśli, że gdyby w czasie pobytu siostrzenicy na odwyku zniszczył jej telefon, sprawy mogłyby się potoczyć inaczej.

Postanowił wstrzymać się z przekazaniem siostrze treści maili i esemesów Allie. Chciał najpierw popytać bliźniaków, czy słyszeli o J-Manie i czy może znają jego prawdziwe imię.

Zjechał windą na poziom podziemnego parkingu, na którym pracownicy zostawiali prywatne samochody i gdzie trzymano służbowe pojazdy komendy. Z zakamarków betonowych belek dochodziło gruchanie gołębi, których nie odstraszały szpikulce ogrodzenia ani ciągły szum pojazdów z pobliskiej autostrady I-5.

Większości samochodów prywatnych już nie było, ale Del dojrzałby ją nawet, gdyby parking był pełny.

Celia McDaniel stała oparta o bagażnik jego impali i wyglądała jak modelka z reklamowego katalogu marki. Miała na sobie dzinsy i kozaki do kolan, białą jedwabną bluzkę pod dzinsową kurtką i szal w czarno-białą kratę, modnie owinięty wokół szyi.

Del zamarł w bezruchu, kompletnie zaskoczony jej widokiem w tym miejscu i o tej porze. Przymulony zmęczeniem umysł nie podsuwał mu żadnego wytłumaczenia jej obecności.

– Celia? Co ty tu robisz?

– Tak sobie pomyślałam, że to musi być twoja bryka. Naprawdę jesteś niedzisiejszy.

Na pokrywie bagażnika stał wiklinowy kosz piknikowy.

– Pod pewnymi względami chyba tak.

– I to mi się podoba. Bo ja też jestem niedzisiejsza. – Od lat nie widział tak ciepłego i szczerego uśmiechu.

– Wcale nie robisz wrażenia niedzisiejszej – powiedział.

– Nie?

– Wyglądasz na dwadzieścia osiem lat.

Jej uśmiech jeszcze bardziej się rozpromienił.

– To jedna z zalet bycia czarną. My się nie marszczymy.

– Słucham? – rzucił, z trudem opanowując śmiech.

– Czarnym skóra się nie marszczy. Nigdy o tym nie słyszałeś?

Del sapnął, bo nie bardzo wiedział, co powiedzieć.

– Mam czterdzieści jeden lat. Ale moja skóra mówi, że mam dwadzieścia osiem. Żadnych zmarszczek. Moją mamę i mnie brano za siostry. Strasznie mnie to złościło, do czasu gdy sobie uprzytomniłam, że sama też kiedyś będę po czterdziestce.

– Aaa, kapuję – mruknął. – A mnie i mojej mamy nigdy nie brano za siostry.

Celia parsknęła śmiechem, podniosła koszyk i podeszła bliżej. Stali, wpatrując się w siebie jak para nastolatków.

– Nie mam nic nowego w sprawie dilera Allie. Mam jego adres mailowy, ale nie znam nazwiska.

– Powoli do tego dojdiesz. – Uniosła koszyk. – Pomyślałam, że pewnie nic nie jadłeś.

– Jest wpół do pierwszej w nocy.

– Wiem. Zdawało mi się, że mówiłeś, że kończysz o dwunastej. Co wy tam jeszcze robicie przez pół godziny po pracy? Myślałam, że

wiejecie, jakby się paliło.

Nagle sobie uświadomił, że przyjście McDaniel nie ma nic wspólnego ze sprawą Allie. Wiedziała, że spędził ciężki dzień na grzebaniu w mailach i esemesach siostrzenicy, i postanowiła mu ten dzień uprzyjemnić. Dać mu odczuć, że jej na nim zależy.

– Faz czekał na żonę, więc chwilę z nim posiedziałem... Czekaj, a co z twoją mową końcową?

– Już po procesie. Krótco po naszej rozmowie zadzwonił do mnie obrońca, że przyjmują moją propozycję ugody. Wróciliśmy na chwilę do sądu i spisaliśmy ją.

Czyli nie musiała się już spinać na jutro.

Uniosła serwetkę w niebiesko-białą kratkę, która przykrywała zawartość koszyka.

– Nic specjalnego: bagietka, prosciutto, salami, sery i oliwki.

– O kurczę, nie ma nic lepszego na świecie – powiedział Del, nie zaglądając nawet do koszyka.

– Pomyślałam, że włoskie jedzenie będzie najbezpieczniejsze. Tylko że nie mamy nic do picia. Mam nadzieję, że znajdziesz w domu jakieś dobre włoskie wino.

– Myślę, że tak.

## Rozdział 25

Następnego dnia rano Leah Battles odniosła wrażenie, że wartownik przy bramie Charleston guzdrze się dwa razy dłużej, sprawdzając jej tożsamość, choć wiedziała, że to tylko jej napięte jak postronki nerwy. Wiadomość o wczorajszych wydarzeniach rozeszła się lotem błyskawicy po całej bazie i wszyscy plotkowali o zaginionej taśmie wideo, snując przeróżne domysły. Dlatego zerwała się rano i jak zwykle popędziła do pracy. Pamiętała, jak w czasach szkolnych matka jej tłumaczyła: „To, że cię nie ma, jest bardzo wymowne, podobnie jak to, że jesteś”. Dlatego Battles chciała przy tym być.

Po jej wejściu do budynku recepcjonistka Darcy i dwaj stojący przy jej biurku mężczyźni obrzucili Battles takimi spojrzeniami, jakby zostali na czymś przyłapani. Raptownie przerwali rozmowę i obaj mężczyźni oddalili się w głąb budynku. Battles kiwnęła Darcy głową, czekając na jej zwyczajowy okrzyk powitalny, ale tym razem go nie było.

Weszła do swojej dziupli, zamknęła za sobą drzwi i chwilę się rozglądała. Wystrój tego pomieszczenia był udanym połączeniem wnętrza biurowego i domowego. Było to jej sanktuarium, miejsce, w którym czuła się u siebie, dziś jednak podziałało na nią obco i klaustrofobicznie, więc najchętniej zawróciłaby i wyszła. Wiedziała jednak, że nie może się poddać. Dlatego tym razem zapaliła sufitowe jarzeniówki w nadziei, że jasne światło pomoże jej się otrząsnąć, i postanowiła włożyć polowy granatowo-szary mundur.

Usiadła za biurkiem, stuknęła w klawiaturę i na ekranie jak zwykle pojawiło się pytanie o login i hasło. Wpisała jedno i drugie i czekając na uruchomienie się komputera, dokończyła przebieranie się. Potem przekręciła klucz w szufladzie, w której trzymała akta bieżących spraw, i otworzyła ją. Szuflada była pusta. Spojrzała na ekran, na którym ukazał się komunikat, że jej login i hasło nie zostały rozpoznane.

Zakłęła pod nosem i ponownie wpisała dane, choć pusta szuflada wyraźnie wskazywała, że nierozpoznanie jej przez system nie wynika z błędnego wpisania haseł. Na ekranie ponownie pojawił się ten sam komunikat. Odchyliła się z fotelem i zaczęła dumać. Jeszcze nigdy nie słyszała, by jakiemuś obrońcy tak błyskawicznie odebrano sprawę. Istniała bowiem zasada, że tylko klient może zwolnić swojego obrońcę. Nie znajdowała jednak innego wytłumaczenia niż to, że odsunęli ją od sprawy i zabrali dokumentację.

No i tyle co do bycia obecną.

Jej zadumę przerwało nieśmiałe pukanie do drzwi.

– Wejść – rzuciła.

Drzwi się uchyliły i ukazała się w nich głowa Darcy; na jej twarzy błąkał się niepewny „pogrzebowy” uśmiech.

– Co się dzieje, pani porucznik? – spytała cicho.

Battles już miała na końcu języka „Diabli wzięli awans”, postanowiła jednak nic po sobie nie pokazywać.

Odpowiedziała uśmiechem.

– Wszystko gra, Darcy – rzuciła. – Dam ci znać, jak przestanie grać.

Darcy weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi.

– Jak się pani czuje? – spytała z troską w głosie. Personel administracyjny na znak szacunku zawsze zwracał się na „pani” do kobiet ze stopniem oficerskim.

– Dobrze. Dzięki, że pytasz. Jakie są ostatnie wieści z plotkarskiego magła?

– Wszyscy mówią o tym, co się wczoraj wydarzyło – odparła Darcy, stanąwszy przy narożniku biurka.

– I jak brzmi werdykt? Jestem winna? – Zablokowany dostęp do komputera i pusta szuflada w biurku właściwie wystarczały za odpowiedź.

Darcy skrzywiła się.

Battles zmusiła się do kolejnego uśmiechu.

– Nic się nie przejmuj – rzuciła.

– Ja w to nie wierzę, pani porucznik – bąknęła Darcy. – Nie uwierzyłam, kiedy o tym usłyszałam, i nadal w to nie wierzę. Chciałam, żeby to pani wiedziała.

– Dziękuję. Doceniam to.

– I będzie pani nadal tu pracowała?



– Chyba że mi nie pozwolą. – Battles zdawała sobie sprawę, że w każdej chwili jej to grozi.

– Da mi pani znać, jeśli coś się stanie?

– Możesz na mnie liczyć.

Zadzwoił telefon na biurku.

– Zostawię panią, żeby mogła pani swobodnie im powiedzieć, co pani o tym myśli. – Darcy uśmiechnęła się i ruszyła do drzwi. W jej uśmiechu był taki smutek, z jakim patrzy się na skazańca przed jego egzekucją.

Battles spojrzała na zegar na ścianie: minuta po dziewiątej. Darcy mogła mieć rację co do tej egzekucji.

\* \* \*

Del wątpił, by przy dwóch wścibskich dziewięciolatkach w domu jego siostry uchowało się zbyt wiele sekretów, zwłaszcza to, kto z kim się spotyka. I nie mylił się. Mark i Stevie szybko zidentyfikowali J-Mana jako Jacka Welcha, ucznia klasy maturalnej Liceum Ballarda, który – jak to ujęli – od sześciu miesięcy kręcił się przy Allie.

– To cienias – powiedział Stevie, machając lekceważąco ręką. – Gra w kapeli.

– Dał plamę – dodał Mark, wytrzeszczając oczy. – Widzieliśmy go, jak grał w konkursie talentów w szkole Allie. Ruszał się jak... – Mark zerwał się z kanapy i szarpiąc z furją struny wyimaginowanej gitary, zaczął tak rzucać głową, że Del się wystraszył, że chłopak coś sobie zrobi.

– Na maksa ściema – potwierdził Stevie. – Ten, co śpiewał, był taki denny, że nie można było nic zrozumieć. – Zaczął stękać i mamrotać coś pod nosem, udając wokalistę.

– Kiedy widzieliście go tu ostatnio? – zapytał Del.

– Mama nie pozwala mu do nas przychodzić. Nie cierpi go.

– Bo to cienias – powtórzył za bratem Mark i opadł na kanapę.

Del sam się tego domyślił, ale „cienias” miał już przynajmniej imię i nazwisko.

\* \* \*

Battles siedziała przed biurkiem Rebekki Stanley, której gabinet znajdował się kawałek dalej w tym samym korytarzu. Kapitan miała minę zatroskanej matki, kiedy córka wybiera się na pierwszy w życiu bal w towarzystwie chłopaka, który matce zupełnie się nie podoba. Battles postanowiła przyjąć taktykę, jaką stosowała, gdy wzywano ją na dywanik do wicedyrektor do spraw uczniowskich w jej żeńskim katolickim liceum. Nie próbowała się tłumaczyć, póki nie postawiono jej konkretnych zarzutów podpartych dowodami.

– Zabrała pani moje akta? – spytała.

– Zabrałam.

– Z całym szacunkiem, ale ci, których bronię, powinni być zawiadomieni i...

Stanley uniosła rękę.

– Zostali zawiadomieni i wyrazili zgodę na zmianę obrońcy. Przykro mi, Leah, ale okoliczności są nadzwyczajne. Wczoraj wieczorem rozmawiałam z dowódcą bazy.

– No i?

– Powiedziałam mu, że moim zdaniem to, co ci zarzucają, nie leży w twoim charakterze. Chcę jednak, byś wiedziała, że moja opinia może nie mieć większego znaczenia.

Battles zdawała sobie sprawę, że zaginięcie taśmy może wywołać poważne niesnaski między wydziałami, a obowiązkiem Stanley było dbanie o dobro całego wydziału.

– Czyli Brian złożył skargę, tak? – spytała.

– Dziś rano zrzucił bombę „e” i możemy się spodziewać wybuchu nuklearnego. Cho jest pod ogromną presją, aby postawić Treja przed sądem wojskowym, a utrata tej taśmy... Dowódca mówi, że możemy się spodziewać śledczych z Waszyngtonu. Słyszałam, że agenci NCIS będą chcieli wszystkich przesłuchiwać.

Battles skinęła w milczeniu głową.

– Jak wiesz – ciągnęła jej przełożona – artykuł trzydziesty drugi miał być jedynie punktem wyjścia do dalszego postępowania, ale Lopresti chciał z tego zrobić pokazówkę dla opinii publicznej i mediów. Miał nadzieję, że przesłuchanie zakończy się postanowieniem o skierowaniu sprawy do sądu wojskowego, a to nieco uspokoi panujące wzburzenie. Teraz sprawa została jeszcze bardziej nagłośniona i dowódca nie jest tym zachwycony.

– Trejo i tak by się nie przyznał – powiedziała Battles. – Wszystko mu wyjaśniłam, podkreśliłam powagę oskarżenia i jego możliwe konsekwencje. Omówiłam z nim każdy dowód i wspólnie obejrzelśmy to nagranie. Uprzedziłam go nawet, że nie będę mogła wynegocjować dla niego nic lepszego niż zaproponowane warunki ugody. Wszystko na nic.

– Rozmawiałaś z jego żoną?

Battles skinęła głową.

– Poświadczyła, że tamtego wieczoru był w domu, ale wydaje mi się, że po prostu stara się kryć męża.

– Kazał jej zeznać, że był wtedy w domu?

– Tak sędzę.

– Nie mógł przecież wiedzieć, że to nagranie zaginie, prawda? – Stanley przyjrzała się jej spod przymrużonych powiek.

– Nie powiedziałam nic, co mogłoby mu nasunąć takie podejrzenie – odparła Battles i odchyliła się na oparcie krzesła.

– No cóż, mamy poważny kłopot i opinia publiczna zażąda głowy marynarki wojennej.

– A Lopresti potrzebuje konkretnej głowy i padło na mnie. Rozumiem. – Battles już nieraz miała do czynienia z trudnymi sprawami, lecz zawsze była pod nią siatka bezpieczeństwa w postaci świadomości, że w końcowym rozrachunku wyjdzie z tego cała i zdrowa. Tym razem było inaczej. Tym razem to ona mogła dużo stracić. – Ale jeśli pani i dowódca nie macie nic przeciwko temu, to chciałabym zachować swoją głowę.

– Mam nadzieję, że ci się uda. Lopresti kazał mi sprawdzić nagranie z naszej kamery bezpieczeństwa z przedwczoraj. Za godzinę mam się u niego zameldować i poinformować, co zawiera.

Battles wiedziała, że kamera bezpieczeństwa jest umieszczona nad frontowymi drzwiami i monitoruje ruch w holu wejściowym budynku. Podejrzewała, że kapitan nic nie mówi o tym, co zostało zarejestrowane, dlatego że nie jest to dla Battles korzystne.

– Mogę zobaczyć to nagranie? – spytała.

– Nie widzę przeszkód. – Stanley skinęła głową.

Podłączenie się do archiwum ochrony zajęło kapitan kilka minut, po czym obróciła monitor tak, by obie mogły widzieć ekran. Czarnobiała kamera nagrywała wszystkich wchodzących i wychodzących

frontowymi drzwiami. Jeśli nagrywani mieli na sobie typowe workowate granatowe dreluchy i czapki na głowie, wszyscy prezentowali się podobnie.

– Poprosiłam o nagranie od dwudziestej drugiej do szóstej rano – wyjaśniła Stanley.

Żadna z nich nie miała ochoty oglądać pełnych ośmiu godzin nagrania, więc kapitan wcisnęła klawisz szybkiego przewijania do przodu. O 22.31 z korytarza wyszedł Brian Cho i zatrzymał się pod drzwiami pokoju Battles. Zapukał, wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.

– To wtedy Brian przyszedł spytać, czy Trejo się przyznaje – odezwała się Battles.

– I zobaczył pudło z dowodami? – upewniła się Stanley.

– Wtedy jeszcze je miałam – potwierdziła Battles.

O 22.37 Cho wyszedł i zatrzymał się na moment pod drzwiami. Na twarzy miał uśmiech, w ręce trzymał czapkę zwaną w marynarce „przykrywką”. Pokręcił głową, włożył czapkę i wyszedł z budynku.

– Co to było? – spytała Battles. – Czy on się uśmiechał?

– Nie wiem. – Stanley spojrzała na nią, po czym przeniosła wzrok na ekran i ponownie wcisnęła szybkie przesuwanie do przodu.

O 22.49 z pokoju wyszła Battles z przykrytym pokrywą pudłem i ruszyła w głąb korytarza. Oddalając się od kamery, zmierzała ku schodom wiodącym na pierwsze piętro, gdzie obok sali rozpraw mieściło się biuro Boba Grassillego.

– Właśnie odnoszę pudło z dowodami – powiedziała Battles.

– Niestety, istnieje podejrzenie, że w tym momencie taśmy wideo już w nim nie było – zauważyła Stanley.

Na nagraniu było widać, jak Battles wraca do siebie i po paru minutach wychodzi z pokoju w stroju do jazdy rowerem, z plecakiem i w kasku na głowie.

– Ten twój plecak dodatkowo komplikuje sprawę – wtrąciła Stanley.

Nikt więcej nie wchodzi ani nie wychodzi z budynku i dopiero o 23.03 na ekranie pojawia się sprzątac, który toczy przed sobą pojemnik na śmieci. Stanley wcisnęła klawisz szybkiego przesuwania i sprzątac zaczął się poruszać jak Charlie Chaplin na jednym ze swych starych filmów.

– Może to pani zwolnić? – poprosiła Battles.

Kapitan wcisnęła PLAY.

Sprzątacze wszedł za biurko recepcjonistki i kolejno do pokoi biurowych na parterze, z których wyniósł kosze ze śmieciami, a następnie wytoczył z budynku pojemnik, zapewne żeby go opróżnić. Zebrane z biur śmieci później palono. Stanley raz jeszcze wcisnęła klawisz szybkiego przesuwania i powróciła do odtwarzania w chwili, gdy sprzątacze wrócił do budynku z odkurzaczem, wiadrem i mopem. Mężczyzna zostawił odkurzacze przy wejściu i ruszył z wiadrem w głąb korytarza, by posprzątać toalety. Stanley po raz kolejny zwiększyła tempo przesuwania się taśmy i zwolniła je w chwili, gdy sprzątacze wrócił do holu, odstawił wiadro na biurko recepcjonistki i włączył odkurzacze. Skończył odkurzanie i opuścił budynek, tym razem już na dobre.

Przez resztę nocy nikt nie wchodził ani nie wychodził; dopiero rano pojawili się pierwsi pracownicy – Cho jako jeden z pierwszych o 7.15. Po wejściu do budynku przeciął hol i podszedł do schodów prowadzących na pierwsze piętro.

Pół godziny później zjawiała się Battles.

Taśma dobiegła końca i Battles odchyliła się na oparcie krzesła.

– Pokój Cho mieści się na pierwszym piętrze, obok biura protokolanta sądowego – powiedziała.

– Tak, tylko że on wyszedł z budynku, zanim odniosłaś pudło z dowodami – zauważyła Stanley.

– Ale jeśli taśma już w nim nie było...

Kapitan pokręciła głową.

– To zbyt ryzykowne twierdzenie. Nie dysponujemy żadnymi dowodami na to, że tak właśnie było. – Stanley obróciła monitor do pierwotnego położenia. – Ludzie z NCIS przesłuchali sprzątacza. Nie przypomina sobie, by na twoim biurku lub na podłodze leżała jakaś kasetka wideo. Zapewnia też, że gdyby tam była, toby jej nie tknął.

Battles pokiwała głową.

– No to co teraz? – spytała.

– Trejo wystąpił o nowego obrońcę. – Stanley wzruszyła ramionami. – Wyznaczyłam Kevina Cipoletiego. – Jego pokój mieścił się w tym samym korytarzu co dziupla Battles, tylko po przeciwnej stronie. – Leah, w tych okolicznościach tak będzie najlepiej. Jeśli wznowią przesłuchanie z artykułu trzydziestego drugiego, nie możesz

występować na nim jako obrońcy Treja, nie mówiąc już o tym, że dochodzenie w związku ze skargą etyczną zajmie ci masę czasu.

– Zamierzają wznowić przesłuchanie?

– Tego nie wiem, ale wiem, że Cho uprze się, że na podstawie innych dowodów będzie w stanie udowodnić przynajmniej prawdopodobieństwo czynu. Być może ma rację, ale o tym zdecyduje sędzia prowadząca przesłuchanie. Przed południem mam wyznaczone spotkanie z Loprestim i starszym doradcą prawnym. Nie wiem, co z niego wyniknie ani czy w ogóle mieli czas się tym zająć.

– Ma pani na myśli dochodzenie w związku ze skargą etyczną?

– Między innymi. Ale nie jestem pewna, czy na tym się skończy. Jeśli zaczną w tym grzebać i nie znajdą żadnego lepszego wytłumaczenia na brak nagrania, mogą zdecydować o postawieniu cię przed sądem wojskowym za zaniedbanie obowiązków i utrudnianie śledztwa.

I o zrujnowaniu nadziei Battles na godziwe zarobki, występowanie przed sądem, służbę ojczyźnie, wypracowanie godziwej emerytury – czyli wszystko to, co legło u podstaw jej decyzji o wstąpieniu do marynarki wojennej.

Westchnęła ciężko.

– A do tego czasu co mam robić?

– Do czasu podjęcia decyzji możesz albo pełnić dyżury biurowe, albo wykorzystać zaległy urlop. W związku z panującą atmosferą, ta druga ewentualność zasługuje na poważne rozważenie. Nie musisz tej decyzji podejmować teraz.

– Nie ma problemu – rzuciła Battles, znów przypominając sobie słowa matki o nieuciekaniu od odpowiedzialności i o tym, jakie to ma znaczenie dla sprawy. – Nie zamierzam brać urlopu. Jeśli mam siedzieć przy biurku i kręcić młynka palcami, to będę siedziała. Ale zamierzam przyjeżdżać tu co rano tak długo, aż ktoś mi tego zabroni.

\* \* \*

Del wrócił do biura i sprawdził Jacka Welcha w systemie. Okazało się, że chłopak, który w ciągu roku szkolnego skończył osiemnaście lat i był już pełnoletni, nie był nigdy aresztowany. Del wyszukał go w Google'u i odnalazł jego stronę na Facebooku. Jack Welch grał na

gitarze w zespole o nazwie Chaos i na zamieszczonych w postach zdjęciach był bardzo podobny do narkomana ze zdjęć z korespondencji Allie. Był tak przeraźliwie chudy, że trudno było uwierzyć, że w ogóle żyje.

– Posłuchaj tego szajsu – zwrócił się Del do swojego partnera i z głośników jego komputera dobył się jazgot brzmiący tak, jakby po strunach gitary spacerował kot. – Podobno to jest muzyka – rzucił i wyłączył dźwięk. – A ja myślałem, że Stevie i Mark przesadzają, kiedy mówili, że to okropna kapela, i ich przedrzeźniali. Cholera, to już nawet oni brzmiali lepiej.

Del ustalił też, że Welch mieszka niedaleko domu jego siostry. Postanowił zgarnąć go pod szkołą i przywieźć na komendę na przesłuchanie.

– Narobisz sobie niepotrzebnych kłopotów – ostrzegł go Faz, odchylając się z fotelem od biurka. – Zgarnijmy go u niego w domu. Może zechce mówić. Może rodzice coś powiedzą.

Del kręcił się nerwowo po wspólnej przestrzeni między czterema boksami zespołu A. Tracy jeszcze nie było, Kins był na zwolnieniu w związku z operacją wymiany stawu biodrowego.

– Ma skończone osiemnaście lat. Nie musimy o nic pytać rodziców.

– Jeśli poprosi o adwokata albo rodzice mu go podeślą, to nic z chłopaka nie wydusimy – orzekł Faz. – Miejmy nadzieję, że się wystraszy. Ty też byś się wystraszył, jakbyś miał osiemnaście lat. Słuchaj, wielu rodziców uzależnionych nastolatków wzajemnie się zna. Mogli znać Allie. Proponuję skorzystać z pomocy jego rodziców, a nie z nimi walczyć. Ten chłopak nie jest tym, na kim naprawdę ci zależy. Potrzebujesz jego dilera i tego, u którego ten diler się zaopatruje.

– A jeśli rodzice nie pójdą na współpracę?

– Jeżeli potrafimy udowodnić, że to on dostarczał jej prochy, wtedy zrobimy po twojemu. Mamy wystarczająco dużo, żeby go zgarnąć i przesłuchać.

– Dobrze, ale jeśli to on dostarczył Allie heroinę, która ją zabiła, to już dopilnuję, żeby Celia McDaniel oskarżyła go o zabójstwo przy użyciu zakazanej substancji.

– Nie wszystko naraz – upomniał partnera Faz. – Najpierw przekonajmy się, czy zechce mówić.

– Kto ma coś mówić? – spytała Tracy, rzucając plecak na krzesło.  
– Ten główniarz, który dostarczył heroinę siostrzenicy Dela – odparł Faz.

Tracy spojrzała na Dela.

– Znalazłeś jej dilerę? – spytała.

– Znalazłem chłopaka, który zna jej dilerę.

– Zaraz, a co ty tu robisz?! – wykrzyknął Faz z taką miną, jakby go nagle coś poraziło. – Skończyliście przesłuchanie z artykułu trzydziestego drugiego w jeden dzień? – W jego głosie brzmiało niedowierzanie.

– Można tak powiedzieć – odparła Tracy. – Pamiętasz to nagranie wideo, które Kins i ja dostaliśmy ze sklepu?

– To, na którym Trejo kupuje napój energetyczny? – upewnił się Faz.

– Zaginęło.

– Jak to zaginęło? – rzucił Del.

– Oskarżyciel z marynarki wojennej nie może go odnaleźć. Ani on, ani protokolant sądowy, który odpowiada za całość materiału dowodowego.

– Ktoś je podprowadził? – nie mógł uwierzyć Del.

On i Faz zaczęli się wzajemnie przekrzykiwać i dopiero Tracy ich uciszyła.

– A to nie wszystko. Obrończyni oskarżonego była ostatnią osobą, która miała w ręce dowody. I nikt nie ma kopii nagrania.

– My też nie? – spytał Faz.

Tracy pokręciła głową.

– Marynarka tak błyskawicznie przejęła to pod swoją jurysdykcję, że nie mieliśmy czasu go skopiować. Oddaliśmy im wszystko, co mieliśmy. Oskarżyciel obiecał, że zrobi kopię zapasową po dzisiejszym przesłuchaniu.

– I co teraz?

– Dobre pytanie. Sędzia prowadząca przesłuchanie dała oskarżycielowi czas do końca dzisiejszego dnia na znalezienie taśmy.

– A jak jej nie znajdzie?

– To nie wiem.

– Myślisz, że Trejo może się wymigać?



– Tego też nie wiem, ale to nagranie jest kluczowym dowodem jego winy. Nie mam pojęcia, czy bez niego oskarżeniu uda się udowodnić, że w dniu wypadku Trejo w ogóle był w Seattle. A jeśli nie, to nie wiem, jak będą mogli udowodnić, że siedział za kierownicą subaru.

– A jego obrońcy... Jak ona się nazywa? – spytał Faz.

– Battles. Leah Battles – odparła Tracy.

– I co ona na to?

– Nie zaprzecza, że w przeddzień przesłuchania miała u siebie w biurze pudło z dowodami, natomiast nie ma pewności, czy ta taśma wtedy w nim była, czy nie. Być może tak, twierdzi jednak, że tego wieczoru nie wyjmowała jej z pudła. Zapewnia, że późnym wieczorem odniosła pudło do biura protokolanta i zostawiła je u niego na krześle, bo protokolant poszedł już do domu.

– Brzmi to dość niewiarygodnie – mruknął Faz.

Tracy wzruszyła ramionami.

– Może, ale biorąc pod uwagę potencjalne konsekwencje, czemu miałyby zwinąć to nagranie?

– Bo z nim nie miała szans na wygraną. Sama to powiedziałaś.

– Pewnie nie miała, ale to nie jest bezmyślna cipa. Agresywna, ale nie głupia. Ktoś przyniósł jej to pudło z dowodami i widział je u niej oskarżyciel, kiedy tego wieczoru do niej wpadł. Gdyby zamierzała coś zachachmęcić, na pewno byłaby dużo ostrożniejsza.

– Ludzie wiecznie robią jakieś głupoty – wtrącił Del. – Dzięki temu mamy co robić.

– Ale to nie było działanie pod wpływem impulsu. Miała dość czasu, by wszystko obmyślić. I co mogłaby na tym zyskać?

– Jeśli nie ona zwinęła taśmę, to kto? – spytał Faz.

– I po co? – dodał jego partner. – Nie wiem, ale wygląda na to, że tylko ona mogła mieć jakiś motyw.

– Odpowiadając na pierwsze pytanie, kto mógł zabrać tę taśmę, powiedziałabym, że każdy mający dostęp do biura protokolanta – odrzekła Tracy.

– To znaczy kto? – spytał Faz.

– Tego jeszcze nie wiem, ale najwyraźniej protokolant nie zamyka pokoju na klucz.

– Czyli ktokolwiek.

– Ktokolwiek mający ku temu powód – uściślił Del.

Tracy spojrzała na zegarek.

– Mam spotkanie z Clarridge'em, Cerrabone'em i Dunleavym. Trzeba się zastanowić nad ewentualnym ponownym przejęciem sprawy pod jurysdykcję policji Seattle.

– Bez tej taśmy nie miałyby to sensu – zauważył Faz.

– Też tak sędzę. – Tracy przerwała i na moment się zamyśliła. – Muszę porozmawiać z tą Battles. Dowiedzieć się, co ona wie.

– Dlaczego miałyby cokolwiek nam mówić? – wtrącił Del. – Zwłaszcza jeśli to ona podprowadziła taśmę.

– Może nic nie powie. Ale jeśli nie ona ją zabrała, to mamy wspólny cel.

– Rodzina D'Andrego Millera się wścieknie – zauważył Faz.

– Już są wściekli – powiedziała Tracy. – Przesłuchanie wymknęło się spod kontroli i matka patrzyła na mnie takim wzrokiem, jakby od początku podejrzewała coś takiego. – Ponownie spojrzała na zegarek.

– Nie cieszę się zbytnio na to spotkanie z Clarridge'em i Dunleavym. Oni też będą wściekli. Ale najbardziej boję się rozmowy z rodziną.

## Rozdział 26

Jack Welch mieszkał przy ulicy podobnej do tej, przy której stał dom siostry Dela – z niedużymi jednorodzinnymi domkami, skromnymi podwórkami z przodu i małymi ogródkami z tyłu. Zaparkowane po obu stronach ulicy pojazdy zostawiały pośrodku miejsce na przecięnięcie się z trudem jednego samochodu. Ludzie tu mieszkający nie powinni mieć córek i synów uzależnionych od heroiny. Miejsce narkomanów było w centrum miasta, w ciemnych zaułkach i opustoszałych budynkach, gdzie koczowali na brudnych materacach pośród odpadków i w towarzystwie gryzoni. Del raz jeszcze przywołał w myślach słowa Celi McDaniel o zalaniu rynku przez narkotyki, o kartelach z ich uprawami konopi i maków i o łatwo dostępnych opioidach. Przypomniwał sobie, jak mówiła, że teraz narkomani rekrutują się spośród dobrych dzieci z dobrych domów i stanowią łatwy żer dla owych karteli. Poczował ciarki na plecach.

O wpół do szóstej wieczorem miasto tonęło już w zmierzchu, lekki wietrzyk szeleścił liśćmi drzew na podwórkach. Faz zaparkował priusa przy betonowym krawężniku i zgasił silnik, po czym obaj z Delem wpatrzyli się w pomalowany na żółto dom ze spadzistym dachem. Światło w oknie świadczyło o tym, że w środku ktoś jest.

Del wypluł zgryzione ziarno słonecznika do kubka, jak w czasach, gdy jako dwunastolatek grał w Małej Lidze baseballowej. Znajomy mu powiedział, że zastępując przy oglądaniu telewizji chipsy czy ciasteczka oreo słonecznikiem, zrzucił piętnaście kilo. Del znalazł paczuszkę ziaren w domu siostry i postanowił wypróbować. Z przyjemnością stwierdził, że współczesny produkt nie przypomina ziaren, jakie gryzł jako dziecko. Tamte były tylko solone i nie różniły się smakiem, te były o smaku barbecue, ale Stevie go poinformował, że są też pieprzowe, bekonowe i inne.

Faz przyjrzał mu się z ukosa.

– Wciąż jesteś na diecie?

– Po prostu uważam, co jem – mruknął Del, gryząc ziarno i nie odrywając wzroku od domu.

– W całym aucie pachnie barbecue.

Del uniósł torebkę z ziarnami.

– Mają też bekonowe i z koperkiem.

– Rewelacja. Miejmy nadzieję, że ptaszkom smakują. – Faz zamilkł i po chwili dodał: – Dzwoniłeś do tej prokurator?

Del wypluł łupinkę do kubka.

– Dzwoniłem.

– I co, umówiliście się?

– Widziałem się z nią wczoraj wieczorem.

– Wczoraj wieczorem... Przecież miałaś służbę.

– Czekala na mnie po pracy.

– Nie żartuj! I jak poszło?

– Było miło. – Del wypluł kolejną łupinkę. – Przyniosła prosciutto i salami, bagietkę, trochę sera.

– Nabierasz mnie. Naprawdę?

– Naprawdę.

– I gdzie z tym poszliście?

– Do mnie.

Faz pokiwał z uśmiechem głową.

– No to super, gratuluję, Del.

– No... Zobaczymy, jak się to rozwinie. – Na razie rozwijało się świetnie, łatwo i przyjemnie. Del był początkowo spięty, ale Celia dała mu jasno do zrozumienia, że nie oczekuje od niego niczego poza towarzystwem, co pozwoliło mu się rozluźnić i spędzić miło czas.

– Ale co? – prychnął Faz.

– Co co? – obruszył się Del.

– Coś ci nie pasuje?

– Nie.

– Nie wyglądasz na zachwyconego.

– Bo sam nie wiem. – Del westchnął. – Może po prostu... – Nadal siedział wpatrzony w żółty dom. – No wiesz... minęło już dużo czasu.

– Od twoich ostatnich podrywów?

– Od czasu, jak spałem z kobietą.

– Aaa – bąknął Faz i zamilkł. – Wiesz, to jest jak z jazdą na rowerze – dodał po chwili.

– Wiem, ale co będzie, jak nagle złapiesz gumę?

Faz przyjrzał mu się.

– To się właśnie stało?

– Nie, nie, nic z tych rzeczy – zachnął się Del.

– Boisz się o to?

– Nie wiem. Znaczący... tak, chyba trochę się boję. – Od rozstania z żoną nie spał z żadną kobietą i naprawdę go to gnębiło.

– Słuchaj, można teraz dostać najróżniejsze środki. Jeśli to dla ciebie problem, powinieneś pogadać z lekarzem.

– Tobie się to kiedyś przydarzyło?

– Mnie? Kurczę, jestem dwadzieścia osiem lat po ślubie. Jak szła ta kwestia w filmie? „Twardnieję na wietrze”.

– Eddie Murphy w *Czterdzieści osiem godzin*.

– Słuchaj, przestań się zamartwiać czymś, co się jeszcze nie zdarzyło. Bo się nie zdarzyło, tak?

Del pokręcił głową.

– Rozważam to czysto hipotetycznie. – Odstawił kubek z rozgryzionymi łupinkami słonecznika. – Dobra, sprawdźmy, czy Jack Welch jest w domu.

– Czekał – rzucił Faz.

Del nie odrywał wzroku od domu. Był pewien, że partner zaraz zacznie go wypytywać o szczegóły wczorajszej nocy z Celią McDaniel. Została do rana – Del nie zamierzał odsyłać jej do domu o czwartej nad ranem – ale się ze sobą nie przespali, choć doszło do drobnego kontaktu fizycznego, bo położyli się razem do łóżka.

– Dasz mi pokierować całą akcją, tak? – upewnił się Faz.

– Co? Taaa, pewno. Wyluzuj.

– Del.

– Wszystko gra, okej? Możesz dowodzić, nie ma sprawy.

– Jest sprawa. Bo wyglądasz na spiętego.

– Nie, ja tylko... Ze mną wszystko w porządku, okej? Od ilu lat się już tym zajmuję? Chodźmy zobaczyć, co facet ma do powiedzenia. – Del wygramolił się z samochodu.

Niewielki trawnik z rosnącym na nim dębem był otoczony płotem z białych sztachet. Pokryty żwirem podjazd po lewej prowadził do piętrowego garażu z oknem nad drzwiami; schody na bocznej ścianie budynku wskazywały, że ktoś tam mieszka. Faz zrównał się

z partnerem i obaj przeszli przez otwór w płocie, w którym kiedyś znajdowała się furтка, oparta teraz o pień dębu. Stan furtki wskazywał na coś więcej niż tylko zużycie ze starości. Wyglądała tak, jakby ktoś celowo wyrwał ją z zawiasów kopniakiem.

Del wszedł po trzech drewnianych schodkach przed drzwiami. Wąski ganek był oświetlony gołą żarówką o za dużej mocy jak na użytą oprawkę i całość wydawała z siebie nieprzyjemne brzęczenie. Z wnętrza domu dochodziły dźwięki telewizora i kuchenne zapachy. Zapukał.

Otworzyła mała dziewczynka. Drobna, z prostymi blond włosami za ramiona, wyglądała na dziewięć, może dziesięć lat. Była w wieku Marka i Steviego. Del głęboko zaczerpnął powietrza. Marzył o tym, by na dzień dobry złapać Jacka Welcha za kołnierz, ale miał do czynienia z rodziną, która zapewne przechodziła podobną gehennę jak Maggie i bliźniacy.

– Cześć – ubiegł go Faz. – Jest mama lub tata?

Dziewczynka odwróciła głowę i wrzasnęła do wnętrza domu:

– Mamo! Ktoś do ciebie!

Z głębi wyłoniła się kobieta ze ścierką w ręce, ale w stroju biurowym: w kremowych spodniach, czarnych butach na niskich obcasach i białej bluzce. Szybkość, z jaką się zjawiała, nasuwała myśl, że pewnie nieraz już skarciła córkę za otwieranie drzwi nieznanym. Dobre dzieci z dobrych domów, pomyślał Del.

Na ich widok kobieta zamarła w bezruchu. Wyglądała tak, jakby za chwilę miała zemdleć. Ciało jej zwiotczało, ramiona opadły, wypuściła z ręki ścierkę, twarz wykrzywił jej wyraz bólu.

– Idź do siebie i poczytaj – rzuciła do córki tak cicho, że Del z trudem ją dosłyszał.

Dziewczynka bez słowa protestu i bez zbędnych pytań zawróciła. Widać już wcześniej przez to przechodziła. Kobieta zaczęła na trzaśnięcie drzwi w głębi domu i dopiero wtedy podeszła bliżej i objęła ramiona rękami.

– Nie żyje? – odezwała się cicho.

Del i Faz nie zdążyli nawet okazać policyjnych odznak.

– Pani jest matką Jacka Welcha? – spytał Faz.

– Tak. Jeanine Welch. Przyszlście mnie zawiadomić, że mój syn nie żyje?

– Nie – odparł Faz. – Chcemy z nim tylko porozmawiać.

Wypuściła wstrzymywane powietrze, kolana się pod nią ugięły, cofnęła się i przysiadła na niskim stoliku.

– Dobrze się pani czuje? – spytał Faz.

Odetchnęła głęboko i zacisnęła powieki, jakby ją raziło światło lub walczyła z nagłym bólem głowy.

– Rozumiem, że syna nie ma w domu – powiedział Faz.

– Nie – szepnęła, wciąż nie otwierając oczu. – Nie ma go.

– Wie pani, gdzie jest?

Westchnęła i spojrzała na nich.

– Co?

– Czy wie pani, gdzie jest syn?

– Dzwonił dziś do mnie do pracy. Powiedział, że będzie w domu.

Nie wiem, co to znaczy. Wczoraj wieczorem nie wrócił.

– Możemy wejść? – spytał Faz.

– O co chodzi?

– O Allie Marcello – rzekł Del.

Uniosła brwi.

– Tę ze szkoły?

– Tak.

Kobieta przeniosła wzrok z niego na Faza i z powrotem.

– A o co chodzi?

– Przedawkowała – powiedział Del. – Nie żyje.

– Wiem. Byłam na pogrzebie. Widziałam tam pana. – Mówiła zgnębionym tonem, lecz udało jej się dźwignąć na nogi. – O czym chcecie rozmawiać z Jackiem?

– Chcielibyśmy go zapytać, co wie o jej śmierci – odparł Faz.

– Sądzicie, że miał coś wspólnego ze śmiercią Allie?

– Myślimy, że może coś wiedzieć o jej przedawkowaniu – odrzekł Faz.

Kobieta chwilę trawiła tę odpowiedź.

– Wejdźcie – odezwała się w końcu.

Weszli i zamknęli za sobą drzwi. Salon był zagracony, ale wygodnie urządzone. Przed telewizorem stały fotel i kanapa z rozłożonym kocem i otwartą gazetą. Del był ciekaw, czy Jeanine Welch spała na niej w oczekiwaniu na powrót syna. Pamiętał, że widział wielokrotnie koc i gazety na kanapie w domu siostry. Na niskim stoliku leżały

rozrzucone czasopisma i jedna nierozpakowana gazeta, wciąż zawinięta w plastikową osłonkę. Kobieta szybko uprzątnęła kanapę i pilotem wyłączyła telewizor.

Del i Faz usiedli. Jeanine Welch wrzuciła koc i gazety za kanapę i podniosła ścierkę.

– Przepraszam za bałagan – powiedziała, podchodząc do fotela.

– Powinna pani zobaczyć mój dom. – Faz uśmiechnął się. – Jak chłopcy w nim są, to wygląda jak po huraganie.

Opadła na fotel.

– Dlaczego pani spytała, czy pani syn nie żyje? – odezwał się łagodnym tonem Del.

Wzruszyła ramionami, potem westchnęła. Wyglądało, że walczy ze łzami.

– Już od pewnego czasu spodziewam się takiego telefonu lub pukania do drzwi.

– Od czego jest uzależniony? – zapytał Del.

– Od heroiny. Już od jakiegoś roku. – Znów wzruszyła ramionami i otarła kąciki oczu ścierką. – Nie panuję nad nim. Rozważałam wyrzucenie go z domu, ale... ale to mój syn. Martwię się o córkę, o jego zły wpływ na nią.

– Wspomniała pani, że wczoraj wieczorem nie wrócił do domu, tak? – upewnił się Faz.

– Owszem.

– Wie pani, gdzie spędził noc?

– Już nie wiem, dokąd on chodzi – odparła zmęczonym głosem. – Przestałam próbować za nim nadążać.

– Ale nadal tu mieszka? – spytał Faz.

Wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć „A cóż ja mogę zrobić?”, po czym kiwnęła głową.

– Tak, mieszka w pokoju nad garażem.

Przyglądając się jej z bliska, Del stwierdził, że jest jeszcze młodą kobietą, pewnie w wieku Maggie, krótko po czterdziestce, i do tego całkiem atrakcyjną. Była szczupła i wysoka, miała włosy w tym samym kolorze co córka, ale przycięte do ramion. Garbiła się jak Maggie, jakby przytłaczał ją ciężar, który zabrał jej wiele lat życia.

– Gra w zespole – powiedziała. – Mają tu próby...

– Jak się pani dowiedziała o heroinie? – zapytał Faz.



– Znalazłam ślady w jego pokoju. Strzykawki, łyżeczki. – Potrzęsnęła głową. – W ósmej klasie zaczął palić zioło, potem było już tylko gorzej. Myślę, że to koledzy z zespołu namówili go na heroinę.

– Znała pani dobrze Allie? – zapytał Del.

Kiwnęła głową.

– Dość dobrze. Często tu przychodziła, żeby posłuchać, jak grają. Wszyscy się wtedy tłoczyli w pokoju Jacka nad garażem. Allie była miłą dziewczyną. To takie smutne, co się stało.

– A co z ojcem Jacka? Zajmuje się dziećmi?

Jeanine Welch uśmiechnęła się smutno.

– Zależy, co pan rozumie pod „zajmuje się”. Zabiera dzieci w środowe wieczory i w co drugi weekend. Rok temu Jack odmówił wizyt u ojca, więc teraz mój były zabiera tylko córkę.

– Od jak dawna jest pani rozwiedziona? – spytał Del.

– Od siedmiu lat.

– Zna pani grono przyjaciół Jacka? – zapytał Faz.

– Niektórych znam.

– Wie pani, kto dostarcza mu heroinę?

Pokręciła głową.

– Nie. Tak jak powiedziałam, podejrzewam chłopaków z zespołu, ale heroiny jest teraz wszędzie pełno. – Głos jej się załamał, ale się opanowała. – Nie wiem, co jeszcze mogłam zrobić. Bo jeśli bym go wyrzuciła... to co wtedy? – Chwilę się zastanawiała. – Ale musiałam przynajmniej pozbyć się go z domu... ze względu na córkę. – Znow otarła kąciki oczu. – Dlaczego chcecie z nim rozmawiać o Allie?

– Podejrzewamy, że Allie zażyła bardzo mocną odmianę heroiny. Próbujemy dojść, skąd się u niej wzięła – odrzekł Del.

– Myślicie, że dostała ją od Jacka?

– Chcemy się dowiedzieć, co wie w tej sprawie – wyjaśnił Faz. – Czy ma pani dostęp do jego pokoju nad garażem?

– Miałam, potem jednak założył na drzwiach kłódkę. Prosiłam, żeby ją usunął, ale... Nie znam szyfru do otwarcia.

Del pochylił się do przodu.

– Czy pani syn kiedykolwiek przedawkował? – zapytał.

– Dwukrotnie – odparła bez chwili zastanowienia.

– Niedawno?

– Ostatni raz jakiś miesiąc temu. Jego koledzy... zawieźli go do szpitala, tam go odtruto i wypuszczono do domu. Powiedzieli, że nie mogą go zatrzymać.

– Syn ma telefon komórkowy? – spytał Faz.

– Tak – odpowiedziała, nieco zaskoczona.

– Sam go kupił czy pani to zrobiła? Chodzi mi o umowę z operatorem.

– Ma numer w ramach planu rodzinnego. Jack nie ma nawet pieniędzy na lunch w szkolnej stołówce.

To dodatkowo utwierdziło Dela w przekonaniu, że chłopak ciągnął od Allie pieniądze.

– Czyli rachunek telefoniczny jest na panią?

– Tak. A czemu pan pyta?

– Bo zależałoby nam na uzyskaniu dostępu do esemesów i snapów Jacka – powiedział Faz. – Chcielibyśmy ustalić, z kim się kontaktował, kto był jego dostawcą.

– I co wtedy zrobicie?

– Zamkniemy ten kanał przerzutowy – rzekł Faz. – Ostatnio mamy do czynienia ze wzrostem liczby przedawkowań i chcemy to ukrócić.

– Mój Boże...

– Obawiamy się, że jeśli nie ustalimy źródła narkotyku, umrze wiele kolejnych ofiar. Może pani uzyskać dostęp do telefonu Jacka?

– Chyba tak – bąknęła. – Nigdy wcześniej nie próbowałam.

Del wyrecytował dziesięciocyfrowy numer.

– To numer Jacka – potwierdziła kobieta.

Wyjął z teczki formularz upoważniający operatora do wydania rejestru połączeń z telefonu komórkowego Jacka i podsunął jej do podpisania. Chwilę mu się przyglądała.

– Nie wiem...

Podał jej długopis.

– To pozwoli nam zajrzeć do rejestru jego połączeń. Sprawdzić, z kim się kontaktował.

Wzięła długopis, przebiegła wzrokiem dokument, złożyła na nim podpis i oddała Delowi wszystko. Ten, patrząc na partnera, lekko skinął głową. Uzyskali to, o co im chodziło. Faz wręczył Jeanine Welch swoją wizytówkę.

– Chcielibyśmy porozmawiać z pani synem. Nie chcemy kompromitować jego ani pani i przyjeżdżać po niego do szkoły. Jeśli zjawi się w domu, tu jest mój numer.

Jeanine Welch wzięła wizytówkę.

– Moglibyście go zamknąć? – spytała.

– Słucham? – rzucił Faz.

– Pytam, czy możecie go aresztować? Wsadzić za kratki? Może wtedy ktoś mu pomoże. Nie wiem... może wystraszy go to na tyle, że sam poszuka pomocy. Bo nie mam pojęcia, co jeszcze mogę zrobić. – W swej bezradności przypominała Maggie. – Ile razy dzwoni telefon albo słyszę pukanie do drzwi... od razu myślę, że to ktoś, kto chce mnie zawiadomić o śmierci syna.

## Rozdział 27

Tracy zatrzymała się pod ceglany budynek przy King Street, niedaleko stacji kolejowej na Pioneer Square. W prawie jazdy Leah Battles wpisany był ten adres. Budynek miał sześć pięter i był jednym z najwyższych w okolicy. Większość pozostałych nie przekraczała dwóch pięter mieszkalnych; na poziomie ulicy mieściły się w nich sklepy i restauracje. Bary, kluby muzyczne i galerie sztuki przyciągały tłumy młodzieży, ale także bezdomnych i wszelkiego rodzaju cudaków. Był wczesny wieczór, z jednego ze sklepów dobiegała muzyka, chodniki były pełne ludzi wracających do domów lub szukających miejsca do rozpoczęcia nadchodzącego weekendu.

Wcześniej Tracy odbyła spotkanie z Rickiem Cerrabone'em, Sandym Clarridge'em i Kevinem Dunleavym, podczas którego wszyscy wyrazili zaniepokojenie zniknięciem nagrania wideo. Ten ostatni poinformował zebranych, że dzwonił do niego ktoś z biura prawnego marynarki wojennej z wiadomością, że nie mogą odnaleźć zaginionej taśmy i że wdrożono dochodzenie etyczne przeciwko Leah Battles. Wyjaśnił, że sprawa może się zakończyć postawieniem jej przed sądem wojskowym za zaniedbanie obowiązków służbowych. Dodał, że Battles już nie jest pełnomocniczką Treja i czekają na decyzję prowadzącej przesłuchanie sędzi co do dalszego przetrzymywania go w areszcie. Dunleavy podkreślił też coś, co dla każdego z obecnych było oczywiste. Jeśli marynarka się wycofa i sprawa wróci pod jurysdykcję cywilną, władze okręgu King będą miały taki sam problem z pociągnięciem Treja do odpowiedzialności. W procesie do skazania oskarżonego nie wystarczy prawdopodobieństwo winy, nawet wysokie – wymagane są twarde dowody. Bez nagrania wideo pozycja oskarżenia robiła się dużo słabsza. Tracy wyniosła z tej rozmowy przeświadczenie, że decydenci nie palą się do przejęcia sprawy, choć nikt głośno tego nie powiedział. I trudno było im się

dziwić. Po co wkładać głowę do klatki lwa, jeśli ma się pewność, że zostanie odgryziona?

Wysiadła z samochodu i weszła w podcienia budynku. Wieczorne powietrze było rześkie, ale już nie tak mroźne jak na początku miesiąca. Staroświeckie latarnie uliczne oświetlały mokry chodnik, w powietrzu wisiała zapowiedź kolejnego deszczu. Odnalazła nazwisko Leah Battles na liście lokatorów i nacisnęła przycisk. Nikt się nie odezwał. Nacisnęła powtórnie z tym samym rezultatem.

– Liczysz, że ci polecę jakąś knajpę? – odezwał się głos za jej plecami. Z roweru zsiadła Battles ubrana tak jak wtedy, kiedy zjawiała się w areszcie w dniu zatrzymania Treja. – To dobry pomysł nie ruszać się bez tego. – Wskazała pistolet w kaburze przy boku Tracy. – Choć akurat ta okolica nie jest tak niebezpieczna – dodała lekko zdyszana. Zdjęła kask, odsłaniając związane w kucyk ciemne włosy. Policzki miała zarumienione.

– Liczyłam, że uda nam się porozmawiać – odparła Tracy.

– Niby po co mamy to robić? – odburknęła Battles, ale w jej tonie było więcej zaciekawienia niż zaczepności.

– Bo chyba obu nam zależy na tym samym.

– Chcesz wygrać na loterii i pływać jachtem po Morzu Śródziemnym?

– Byłoby nieźle. – Tracy uśmiechnęła się. – Choć trawa nie zawsze jest zieleńsza tam, gdzie nas nie ma.

– A widzisz tu jakąś trawę? – Battles powiodła wzrokiem po chodniku. – Na czym nam obu zależy?

– Mogę zaprosić cię na kawę?

Battles obrzuciła ją badawczym spojrzeniem.

– Glina chce mi postawić kawę? Jasne, jestem zainteresowana. Poczekaj tylko, aż odprowadzę rower do domu. Jeśli go tu zostawię, to będę miała szczęście, jak po powrocie znajdę choćby jedną szprychę.

Po paru minutach Battles wyszła już bez roweru, kasku i butów do jazdy i wysiąkała nos w chusteczkę higieniczną. Na nogach miała białe skarpetki i sandały Birkenstocki.

– Lubię zaszpanować, jak wychodzę – rzuciła. – Facetów to rajcuje.

– Rozejrzała się po ulicy. – To gdzie chcesz iść?

– Gdzieś blisko – odparła Tracy. – Wybierz miejsce, ja się dostosuję.

– Okej.

Po chwili zastanowienia Battles poprowadziła ją do Zeitgeist Coffee przy Jackson Street. Dla siebie zamówiła mrożoną kawę, Tracy poprosiła o bezkofeinową. I bez kofeiny miała wystarczające kłopoty z zasypianiem.

– Chcesz coś zjeść? – spytała.

– To zaczyna mi wyglądać na podryw!

Tracy uniosła dłoń z obrączką.

– Nic z tego.

– Tak? To może mąż ma kolegę?

Battles odebrała zamówioną kawę i ruszyła na poszukiwanie wolnego stolika. W połowie drogi zatrzymała się przy postumencie z leżącym na nim słownikiem i przejechała palcem po hasłach na otwartej stronie.

– *Intrygujący* – przeczytała na głos. – Wzbudzający ciekawość lub zainteresowanie. Fascynujący. – Spojrzała na Crosswhite. – To prawie prorocstwo.

Wybrały stolik pod ścianą z gołych cegieł. Nad ich głowami zwisała biała rzeźba chmury, częściowo zakrywająca niewykończony strop pełen belek, rur i kabli. Tracy zdjęła kurtkę i usiadły twarzami do siebie.

– Byłaś na przejażdżce rowerowej? – spytała.

– Nie – odparła Battles. – Rower służy mi za środek transportu. Mam treningi na północnych obrzeżach miasta, a posiadanie samochodu jest w tym mieście zbyt drogie.

– W jakim celu trenujesz?

– W żadnym konkretnym. Odbynam kurs krav magi. Wiesz, co to jest?

– Niezbyt dokładnie. Czy to nie sztuka walki izraelskich komandosów?

Battles krótko wyjaśniła zasady tej dyscypliny, a Tracy, słuchając, wyczuła w jej głosie dumę.

– Brzmi przydatnie – skwitowała.

– W teorii. – Battles upiła łyk kawy. – W praktyce, jeśli ruchy wykonane są prawidłowo, obezwładniają przeciwnika. – Odstawiła filiżankę i odchyliła się na oparcie krzesła. – Ty zaproponowałaś rozmowę, więc ją prowadź.

– Nie sądzę, żebyś zabrała to nagranie.

Battles lekko się uśmiechnęła.

– Niestety, należysz do mniejszości.

– Nie mogłaś nic zyskać.

– Mój klient wychodzi na wolność, a ja na wielką zwyciężczynię.

– Oraz stajesz przed sądem.

– Tylko hipotetycznie.

– Hipotetycznie – zgodziła się Tracy. – Ale to gra niewarta świeczki, w każdym razie z twojego punktu widzenia.

– Wiem. Tracę licencję adwokacką, wyrzucają mnie z pracy, przestaję zarabiać. Można powiedzieć, że praktycznie tracę to wszystko, po co wstąpiłam do marynarki.

– A ty jesteś zbyt rozsądna, by zrobić coś tak głupiego.

– To na pewno nie jest podryw? Bo jesteś dużo miłsza od wielu mężczyzn, z którymi się umawiałam.

Tracy uśmiechnęła się. Cieszyło ją, że Battles nie straciła humoru.

– A więc porozmawiasz ze mną?

– Nie mogę rozmawiać o swoim kliencie... O moim byłym kliencie.

– Oczywiście.

– Pozwól, że najpierw o coś cię spytam. – Battles wyprostowała się na krześle. – Sprawa jest poza waszą jurysdykcją i coś mi mówi, że policja w Seattle nie marzy, by przejąć z góry przegraną sprawę, która w dodatku może wzburzyć opinię publiczną.

– Możesz mieć rację.

– Więc czemu tu jesteś? O co ci chodzi?

Tracy chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią. Po spotkaniu z Cerrabone'em, Dunleavym i Clarridge'em pojechała do domu Shaniqui Miller. Ta potraktowała ją uprzejmie, ale wyraźnie nie miała ochoty omawiać z nią sprawy śmierci syna. Dla niej Tracy była częścią systemu wymiaru sprawiedliwości, któremu ufała jeszcze mniej niż dotąd.

– Chodzi mi o tego chłopca – powiedziała. – Chodzi mi o jego matkę, która może do końca życia nie poznać odpowiedzi.

Battles słuchała, sącząc kawę i błędząc wzrokiem po widocznych za szybą gałęziach drzew, rozświetlanych w zapadającym mroku przez uliczne latarnie. Ulicą przetoczył się ze stukotem staromodny tramwaj.

– Bronienie drani nie należy do najpopularniejszych zajęć – powiedziała, przenosząc wzrok na policyjną detektyw. – Proszę, pytaj.

Tracy zebrała myśli, choć już wcześniej zaplanowała, od czego zacząć, jeśli Battles wyrazi zgodę na rozmowę. Po dzisiejszym przesłuchaniu i spotkaniu z Cerrabone'em, Dunleavym i Clarridge'em miała ogólne pojęcie o tym, co się wydarzyło, interesowała ją natomiast reakcja Battles na postawiony jej zarzut.

– Przeglądałaś materiały dowodowe wieczorem przed przesłuchaniem, tak?

– Przeglądałam niektóre dowody, ale nie taśmę z nagraniem wideo. Nie wyjmowałam jej z pudła. Właściwie nawet nie wiem, czy tam w ogóle była. Ale wiem, że nie brałam jej do ręki. Nie miałam powodu. Już widziałam to nagranie. Nie powiem, co na nim było ani co o tym pomyślałam, ale jedno wiedziałam na pewno: nic się w nim nie zmieni przy ponownym obejrzeniu. A poza tym nie mam u siebie w gabinecie odtwarzacza.

Dla Tracy zabrzmiało to przekonująco.

– Dobrze. Co zrobiłaś potem z tym pudłem z dowodami?

– Odniosłam je do biura protokolanta sądowego i zostawiłam na jego krześle. Normalnie protokolant odnotowuje zwrot w rejestrze, ale jest cywilem i już dawno nie było go w pracy. Nie pierwszy raz oddawałam coś bez pokwitowania. Działamy na zasadzie wzajemnego zaufania. – Battles przytknęła do głowy dwa palce w skautowskim salucie.

– Biuro protokolanta mieści się w tym samym budynku?

– Tak, na piętrze, naprzeciwko sali rozpraw.

– A gabinet Cho?

– Na tym samym piętrze, kilka drzwi dalej – odparła z uśmiechem Battles.

– O której odniosłaś to pudło?

– Po wyjściu Cho ode mnie, jeśli do tego zmierzasz. Między dziesiątą czterdzieści pięć a jedenastą.

– Cho był u ciebie?

– Wstąpił po drodze, wychodząc z pracy.

– I wtedy pudło z dowodami było jeszcze u ciebie?

– Tak.

– Widziałaś, jak wychodzi?



– Z budynku? Tylko na nagraniu z kamery monitoringu.

– W budynku jest kamera monitoringu?

– Po wewnętrznej stronie drzwi, skierowana na hol wejściowy.

Tracy w ogóle nie pomyślała o monitoringu wewnątrz budynku i teraz zanotowała w pamięci, by obejrzeć to nagranie.

– Jak wchodzi się do budynku? Drzwi wejściowe są zamykane?

– Są stale zamknięte. Otwiera się je, wpisując na szyfratorze cztery końcowe cyfry numeru ubezpieczenia społecznego. Jeśli twoje cyfry zostają rozpoznane, wchodzisz. Jeśli nie, zostajesz na zewnątrz.

– Gdzie jest przechowywany wykaz tych czterocyfrowych kombinacji?

– Na parterze, kawałek za moim pokojem jest pomieszczenie ochrony budynku. Pewnie tam. Tam też trzymają wszystkie nagrania z monitoringu.

– Jak długo?

– Nie mam pojęcia. Nigdy się tym nie interesowałam.

– Nagranie z tego wieczoru też?

– Tak, ale mój OO ma też kopię.

– Twój OO?

– Oficer Odpowiedzialny. Rebecca Stanley.

– I widziałaś to nagranie?

– Widziałam.

Tracy szukała w tonie i minie Battles jakiegoś niedopowiedzianego komentarza.

– O której wtedy wyszłaś?

– Z budynku? Wkrótce po Cho. Ostatni prom odpływa o dwudziestą trzecią czterdzieści. Jazda rowerem z biura na przystań Bremerton zajmuje jakieś dziesięć minut. Odniosłam pudło do biura protokolanta i zaraz potem wyszłam.

– Trzeba było przespać się w biurze.

Battles uniosła lewą dłoń.

– Wspominałam już, że wciąż jestem panną i nie chcę umrzeć jako stara panna?

– Czy ktoś widział, jak oddajesz to pudło?

– W budynku nikogo już nie było, przynajmniej mnie nic o tym nie wiadomo.

– Rozumiem. I nie wiesz też, czy ktoś przyszedł po twoim wyjściu, tak?

– Tylko sprzątacze. Widać go na nagraniu.

– Wojskowy czy cywil?

– Cywil.

– Ktoś z nim rozmawiał?

– Pewnie ci z NCIS. Rozmawiają z wszystkimi, łącznie ze mną.

Tracy zanotowała w pamięci, by sprawdzić, czy rozmowy agentów NCIS są protokołowane.

– Czyli wygląda na to – ciągnęła Battles – że albo ktoś zabrał taśmę z pudła, zanim je oddałam, albo przyszedł wcześniej rano, zobaczył je na krześle protokolanta i wtedy ją wyjął.

– Cho?

– Tego nie wiem, ale jeśli ja nie miałam interesu w tym, żeby taśma zginęła, to tym bardziej on. Brak taśmy bardzo skomplikował mu życie.

– A wyjęcie jej z pudła byłoby ryzykowne, tak?

– Masz na myśli to, że mogłabym zauważyć jej brak? Moja OO powiedziała to samo. Brzmi to sensownie, ale jak już mówiłam, po moim wyjściu nikt poza sprzątaczem nie wchodził ani nie wychodził z budynku.

– Kto ma dostęp do twojego pokoju?

– Poza sprzątacami? – Battles wzruszyła ramionami. – Każdy z prawem wstępu do budynku.

– Ile jest takich osób? – spytała Tracy.

– Mnóstwo – rzuciła Battles, po czym na chwilę się zamyśliła. – To niezły pomysł, żeby zdobyć tę listę dopuszczonych numerów ubezpieczeń społecznych. Tylko czy nie zadajesz sobie tego samego pytania, które zadałaś mnie?

– Po co ktoś miałby to robić?

Battles skinęła głową.

Tracy nie umiała na to odpowiedzieć, ale postanowiła i tak zdobyć listę kodów wejścia.

\* \* \*

Jeanine Welch, otulając się ciasno rękami przed zimnem, odprowadziła Dela i Faza do oberwanej furtki w płocie. Zmierzch ustąpił już miejsca wieczornym ciemnościom; nieliczne latarnie rzucały na chodnik bladożółte plamy, między słupami telefonicznymi i domami wisiała płatanina kabli i drutów. Skądś dochodziły krzyki dwóch chłopców, którzy starali się dokończyć grę na trawniku przed domem, zanim zrobi się całkiem ciemno.

Kobieta zatrzymała się przy furtce, a właściwie tam, gdzie powinna ona być.

– Wyrwał ją kopniakiem z zawiasów parę dni temu – powiedziała zmęczonym tonem. – Zażądał pieniędzy. Mówił, że na nowy wzmacniacz, ale już się nauczyłam nie dawać mu pieniędzy do ręki. – Odwróciła głowę w stronę domu. – Miałam tu wiele różnych rzeczy, ale kradnie wszystko, co ma jakąś wartość, i sprzedaje. Sprzedał biżuterię, którą odziedziczyłam po mamie, toster, telewizory, rower siostry. Wypiera się, ale ja wiem, że to on.

Del sięgnął do kieszeni, wyjął paczuszkę wizytówek i podał jedną Jeanine Welch.

– Allie była moją siostrzenicą – powiedział. – Dlatego byłem na pogrzebie.

Ręka Jeanine Welch zawisła w powietrzu, jakby kobieta się bała, że wizytówka ją ugryzie.

– Tak bardzo mi przykro – bąknęła.

– Proszę dzwonić, jeśli będę mógł pani w czymś pomóc.

Kiwnęła niepewnie głową i wzięła wizytówkę.

Do uszu Dela dobiegły dudniący dźwięk basów i stłumiona muzyka.

Zza rogu wypadł najnowszy model hondy accord, niemal otarł się o jeden z zaparkowanych samochodów i z piskiem zahamował przy końcu podjazdu.

– To Jack – powiedziała Jeanine Welch. W jej głosie słyhać było lekkie wahanie.

Chłopak obrzucił spojrzeniem mężczyzn rozmawiających z matką i ze zgrzytnięciem przekładni wrzucił wsteczny bieg.

– Ucieka – rzucił Del, ruszając do priusa.

Faz obiegł samochód i dopadł drzwi kierowcy. Honda kaszlnęła i zgasła. Jack Welch ponownie uruchomił silnik, z trudem odnalazł

właściwy bieg i szarpnął do przodu.

Faz uruchomił silnik priusa i wrzucił bieg. Wiedział, że tym samochodem nie pobiją rekordów szybkości, ale to mu akurat odpowiadało. Nie podejmą pościgu, jeśli chłopak miał zamiar uciekać. Przepisy tego zabraniały i nie chcieli nikogo narażać na przypadkowe obrażenia.

Honda skręciła w prawo na znaku STOP, nawet na sekundę się nie zatrzymawszy.

Faz zwolnił przy znaku, sprawdził, czy nic nie jedzie, i skręcił za hondą.

– W lewo na skrzyżowaniu – rzucił Del. – Przejechał następny znak STOP.

– Sprawdź, czy da się wezwać pomoc, zanim kogoś zabije. Prawe światło stop mu nie działa – powiedział Faz.

Del wziął do ręki mikrofon i zgłosił markę, model oraz numer rejestracyjny uciekającego samochodu; podał też jego lokalizację oraz kierunek jazdy. Jeśli Welch spróbuje wjechać na autostradę, dyspozytor zawiadomi patrol autostradowy, a ten podejmie pościg.

Mijając zaparkowane po bokach samochody, Faz zerknął na szybkościomierz. Welch jechał osiemdziesiąt kilometrów na godzinę po dzielnicy mieszkalnej, rozglądając się nerwowo za samochodami ruszającymi z miejsca i skręcającymi w podjazdy oraz dziećmi na chodnikach.

– I co, pomogą? – spytał Faz.

Jego partner nie przestawał rozmawiać z dyspozytorem.

– Niedaleko stąd jest jakiś patrol – rzucił do Faza.

– Zwalniam i przestaję go gonić. Może on też zwolni. Znowu skręca.

Del podał dyspozytorowi nowy kierunek.

Za zakrętem stało się to, czego Faz się obawiał. Honda przyśpieszyła i w tym samym momencie z podjazdu pod domem wyjechał na jezdnię czerwony pick-up.

– Czeka! – syknął Faz.

Rozbłysło lewe światło stop hondy, hamulce zapiszczały. Przód samochodu przysiadł i z hukiem walnął w tył pick-upa. Rozległy się zgrzyt zgniatanego metalu i brzęk szkła.

– Dzwon po karetkę – rzucił Faz, ale w tym momencie drzwi kierowcy hondy otworzyły się i wyskoczył z nich Welch. – Ten

gówniarz jest jak pieprzony kot.

– Zajmę się nim. – Del otworzył drzwi i ruszył w pogoń.

Chłopak przebiegł po kilku trawnikach przed domami, po czym skręcił w głąb jednego z podjazdów. Del nie miał szans go dogonić. Jego najlepsza forma należała do odległej przeszłości, ale dzięki zrzuconym kilogramom jakoś utrzymywał dystans za uciekającym. Welch dotarł do płotu dzielącego posiadłość i przedostał się na drugą stronę. Del pobiegł za nim i już zaczął się rozglądać za furtką w płocie, gdy na narożniku domu rozbłysła lampa i rozległo się szczekanie dużego psa. Chwilę potem na krawędzi płotu pojawiły się dłonie Welcha i wychyły zza niego ramiona i głowa. Chłopak wyglądał na przerażonego. Przerzucił szybko nogę przez płot, przegramolił się na stronę Dela i ciężko opadł na betonowy podjazd. Lewą nogawkę spodni miał rozerwaną. Del przycisnął go kolaniem do ziemi, wykręcił mu ręce do tyłu i zatrzasnął kajdanki na nadgarstkach. Na podjeździe pojawił się jakiś mężczyzna z kijem baseballowym.

– Policja! – zawołał Del, sięgnął do kieszeni po odznakę i pokazał ją mężczyźnie. A potem zwrócił głowę do Welcha i burknął: – Masz prawo zachować milczenie.

## Rozdział 28

Del i Faz uznali, że zamiast wieźć Jacka Welcha do aresztu, posadzą go w jednym z pokoi przesłuchań na komendzie. Del usiadł przy swoim biurku, włączył telefon na tryb głośnomówiący i zadzwonił po radę do Celi McDaniel.

– Regulamin wyraźnie mówi, że aby zatrzymać kierowcę, musisz być w mundurze, a twój samochód musi być radiowozem wyposażonym w syrenę i lampy na dachu – powiedziała.

Faz pokręcił głową.

– Jeśli weźmie adwokata od spraw karnych z odrobiną oleju w głowie, to ten od razu się kapnie, że nie spełnialiśmy tych kryteriów... albo szybko do tego dojdzie. Co nam pani radzi?

– Możecie go oskarżyć o niebezpieczną jazdę lub sprowadzenie zagrożenia w ruchu drogowym, ale są to wykroczenia karane niewielkim mandatem, rzadko aresztem. I jeśli nawet chłopak nie będzie mógł go zapłacić, skończy na sprzątaniu śmieci z autostrady.

– Ale on nie zna się na prawie – powiedział Faz. – A matka nie będzie chciała wpłacić za niego kaucji.

– Z ojcem chyba też nie jest w najlepszych stosunkach – dodał Del. Czyli na razie mieli nad nim przewagę. – Chyba mamy szansę wyciągnąć z niego więcej, jeśli przemaglujemy go przed aresztowaniem. Bo tak naprawdę to wisi mi jego stawianie oporu funkcjonariuszowi policji czy to, że stanowił zagrożenie bezpieczeństwa ruchu drogowego. Mnie chodzi o to, co on wie.

– Ale jeśli zażąda adwokata, to będzie po wszystkim – powiedziała Celia.

– Podejmiemy to ryzyko – zdecydował Del.

Podziękowali jej i rozłączyli się.

Pozbawiony okien pokój przesłuchań na szóstym piętrze komendy policji nie był najmiłym miejscem do przesiadywania w samotności, a zrobiło się w nim jeszcze duszniej, gdy wcisnęli do niego swe obfite

ciała Del i Faz. Zależało im, by w pomieszczeniu zrobiło się tłoczno, i byli w tym dobrzy.

Przez dłuższą chwilę pozwalali Welchowi się kisić, obserwując go przez lustro weneckie z sąsiedniego pomieszczenia i omawiając sytuację. Chłopak miał może osiemnaście lat, ale na tyle nie wyglądał.

– Dałbym mu najwyżej szesnaście – rzucił Del.

Przy wzroście metr sześćdziesiąt osiem i drobnej budowie ciała Welch nie mógł ważyć więcej niż pięćdziesiąt pięć kilo w ubraniu.

– Stelaże na płaszcze ważą więcej – mruknął Faz.

Chłopak miał na sobie rozpiętą flanelową koszulę z długimi rękawami – zapewne aby ukryć ślady ukłuć na rękach – i czarny T-shirt z nadrukowanym zdjęciem grunge’owego zespołu Nirvana z Seattle. Włosy spadały mu na ramiona i sprawiały wrażenie niemytych od wielu tygodni. Trzymał głowę lekko przechyloną w bok i patrzył przez opadające na oczy włosy.

– Jemu się zdaje, że jest Kurtem Cobainem – zauważył Faz.

– Kim? – spytał Del.

– Ta jego koszulka. To wokalista z Seattle, który przedawkował dwadzieścia lat temu. Antonio słucha tego szajsu.

– Wystarczy mi szajs współczesny – mruknął Del.

– Bo nie masz w domu nastolatków.

– Jeśli ten typek miałby być wzorcem dla moich dzieci, to już wolałbym Sonny’ego. Przynajmniej ma krótką sierść, kąpie się i przychodzi na zawołanie.

Dla Dela bolesna była świadomość, że Allie zadawała się z kimś takim. Że tak nisko się ceniła. Ale zaraz przypomniał sobie słowa Jeanine Welch o jego wiecznym głodzie pieniędzy i pomyślał, że związek tych dwojga opierał się nie tyle na pociągu fizycznym, ile na wzajemnej pomocy w zdobywaniu heroiny, co Oprah czy doktor Phil nazwaliby „współzależnością”.

– Myślisz, że on jest teraz na haju? – spytał Del.

– Trudno wyczuć – odrzekł Faz. – Jego lewa noga urządza dzikie harce pod stołem. Ze słów matki wynikało, że mógł wracać z parodniowego grzania. – Przerwał, odwrócił się od szyby i spojrzał na partnera. – Słuchaj, pozwól mi to poprowadzić, przynajmniej na początku. Przekonajmy się, co będzie miał do powiedzenia.

– Jestem okej.

– Del...

– Jestem okej. – Del spojrzał Fazowi prosto w oczy. – Poważnie, wszystko ze mną w porządku. Wiem, co próbujemy z niego wyciągnąć, i nie spieprzę tego.

– Ale dasz mi to poprowadzić, tak?

– Dobra.

– To jak chcesz to rozegrać? – spytał Faz.

– Tak jak zawsze. – Jego partner otworzył drzwi i wyszedł na korytarz. – Ja robię za twardego skurwiela. Mam to we krwi.

Faz podążył za Delem, który szarpnięciem otworzył drzwi pokoju przesłuchań i Welch spojrzał na niego przez opadające na twarz kudły. Faz zabrał krzesło z korytarza i odegrał komedię z wnoszeniem go do pokoju i wciskaniem obok stojącego już krzesła. Usiedli z Delem ramię w ramię i pochylili się nad stołem, jeszcze bardziej zmniejszając dystans do chłopaka. Ten odsunął się na tyle, na ile pozwolił mu łańcuch przyczepiony do kółka w podłodze. Jeśli nawet nie cierpiał nigdy na klaustrofobię, to znalazł się teraz na najlepszej drodze do pierwszego w życiu ataku. Noga pod stołem nie przestawała mu chodzić.

– Jesteś pewny, że nie potrzebujesz pomocy lekarskiej? – spytał Faz.

Welch pokręcił głową.

– Czy to znaczy „nie”? – upewnił się Faz.

– Usiądź no prosto – warknął Del. Chłopak odwrócił głowę i spojrzał na niego. – Powiedziałem, siedź prosto, bo jak nie, to już kończymy. Zawieziemy cię do pierdła i zapuszczujemy za całą listę zarzutów, od stawiania oporu funkcjonariuszowi policji poprzez jazdę pod wpływem aż po niebezpieczne zachowanie na drodze publicznej. A skoro już mowa o zarzutach, to co powiesz na zabójstwo przez dostarczenie zakazanej substancji? – Zawiesił głos, po czym dodał: – Nie rozmawiamy o gównianych zarzutach, z którymi mógłbyś stąd wyjść i wrócić do mamusi. To już mamy za sobą, Jack.

Chłopak odgarnął z oczu włosy i spojrzał na detektywów, mierząc ich wzrokiem.

– Zabójstwo? – wychrypiał. – Nikogo nie zabiłem.

– Nie? A nazwisko Allie Marcello coś ci mówi? – Del nie zostawił mu czasu na odpowiedź. – Mamy twoje maile, esemesy i snapy, z których wynika, że namawiałeś Allie Marcello do kupienia i zażycia



heroiny w noc jej śmierci. A ona była już czysta, J-Manie. – Niemal z obrzydzeniem wypluł mailowy pseudonim chłopaka. – Była czysta od blisko dwóch miesięcy, tylko że pojawiłeś się ty i zaczęła ją nękać.

– Nie... sprzedawałem jej żadnej... heroiny – powiedział Welch, zacinając się. – Nawet mnie tam nie było.

– Kłamiesz – rzucił cicho Faz. – Wiemy, że kłamiesz.

– Przed chwilą ci powiedziałem, geniuszu, że mamy jej telefon i laptopa i w obu aż się roi od wiadomości od ciebie. Masz nas za głupich? – Del pozwolił, by pytanie na chwilę zawisło w powietrzu.

– Więc pozwól, Jack, że ci to wyłożę w prostych słowach – przejął pałeczkę Faz. – Zabójstwo przez dostarczenie substancji zakazanej nie należy do przestępstw, za które wychodzi się szybko z za krat. Najpierw dostajesz zarzuty prokuratorskie, co trwa jakieś dwa tygodnie, i dopiero wtedy możesz wystąpić o zwolnienie za kaucją, ale wątpię, byś dostał zgodę. Myślę, że do procesu posiedzisz w areszcie i nikomu nie będzie się zbyt śpieszyło. Pewnie dojdzie do niego nie wcześniej niż za rok. A po wyroku skazującym... bo co do tego, że będzie skazujący, nie mam wątpliwości... pójdiesz siedzieć, i to na długie lata.

Jack Welch zrobił taką minę, jakby chciał coś powiedzieć, ale Faz nie dał mu dojść do słowa. Del wiedział, że robi to celowo, by nie dopuścić do ewentualnej prośby o adwokata. Mówił spokojnym, ciepłym tonem, jakim czasami przemawiał do synów, gdy nacierał im uszu za jakieś przewinienie. Vera go nauczyła, żeby robić to bez krzyku.

– Chcemy się dowiedzieć, co się stało z Allie Marcello, Jack. Chcemy wiedzieć, skąd wzięła prochy. A ty byłeś jej przyjacielem.

– Byłem jej przyjacielem – potwierdził skwapliwie chłopak.

– I byłeś przy niej, kiedy przedawkowała.

– Nie, nie było mnie tam. Wyszedłem.

– Ale byłeś w chwili, gdy wstrzyknęła sobie heroinę – powiedział Faz.

– Tak, ale nic nie brałem.

Kłamstwo powoli się rozplątywało, nitka po nitce. Del zachowywał spokój.

– Była wtedy czysta, tak? – spytał.

– Nie wiem.

– Ależ tak, wiesz. – Pochylił się jeszcze bliżej przesłuchiwanego. – Rodzina wysłała ją na odwyk. Słałeś do niej maile, bo nie mogła odbierać esemesów. Nie miała ze sobą telefonu.

Faz przesunął po stole kilka wydruków korespondencji mailowej. Welch odgarnął włosy z oczu i spojrział na wydruki, ale nie wziął ich do ręki.

– A potem, kiedy dostała z powrotem telefon, nagabywałeś ją esemesami o spotkanie.

– Nie, to nieprawda.

Faz podsunął mu kolejne wydruki.

– I w końcu się poddała – powiedział.

– Matka znalazła ją w jej pokoju – rzucił Del. – Z jej ostatniego esemesa wynika, że byłeś u niej tej nocy. Więc nie próbuj nam wmawiać, że nie, bo już wiemy, że tam byłeś.

– Była ci potrzebna – dodał Faz. – Potrzebowałeś jej pieniędzy na kupno prochów. – Postukał palcem w wydruki. – A my chcemy wiedzieć, gdzie kupowałeś heroinę.

Chłopak wciągnął powietrze, odchylił się od stołu, westchnął i zaczął płakać.

– Za dużo wzięła. Mówiłem jej, że za dużo bierze. Ale jak od niej wychodziłem, nic jej nie było. Przysięgam, że żyła. Chrapała.

Del wiedział, że chrapanie to zły znak. Sygnał, że układ oddechowy walczy, bo w płucach zbiera się płyn.

– Chcielibyśmy ci wierzyć – odezwał się spokojnie Faz. – Ale nie zweryfikujemy tego, póki nam nie powiesz, skąd brałeś heroinę.

Przez klatkę piersiową Welcha przebiegł dygot.

– Kupowała ją od jakiegoś gościa. Nie wiem, od kogo.

Del spojrział na partnera i pokręcił głową. Pora dokręcić śrubę.

– Nie wydusimy z tego gnojka żadnych prostych odpowiedzi. Dzwonię do prokuratora i wsadzamy go do pierdła. – Wstał, zamaszystym ruchem wysunął krzesło na korytarz i wyszedł z pokoju, tak waląc za sobą drzwiami, że ściany aż zadrżały.

Szybko okrążył róg korytarza i wślizgnął się do pomieszczenia z weneckim lustrem. Faz westchnął boleśnie, jakby nie wiedział, co ma teraz począć. Rozłożył szeroko ręce i klasnął tuż przed twarzą chłopaka.

– Mam problem, Jack – powiedział, wskazując głową papiery rozłożone na stole. – Z tych wszystkich maili i esemesów wynika, że byłeś u Allie tej nocy, kiedy umarła.

– Byłem. Już panu mówiłem, że byłem.

– Wynika też, że to nie ona, ale ty znałeś dilerę zaopatrującego was oboje w heroinę. Jak mi nie podasz nazwiska tego gościa, to nie będę miał wyboru. Jej rodzina będzie szukać winnego. Będą chcieli obciążyć kogoś odpowiedzialnością za śmierć córki. – Faz wyciągnął rękę przez stół. – I będziesz nim ty, Jack. Mój partner ma rację. Nie mówimy tylko o karze za posiadanie narkotyków. Zabójstwo z użyciem substancji zakazanej to poważne przestępstwo. Tak ustali sąd i wiadomość ta trafi do wszystkich gazet i mediów społecznościowych. Jesteś gotowy poświęcić lata życia dla jakiegoś handlarza narkotyków?

Welch nie od razu odpowiedział. Del widział, że jego partner odchyła się na oparcie krzesła, zostawiając chłopakowi czas na przetrawienie ostatnich słów. Jeśli Welch ma odrobinę oleju w głowie, to pojmie, że Faz sugeruje mu wyjście, alternatywę dla długoletniego więzienia.

– Co mu zrobią? – wybąkał w końcu chłopak.

Mamy cię, pomyślał Del z drugiej strony lustra. Haczyk połknięty, teraz wystarczy go tylko przyholować.

– Ten ktoś to twój kumpel?

– Hipotetycznie... znaczy się, gdybym go znał. To co się z nim stanie?

– Nie mogę tego stwierdzić na pewno, Jack. – Faz wzruszył ramionami. – Ale mogę powiedzieć tyle, że jeśli będzie współpracował, to sędzia spojrzy na niego łaskawszym okiem niż na ciebie, jeżeli nie podasz jego nazwiska.

– Mogę do niego zadzwonić? Pogadać z nim?

Faz pokręcił głową.

– To tak nie działa, Jack. Podajesz mi namiary na niego, a resztą ja się zajmuję. Ty nawet nie musisz w tym uczestniczyć.

– Ale się dowie, nie? Będzie wiedział, że to ja go wsypałem.

– Nie musimy podawać twojego nazwiska. Możemy mu powiedzieć, że natknęliśmy się na niego w zapiskach Allie. Wcześniej już od niego kupowała?

Welch skinął głową.

– Czyli nazwisko gościa pewnie znajduje się w jej kontaktach telefonicznych.

Sprytne posunięcie, pomyślał Del. Niech chłopak myśli, że uda mu się utajnić swój udział w sprawie.

Chłopak znów się zamyślił. Gdy wbił wzrok w blat stołu, Faz spojrzął w lustro na ścianie. Wiedział, że partner stoi po jego drugiej stronie i wszystko widzi i słyszy.

Przypuścił kolejny szturm na przesłuchiwanego:

– Czego się boisz, Jack? Czy ten ktoś czymś ci zagroził?

Welch pokręcił głową.

– Nie.

– Więc to twój kumpel, tak?

– No.

– Wiesz, co ci powiem? Myślę, że nie jest twoim prawdziwym przyjacielem.

Welch podniósł wzrok.

– Musisz zadać sobie pytanie – ciągnął Faz – czy gdyby sytuacja była odwrotna, to ten gość poszedłby za ciebie do więzienia.

Chłopak pokręcił głową i wytarł nos w mankiet koszuli.

– Więc czym się martwisz? – spytał Faz.

– On prowadzi zespół.

– Słucham?

– Jest kierownikiem Chaosu, naszego zespołu.

Delowi trudno było uwierzyć w logikę kierującą chłopakiem, a właściwie jej brak, ale głupota nastolatków zawsze go zdumiewała. Groziło mu wieloletnie więzienie, ale dla niego najważniejsze było to, czy nie zostanie usunięty z jakiejś garażowej kapeli.

– A co, boisz się, że cię wyrzucą z zespołu? – spytał Faz nadal spokojnym, pełnym zrozumienia tonem.

Welch pokiwał głową.

Faz odchrząknął.

– Spróbujmy to przeanalizować, Jack, zgoda? Podążaj myślami za mną. Jeśli będziesz chronił tego faceta i pójdziesz do więzienia na, powiedzmy, pięć lat, myślisz, że zatrzyma to miejsce w zespole i będą na ciebie czekali, aż wyjdiesz?

Chłopak drgnął, usłyszawszy „pięć lat”, a Faz pochylił się nad stołem i dla wzmocnienia efektu uniósł brwi.

– Nie – odrzekł Welch cichym, zgnębionym głosem.

Faz rozciągnął usta w ironicznym uśmiešku i pokręcił głową.

– Nie będzie żadnego zespołu, Jack. Nie z tobą w składzie.

## Rozdział 29

Miesiące, kiedy Tracy pracowała na wieczorną zmianę, Dan nazywał „czasem wampirów”. Gdy miał dużo roboty w swojej kancelarii – a tak właśnie było teraz – mogli się całymi dniami nie widywać przy świetle dziennym. To był jeden z takich miesięcy. W wolny dzień w połowie tygodnia Tracy wstała długo po wyjeździe męża z domu i znalazła tylko karteczkę, na której napisał, że przez większość dnia będzie zajęty w sądzie. Zrobiła zakupy, po czym przejechała mostem 520 do Seattle, by odwiedzić Kinsa.

Dostawała codziennie telefoniczne komunikaty o rekonwalescencji od jego żony Shannah lub od niego samego. Kins wstał z łóżka i trochę pochodził już w dniu operacji, po czym następnego dnia został wypisany ze Szpitala Szwedzkiego i wrócił do domu. Mieszkał w Madison Park, drogiej dzielnicy Seattle. Do domu wjeżdżało się betonowym mostkiem, tak wąskim, że mieścił tylko jeden samochód, choć oczywiście nie było tam dużego ruchu, bo za mostkiem stały tylko dwa domy mieszkalne – biała trzypoziomowa willa w stylu kolonialnym Kinsa i rezydencja w stylu hiszpańskim, z dachem z czerwonej dachówki i witrażowymi oknami. Dalej zaczynał się ogród botaniczny zwany Seattle Arboretum. Tracy była od zawsze zauroczona drugim domem, ale jego właściciele nie chcieli słyszeć o sprzedaży. Obie pary, w tym samym wieku, miały podobne zainteresowania, a ich dzieci były z grubsza rówieśnikami. Kins mawiał, że nie mogło mu się lepiej ułożyć, jeśli chodzi o sąsiadów.

Dom Kinsa był przykładem klasycznej kolonialnej architektury z obszerną jadalnią, wielkim salonem i małą kuchnią na parterze oraz dużą sypialnią, dwiema mniejszymi i łazienką na piętrze, co przy trzech chłopakach w rodzinie nie było zbyt funkcjonalnym rozwiązaniem. Dlatego Kins poświęcił masę wolnego czasu na przerobienie piwnic na powierzchnię mieszkalną i wygospodarowanie tam sypialni, dużej łazienki i sali

wypoczynkowej ze stołem bilardowym, kanapami i telewizorem. Tylnymi drzwiami wychodziło się na teren ogrodu botanicznego – blisko stuhektarowego parku z trawnikami, egzotycznymi roślinami i drzewami, będącego rajem dla jego trzech urwisów.

Tracy zaparkowała w zatoczce parkingowej przed domem partnera i weszła na podwórze przez zieloną bramkę. Pod pachą niosła stertę czasopism i kilka książek zebranych przez kolegów z pracy, mających wypełnić rekonwalescentowi czas, co nie było takie proste. Kins kipiał energią jak jego synowie i utrzymanie go w łóżku – czego wymagał proces gojenia się rany pooperacyjnej – było nie lada wyzwaniem dla jego żony.

Shannah otworzyła drzwi, ale nim zdążyła cokolwiek powiedzieć, z wnętrza domu dobiegło wołanie Kinsa, który z niecierpliwością oczekiwał wizyty Tracy.

– Crosswhite? Specjalnie ci się nie śpieszyło. Ja tu umieram, a kolegom nawet nie zależy, żeby mnie pocieszyć.

Jego żona zrobiła cierpiętniczą minę.

– Mówi coś o umieraniu, słyszysz? A to ja umieram przez niego. Chwała Bogu – dodała, patrząc na stertę rzeczy do czytania w rękach Tracy. – Może na dzień albo dwa mu to starczy.

Shannah i chłopcy przenieśli łóżko do salonu, żeby Kins nie musiał chodzić po wąskich schodach na piętro.

– Widzę, że z ciebie dobry pacjent – powiedziała Tracy, wchodząc do pokoju.

– Kompletnie tu wariuję, a siedzę w domu niecałe czterdzieści osiem godzin.

Kins był zarośnięty i jego wygląd przypominał jej ich pierwsze spotkanie. Pracował wtedy jako tajny agent w sekcji antynarkotykowej i zapuścił kozią bródkę i długie włosy, czym zasłużył sobie na ksywę Jack Sparrow w związku z podobieństwem do postaci granej przez Johnny’ego Deppa w *Piratach z Karaibów*.

– Szykuję lunch, Tracy. Zjesz z nim? – spytała Shannah.

– Nie bardzo wiem, czy chcę. – Tracy wskazała kciukiem Kinsa. – Nie dałoby się bez niego?

– Możesz go udusić poduszką, jak wyjdę do kuchni.

– W biurze Del i Faz by się mną zaopiekowali – powiedział.

– Może – przyznała Tracy. – Ale zapewniam cię, że lunchem by się z tobą nie podzielili.

Gdy Shannah wyszła do kuchni, Tracy przysunęła sobie krzesło i usiadła przy łóżku.

– Zebrali to dla ciebie w biurze. – Położyła na łóżku przyniesione pisma i książki. Z głośnika sączyła się cicha muzyka. – No więc jak się czujesz?

– Od lekarstw jestem ciągle senny i otepiały, ale już zacząłem zmniejszać dawki. Nie chcę się tak czuć.

– A co z bólem?

– Zaskakująco mały. Wszyscy mieli rację. Trzeba się było poddać tej operacji już dwa lata temu. A co w pracy? Dali kogoś na moje miejsce?

– Ron się włącza z doskoku. – Mówiła o Ronie Mayweatherze, piątym kole zespołu A. – Jakoś dajemy sobie radę.

– Co się dzieje w sprawie D’Andrego Millera i Treja? – Jak większość detektywów policyjnych Kins nie lubił być odsunięty od bieżących spraw i podświadomie chciał być potrzebny.

– Ile masz w sobie lekarstw?

– A co, coś cię gnębi?

– Bo w tej sprawie jest coś nie tak – powiedziała Tracy. – Od początku coś mi w tym Treju nie grało.

– Jak na przykład to, po co w ogóle przyjechał do Seattle?

– To na pewno. I jeśli potrafił chłopca przypadkiem, to dlaczego uciekł?

– Alexa, wyłącz to! – zawołał Kins i muzyka z czarnej kolumny ucichła. – Moja najnowsza zabawka z Amazona. Chłopcy mi ją podkradają, kiedy mają gości. – Poprawił się na łóżku. – Ludzie wciąż popełniają błędy z głupich powodów. Jeśli się ma trzech synów, trudno tego nie wiedzieć. Sytuacja nagle ich zaskakuje, a potem są już jak mucha w sieci pajaka. Nie potrafią się wyplątać.

Shannah weszła do pokoju z tacą, na której znajdowały się dwie kanapki, mrożona herbata i miseczka małych pomidorków. Postawiła tacę na niskim stoliku.

– Dobra, teraz wychodzę. Chłopcy mają trening piłki nożnej, więc mam dwie godziny wolnego... znaczy dwie godziny harówki.

– Bardzo śmieszne – mruknął Kins. – Istny Conan O’Brien z ciebie.

– Mam coś kupić? – spytała Shannah, pochylając się nad łóżkiem.



Kins uśmiechnął się.

– Czipsy ziemniaczane? – rzucił.

– Możesz sobie pomarzyć. – Żona cmoknęła go w czoło i wyszła z domu frontowymi drzwiami.

– Też się odchudzasz? – spytała Tracy.

– Zabiję tego Dela. Parę dni temu mnie odwiedził i przez pół godziny gadali z Shannah o odchudzaniu. Twierdzi, że zrzucił prawie siedem kilogramów.

– Może już nawet więcej. Dobrze mu to zrobiło.

– No i teraz Shannah suszy mi głowę, że to dobry moment, żeby o siebie zadbać.

– Może mieć rację. – Tracy wzięła pół kanapki i zaczęła jeść. – Załóżmy, że Trejo nie jest głupi – odezwała się po chwili. – Załóżmy, że się nie zatrzymał, bo nie mógł.

– Masz na myśli to, że zawiodły hamulce czy coś w tym rodzaju?

– Mam na myśli to, że mógł być zamieszany w coś nielegalnego. Coś, co groziło mu poważniejszymi konsekwencjami, gdyby go na tym przyłapano.

– Poważniejszymi niż za przejechanie dziecka? – Kins włożył do ust pomidora.

– A jeśli w tym momencie był pijany lub na haju?

Chwilę się zastanowił.

– To by też tłumaczyło, dlaczego porzucił samochód – powiedział w końcu.

– Ale już nie bardzo to, że wiedział o istnieniu tego złomowiska. Wjazd na nie wygląda jak zwyczajny podjazd do domu.

– Nie do zauważenia, jeśli się o nim nie wie – zgodził się z nią Kins.

– A Trejo twierdzi, że pochodzi z San Diego i rzadko bywa w Seattle.

– Więc albo wiedział o tym placu wcześniej, albo ktoś go tam skierował.

Tracy odgryzła następny kęs kanapki.

– Musiał też wiedzieć, że dojdziemy do tego, że jego samochód nie został skradziony – powiedziała. Technicy z CSI nie znaleźli żadnych śladów majstrowania przy zapłonie ani niczego niezwykłego w układzie przewodów pod deską rozdzielczą, co mogłoby wskazywać

na kradzież. – Po to zmyślił tę historyjkę o kluczyku w skrytce pod tylnym zderzakiem.

– Tylko że udowodnić się tego nie da – mruknął Kins.

– To prawda. Ale czy nie stanowi to kolejnego dowodu na to, że wszystko zostało dokładnie obmyślane? I to przez kogoś sprytniejszego od Treja?

– Jak na przykład to, że całe wnętrze łącznie z poduszką powietrzną zostało dokładnie wytarte z wszelkich śladów. To mi wygląda na prawnika.

Tracy łyknęła herbaty.

– W każdym razie na kogoś, kto zna się na odpowiedzialności karnej i zbieraniu dowodów – dodała.

– Battles?

– Może. Tylko cały czas się zastanawiam, co by z tego miała? – Dojadła do końca połówkę kanapki i wytarła palce w serwetkę. – Jestem w stanie wymyślić powód, dla którego chciała zabrać taśmę wideo, ale to nadal nie odpowiada na pytanie, kto pomógł Trejowi ukryć samochód i wrócić do domu.

– Ona mieszka w Seattle – przypomniał jej partner.

– Wiem, ale nie wyobrażam sobie, żeby chciała dla Treja ryzykować karierę.

– Może on coś na nią ma. Może ją zaszantażował.

– Może.

– Albo mamy do czynienia z więcej niż jedną osobą – zastanawiał się głośno Kins.

– Niewykluczone. – Zamyśliła się. – I jest jeszcze coś, na co zwróciłam uwagę na sali rozpraw, kiedy zaczęła się ta cała awantura o zaginioną taśmę. Trejo nawet nie mrugnął okiem.

Kins sięgnął po drugą połówkę kanapki.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytał.

– To, że przez cały czas siedział z kamienną miną i gapił się w przestrzeń, jakby to, co się wokół niego działo, w ogóle go nie dotyczyło.

– Może tego nie rozumiał.

– Musiał rozumieć. Wszyscy na sali rozumieli. Cho powiedział wyraźnie, że nie mogą znaleźć taśmy z nagraniem.

– I Trejo nie zareagował?

- A powinien. Okazać zmieszanie, radość, zaskoczenie, cokolwiek.
- Może przed przesłuchaniem czymś go nafaszerowali? Może był zbyt zestresowany i coś mu zaaplikowali. – Kins odłożył kanapkę.
- Może. Albo to, co się wydarzyło, nie było dla niego zaskoczeniem.

## Rozdział 30

Nicholas Evans był absolwentem liceum, basistą w heavymetalowym zespole Chaos i dilerem heroiny.

– Niezłe CV – zwrócił się Del do swojego partnera.

Po zapoznaniu się z esemesami w telefonie Jacka Welcha uzyskali dowód na to, że to Evans sprzedał Allie i Welchowi heroinę, która ją zabiła. Po południu ostatniego dnia jej życia Welch wysłał esemesa do Evansa.

**Potrzebuję trochę szajsu. Mam forszę.**

Pół godziny później Evans odpisał:

**Trochę później, człowieku.**

Evans przez jakiś czas się nie odzywał i zniecierpliwiony Welch po południu wysłał mu kolejnego esemesa.

**Koleś, moja kumpela i ja jesteśmy gotowi w każdej chwili.**

Evans odpisał:

**Wyluzuj, człowieku. Pracuję nad tym.**

W końcu o piątej po południu Evans odezwał się do Welcha:

**Mam towar. Spotkanie Aurora. 20 minut.**

Wtedy Welch wysłał esemesy do Allie, które Del odczytał z jej telefonu, ale które dopiero teraz nabrały pełnego sensu.

**Załatwione! Muszę tam być za 20. Podjadę po ciebie.**

Allie jednak wciąż się wahała.

**Nie wiem, czy zdążę. Jedź beze mnie.**

Del odchylił się od ekranu, oczy zaszły mu łzami. Allie była tak blisko powrotu do domu, tak blisko ujścia z życiem. Ale Welch nie miał kasy na zakup i jak większość narkomanów nie był gotów odpuścić.

**Jadę po ciebie. Nie mogę nawalić. Ma też innych kupców. Poważnie. A to towar pierwsza klasa.**

I końcowa odpowiedź Allie, taka krótka i tak rozpaczliwie smutna. Mogła powiedzieć coś o władzy, jaką miała nad nią heroina, o toczonej z nią walce na śmierć i życie i o wielu innych sprawach. Ale powiedziała tylko:

**OK.**

Faz zadzwonił do wydziału narkotyków, zapytał, czy mają coś na Evansa, i ze zdumieniem usłyszał, że choć w Seattle działa wielu tajnych agentów do walki z narkomanią, nic o nim nie wiedzą. Oczywiście mieli całą listę podejrzewanych o handel, ale Evansa na niej nie było. Zważywszy, że nie handlował czarną smołą, tylko wysokogatunkową heroiną, być może ze śmiertelnością domieszką, zaczęli spekulować, że może być samotnym wilkiem, który działa w głębokiej konspiracji i nie został dotąd namierzony przez żaden z ich radarów. Del poprosił, by jego i partnera informowano o wszelkich nowych ustaleniach.

Del i Faz trafili na Evansa w mieszkaniu w pobliżu Green Lake i bez żadnych trudności przewieźli go do okręgowego aresztu. Chłopak nie był już uczniem liceum jak Welch, miał dwadzieścia dwa lata i grał twardziela, który w ogóle nie zamierza z nimi rozmawiać. Oznajmił tylko, że żąda kontaktu z adwokatem i bez niego nic nie powie. Trudno. Było piątkowe popołudnie i Evans w najlepszym razie mógł liczyć na wstępne przesłuchanie i wyjście z aresztu w poniedziałek. Przesłuchanie miała poprowadzić Celia McDaniel i już zdążyła powiedzieć Delowi, że ewentualna kaucja za wypuszczenie Evansa wynosi pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Mogłaby wystąpić o więcej, powołując się na powagę sytuacji i śmiertelność sprzedawanego przez Evansa narkotyku, ale w tej chwili byli w stanie powiązać go jedynie ze śmiercią Allie, a wciąż jeszcze czekali na wynik analizy toksykologicznej heroiny znalezionej przez Dela w pokoju siostrzenicy.

– Sprytniej jest występować o kaucję w wysokości, którą sędzia jest gotów bez oporu przełknąć – wyjaśniła Delowi przez telefon.

To by znaczyło, że do wyjścia z aresztu Evansowi wystarczy wpłacić poręczycielowi kaucję w wysokości pięciu tysięcy dolarów, Del nie sądził jednak, aby do tego doszło.

– Rozegraj to po swojemu – powiedział Celi. – Widziałem tę norę, w której Evans mieszka, i jego sytuacja finansowa i rodzinna wygląda na podobną do Welcha. Obu w domu nie chcą. Nie sądzę, by tatuś i mamusia palili się do płacenia za wypuszczenie go z aresztu.

Znaczyło to też, że Del będzie miał cały weekend na zebranie dowodów potrzebnych do postawienia Evansowi zarzutów. Był to niewątpliwie krok w dobrym kierunku, czyli do wykrycia, kto stoi za handlem narkotykiem, który zabił Allie i być może wielu innych, ale im bardziej się w to zagłębiał, tym większe miał wątpliwości, czy uda mu się z powodzeniem doprowadzić sprawę do końca. Pamiętał słowa Celi o kilku następnych dilerach, którzy tylko czekają na każde zwalniające się miejsce w łańcuchu dostawców narkotyków, i o tym, jak doprowadzenie do skazania dilerów jej syna nie dało jej żadnej satysfakcji.

– Zemsta to marny substytut syna – powiedziała.

Powtarzał sobie w duchu, że ma zadanie do wykonania, że jest gliniarzem, że śmierć grozi też innym i że jego obowiązkiem jest temu

zapobiec. Ale nie mógł ignorować prawdy zawartej w słowach Celi. Był ciekaw, czy gdy odnajdzie tych, którzy dostarczyli Allie truciznę, i zostaną osądzeni, trafią do więzienia, on – i co ważniejsze, jego siostra – będą czuli to samo co Celia. Zastanawiał się, czy jego zawziętość w dążeniu do ukarania winnych wynika naprawdę ze współczucia dla siostry, a nie z własnej żądzy zemsty. I czy w ostatecznym rozrachunku zemsta nie okaże się pustym substytutem siostrzenicy... a tym bardziej córki.

## Rozdział 31

Gdy w piątek po południu Tracy weszła do sali konferencyjnej, Cerrabone i Dunleavy już na nią czekali. W spotkaniu mieli też uczestniczyć jej bezpośredni zwierzchnik, kapitan Nolasco, oraz komendant policji w Seattle, Sandy Clarridge.

– Jak Kins? – spytał Cerrabone, kiedy usiadła.

– Radzi sobie. Właśnie się z nim widziałam – odparła Tracy. – To naprawdę zdumiewające, co lekarze potrafią teraz zrobić. Kins dzwoni po kilka razy dziennie na komendę i doprowadza wszystkich do szalu.

– A co z bólem?

– Jego czy moim? – spytała i obaj mężczyźni parsknęli śmiechem. – Miał do wyboru: operacja lub wymiana nerki po tych ilościach ibuprofenu.

Na salę wkroczył Clarridge, a za nim Nolasco, który zamknął za nimi drzwi.

Wszyscy usiedli i Dunleavy rozpoczął naradę.

– Mielśmy dziś telefon od jednego z szefów służby prawniczej marynarki. Za kilka godzin Trejo zostanie zwolniony z aresztu.

– I sprawa wraca do nas? – spytał Clarridge.

– Ostateczna decyzja nie została jeszcze podjęta, ale podejrzewam, że bez tej taśmy sprawa mocno się skomplikowała. – Dunleavy wzruszył ramionami. – Zwłaszcza jeśli trafi do sądu wojskowego, który zastosuje zasadę uzasadnionej wątpliwości. Trejo i jego obrońca poskarżą się na zaginięcie taśmy i niemożność skonfrontowania świadków. Nie jestem pewien, czy oskarżenie sobie z tym poradzi. Szczerze mówiąc, nie wiem, czy i my dalibyśmy temu radę.

– Ja natomiast wiem, że tutejsza społeczność nie zadowolili się taką odpowiedzią – wtrącił Clarridge, czerwieniejąc na twarzy.

– W tej chwili ludzie mają pretensje do marynarki – zauważył Dunleavy. – Nie jestem pewien, czy powinniśmy się pakować w to



bagno i kierować ostrze krytyki na nas, zwłaszcza jeśli nie uzyskamy wyroku skazującego. Słyszałem, że marynarka chce wystąpić przeciwko dotychczasowej obrończyni Treja ze skargą natury etycznej i zależnie od wyniku mogą ją postawić przed sądem wojskowym za zaniedbanie obowiązków służbowych.

– Czyli znaleźli sobie kozła ofiarnego – zauważył Nolasco.

– A pani co o tym myśli? – spytał Clarridge, przenosząc wzrok na Tracy. – Czy ona mogła celowo zabrać tę taśmę, czy nagranie po prostu gdzieś się zapodziało?

– Czy mogła? Oczywiście, że mogła. Miała do niej dostęp. Ale czy to zrobiła? To już trudniejsze pytanie. Tego nie wiem. Jedno, co wiemy na pewno, to to, że osoba, która pomogła Trejowi, musiała znać się na zbieraniu dowodów i ich znaczeniu dla sprawy. Niewielu pomyślałoby o wytarciu śladów z poduszki powietrznej.

– Takie rzeczy można zobaczyć w każdym policyjnym serialu telewizyjnym – wtrącił Nolasco. – Nie dawajmy się ponosić fantazji.

– Wycieranie śladów z poduszki powietrznej? – zdziwiła się Tracy. – Widać przegapiłam ten odcinek.

– Mogli wytrzeć poduszkę w trakcie zacierania śladów w całym wnętrzu samochodu – obruszył się Nolasco. – Sądzę, że Trejo ma dość rozumu lub szczęścia, żeby to zrobić.

– Może – rzuciła. – Ale czy wiedziałby również, że bez nagrania ze sklepu wszystkie inne dowody stają się tylko poszlakami?

– Mógł nie wybiegać myślami w tak daleką przyszłość. Jak powiedziałem, może miał po prostu szczęście. To się zdarza. Bo spójrz na to z innej strony. Dlaczego obrończyni miałyby zrobić coś takiego? Co by na tym zyskała?

– Według opinii oskarżyciela jest chorobliwie ambitna. Nie znosi przegrywać – powiedział Cerrabone.

– Zgadza się z kapitanem – wtrąciła Tracy.

– Ktoś to protokołuje? – odezwał się Nolasco. – To może być pierwszy raz w historii!

– Mówimy o sądzie wojennym, utracie zarobków, wyrzuceniu z pracy... To bardzo wysoka cena za zwycięstwo sądowe, zwłaszcza w tych okolicznościach – powiedziała Tracy. – Alternatywą może być posiadana przez Treja wiedza na jej temat, która mogłaby zaszkodzić jej karierze.

- Czyli szantaż? – upewnił się Clarridge.
- Staram się rozważać wszystkie możliwe warianty.
- Znamy jej wersję wydarzeń? – zapytał komendant.

Tracy kiwnęła głową.

– Tak, rozmawiałam z nią. Twierdzi, że miała u siebie pudło z dowodami wieczorem przed dniem przesłuchania, ale nie jest pewna, czy taśma w nim wtedy była. Ja myślę, że musiała być.

– Dlaczego? – spytał Clarridge.

– Bo wyjęcie jej przez kogoś, zanim pudło trafiło do porucznik Battles, byłoby zbyt ryzykowne.

– Czyli taśma zniknęła w czasie, gdy miała to pudło u siebie – wtrącił Nolasco. – A to dowodzi, że musiała ją zabrać.

– Tylko że ona twierdzi, że już wcześniej widziała to nagranie i nie zamierzała oglądać go ponownie. Zresztą i tak nie miała odtwarzacza, by to zrobić.

– Brzmi jak wygodna wymówka – prychnął Nolasco. – Jeśli wcześniej obejrzała to nagranie, to wiedziała, że przesądza ono sprawę. Nie musiała ponownie go oglądać, żeby chcieć się go pozbyć.

– Może nie – przyznała Tracy. – Ale to ogromne ryzyko, kiedy wszyscy wokół wiedzą, że jest się ostatnią osobą mającą dostęp do pudła z dowodami. – Czują, że siedzący przy stole się z nią zgadzają. – Dużo sensowniejsze byłoby zabranie taśmy po zwróceniu pudła z dowodami do depozytu.

– I może tak właśnie zrobiła – rzucił Nolasco.

– Może.

– Albo taśma po prostu gdzieś się zapodziała – dodał Dunleavy.

– Ludzie z NCIS przesłuchali sprzątaczy. Człowiek sprzątający parter, gdzie mieści się gabinet Battles, nie pamięta, by widział jakąś taśmę. Zeznał też, że dotykanie czegokolwiek w pokojach jest przez ich firmę surowo zabronione. Sprzątanie praktycznie ogranicza się do opróżnienia koszy na śmieci i przejechania podłóg odkurzaczem.

– Dobrze, a więc założmy, że taśma była w pudle w chwili oddania go przez Battles do depozytu – wtrącił Clarridge. – Kto jeszcze miał do niego dostęp?

– Każdy mający dostęp do biura protokolanta sądowego – odparła Tracy. – Mieści się ono naprzeciwko wejścia do sali rozpraw. Na tym samym piętrze, kawałek dalej, znajdują się biura prokuratorów. Ale

z tego, co wiem, aby wejść do budynku, trzeba wpisać na szyfratorze przy drzwiach cztery końcowe cyfry numeru ubezpieczenia społecznego. Oznacza to, że istnieje rejestr wszystkich wchodzących.

– Czy to mógł być Cho? – spytał Clarridge. – Mógł zabrać tę taśmę przed wyjściem z budynku?

– Mógł, ale nie widzę powodu, aby miał to zrobić. Ta taśma była potrzebna oskarżeniu jako dowód.

– Ktoś jeszcze? – pytał dalej komendant.

Tracy pokręciła głową.

– Czyli została zgubiona i gdzieś się zapodziała albo zabrała ją Battles – podsumował Nolasco.

– Jeśli nawet przyjąć tę drugą wersję, nie daje ona odpowiedzi na inne pytania, na przykład kto pomógł Trejowi ukryć samochód i dostać się z powrotem do bazy na Bremerton.

– Te sprawy nie muszą być ze sobą powiązane – zauważył Nolasco.

– Mogła to być choćby jego żona. Co ona mówi?

– Dokładnie to samo co Trejo – odparła Tracy. – Że tego wieczoru był w domu.

– Więc kłamie, żeby go kryć, a Battles źle oceniła konsekwencje swego postępowania. Nie rozwódźmy się zbytnio nad tym. I bez tego mamy dość problemów. Jeśli sprawa do nas wróci, przekazemy ją do ZBWD i niech oni poprowadzą ją dalej.

– Jak długo potrwa, zanim marynarka podejmie decyzję o ewentualnym przekazaniu nam tej sprawy? – zwrócił się komendant do Dunleavy’ego.

– Sędzia prowadząca przesłuchanie jak dotąd nie powiedziała, że rezygnują z oddania sprawy pod sąd wojskowy, ale nie ukrywała, że bez dowodu w postaci nagrania ze sklepu pozycja oskarżenia bardzo osłabła i obrona z całą pewnością to wykorzysta – poinformował go Dunleavy.

– Czyli Trejo stanie przed sądem wojskowym ze świadomością, że oskarżenie nie będzie w stanie przedstawić twardych dowodów – zauważył Cerrabone.

– Wygląda na to, że ci z marynarki też tak uważają – potwierdził Dunleavy.

Clarridge odchylił się na oparcie krzesła i przygryzł dolną wargę.

– O co moglibyśmy go oskarżyć, gdybyśmy mieli przejąć sprawę? – spytał.

– Bez tego nagrania? – Dunleavy pokręcił głową. – Nie jestem pewny, czy o cokolwiek. Upiera się, że go tam nie było. Wszelkie nasze zarzuty będą miały charakter poszlakowy. Obrona niemal na pewno uzyskałaby zgodę sądu na wyłączenie z postępowania wszelkich aluzji do nagrania, ponieważ nie można efektywnie przesłuchać świadków twierdzących, że je widzieli. Jeśli marynarka zrezygnuje z dalszego zajmowania się tą sprawą, choć z reguły kierują do sądu nawet mniej oczywiste przypadki, to nie jestem pewien, czy powinniśmy się w ogóle do tego zabierać, zwłaszcza w obecnym klimacie społecznym.

– Też tak uważam – wtrącił Nolasco. – Lepiej się do tego nie mieszać i niech marynarka się z tym zmaga.

– A co z chłopcem i jego matką? – spytała Tracy.

– To tragedia – przyznał Dunleavy. – Nikt nie mówi, że nie, ale nie wiem, czy możemy cokolwiek w tej sprawie zrobić.

– Jeśli mogę – rzuciła Tracy i wszyscy skierowali na nią wzrok. – Byłam na sali rozpraw w chwili, gdy okazało się, że nie ma tej taśmy. Siedziałam na miejscu dla świadków i byłam zwrócona twarzą do publiczności. Widziałam też Treja. Obserwowałam go. W ogóle nie zareagował na wiadomość o zaginięciu nagrania.

– Co chce pani przez to powiedzieć? – spytał Clarridge.

– Myślę, że wiedział, że taśmy nie będzie. I że wyjdzie na wolność.

– To, co ty myślisz... – zaczął Nolasco, ale przerwała mu w pół słowa.

– Niewątpliwie był tego wieczoru w Seattle. To niezbity fakt. Widziałam paragon sklepowy i widziałam nagranie. Odlóżmy na chwilę na bok to, czy możemy to udowodnić. Ważne, że to prawda. Przejechał tego dzieciaka i ktoś mu potem pomógł.

– Skąd wiesz? – spytał Dunleavy.

– Bo ktoś musiał mu pomóc ukryć samochód na placu za domem tej kobiety...

– Mógł wiedzieć o tym miejscu – rzucił Nolasco.

– Mógł. Ale jak potem wrócił na Bremerton bez samochodu? Nie wziął taksówki i nie przepłynął wpław. – Zanim jej bezpośredni przełożony zdążył zaprotestować, ciągnęła: – Słuchajcie, jeśli ktoś celowo zabrał tę taśmę, to tym ważniejsze stają się pozostałe

fragmenty układanki: złomowisko za domem, powrót Treja do bazy. Bo to znaczy, że ktoś bardzo się postarał, aby nie dopuścić do jego skazania. A jeśli tak, to rodzi się pytanie: dlaczego? Albo Trejo był dla tego kogoś bardzo ważny, albo miał na niego haka.

– Dużo tych „jeśli” i „albo” – zauważył Dunleavy.

– I tu się muszę zgodzić, ale myślę, że jesteśmy winni matce chłopca rozwikłanie tej zagadki.

– To co pani proponuje? – spytał Clarridge.

– Jeśli marynarka się wycofa, to formalnie rzecz biorąc, sprawa pozostanie w naszej jurysdykcji, prawda? – Spojrzała na Dunleavy’ego. – Nie grozi nam zarzut powtórnego oskarżenia, możemy go sądzić za to samo przestępstwo.

– Czy nie zgodziliśmy się przed chwilą, że właśnie tego chcemy uniknąć? – burknął Nolasco.

– Zgadzam się z pani szefem, pani detektyw – powiedział Clarridge.

– Nie jestem pewien, czy powinniśmy się rzucać na głęboką wodę bez koła ratunkowego w postaci dowodu.

– Nie twierdzę, że mamy wystąpić do sądu z oskarżeniem. Mówię, że powinniśmy stworzyć pozory, że chcemy postawić mu zarzuty. – Tracy znów spojrzała na Dunleavy’ego.

– Chodzi ci o to, żeby człowiek, który pomógł Trejowi, wierzył, że postawimy sprawcę przed sądem i że po wyjściu z aresztu Trejo spróbuje się z nim skontaktować?

– Opuszcza areszt dziś po południu – wtrącił Cerrabone. – Moglibyśmy na tę godzinę zwołać konferencję prasową i oświadczyć, że poważnie rozważamy postawienie mu zarzutów, żeby nie myślał, że jego kłopoty się skończyły, i zobaczyć, co wtedy zrobi. Czy nie pobiegnie do kogoś po pomoc.

– Chcesz go poddać inwigilacji? – spytał Clarridge.

– Moglibyśmy włączyć w to policję na Bremerton – powiedział Nolasco. – Niech oni mu doczepią ogon.

– Wolalabym sama to zrobić – oświadczyła Tracy. – Wiem, gdzie mieszka i gdzie pracuje. Byłam u niego w mieszkaniu i znam rozkład osiedla, wiem, czym jeździ i gdzie parkuje. Jeśli my się tym zajmiemy, sprawa nie wyjdzie poza nasz wydział.

– Mamy dość własnych spraw – mruknął Nolasco.

– Jeżeli nie włączymy w to Bremerton, to nikt się nie dowie, że tak naprawdę nie zamierzaliśmy go oskarżać.

Clarridge spojrzał na Dunleavy'ego.

– Masz z tym jakiś problem?

– Nie. – Dunleavy pokręcił głową i spojrzał na Tracy. – Poza tym, że czekają cię długie bezsenne noce.

– Kins jest na zwolnieniu – przypomniał jej Nolasco. – Brakuje nam ludzi.

– Nie potrzeba mi nikogo więcej – powiedziała. – Spędzę noc na Bremerton, a rano porozmawiam z ludźmi z firmy sprzątającej i zdobędę kopię nagrania z kamery bezpieczeństwa w budynku BOP.

Dunleavy powiódł wzrokiem po obecnych.

– Chyba niczym nie ryzykujemy – rzucił w końcu.

– Warto spróbować – przyznał Cerrabone.

Wszyscy spojrzeli na Clarridge'a; ten jeszcze chwilę się zastanawiał, po czym oświadczył:

– No to zacznijmy od komunikatu dla prasy, który może pobudzić Treja do działania.

## Rozdział 32

Tracy wzięła jeden z nieoznakowanych samochodów i wjechała na prom płynący przez Zatokę Elliotta. Zimowe chłody ustąpiły miejsca wiosennym deszczom, ale nie tym typowym dla Seattle – z gatunku „raz pada, raz nie” – tylko prawdziwym ulewom, które z furją moczyły wszystko, ustawały i ponownie gwałtownie atakowały. Z przystani promowej pojechała do Jackson Park i na osiedle mieszkaniowe dotarła już po zmroku. Z poprzedniej wizyty na wyspie zapamiętała, że Trejo mieszka w narożnym budynku. Pomyślała, że jeśli zaparkuje na ulicy prostopadłej do jego domu, lekko opadający trawnik ochroni ją przed dociekliwością ciekawskich sąsiadów, a dodatkowo zniechęci ich ulewa.

Ustawiła się w wybranym miejscu i w polu widzenia nie dostrzegła żadnych wieczornych spacerowiczów z psami ani amatorów koszykówki lub tenisa. Miała widok na dróżkę prowadzącą do wejścia do domu Treja i na subaru zaparkowane na przydzielonym mu miejscu. Samochód miał nadal wgięty błotnik, natomiast przednia szyba została już wymieniona. Wiedziała, że jeśli Trejo wyjdzie z domu, bez trudu to zauważy i jeżeli postanowi dokądś pojechać, to z osiedla wychodziły tylko dwie drogi i którąkolwiek by wybrał, nie byłoby trudno go śledzić.

Dunleavy ogłosił komunikat dla prasy o siedemnastej trzydzieści, dopasowując się do czasu wypuszczenia Treja z aresztu. Z pełną powagą poinformował zebranych, że wprawdzie policja Seattle nie może nic obiecać, ale zrobi wszystko, by raz jeszcze przeanalizować zebrany materiał dowodowy i postawić Treja w stan oskarżenia. Tracy uznała, że komunikat został na tyle mocno sformułowany, że jeśli dotrze do Treja, to ten będzie musiał zareagować. Miała nadzieję, że nie pomyliła się, zakładając, że ktoś pomógł mu po wypadku. Jeśli tak, to prawdopodobnie osoba – lub osoby – zamieszana w chronienie Treja nie będzie chciała rozmawiać przez telefon i zechce się z nim

spotkać osobiście. Wkrótce miało się okazać, czy jej domysły się sprawdzą.

Siedziała, pogryzając proteinowy baton i słuchając deszczu dudniącego o dach służbowego samochodu. Tuż po dziewiątej zapaliła się lampa nad wejściem do domu Treja. Mogło to być działanie zwykłego wyłącznika czasowego, ale Tracy i tak wyprostowała się na siedzeniu i przez strugi lejącego deszczu wpatrzyła się w drzwi. Otworzyły się, z domu ktoś wyszedł i ruszył szybkim krokiem w stronę parkingu. Nie była pewna, czy to Trejo, ale wzrost by pasował. Nasunął na głowę kaptur chroniący przed deszczem i pobiegł truchtem w stronę subaru. Nie pozostało jej nic innego jak założyć, że to Trejo, i ruszyć za nim.

Opuściła nieco na twarz daszek bejsbolówki Marinerów zabranej z przegródki Kinsa i uruchomiła silnik. Nie zapalając świateł, zawróciła, na rogu skręciła w lewo i ruszyła ulicą biegnącą za domem Treja. W oddali dojrzała rozbłyskujące światła subaru. Samochód wyjechał tyłem z miejsca parkingowego i skierował się ku bliższemu z dwóch wyjazdów z osiedla. Podążyła za nim w pewnej odległości. Gdy Trejo – jeśli to był on – skręcił w lewo, zrobiła to samo, oddalona od niego o kilkadziesiąt metrów.

Trejo pokonał płataninę uliczek i dotarł do wyjazdu z osiedla. Tracy zdążyła dojrzeć, że skręca na stanową trójkę – czteropasmową drogę szybkiego ruchu z trawiastym pasem pośrodku. Nie było na niej większego ruchu, zwłaszcza w taką pogodę, ale lejący deszcz i ciemności ułatwiały jej pozostawanie niezauważoną. Mimo to zachowywała dość dużą odległość od subaru i kryła się za nielicznymi samochodami na drodze.

Po pięciu minutach Trejo zjechał na pas prowadzący do zjazdu na Newberry Hill Road. Wokół było zupełnie pusto i płasko i Tracy mogła bez trudu śledzić subaru, zbytnio się do niego nie zbliżając. Gdy znalazło się na zjeździe, skryła się za jednym z jadących samochodów, ale gdy dotarła do końca ślimaka i stanęła, z żadnej strony nie było widać blasku reflektorów. Nie chcąc tracić dystansu i ryzykować zgubieniem subaru na następnych światłach, na wyczucie skręciła w prawo w Newberry Hill. Ulica była dwupasmowa, po jednym pasie w każdą stronę. Za skrzyżowaniem nazwa przechodziła w Silverdale Way, ciągnącą się wzdłuż Dyes Inlet, i po obu jej stronach stały



okazałe domy jednorodzinne. W wieczornych ciemnościach woda w zatoce była atramentowa, wiatr i deszcz znaczyły jej powierzchnię białymi grzywami.

Zbliżając się do pierwszego dużego skrzyżowania – z Bucklin Hill Road – Trejo zwolnił przed czerwonym światłem i Tracy zjechała w bok na parking centrum handlowego. Gdy światło się zmieniło i Trejo skręcił w prawo, przejechała przez parking i opuściła go wyjazdem na Bucklin Hill, ponownie lokując się za Trejem. Światła stop subaru nagle rozbłysły i samochód ponownie skręcił w prawo, tym razem w wąską uliczkę bez nazwy. Umieszczona na rogu tabliczka informowała, że droga prowadzi do ślepego zaułka Old Mill Park.

Tracy pojechała prosto na wypadek, gdyby Trejo tylko sprawdzał, czy nikt go nie śledzi, i za chwilę powrócił na główną drogę. Skręciła w lewo na parking przed ciągiem sklepów i zatrzymała się na wysokości wjazdu do parku. Jeśli Trejo by się wycofał, widziałaby jego samochód. Subaru nie pojawiło się jednak, więc zgasła silnik. Otworzyła drzwi, sięgnęła po pelerynę przeciwdeszczową i wysiadłszy, szybko się nią okryła. Naciągnęła kaptur peleryny na bejsbolówkę i stanęła na chodniku Bucklin Hill Road. Przepuściła jadące samochody i przecięła jeden pas jezdni; na wysepce pośrodku odczekała, aż miną ją samochody zmierzające w przeciwnym kierunku, i przebiegła pod bramę parku. Z daszka czapki skapywały krople deszczu, zacinana wiatrem ulewa utrudniała widoczność. Tracy ruszyła szybkim krokiem alejką parkową i chwilę później dojrzała subaru. Było jedynym samochodem zaparkowanym w zatoce z kilkunastoma miejscami parkingowymi i nikt w nim nie siedział. Ani Trejo, ani nikt inny. Dotarła do betonowego budyneczku mieszczącego publiczne toalety. Spróbowała otworzyć drzwi, ale okazały się zamknięte.

Poszła dalej i znalazła się na rozwidleniu ścieżek; jedna prowadziła na wprost, druga odbijała w lewo. Nie wiedziała, którą z nich wybrał Trejo ani dokąd wiodą. Po ciemku i w lejącym deszczu nie miała szans na wypatrzenie jego śladów, ale nie to stanowiło największy problem. Wcześniej miała nadzieję, że Trejo pojedzie do jakiegoś mieszkania czy domu, co pozwoliłoby ustalić jego właściciela, lub też że jest umówiony w kawiarni czy restauracji, gdzie mogłaby

się przyjrzeć jego rozmówcy. Spotkanie pod gołym niebem w ogóle nie przyszło jej do głowy i jeśli była to pułapka, szła w nią gładko jak po sznurku.

## Rozdział 33

Faz skręcił za róg i Del, ujrawszy blokujące przejazd radiowozy z północnego Seattle i kierujących ruchem policjantów w pelerynach przeciwdeszczowych, poczuł mdłości. Lampy radiowozów rozświetlały noc złowróżbnymi błyskami czerwieni i błękitu. On i jego partner kończyli jeść kolację w pubie Shawna O'Donnella, gdy zadzwoniła komórka Dela. Jeanine Welch właśnie dostała telefon, którego od lat się obawiała.

Na jezdni stał zaparkowany pod kątem wóz strażacki, obok niego karetka pogotowia i furgonetka koronera. Coś się działo w garażu za domem, a ściślej mówiąc, w mieszkaniu nad garażem.

– Miejmy nadzieję, że ta pogoda zniechęci sąsiadów do wychodzenia z domów – mruknął Faz.

– Wątpię – rzucił Del. – To jak przyjazd cyrku do miasta.

Miał rację. Po bliższym przyjrzeniu się dostrzegli wielu gapiów stojących z parasolami w lejącym deszczu i wyglądających z ganków sąsiednich domów. Ale głównym zmartwieniem Dela nie była zakłócona prywatność Jeanine Welch. Było nim przekazane przez Stuarta Funka ostrzeżenie, że mają do czynienia z wyjątkowo silną odmianą heroiny.

Del opuścił lekko szybę przy mundurowym kierującym ruchem i zimne krople zmoczyły mu twarz. Policjant okutany we wszelkie zabezpieczenia przeciwdeszczowe nachylił się do okna.

– Chciałbym się skontaktować z dowódcą akcji – powiedział Del, okazując mu odznakę.

Policjant wskazał ręką stojącego pod garażem sierżanta o latynoskim wyglądem i usunął się na bok, robiąc przejazd. Faz zaparkował kawałek dalej i wraz z partnerem wysiadł; obaj byli w długich pelerynach przeciwdeszczowych, a w rękach mieli czarne parasole.

– Sekcja Ciężkich Przestępstw? – zdziwił się sierżant, kiedy się przedstawili. – To tylko zwykłe przedawkowanie.

– Prowadzimy śledztwo w tej sprawie – wyjaśnił Del. – Gdzie jest matka chłopaka?

Sierżant wskazał ręką tył domu. Z jego obciągniętej plastikową osłoną czapki kapały krople deszczu.

– W środku. Jeden z moich ludzi spisuje jej zeznanie.

Del spojrział na dom ze świadomością, że już nigdy nie będzie w nim tak samo.

– Córka też tam jest?

– Nie. Matka, po tym jak dostała telefon w pracy, wysłała ją do znajomej.

– Kiedy to było?

– Jakąś godzinę, może półtorej temu. – Sierżant przekrzykiwał szum wiatru i deszczu, który jeszcze się nasilił. – Przyszedł kolega i ich znalazł.

– Ich?

– Młodego mężczyznę i młodą kobietę.

– Gdzie ten kolega?

– Poszedł. Chyba chciał pozostać anonimowy. Kiedy przyjechał patrol, nikogo już tu nie było. W środku jest teraz koroner. Mówi, że to już dwunaste czy trzynaste przedawkowanie w tym miesiącu. To jak epidemia.

Del pomyślał o słowach Celi McDaniel, które wypowiedziała w kawiarni z pączkami.

– To jest epidemia – mruknął.

Żółta lampa oświetlała schodki prowadzące do pokoju nad garażem. Na podeście Faz i Del złożyli parasole i oparli je o ścianę domu, wpisali się na listę odwiedzających, którą podsunął im pilnujący drzwi policjant, i weszli do środka. Pokój, wilgotny od stłoczonych w nim przemokniętych ludzi, był kwadratem o powierzchni sześć na sześć metrów. Szyby w oknach były zaparowane, w powietrzu wisiała gryząca woń dymu papierosowego. Wszędzie wały się sterty ubrań; brudne naczynia, puste puszki po napojach gazowanych i piwie oraz inne śmieci zalegały na meblach, których było bardzo niewiele. Jedno krzesło, brak telewizora i sprzętu stereo. Del przypomniał sobie słowa Jeanine Welch, że w ciągłej

pogoni za pieniędzmi na prochy jej syn sprzedaje wszystko, co się da. Podejrzał, że pokój nad garażem stał się dla chłopaka tylko miejscem do koczowania.

Technicy – w tym Funk – stali nad materacem leżącym na podłodze pod skośnym sufitem z dwoma okienkami dachowymi. Na materacu leżała na brzuchu młoda kobieta, kompletnie ubrana, z głową wykręconą pod dziwnym kątem; obok na podłodze widać było plamę śliny. Jack Welch leżał obok niej rozciągnięty na wznak, a jego wyniszczone przez narkotyki ciało było tak wątle i chude, że bardziej przypominał kilkuletniego chłopca. Oczy miał otwarte, jakby wpatrywał się w gwiazdy widoczne przez okienka nad jego głową. Religia kazała Delowi wierzyć, że najbliżsi zmarli będą przy jego śmierci, aby go powitać w niebie, ale do czasu śmierci Allie powątpiewał w prawdziwość tych opowieści. Teraz jednak łatwiej było uwierzyć, że ojciec i matka Dela powitali Allie i się nią zaopiekowali. Miał nadzieję, że tak było.

Nadzieja to coś, czego można się ucześcić wówczas, gdy nie pozostaje nic poza rozpaczą.

Na drewnianej skrzynce przy materacu stał budzik; zobaczył tam też napoczętą paczkę papierosów i niezbędnik narkomana – osmoloną łyżeczkę, kilka strzykawek, zapalniczki i plastikową torebkę z proszkiem, który po dokładniejszym przyjrzeniu się przypominał mu kolorem i konsystencją substancję znalezioną w pokoju Allie. To, że anonimowy kolega – zapewne jeszcze jeden narkoman – nie zabrał torebki z resztą proszku, mogło mieć istotne znaczenie dla sprawy. Na konsekwencje zażywania tej substancji właśnie patrzyli: dwa trupy.

Funk zauważył Dela i Faza i podszedł się przywitać.

– Skąd się dowiedzieliście? – spytał.

– Jack Welch chodził do szkoły z moją siostrzenicą – odparł Del. – Zadzwoń do mnie jego matka. Byliśmy u niej parę dni temu, żeby porozmawiać. Ten chłopak był z Allie, kiedy kupowali truciznę, która ją zabiła.

– A, rozumiem. – Funk skrzywił się i poprawił okulary. – Według mojej wstępnej opinii to też nie jest czarna smoła. Nie wiem, co to jest, trzeba będzie poczekać na wynik badania toksykologicznego, ale w związku z brakiem jakiegokolwiek zapachu jestem gotów

podejrzewać, że to chińska biel lub coś bardzo podobnego. Coś niezwykle mocnego lub zaprawionego czymś w rodzaju fentanylu.

– Czy to znaczy, że jest pozbawiona jakiegokolwiek zapachu? – spytał Faz.

– Większość ulicznej heroiny pachnie trochę octem, bo producentom nie zależy na uzyskaniu czystości powyżej dziewięćdziesięciu procent. Te pozostałe dziesięć to zazwyczaj nieprzetworzony kwas octowy. Naprawdę czysta heroina tak nie pachnie.

– Wiemy, kim jest ta dziewczyna? – spytał Faz.

– Znaleźliśmy jej torebkę. Nazywa się Talia Crenshaw.

– TC – mruknął Del.

– Co? – spytał Faz.

– Należała do kręgu znajomych Welcha. Moja siostrzenica nazywała ją TC. Welch się z nią spotykał, kiedy Allie była na odwyku.

– Czy da się stwierdzić, że to ten sam szajs, którego używała Allie lub pozostałe ofiary przedawkowania? – zapytał Faz.

– Na tę chwilę mogę jedynie stwierdzić, że to na pewno nie jest czarna smoła – powtórzył Funk. – Żeby wiedzieć coś więcej, będziemy musieli poczekać na wyniki z laboratorium toksykologicznego. Ale jestem gotów zaryzykować opinię, że to prawdopodobnie ta sama substancja. Już uruchomiliśmy wszystkie dostępne kanały i ostrzegamy ulicę. Ludzie umierają i nie można dłużej czekać.

Del i Faz zadali jeszcze kilka pytań i poprosili o powiadomienie ich o wynikach testów laboratoryjnych, po czym Funk wrócił do swych zajęć, a oni wyszli z pokoju. Zabrali parasole i zeszli schodkami na dół.

– Nie palę się do tej rozmowy – mruknął Del, ruszając w stronę domu. Gdy ostatni raz rozmawiali z Jeanine Welch, powiedziała, że już się pogodziła ze śmiercią syna, ale z doświadczenia wiedział, że między domysłami a rzeczywistością jest ogromna różnica. Spojrzenie swemu dziecku w oczy ze świadomością, że już nigdy nie zobaczy się w nich błysku życia, to rzecz najstraszniejsza i nie ma na świecie religii, która mogłaby ten ból złagodzić.

\* \* \*

Tracy wybrała ścieżkę prowadzącą chyba prosto, choć w ciemnościach i lejącym deszczu nie miała co do tego pewności. Po obu stronach ścieżki rosły kładące się teraz pod naporem wiatru drzewa i gęste krzaki, powietrze było przesycone zapachem soli morskiej. Choć znajdowała się o rzut kamieniem od cywilizacji, nie słychać było nic poza szumem wiatru i deszczu oraz wściekłym łoskotem fal o brzeg. Coraz częściej brodziła w kałużach, woda zaczynała przesiąkać do jej skórzanych butów i czuła, jak skarpetki robią się mokre.

Jakieś siedem metrów przed plażą zarośla się skończyły i ujrzała przed sobą opalizujący blask białych grzyw rozbijających się o skały i leżące na piasku, wytrawione przez sól drewniane belki, rozrzucone niczym kości wieloryba. Na plaży nie było Treja ani nikogo innego, co dodatkowo wyczuliło jej zmysły. Kawalek dalej po prawej wznosił się hotel Best Western, który w kształcie klina wbijał się w plażę, ale Tracy szybko odrzuciła myśl, że to hotel był celem Treja. Gdyby tak było, zaparkowałaby na krytym parkingu hotelowym, żeby schronić się przed deszczem. Uznała, że musiał wybrać odwrotny kierunek.

Dokonała złego wyboru.

Ruszyła po plaży w tę stronę, gdzie kończyła się druga ścieżka; musiała uważać, by nie potknąć się o rozrzucone na piasku belki i drewniane szczapy. Deszcz się nasilił, więc opuściła jeszcze bardziej daszek czapki, aby chronić oczy i jednocześnie nie musieć schylać głowy. Czuła, jak bluzka lepi się do ciała, bo woda przeciskała się przez każdą szczelinę jej ubioru.

Zbliżając się do końca ścieżki, usłyszała nagle stłumione puknięcie i dostrzegła w gęstwinie drzew białoniebieski rozbłysk. Ktoś wystrzelił. Opadła na kolano, wyciągnęła glocka i zamarła w bezruchu na dobrą minutę; wpatrywała się w ciemności i nasłuchiwała. Odrzuciła myśl, że strzelano do niej. Gdyby ktoś chciał pozbawić ją życia, mógł bez trudu wyjść z krzaków i przyłożyć lufę do jej karku.

Wstała, przebiegła wśród leżących belek i wpadła w zarośla w miejscu, gdzie dostrzegła rozbłysk strzału. Namoknięta ziemia oblepiała buty i przy każdym kroku plaskała, ale gęstwina leśna przynajmniej chroniła nieco przed deszczem. Tracy zsunęła z głowy kaptur i uniosła lekko daszek bejsbolówki. Precisnąwszy się między drzewami, na moment stanęła, by ocenić sytuację. Nie widać było

żadnego ruchu, słyszała jedynie szum wiatru i deszczu. Przeszła ścieżką kolejne dwadzieścia metrów i szybko przyklękła na jedno kolano, bo przy jednym z dwóch stołów piknikowych na polanie siedział ktoś z głową na blacie; nie poruszał się. Chwilę odczekała, po czym wstała i z pistoletem gotowym do strzału skierowała się w tamtą stronę.

Kilka kroków od stołu odbiła lekko w prawo, by uzyskać lepszy cel, w razie gdyby siedzący nagle się poruszył. Nic takiego się nie stało.

Rozpoznała kurtkę.

Jeszcze jeden krok i ujrzała twarz. Laszlo Trejo. Na stole obok lewej ręki leżał rewolwer.

\* \* \*

Zdając sobie sprawę, co Jeanine Welch teraz przeżywa, Del i Faz skrócili wizytę u niej do minimum. Z samochodu Del zadzwonił do aresztu okręgowego i poprosił o przeprowadzenie Nicholasa Evansa podziemnym tunelem do pokoju przesłuchań. Nawet jeśli chłopak nadal będzie milczał, to przynajmniej będzie słyszał.

Gdy weszli do pokoju przesłuchań, Evans odwrócił głowę. Tym razem żaden z nich nie wniósł krzesła, za to za weneckim lustrem zebrała się kilkusobowa ekipa członków zespołu do walki z narkotykami. Mieli obserwować Evansa i czekać, aż wreszcie zacznie mówić.

Chłopak zmierzył obu detektywów wzrokiem. Widać było, że jest spięty, ale nadal grał twardziela. Del znał tego rodzaju gnojków. Dorastał z paroma takimi w Wisconsin i miał na swym koncie niejednego areszt. Wiedział więc, że nie ma przed sobą prawdziwego twardziela.

Evans siedział rozparty na krześle, podzwaniając długim łańcuchem przeciągniętym między kolanami do kółka wtopionego w podłogę. Spod czerwonego aresztanckiego kombinezonu wyzierały tatuaże na klatce piersiowej i rękach – krzyż na prawym przedramieniu, kilka płyt nagrobkowych z imionami na lewym. Del był ciekaw, czy to imiona zmarłych kolegów. Jeśli tak, Evansowi potrzebne będzie miejsce na co najmniej kolejne dwa. Górna połowa słowa CHAOS okalała szyję jak naszyjnik, sięgające ramion lekko



kręcone blond włosy były związane w kucyk z tyłu głowy, jeszcze bardziej uwypuklając jego kobiece rysy. Z takim wyglądem więzienie będzie dla tego drania prawdziwym piekłem, pomyślał Del.

– Nie rozmawiam z wami – burknął Evans, opuszczając głowę i uciekając wzrokiem przed ich spojrzeniami.

– Ale możesz słuchać – odezwał się spokojnym tonem Del, jakby do niczego mu się nie śpieszyło. – Właśnie wracamy z domu Jacka Welcha. – Evans spojrzał z ukosa, nie poruszając głową. – Chaosowi będzie potrzebny nowy gitarzysta.

Evans podniósł wzrok; na jego twarzy odmalowało się zaniepokojenie.

– Pozwól, że ci odmaluję ten obrazek. – Del pochylił się nad stołem, wkraczając w ten sposób w prywatną przestrzeń Evansa. – Jack leżał na wznak na swoim materacu. Oczy miał otwarte i gapił się w dachowe okno. Obok niego leżała dziewczyna z głową poza materacem, z pianą ciekącą z ust na podłogę. Na stoliku leżały strzykawki, osmolona łyżeczka, zapalniczki BIC i paczuszka heroiny. – Przerwał i chwilę odczekał, by jego słowa odniosły właściwy skutek. Evans siedział z tępyim wzrokiem wbitym w stół. – Sprzedajesz śmierć. Wiemy już o ponad dziesięciu ofiarach, które straciły życie po zażyciu sprzedawanej przez ciebie trucizny. – Del nie był pewien tej liczby, ale Evans też nie mógł jej znać.

Del odsunął się od stołu.

– A teraz ci opowiem, co się będzie działo dalej. Prokurator oskarży cię o zabójstwo przy użyciu zakazanej substancji i robi to w odniesieniu do każdej ofiary z osobna. Przesłanki te są zagrożone karami dziesięciu lat więzienia. Kiedy je zsumujemy, da to łącznie dziewięćdziesiąt do stu lat, Nick. Nigdy nie wyjdiesz z pierdła. A taki chłoptaş jak ty... – Wzruszył ramionami. – Więc proszę, rżnij twarde i mów, że z nami nie rozmawiasz. Proszę bardzo. Tylko że my już tu więcej nie przyjdziemy.

Evans wyprostował się na krześle; jego prawa noga zaczęła nerwowo drgać, pobrzękując łańcuchem niczym bilonem w kieszeni, głowa kiwała się w rytmie niezsynchronizowanym z nogą. Chłopak najwyraźniej miał trudności z oddychaniem. Łapczywie wciągał powietrze, jakby mu go brakowało.

– Chcę adwokata – wydusił chrapliwym głosem.

– W porządku. – Del popatrzył na Faza. – Chodź, idziemy.

– Nie! – wykrzyknął Evans. – Znaczy... chcę adwokata do zawarcia ugody.

– Ugody? – zdziwił się Del. – A dlaczego mielibyśmy zawierać z tobą ugode?

– Bo wiem pewne rzeczy. – Evans mówił z takim pośpiechem, że aż plątały mu się słowa. – Wiem... wiem, skąd biorą się te dragi...

– Dragi biorą się od ciebie – rzucił Del. – Dysponujemy esemesami i mailami, które to potwierdzają.

– Nie! – Chłopak gwałtownie potrząsnął głową. – Chodzi o to, że wiem, kto je sprowadza... Mogę wam powiedzieć, skąd je biorę. Chcecie to wiedzieć, nie?

Mamy cię, pomyślał Del.

– Proszę bardzo, jak sobie życzysz. Kto je sprowadza?

Evans pokręcił głową.

– Chcę zawrzeć ugode. Po to potrzebny mi adwokat.

Del dał partnerowi znak, że ma kontynuować.

– Musimy pamiętać o rodzinach ofiar – oświadczył Faz. – Będą żądali ukarania kogoś za śmierć ich dzieci. Co mamy im powiedzieć?

Evans nie znał odpowiedzi. Jego lewa noga dołączyła do prawej i drgały mu już obie.

– Rozumiesz nasz problem? – ciągnął Faz. – Więc jeśli liczysz na układ, to musisz nam dać coś, z czym pójdziemy do prokuratora. Bo chcę cię zapewnić, że prokurator nie będzie się palił do pójścia na układ z kimś, kto handluje śmiercią.

– Nie wiedziałem, że to kogoś zabije – jęknął Evans. – Nie miałem pojęcia.

– To bez znaczenia – prychnął Del. – To jedno z oczywistych zagrożeń przy handlu heroiną.

Zapadło milczenie i wszyscy trzej przesiedzieli w kompletnej ciszy prawie minutę. Evans przygryzał dolną wargę i widać było, że walczy ze sobą.

– A jakbym wam powiedział, że wiem coś o tym gościu, którego aresztowaliście parę tygodni temu? – odezwał się w końcu.

Del zmarszczył czoło.

– To mi nic nie mówi. Musisz wyrażać się jaśniej, Nick.

– Chodzi mi o tego, który zbiegł z miejsca wypadku. Tego, co przejechał czarnego chłopaka w Rainier Beach.

## Rozdział 34

Nicholas Evans spojrział na Faza, obok którego siedział teraz Rick Cerrabone. Del przeniósł się do sąsiedniego pomieszczenia, skąd wraz z Celią McDaniel i detektywami z wydziału narkotykowego patrzył w lustro weneckie i słuchał dalszego ciągu przesłuchania.

Po usłyszeniu sensacyjnej wiadomości, detektywi zadzwonili do Cerrabone'a i Celi i ściągnęli ich z domów, mówiąc, że mają w pokoju przesłuchań handlarza narkotyków, którego powinni posłuchać. Del zadzwonił też do Tracy, ale ta nie odebrała telefonu.

Faz dokonał prezentacji. Cerrabone w koszuli, której nie zdążył chyba zmienić po dniu pracy, wyglądał na wykończonego, ale on z tymi worami pod oczami wielkości torebek herbaty zawsze wyglądał na zmęczonego. Mocno wyłysiał i próbował zakryć całą czaszkę resztkami włosów. Mówi się, że w dzisiejszych czasach sześćdziesiątka to jak dawna czterdziestka, ale w przypadku Cerrabone'a i wielu prokuratorów było dokładnie odwrotnie: mając czterdzieści lat, wyglądali na sześćdziesiąt.

– Podobno coś wiesz o sprawcy wypadku w Rainier Beach – powiedział.

Evans pokiwał głową.

– Ale chcę zawrzeć układ. Nic nie powiem i nic nie podpiszę, póki nie zawrę układu.

– Rozumiem – rzucił spokojnym, chłodnym tonem Cerrabone. W jego głosie nie było cienia zachęty. – Ale zanim rozważę możliwość zawarcia układu, muszę wiedzieć coś więcej o sprawie, o której wspominałeś detektywowi Fazziowi.

Chłopak chwilę się zastanowił. W końcu pochylił się nad stołem, przybierając konspiracyjną pozę.

– Aresztowaliście faceta w Rainier Beach za przejechanie chłopaka i ucieczkę z miejsca wypadku. Z marynarki wojennej, zgadza się?

– Zgadza się – potwierdził Cerrabone.

– No więc wiem, co robił wtedy w Seattle.

Cerrabone nie zareagował, Faz też nie. Gdy Evans zamilkł i widać było, że nie zamierza powiedzieć nic więcej, Cerrabone zapytał:

– Skąd wiesz, co wtedy robił?

– Od kogoś.

– Od kogoś?

Evans odchylił się na oparcie krzesła.

– Aha.

– Od kogo?

– Od kogoś, kto wiedział.

Cerrabone zmarszczył czoło i spojrzał na Faza. Wszyscy odgrywali komedię.

– Takie stwierdzenie nic mi nie daje, detektywie. – Wzruszył ramionami, po czym zwrócił się do przesłuchiwanego: – Taka informacja nazywa się dowodem ze słyszenia, a dowód ze słyszenia jest nic niewart, bo sędzia nie uzna go na procesie. Takiego dowodu nie uważa się za wiarygodny. – Rozłożył ręce, jakby mówił: „Nic na to nie poradzę”.

Evans znów się zawahał i po namyśle dodał:

– Chodzi o tego gościa, który dostarcza mi heroinę.

– Twojego dostawcę?

– Taaa.

– No dobra, Nick. Tylko spójrz na to z mojego punktu widzenia. Sędzia lub obrońca powiedzą, że uwierzyłem na słowo dilerowi, który chciał zawrzeć układ wymierzony przeciwko innemu dilerowi. Rozumiesz mój problem? Historia chłopca zabitego przez drania, który uciekł z miejsca wypadku, trafiła do gazet i wieczornych wiadomości w telewizji. Powiedzą, że mogłeś się dowiedzieć o tym z mediów i wszystko zmyślić. Daleko z tym nie zajadę.

Chłopakowi coraz bardziej rzedła mina, bo zaczynało do niego docierać, że jego sensacja może mu nie zapewnić wypłatania się z kłopotów.

– A jakbym to powiedział jemu? – rzucił, wskazując palcem Faza. – On mógłby wtedy sprawdzić, czy mówię prawdę, nie?

– Może – przyznał Cerrabone. – Co ci powiedział twój dostawca?

Evans obliznął wargi.

– Zapytał, czy czytałem o tym gościu z marynarki wojennej, którego wsadzili za ucieczkę z miejsca wypadku. Odparłem, że nic o tym nie wiem, i on wtedy mi powiedział.

Kręcili się w kółko. Cerrabone chwilę odczekał, po czym spytał:

– Co ci powiedział?

Chłopak zmrużył oczy, jakby patrzył w rażące światło.

– A mam układ? – rzucił.

– Nie wiem. Jeszcze nic mi naprawdę nie powiedziałeś.

– No więc ten facet, od którego kupuję towar, zapytał, czy słyszałem o gościu z marynarki wojennej, a ja mu na to, że nie. I wtedy on mi powiedział, że kiedy tamten gość przejechał tego dzieciaka, to miał w samochodzie ponad pół kilograma heroiny.

– Dostarczał komuś? – spytał Cerrabone.

– Tak.

– Skąd był ten towar?

Evans wzruszył ramionami.

– Tego nie wiem. Ale wiem, że koleś na pewno był dostawcą mojego dostawcy.

## Rozdział 35

Tracy dotarła na komisariat policji na Bremerton przy Burwell Street krótko po północy. Była już tu kiedyś, prosząc o wsparcie przy wykonaniu nakazu przeszukania w sprawie o zabójstwo. Budynek z czerwonej cegły i stali oraz ogrodzony parking policyjny zajmowały pół kwartału między przecznicami; były wpasowane w zabudowę z domów jednorodzinnych, bloków mieszkalnych i parkingów. Tracy wyglądała jak skąpany w wodzie kot, nasiąknięte ubranie kleiło się jej do ciała. Zgłosiła telefonicznie znalezienie ciała Laszla Treja, po czym spędziła kilka godzin na deszczu, czekając, aż koroner i detektywi zakończą pracę.

Drzwi poczekalni otworzyły się i wyszedł do niej mężczyzna po pięćdziesiątce. Miał nieco powyżej metra siedemdziesiąt wzrostu, gładko zaczesane do tyłu siwiejące na skroniach włosy i mimo późnej godziny wyglądał rześko i świeżo w koszuli z rękawami starannie podwiniętymi do łokci. Na nadgarstku miał srebrny zegarek z turkusowo-srebrną bransoletą, na palcu obrączkę. Nie był jednym z detektywów, których spotkała na miejscu zabójstwa. Domyślała się, że to szef komisariatu.

– Ty musisz być ta Crosswhite. – Policjant wyciągnął do niej rękę i ciepło się uśmiechnął. – Nikt inny nie szwendałby się po lesie o tej porze, zwłaszcza w taką pogodę. John Owens – przedstawił się. – Chodźmy do mojego biura. Dla mnie to późna noc, ale dla ciebie to pewnie wczesne rano.

– Pracuję na cmentarnej szychcie – wyjaśniła Tracy, ruszając za nim, choć prawdę mówiąc, sama już nie wiedziała, na jakiej zmianie pracuje.

– Na Bremerton? – Owens obejrzał się przez ramię. Policjanci potrafią być zazdrośni o swoje terytorium i Tracy czuła, że Owensa najbardziej niepokoi to, skąd się wzięła policjantka z Seattle na miejscu przestępstwa na jego terenie i dlaczego nie został

powiadomiony o jej przyjeździe. Otworzył drzwi małego pokoiku z biurkiem zawalonym papierami i wskazał ręką okrągły stół w głębi pomieszczenia.

– Rozgość się – rzucił. – Kawy? Przed chwilą zaparzyłem – dodał, unosząc kubek i dzbanek.

– Jasne. – Ujęła w dłonie ciepły kubek i usiadła przy stole.

Nad jej głową cicho buczał klimatyzator i czuła powiew zimnego powietrza. Na ścianie wisiało kilka oprawionych w ramki dyplomów, w tym dyplom ukończenia z honorami służby w Marynarce Wojennej Stanów Zjednoczonych, w granatowo-złotej oprawie.

– Służyłeś w marynarce – zauważyła.

Owens spojrzał na nią przez ramię, odrywając wzrok od swojego kubka.

– Służyłem. Myślałem nawet o przejściu na służbę zawodową, ale w końcu wybrałem policję. Chichotem losu jest to, że wylądowałem w miejscu, gdzie nad wszystkim dominuje baza marynarki wojennej.

Przesunęła się lekko z krzesłem, by strumień zimnego powietrza nie padał bezpośrednio na nią, a Owens przysiadł się do stołu.

– Powiedziałaś, że interesujecie się Trejem w związku ze śmiertelnym wypadkiem ulicznym w Seattle, czy tak? – Widać, że czerpał wiedzę od swoich ludzi.

– Zgadza się. Przejechał dwunastoletniego chłopca i uciekł z miejsca wypadku.

– Pamiętam tę sprawę, ale myślałem, że marynarka przejęła ją pod swoją jurysdykcję, nie? – Widać było, że i tym razem zna odpowiedź na swoje pytanie.

– To prawda. I wyglądało, że sprawa jest prosta i jasna, ale tylko do chwili, gdy podczas przesłuchania z artykułu trzydziestego drugiego okazało się, że zaginęła kluczowy dowód.

Owens przez chwilę w milczeniu sączył kawę.

– Czytałem o tym. Relacja z tego przesłuchania trafiła do lokalnej gazety – powiedział. – Bardziej nurtuje mnie pytanie, dlaczego detektyw z wydziału zabójstw policji w Seattle w ogóle się tym zajmuje, skoro to nie podlega ich jurysdykcji. Śmierć Treja jest naszą sprawą.

– Góra zażyczyła sobie, byśmy trzymali rękę na pulsie, na wypadek gdyby sprawa miała wrócić do nas.



– Dobra. Tylko dlaczego zjawiałaś się tu w środku nocy... – Spojrzał na zegarek. – Czy może świtu?

– Dostaliśmy wiadomość, że Trejo wychodzi z aresztu. Prokurator postanowił wydać oświadczenie, że w tej sytuacji zamierzamy podtrzymać zarzuty wobec podejrzanego.

Owens zrobił taką minę, jakby nie bardzo rozumiał.

– A zamierzaliście? – spytał.

– To nie moja decyzja. – Nie chciała zwałać na nikogo winy. – Mieliśmy nadzieję, że nasze oświadczenie skłoni Treja do działania.

– No i wam się udało. – Owens łyknął kawy i odstawił kubek. – Myśleliście, że co zrobi?

Wzruszyła ramionami i pokrótce przedstawiła swoją hipotezę, że ktoś musiał pomóc Trejowi w pozbyciu się uszkodzonego samochodu i powrocie na Bremerton.

– Czyli myśleliście, że pobiegnie do tego kogoś?

– Nie mógł tego zrobić, siedząc w areszcie, ale tak, sądziłam, że może zechce się spotkać z tym kimś zaraz po wyjściu.

– Masz jakieś dowody na poparcie tej teorii?

– No cóż, jakkolwiek było, on nie żyje, prawda?

Owens zmrużył oczy.

– Moi ludzie twierdzą, że nie wierzysz, że to było samobójstwo.

– Jak już powiedziałam, biorąc wszystko pod uwagę, dochodzę do wniosku, że to budzi wątpliwości.

– Strzał padł z jego rewolweru.

– Ale pocisku nie znaleziono, prawda?

– W tych warunkach to nic dziwnego. Pocisk może tkwić w pniu któregoś z drzew. – Owens odchylił się od stołu.

– Ale bez niego nie mamy pewności, że został zastrzelony z tego rewolweru.

– Posłuchaj, Crosswhite, wszystko to brzmi bardzo interesująco, ale doświadczenie podpowiada mi, że często jest tak, jak na to wygląda. Zabił dwunastoletniego chłopca, rosło w nim poczucie winy i wstydu i w końcu się zastrzelił. To każdego mogłoby załamać.

– Może. Tylko że zginęła taśma z monitoringu.

Owens zamilkł.

– Opowiedz mi jeszcze raz, jak się to wszystko odbyło – mruknął po chwili.

Zrelacjonowała, jak śledziła Treja, jak wybrała niewłaściwą ścieżkę i jak usłyszała odgłos strzału w lesie i zobaczyła białoniebieski rozbłysk w krzakach, który ostatecznie doprowadził ją do ciała.

– Ale nie zauważyłaś nikogo, kto mógłby do niego strzelać?

– Nie. Zapytałabym jednak żonę Treja, czy jej mąż był prawo-, czy leworęczny. – Pamiętała, że trzymał puszkę red bulla w prawej dłoni. – Rewolwer leżał na stole przy jego lewej ręce.

– Dobra, przyjmując, że nie popełnił samobójstwa, kto według ciebie jest najbardziej podejrzany? Ta jego obrończyni? – Owens wziął do ręki kartkę i odczytał: – Leah Battles?

– Myślę, że na tym etapie to może być każdy.

– Ktokolwiek? – Owens pokręcił głową. – Wspomniałaś coś o odciskach palców.

Tracy kiwnęła głową. Coraz bardziej męczyła ją senność i czuła, że nie wyraża się dość jasno.

– Wnętrze jego samochodu zostało wytarte antyseptyczną szmatką do czysta... w tym także poduszka powietrzna, która byłaby najlepszym źródłem śladów DNA kierowcy prowadzącego samochód w chwili kolizji.

Owens uniósł do ust kubek z kawą.

– Battles jest prawniczką – powiedział. – Musi się znać na zbieraniu dowodów i jak słyszę od moich ludzi, mieszka w Seattle.

– Przy Pioneer Square.

Pokiwał głową.

– Czyli to ona mogła mu pomóc tamtej nocy, jeśli w ogóle ktoś taki był. I miała do niego dostęp w areszcie, prawda? Mogła z nim rozmawiać.

– Owszem.

– A skoro służy w JAG, musi wiedzieć, że Trejo nadal podlega waszej jurysdykcji w Seattle. Gdyby była w to zamieszana, w co nie bardzo wierzę... Odnoszę wrażenie, że zarzucasz wędkę, ryba raczej nie bierze.

Tracy chwilę się zastanowiła nad jego słowami.

– Czy twoi ludzie rozmawiali z jego żoną? – spytała.

Owens kiwnął głową.

– Powiedziała, że wyszedł z domu tuż po dziewiątej na zakupy.

– Robił to regularnie, czy tym razem ktoś do niego zadzwonił?

- Tego nie wiedziała.
- Trzeba sprawdzić jego telefon.
- Moi ludzie już się tym zajmują.
- A powiedziała, czy jest prawo-, czy leworęczny?
- Nie wiem, czy ją o to pytali, ale na pewno to zrobimy.

Tracy zamilkła.

- Jak ona to przyjęła? – spytała po chwili.

Owens wzruszył ramionami.

– Pewnie jak każda kobieta, która nagle i nieoczekiwanie traci męża. – Skrzywił się i dodał kwaśnym tonem: – Nie podoba mi się, że o niczym mnie nie powiadomiono. Jeśli zamierzałaś się tym zajmować na naszym terenie, powinnaś mnie była uprzedzić. Może wtedy udałoby się tego uniknąć.

Pokiwała głową, ale nie zamierzała go przeproszać. Zadzwoiła jej komórka, co zważywszy na porę, było dość dziwne. Rzuciła okiem na wyświetlacz. Znowu komórka Dela, który dzwonił do niej już wcześniej, ale nie mogła odebrać. Powiedziała „Przepraszam”, wyszła na korytarz i w krótkich słowach wyjaśniła, gdzie jest i co tu robi.

- No to mamy problem – rzucił Del.

## Rozdział 36

Po rozmowie z Tracy Del ruszył do domu fizycznie i emocjonalnie podłamany. Wjechał impalą na tyle głęboko w podjazd, by zostawić miejsce na jeszcze jeden samochód. Celia McDaniel mieszkała trzydzieści pięć minut drogi od niego. O trzeciej nad ranem było za późno, by wracała do domu. W każdym razie tak to sobie wytłumaczył, zapraszając ją do siebie na resztę nocy. Puściła do niego oko i powiedziała, że w samochodzie ma coś do przebrania.

Czyli też o tym pomyślała. Czuł się jednocześnie podniecony i stremowany.

Po drodze do domu jego myśli zajęło jednak roztrząsanie konsekwencji śmierci Laszla Treja. Niewątpliwie współgrało to z wiadomością uzyskaną od Evansa, że był zamieszany w dostarczanie heroiny. Po jego wyjściu z aresztu ktoś musiał uznać, że stanowi zagrożenie dla dilerskiej siatki, zwłaszcza po oświadczeniu wydanym przez policję i prokuraturę w Seattle, że wciąż zamierzają postawić go przed sądem. Najlepszym sposobem na uciszenie Treja i zapewnienie, że niczego nie zdradzi, było wpakowanie mu kulki w głowę. I ktoś to zrobił.

Del i Tracy zastanawiali się, jak to przyjmie rodzina D'Andrego Millera i czy zwolennicy teorii spiskowych nie podniosą krzyku, że marynarka wojenna musiała maczać w tym palce i że zabito Treja, żeby się to nie wydało. Del i Tracy bardzo wątpili, by marynarka miała cokolwiek wspólnego z handlem heroiną, w każdym razie nic na to nie wskazywało. Niemniej nie mogli zaprzeczyć, że śmierć Treja mocno zmąciła – czy może raczej „skrwawiła” – wodę.

Del wysiadł z impali i podszedł do Celi, która już otwierała tylne drzwi swojej hondy.

– Pozwól, że ci pomogę. – Odebrał od niej torbę z rzeczami i ruszył po schodkach do drzwi.

Wiatr i ulewa ustały, lecz po niebie wciąż przewalały się zwały chmur, chwilami topiąc wszystko w srebrzystym blasku księżyca.

– Jesteś zmęczony – powiedziała.

Rozluźnił węzeł krawata, rozpiął kołnierzyk koszuli i przerzucił przez ramię zdjętą marynarkę.

– No, jestem wykończony. Wieczorna zmiana z roku na rok robi się coraz bardziej męcząca. Ale dla ciebie to musi być naprawdę bardzo późno.

– Dlaczego ty i Faz wciąż nosicie krawaty?

Del wzruszył ramionami, szukając na kółku klucza od zasuw na drzwiach.

– Ja z szacunku dla systemu wymiaru sprawiedliwości. A Faz? Myślę, że nie chce mu się kupować czegoś nowego do ubrania.

Uśmiechnęła się i spojrzała w okno.

– Sonny musi chyba wariować od siedzenia samotnie w domu.

– Wziąłem go przed wyjściem na spacer. Ale tak, chyba rzeczywiście wariuje.

Na dźwięk otwieranego zamka pies ruszył do akcji. Godzina nie miała dla niego znaczenia. Wskoczył na oparcie kanapy i zaczął z furią drapać w szybę.

– Dobrze już, dobrze – rzucił Del. – Tylko okna nie wybij.

Gdy otworzył drzwi, Sonny popędził z kanapy do przedpokoju i zaczął z radości tańczyć na tylnych łapach. Przekręcił się na grzbiet, ale natychmiast znów się zerwał. Gdy jednak Celia pochyliła się, by go pogłaskać, odskoczył od niej i pognął do kuchni, obrócił się i pędem wpadł do salonu. Po trzech takich kółkach wrócił do nich zdyszany z wywieszonym językiem.

– Dam mu smakołyk na uspokojenie – powiedział Del, kładąc torbę Celi u stóp schodów. Poszła za nim do kuchni, postukując obcasami po parkiecie. – Masz ochotę na kieliszek wina? – spytał.

– Malutki – odparła.

Wyjął ze spiżarki paczkę psich smakołyków, ale nie otworzył jej od razu.

– Popatrz na to. To prawdziwy pies policyjny. Sonny, tylko nie zrób mi wstydu. – Wziął do jednej ręki smakołyk, a drugą ułożył w kształt rewolweru. – Bach! – wykrzyknął i stojący na tylnych łapach Sonny padł na grzbiet, unosząc wszystkie cztery łapy w powietrze.

– To straszne! – jęknęła Celia, ale z uśmiechem na twarzy. – Inteligentna bestia.

Sonny zerwał się, dostał smakołyk i wybiegł z kuchni. Na razie mieli go z głowy.

– Zna jeszcze jakieś inne sztuczki? – spytała Celia.

– Moglibyśmy godzinami cię nudzić. – Del otworzył szafkę i wyjął dwie szklanki. – Mam nadzieję, że picie ze szklanki ci nie przeszkadza. Moi rodzice tak pili wino.

– Kiedy wejdiesz między wrony... – rzuciła z uśmiechem.

– Między Włochów. – Z innej szafki wyjął butelkę chianti.

– Dlaczego shih tzu? – spytała.

Del nalał wina do połowy szklanek i spojrzał na nią.

– Kupiłem go dla mojej byłej, ale go nie chciała. On jej też nie.

– Hm... myślę, że dokonał właściwego wyboru.

Uniósł szklankę.

– Najlepszego – powiedział.

– Najlepszego. Od jak dawna jesteś rozwiedziony?

– Ponad cztery lata.

– A jak długo byliście małżeństwem?

– Sześć lat. Ożeniłem się późno. I to był błąd.

– To, że się ożeniłeś?

– To, że się ożeniłem z niewłaściwą kobietą. Dzielilo nas zbyt wiele fundamentalnych różnic, które staraliśmy się przemilczać. Ale w końcu się nie dało. – Poprowadził Celię do swego sanktuarium na tyłach domu i już miał zapalić światło, gdy chwyciła go za rękę.

– Tak jest pięknie – szepnęła. – Możemy nie zapalać?

– Mówiłem ci już? – powiedział, sycząc oczy widokiem, którego nigdy mu nie było dość. – To najlepszy pokój w całym domu.

Usiedli na skórzanej kanapie i sącąc wino, wpatrywali się w jarzące się światłami, ale wciąż uśpione miasto.

– Myślisz, że Evans mówi prawdę? – spytała.

– W sprawie Treja? Po tym, co powiedziała Tracy, to tak, myślę, że to prawda. Ale uważałem tak, jeszcze zanim ktoś wpakował mu kulę w głowę. Szczerze mówiąc, Evans nie robi na mnie wrażenia czytelnika gazet czy kogoś, kto ogląda wiadomości telewizyjne, więc nie sądzę, by o przejechaniu chłopaka, ucieczce z miejsca wypadku i o

aresztowaniu Treja dowiedział się z mediów. Obecność narkotyków w samochodzie wyjaśniałaby też, dlaczego Trejo się nie zatrzymał.

– A także to, jak jego samochód trafił na plac za domem tej kobiety.

Evans podał nazwisko Erica Tsenga, który wynajmował dom w Rainier Beach.

– To prawda – potwierdził Del. – Ale to nadal nie wyjaśnia, kto zabrał nagranie. Bo na pewno nie Tseng.

– Zakładając, że w ogóle ktoś je zabrał – zauważyła Celia.

Zamyślił się nad jej słowami.

– Byłby to niezwykle zbieg okoliczności, gdyby się okazało, że nikt go nie zabrał – odezwał się w końcu.

– Załóżmy, że Evans mówi prawdę – powiedziała. – Mamy wtedy do rozwiązania dużo ważniejszą zagadkę.

– Tak, wiem. Skąd Trejo brał narkotyki – domyślił się Del. – Funk twierdzi, że to wyjątkowo czysty gatunek heroiny.

– I zależnie od tego, ile towaru zdążył dostarczyć i ile z tego trafiło na ulicę... może umrzeć jeszcze wiele osób, Del.

– Narkotyki i prewencja połączyły siły i prowadzą akcję uświadamiającą – mruknął.

Celia odstawiła szklankę na stolik i przysunęła się do Dela.

– Dobrze się czujesz? – spytała.

– Tak, tylko pomyślałem o Jeanine Welch. Spotkanie z nią przypomniało mi ten dzień, kiedy zadzwoniła siostra z wiadomością, że znalazła martwą Allie.

– Współczuję ci.

– Nie wyobrażam sobie nic gorszego. Celia, wiem, że już to mówiłem, ale powtórzę: tak bardzo mi przykro z powodu twojego syna. I tak mi wstyd, że byłem do tego stopnia niedelikatny.

Przechyliła się nieco i pocałowała go, po czym się w niego wtuliła, a on ją objął.

– Już nawet nie próbuję dociekać, dlaczego to się stało. I nie próbuję zmienić tego, czego nie da się zmienić. Przyjmuję tylko do wiadomości, że musiał być jakiś powód i że może uda mi się uratować innego dzieciaka, a może nawet kilkoro, dzięki temu, co teraz robię.

– Czytałem, że władze Seattle mają uchwalić prawo, które pozwoli tworzyć punkty, gdzie narkomani będą mogli narkotyzować się pod opieką lekarzy.

– Jesteśmy coraz bliżej tego. – Skinęła głową. – Ale nadal występuje silny sprzeciw.

– Mam nadzieję, że je uchwałą.

Odchyliła się i spojrzała mu prosto w oczy.

– Zaczyna mi się pan podlizywać, panie Delmo Castigliano?

Roześmiał się.

– Powiedzmy, że zrozumiałem błąd w swoim myśleniu. Miałaś rację. Aresztowanie ludzi niczego nie zmienia.

Pokręciła głową.

– Ja tamtego dnia też byłam zbyt surowa dla ciebie.

– Nie. Jestem już na tyle duży, żeby umieć przyznać się do błędu. A wtedy się myliłem. Wszystko, co zrobiłem, nawet w najmniejszym stopniu nie zaleczyło rany po śmierci Allie. Czuję się tak, jakbym się taplał w kałuży błota, a ręce i nogi robią mi się coraz cięższe i wcale nie posuwam się do przodu.

– To nieprawda, Del. Jeśli masz rację, to możesz doprowadzić do likwidacji dużego źródła trucizny i do uwolnienia ulic od śmiertelnie niebezpiecznego narkotyku.

– Po czym na to miejsce pojawi się czterech nowych dostawców i będziemy się kręcić w kółko jak Sonny.

– Nie ma łatwych rozwiązań, Del. – Celia się uśmiechnęła.

– Wiem, ale zaczynam wierzyć, że to nie jest problem dla policji. Że my tego nie rozwiążemy. I że zanim zrobi się lepiej, najpierw musi się zrobić dużo gorzej.

Sonny uporał się ze smakołykiem i przybiegł truchtem do pokoju, po czym na widok Celi zamarł i spojrzał na nią pełnym wyrzutu wzrokiem.

– Niech zgadnę – parsknęła Celia. – Zajęłam jego miejsce.

– No, zajęłaś. – Del się uśmiechnął. Celia nieco się przesunęła i Sonny wskoczył na kanapę, wciskając się między nich. Del pogłaskał go po łebku. – Prawie nie tknęłaś wina.

Celia wstała i wzięła go za rękę.

– Wstawaj – rzuciła. – Chodźmy do łóżka.

Jej bezpośredniość zaskoczyła go. Liczył, że do tego dojdzie jakby samo z siebie.

– Celia... nie chciałbym, by zabrzmiało to niegrzecznie, ale od bardzo dawna nie byłem z kobietą...



Uśmiechnęła się.

– Nie dziwi mnie to.

– No wiesz! – oburzył się.

– Jesteś przyzwoitym człowiekiem, Del. Wiesz, co to moralność, etyka zawodowa i grzeczność. Więc się nie dziwię. Ale nic się nie martw. Nie zrobię ci krzywdy. – Mrugnęła porozumiewawczo.

Wstał, zaskoczony tym, że zupełnie nie jest skrępowany. W jej towarzystwie czuł się bezpiecznie i było mu z tym dobrze.

Podeszli do wejścia na schody, gdzie została torba z rzeczami Celi. Del ją podniósł i w tym momencie zza rogu wypadł Sonny i pognął schodami na górę. Stał na podeście i spojrzał na nich z góry. Del uśmiechnął się, tłumiąc głośny śmiech.

– Niech zgadnę, śpi z tobą w jednym łóżku, tak? – powiedziała Celia.

– No. – Del złożył dłonie w kulkę. – Ale jest taki malutki i nie zajmuje dużo miejsca.

## Rozdział 37

Tracy przespała kilka godzin w hotelu na Bremerton i rano zadzwoniła do Dana. Dzwoniła też do niego poprzedniego wieczoru, ale długo przed tym, jak zaczęła śledzić Treja. Uspokoila męża, że u niej wszystko w porządku, po czym skontaktowała się z Billym Williamsem, swoim sierżantem, i zdała mu relację z ostatnich wydarzeń. Williams, który był już po porannej rozmowie z Delem, przekazał jej ostatnie wiadomości o Nicku Evansie i Ericu Tsengu.

– Mam tu na Bremerton gliniarza, który naciska na włączenie go do naszej akcji – powiedziała.

– Mam zadzwonić do jego szefa? – spytał Williams.

– On jest tu szefem.

– To mogę do niego zadzwonić i poinformować go o naszych działaniach i podejrzeniu związku Treja z ostatnimi zgonami z przedawkowania heroiny.

– Na razie daję sobie radę sama. Dziś rano spotykamy się z Battles. Ale jeśli facet zacznie się zbyt wtrącać, to niewykluczone, że poproszę cię o telefon.

– Myślisz, że to Battles mogła zastrzelić Treja? – spytał Williams.

– Gdyby nie ta sprawa z zaginioną taśmą, podejrzewałabym nieudaną transakcję narkotykową i eliminowanie zbędnych pionków – odparła Tracy. – Jak stoimy z nakazem udostępnienia nam nagrań z kamer bezpieczeństwa w budynku BOP?

– Ron Mayweather nad tym pracuje.

– Chciałabym dostać ten nakaz dzisiaj, póki tu jestem.

– Oczywiście. Będzie nam do tego potrzebny twój pisemny wniosek.

– Napiszę go i ci prześlę.

– Battles widziała te nagrania? – spytał Williams.

– Twierdzi, że tak. I że nic na nich nie ma, ale chcę mieć pewność, że niczego nie pominęłam.

– Dobra, tylko uważaj na siebie. Nie masz obok siebie Kinsa do pomocy. A tak przy okazji, znowu do nas dzwonił.

– Też z nim rozmawiałam.

– Doprowadza nas wszystkich do szału, więc to chyba znaczy, że zdrowieje.

\* \* \*

Po rozmowie telefonicznej z Ronem Mayweatherem Tracy napisała na laptopie wniosek o wydanie nakazu przeszukania i przesłała go mailem, po czym wsiadła do samochodu i pojechała na komisariat policji na Bremerton. Wolałaby rozmawiać z Battles gdzie indziej, w miejscu mniej oficjalnym, ale nie miała wyboru. Poszła na kompromis i spotkała się z Owensem, a ten po krótkiej wymianie zdań zgodził się, by Tracy porozmawiała z Battles w cztery oczy w jednym z pokoi konferencyjnych. Przekonało go to, że kobiety już się znają i nawiązały nić porozumienia.

Tracy otworzyła drzwi i weszła do pokoju. Battles siedziała przy okrągłym stole, z nogami na przystawionym plastikowym krześle, ale nie wyglądała na zrelaksowaną. Miała na sobie granatowy mundur, jakby to był zwykły dzień pracy, zresztą nie była aresztowana ani w jakikolwiek sposób doprowadzona tu wbrew swej woli, w każdym razie na razie. Jako prawniczka musiała jednak zdawać sobie sprawę, że nie wezwano jej na komisariat na towarzyską pogawędkę.

Spojrzała na Tracy z przebiegłym uśmieszkiem.

– Intrygujący. Wzbudzający ciekawość lub zainteresowanie. Fascynujący.

Tracy popatrzyła na nią pytająco, nie bardzo wiedząc, do czego zmierza.

Battles zdjęła nogi z krzesła i usiadła prosto.

– Pamiętasz słownik w Zeitgeist Coffee? Powiedziałam wtedy, że to jak prorocstwo.

– A, tak. – Tracy przysunęła sobie krzesło i usiadła. – Masz fotograficzną pamięć?

– Nie. Ale całkiem niezłą. Dlatego byłam taka dobra w szachy. Przy następnej grze pamiętałam ruchy przeciwnika z poprzedniej. Moją piętą achillesową była zawsze umiejętność właściwego osądu. To na

czym teraz stoję? Uważano, że podprowadziłam nagranie po to, by uwolnić klienta od zarzutu zabójstwa. A teraz ludzie myślą, że go zastrzeliłam.

– A zrobiłaś to? – spytała Tracy. Trudno, Battles sama otworzyła te drzwi.

– Nie, ale czy to wystarczy, żeby cię przekonać?

– Napijesz się kawy? – spytała Tracy.

– I bez tego mam kłopoty ze spaniem.

– Nie wyglądasz na taką, która ma kłopoty ze spaniem.

– Bo zwykle nie mam. – Battles nachyliła się nad stołem. – Co tu robisz? I co ja tu robię?

– Zajmuję się sprawą Treja. – Tracy nie miała ochoty mówić nic więcej.

– Oglądałam konferencję prasową. Zabrzmiało to przekonująco, ale obie wiemy, że prokuratura cywilna nie zamierzała stawiać Treja przed sądem.

– Nie?

– Nie bez nagrania ze sklepu – powiedziała Battles. – Mielibyście ten sam problem co my. Oskarżony powiedziałby, że z braku nagrania nie może efektywnie podważyć zeznań świadków. A skoro tak, to po co prokuratura w Seattle miałaby się w to pakować?

Battles była sprytna. Chyba za sprytna, by Tracy mogła liczyć na to, że z czymś się wygada. Tracy poczuła się tak, jakby siadła z nią do partii szachów, wiedząc, że jest gorszym graczem.

– Dowództwo podjęło już decyzję o wystąpieniu na drogę sądową? – spytała.

– Przeciwno mnie?

– Tak.

– Trwa dochodzenie w sprawie naruszenia etyki zawodowej – oznajmiła Battles. – Nie wiem, czy zakończy się to sądem wojskowym. W najlepszym razie mogę liczyć na propozycję zwolnienia mnie ze służby z zachowaniem dobrej opinii i płacy i uniknięcie procesu. Wiele osób na moim miejscu by na to poszło.

– Ale nie ty?

– Nie.

– Dlaczego? – spytała Tracy.

– Bo ktoś celowo mnie w to wrobił, pani detektyw. A ja nie lubię być wrabiana. I naprawdę nie znoszę przegrywać.

Brzmiało to szczerze, ale Tracy nieraz zdarzyło się przesłuchiwać podejrzanych, którzy szczerze zapewniali o swej niewinności, choć wcale nie byli niewinni.

– Niektórzy mogą uznać, że właśnie dlatego zabrałaś tę taśmę.

– Już uznali – sprostowała Battles.

Tracy wiedziała, że ma na myśli Cho.

– No to gdzie byłaś wczoraj wieczorem?

Battles uśmiechnęła się pogodnie.

– Pytasz o moje alibi?

– A masz je?

– Byłam w domu. Przyjechałam rano do pracy, usiadłam przy biurku i zaczęłam kręcić młynka, a potem zdałam sobie sprawę, że mogę stanąć przed sądem wojskowym i przydzielą mi obrońcę z urzędu. No cóż, nie jestem najlepsza w podporządkowywaniu się innym, to był mój główny problem w podstawówce, więc uznałam, że powinnam zacząć bronić się sama. O szesnastej wyszłam z pracy, wsiadłam na prom do Seattle i pojechałam na trening, potem wróciłam do domu i zaczęłam grzebać w papierach.

– Do której tak siedziałaś?

– Do północy.

– Ktoś to może potwierdzić?

– Chciałabym, ale mieszkam sama. – Battles pokręciła głową. – Ale mój komputer nie skłamie.

– Dzwoniłaś w tym czasie do kogoś?

Battles się uśmiechnęła.

– Okej, czyli ty grasz detektyw, ja gram podejrzaną.

– To rzeczywiście jest intrygujące – bąknęła Tracy.

– Grasz w szachy? – spytała z uśmiechem Battles.

Czyżby o to chodziło? – pomyślała Tracy.

– Tak jak w golfa, czyli słabo. Ale wciąż mi się zdaje, że następnym razem będę lepsza.

– Byłam mistrzynią juniorów. Chodzę do parków w Seattle i szukam przeciwników. Jestem w tym dobra. Rzadko przegrywam. Myślę, że robi to ze mnie lepszą prawniczkę, bo zmusza do myślenia na kilka ruchów do przodu.

- A teraz przeciwko komu grasz?
- Nie wiem. Ale jestem pewna, że Trejo to wiedział i dlatego nie żyje.
- Podziel się ze mną swoimi przemyśleniami – poprosiła Tracy.
- Znasz już moje zdanie. Byłaś w sądzie. Widziałaś reakcję Treja, a właściwie jej brak, gdy usłyszał, że nagranie ze sklepu zaginęło. Myślisz tak jak ja, że się tego spodziewał. I był pewien, że się wywinie.
- Czyli taśma nie zapodziała się przypadkowo?
- Jakie są statystyczne szanse na to, żeby kluczowy dowód w sprawie przypadkowo się zapodział?
- Byłaś ostatnią osobą, która miała pudło z dowodami. Wszystko wskazuje na to, że taśma w nim wtedy była i wróciła wraz z pudłem do pokoju protokolanta.
- To prawda. Ale kluczowe pytanie nie brzmi, kto zabrał taśmę, ale dlaczego. I jestem pewna, że to „dlaczego” ma jakiś związek z tym, co Trejo robił tamtego wieczoru w Seattle.
- Nie powiedział ci?
- Nawet się nie przyznał, że w ogóle tam był. A pokazanie mu nagrania ze sklepowej kamery niczego nie zmieniło. – Battles wzruszyła ramionami. – I zanim ktoś mnie oskarży o łamanie tajemnicy adwokackiej z rozmów z klientem, to przypominam, że przestała obowiązywać z chwilą śmierci Treja. Upierał się, że to nie on. Twierdził, że to tylko ktoś do niego podobny. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego nie chce się przyznać. Ale teraz rozumiem.
- Bo to nagranie nie miało nigdy trafić do sądu jako dowód – dopowiedziała Tracy.
- I on o tym wiedział.
- Mówiłaś, że widziałaś nagranie z kamery bezpieczeństwa w waszym budynku.
- Widać na nim, jak Cho wychodzi z pracy, a ja odnoszę pudło z dowodami i opuszczam budynek. Do szóstej rano następnego dnia nikt poza sprzątaczem nie wchodzi ani nie wychodzi.
- W budynku jest jakieś inne wejście? – spytała Tracy.
- Jest, ale zamknięte po godzinach pracy. Niełatwo byłoby otworzyć te drzwi.
- Pozwól, że spytam jeszcze o coś. Trejo pracował jako specjalista logistyk, tak?

– Zgadza się.

– Jak można sprawdzić, dokąd pływał?

Battles przymrużyła oczy.

– W jego rejestrze służby muszą być wpisane wszystkie porty, do których go wysyłano. A dlaczego cię to interesuje?

– Jak trudno byłoby mu przeszmużlować coś na pokład i z pokładu?

– Niespecjalnie trudno – odparła Battles po chwili zastanowienia.

Tracy niemal widziała, jak trybiki w jej głowie zaczynają wirować.

– Jak by to praktycznie wyglądało?

Battles znów na chwilę się zamyśliła.

– Powiedzmy, że jego okręt zawija do portu w Tajlandii i w luku magazynowym zostaje umieszczony ładunek. Trejo jako specjalista logistyk odnotowuje wszystko w logu, ale zamiast ośmiu skrzynek bananów wpisuje tylko siedem. Okręt wraca do bazy i trafia do stoczni remontowej na konserwację i naprawy. Ludzie i ładunki opuszczają pokład, w tym także siedem skrzynek bananów, co jest zgodne z okrętowym manifestem. Ósma skrzynka nie została nigdzie odnotowana. Nie tak dawno w marynarce wojennej wybuchła afera. Ludzie kradli towary z luku i sprzedawali na czarnym rynku. Złapali ich w ten sposób, że wyciągnęli wszystkie manifesty okrętowe i porównali z wykazami załadunku. Ale ktoś taki jak Trejo mógłby fałszować manifesty, tak że pewne rzeczy wnoszone na pokład i wynoszone stamtąd nie miałyby w nich odbicia.

– Czyli to możliwe.

– Tak. – Battles lekko się uśmiechnęła. – Narkotyki?

Tracy nie odpowiedziała.

– Intrygujące – rzuciła Battles.

## Rozdział 38

Tracy pokrótce poinformowała Owensa o przebiegu rozmowy z Battles i wyszła z komisariatu, ale nie wróciła od razu do Seattle. Battles nie znała nazwy i adresu firmy sprzątającej, była jednak w stanie opisać wygląd uniformu sprzątaczy i furgonetek, którymi przyjeżdżali. Poinformowała Tracy, że na obu namalowana jest komiksowa sylwetka ludzika w białym kombinezonie i czapeczce, z nogami w kształcie szczotek od odkurzacza i z literami PSS na piersiach. Po dziesięciu minutach grzebania w internecie Tracy znalazła firmę o nazwie Profesjonalny Serwis Sprzątający z siedzibą przy West G Street, nieopodal bazy marynarki wojennej. Wykonała kilka telefonów, dodzwoniła się do właściciela firmy i za jego pośrednictwem umówiła się z pracownikiem, który sprzątał budynek Biura Obsługi Prawnej w noc poprzedzającą przesłuchanie z artykułu 32.

Zaparkowała przed parterowym murowanym barakiem, przed którym stało kilka białych furgonetek z logo PSS na drzwiach. Nadal było dość chłodno, ale przynajmniej przestało padać. Chodnikiem przemaszerowała mewa, skrzecząc ze złością na Tracy ruszającą do wejścia. W holu wyłożonym staromodną drewnianą boazerią, udekorowaną czarno-białymi fotografiami, wisiały lampy i stały meble z lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku; nawet powietrze pachniało starą pleśnią.

Tracy była umówiona z Garym Buchmanem, prezesem PSS. Zgłosiła się do recepcjonistki i po chwili prezes wyszedł do holu i powitał ją. On także pasował do wystroju swojej firmy. Miał zaczesaną do góry szpakowatą czuprynę i wyglądał na dobrze po sześćdziesiątce; biała koszulka polo z wyszytym na lewej piersi logo PSS opinała mu lekko wystający brzuch, palce dłoni zdobiło kilka sygnetów. Na nadgarstku widniał medyczny łańcuszek, jaki Tracy widywała u cukrzyków.



– Detektyw Crosswhite? – upewnił się. Nie wyglądał na przejętego wizytą policjantki, choć dostrzegła lekkie drżenie jego dłoni. Buchman zaproponował kawę, za którą podziękowała, i poprowadził Tracy długim, wąskim korytarzem zastawionym szafkami na dokumenty i zawalonym stertami papierów oraz kartonowych teczek. Gabinet prezesa mieścił się na samym końcu korytarza i jak wszystko inne był wyłożony ciemną boazerią i urządzony wiekowymi meblami. Na ścianie wisiał czarno-biały portret mężczyzny z wojskowym językiem na głowie i okularami w czarnej oprawce na nosie; w jego rysach można było dostrzec pewne podobieństwo do Buchmana. Przez okno z opuszczoną żaluzją prześwitywały pocięte w paski stacja benzynowa i myjnia samochodowa.

– Dziękuję, że znalazł pan dla mnie tak szybko czas – powiedziała Tracy, siadając na krześle z obiciem z materiału w kolorze awokado, stojącym przed ogromnym biurkiem z trzema monitorami komputerowymi.

– Nie ma problemu – zapewnił ją Buchman, opadając na swój skórzany fotel.

– To pański ojciec? – spytała, wskazując portret.

– Tak – odparł Buchman.

– Firma istnieje od dawna?

– Od tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego szóstego. Założył ją mój dziadek, a tata rozwinął dzięki kontraktowi z bazą marynarki wojennej. – Buchman przeszedł do rzeczy: – Dzwoniłem do człowieka pracującego na zmianie, o którą pani pytała. Powinien tu być lada chwila.

– Jestem bardzo wdzięczna. Mam nadzieję, że nie przeszkodziłam mu w wypoczynku.

– Na pewno nie będzie miał do pani żalu.

– Od jak dawna macie kontrakt z bazą marynarki wojennej?

– Od blisko czterdziestu pięciu lat. Dla nas to wielka sprawa, jak zapewne się pani domyśla. I nigdy nie mieliśmy od nich żadnych reklamacji.

– Jesteście cywilnym kontrahentem?

Buchman pokiwał głową.

– Marynarka wojenna jest największym pracodawcą w całym stanie. Nie wiem, czy to pani wiedziało.

– Nie – przyznała Tracy.

Wyraźnie się ożywił.

– Mają ponad dziesięć tysięcy kontrahentów i mniej więcej tyle samo cywilnych pracowników departamentu obrony.

– Robi wrażenie.

– I jak już mówiłem, nie mieliśmy nigdy żadnej reklamacji. Jesteśmy ich kontrahentem o najdłuższym stażu.

– Ja też nie przychodzę do pana z żadną reklamacją – zapewniła go Tracy. – Jak już wspomniałam przez telefon, miałam spotkanie w komisariacie policji na Bremerton i pomyślałam, że skorzystam z okazji i wstąpię do pana przed powrotem do Seattle. Próbuję stworzyć kompletny obraz wydarzeń.

– Chodzi o tę zaginioną taśmę wideo?

– Właśnie – potwierdziła, choć w trakcie krótkiej rozmowy na temat ich spotkania ani słowem nie wspomniała o taśmie. – Czyli już pan o niej słyszał, tak?

– Tak. Dzwonili do mnie z NCIS, kiedy odkryto brak tej taśmy. Przesłali śledczego, który spisał zeznania moje i sprzątacza.

Tracy zanotowała w pamięci, że trzeba zdobyć kopie tych zeznań.

– To znaczy czyje? – spytała.

– Tamtej nocy służbę miał Al Tulowitsky. Al pracuje u nas od blisko piętnastu lat – dodał szybko, jakby chciał rozwiać ewentualne podejrzenia. – Ostatnie dziesięć przepracował na terenie bazy. Nigdy nie mieliśmy żadnej reklamacji. Szczerze mówiąc, to właśnie dlatego go tam skierowałem. Wszyscy nasi pracownicy muszą uzyskać zgodę dowództwa na pracę w bazie. Al jest naszą gwiazdą.

Rozległo się pukanie, drzwi się uchyliły i stanął w nich wysoki, szczupły mężczyzna z niepewnym uśmiechem na twarzy.

– O wilku mowa – rzucił Buchman, wstając zza biurka.

Tulowitsky wyglądał na czterdzieści kilka lat i miał nad czołem kosmyk przedwcześnie posiwiałych włosów.

– Debra mi powiedziała, że mam po prostu wejść. – Pokazał ręką za siebie.

Buchman podszedł do drzwi.

– Al, to detektyw Crosswhite z policji w Seattle.

Tracy podała Tulowitsky'emu rękę, odnotowując przy okazji, że ma na nadgarstku kilka srebrnych bransoletek i ciemnoczerwoną barwę

skóry dłoni jak mieszkaniec Arizony lub bywalec solariów.

– Pani detektyw chce ci zadać parę pytań w sprawie tej zaginionej taśmy w budynku BOP.

– Agenci NCIS mają moje zeznanie. – Na prawym przedramieniu Tulowitsky’ego widniał tatuaż przedstawiający czerwone serce z oplatającym je napisem: JESTEŚ KOCHANA.

– Jeszcze go nie czytałam – powiedziała Tracy. – Cieszę się, że zechciał się pan pofatygować. Służył pan w wojsku? – dodała, wskazując tatuaż.

– Tak.

– W marynarce wojennej?

Tulowitsky cierpko się uśmiechnął.

– Marynarka to mnie tylko dowoziła na miejsce. W piechocie morskiej.

– Ale rozumiem, że już pan nie służy.

– W piechocie morskiej człowiek jest do końca życia.

– Nie pierwszy raz to słyszę. A więc agenci NCIS spisali pańskie zeznanie.

– Zjawili się zaraz następnego dnia. Oświadczyli, że zaginęła jakaś taśma, i chcieli rozmawiać z pracownikiem serwisu sprzątającego, który poprzedniej nocy obsługiwał budynek BOP – wyjaśnił Buchman.

– Nie widziałem tam żadnej kasety – rzekł Tulowitsky. – I nigdy nie dotykam niczego, co leży na biurku, nigdy.

– Rozumiem – rzuciła Tracy. – Próbuję tylko ustalić procedurę obowiązującą przy sprzątaniu tego budynku.

Buchman zaproponował, by wszyscy usiedli. Tulowitsky usiadł na krześle obok Tracy, najpierw je jednak odsunął i ustawił pod kątem. Cuchnął świeżym dymem papierosowym i miał wszelkie symptomy nałogowego palacza – pomarszczone wargi, pożółkłe zęby i paznokcie palców prawej dłoni. Zapewne pośpiesznie dopalał papierosa w samochodzie lub na parkingu tuż przed wejściem do gabinetu.

– Mam pani opowiedzieć? – spytał.

– Proszę.

– Okej. Najpierw opróżniam kosze na śmieci. Potem sprzątam toalety, przejeżdżam wszystko odkurzaczem i porządkuję. Ale nie dotykam nic na biurkach – dodał wyraźnie.

Tracy postanowiła go nieco docisnąć i wypytać o szczegóły. Wyjęła notes.

– Czyli wchodzi pan kolejno do pokoi biurowych, tak? Sprząta je pan w środku?

– Tak, proszę pani – odparł z uszanowaniem Tulowitsky, choć byli chyba w podobnym wieku. Miał zwyczaj przymykać oczy i odchyłać głowę, jakby rzucał wyzwanie, ale był to zapewne swoisty tik nerwowy. – Ale nie dotykamy niczego na biurkach. Dla mnie to może być zwykły śmieć, ale dla pracującej tam osoby jakieś ważne nazwisko czy numer telefonu.

Buchman pokiwał z aprobatą głową i Tracy odniosła wrażenie, że Tulowitsky właśnie na jego użytek wyrecytował firmową mantrę.

– Pamięta pan, jak pan tego wieczoru sprzątał pokój porucznik Battles?

– Pamiętam, ale tylko dlatego, że już mnie o to pytano. Sprzątam wszystkie pokoje na parterze.

– I nie pamięta pan pudła na jej biurku?

– Nie. Żadnego pudła sobie nie przypominam.

– Na podłodze też nic nie leżało?

– Niczego nie widziałem. Jak już mówiłem, agenci NCIS zjawili się następnego dnia, więc to, co im powiedziałem, musiało być dokładne. Zapamiętałbym kasetę wideo. Gdyby leżała na podłodze, to najwyżej bym ją podniósł i położył na krześle, żeby dało się odkurzyć. Ale tak nie było. Nie widziałem żadnej kasety.

– Może mi pan przybliżyć procedurę sprząwania całego budynku?

Tulowitsky wzruszył ramionami.

– Budynku BOP? Jasne.

Znów zerknął na Buchmana i Tracy pomyślała, że wolałaby, żeby szefa przy tej rozmowie nie było. Wiedziała jednak, że gdyby poprosiła go o wyjście, zrobiłoby się jeszcze bardziej niezręcznie.

– To obiekt numer czterysta trzydzieści trzy – zaczął Tulowitsky. – Od niego zaczynamy sprząwanie. Pierwszy budynek za bramą Charleston.

– Czy sprząta go tylko pan, czy także inni pracownicy waszej firmy?

– W budynku jest nas dwóch, ja i Darren, ale to ja sprzątam parter.

– A Darren wyższe piętra?

– Tak. Na górze jest mniej biur.

– NCIS jego też przesłuchiwało – wtrącił Buchman. – Próbowałem się z nim dziś skontaktować, ale się nie udało.

– Rozumiem, że aby wejść do budynku, trzeba na szyfratorze wprowadzić końcowe cztery cyfry numeru ubezpieczenia społecznego, czy tak? – powiedziała Tracy.

– Drzwi są zamknięte, nie da się wejść do środka bez wpisania numeru ubezpieczenia – potwierdził Tulowitsky. – I ten numer, jego ostatnie cztery cyfry, musi być wcześniej zgłoszony.

Siedzący za biurkiem Buchman wyprostował się.

– Wszystko tam jest skomputeryzowane – wyjaśnił. – Mają specjalne biuro ochrony, w którym przechowują zgłoszone numery. Jak już mówiłem, nigdy nie mieliśmy żadnych problemów.

– Czy nikt nigdy nie podkradł czyjegoś numeru? – spytała Tracy.

– Na pewno nie naszych ludzi – oburzył się Buchman, zaraz się jednak zreflektował. – W każdym razie, nic mi o tym nie wiadomo.

Tracy zapytała Tulowitsky'ego o końcowe cztery cyfry jego numeru ubezpieczenia, po czym dodała:

– No dobrze, miał mnie pan przeprowadzić przez całą procedurę sprzątnięcia tego budynku.

Tulowitsky zmarszczył czoło na znak, że w jego mniemaniu już to zrobił.

– Jak mówiłem, zaczynam od opróżnienia koszy na śmieci w pokojach biurowych.

– Wszystkie papiery trafiają do niszczarki – wtrącił Buchman. – Obsługują ją ludzie zatrudnieni w bazie. A ścinki są zwożone na wyznaczone miejsce i tam palone.

Tracy znów spojrzała na Tulowitsky'ego.

– A więc opróżnia pan kosze. I co dalej?

– Zanoszę śmieci do furgonetki i wyjmuję środki czystości i odkurzacz. Sprzątam w toaletach na parterze i robię porządki w pokojach biurowych. Odkurzam podłogi i wychodzę z budynku. – Wzruszył ramionami.

– Jak długo to trwa?

– Wszystko razem? – Spojrzał w sufit. – Całość od trzech kwadransów do godziny. Czasami trochę dłużej, jeśli trzeba sczyścić plamy z wykładziny, ale w biurach nigdy nie jest bardzo brudno, więc wszystko idzie gładko.

– O której pan wtedy przyjechał?

– Zwykle przyjeżdżam mniej więcej o jedenastej i wychodzę z budynku około północy.

– Czy tamtej nocy spotkał pan kogoś wewnątrz budynku? – Tracy zajrzała do notatek. – To znaczy osiemnastego marca.

Pokręcił głową.

– Mogę tylko powtórzyć to, co już powiedziałem chłopakom z NCIS. Gdybym kogoś tam widział, tobym to zapamiętał.

– A jak pan wynosi śmieci do furgonetki, to zatrzaskuje pan za sobą drzwi?

– Same się zatrzaswiają. Ja je tylko otwieram i wychodzę, a drzwi automatycznie się zamykają. Po prostu.

Może tak, pomyślała Tracy, tyle że w tej sprawie nic nie wydaje się zupełnie proste.

## Rozdział 39

Del i Faz niechętnie otworzyli puszkę z robactwem i część tego robactwa rozsiadła się tego dnia w salce konferencyjnej obok gabinetu komendanta policji, Sandy'ego Clarridge'a. Obaj detektywi zajęli miejsca obok swojego sierżanta, Billy'ego Williamsa, i kapitana Johnny'ego Nolasca. Prokurator okręgowy Kevin Dunleavy usadowił się obok Ricka Cerrabone'a. Poza tym byli obecni Anthony Rizzo, sierżant Grupy Zadaniowej do spraw Ciężkich Przestępstw, i Scott Disney, detektyw z Wydziału Walki z Narkotykami. Disney miał włosy do ramion i krzaczastą brodę, co dowodziło, że działa pod przykrywką.

Odprawa zaczęła się od relacji Dela. Przedstawił szczegóły zatrzymania Nicka Evansa i treść jego późniejszego zeznania, z którego wynikało, że jego dostawca heroiny wskazał palcem Laszla Treja.

– Czy Evans miał w tej kwestii własną wiedzę? – spytał Rizzo. Gładko ogolony i schludnie ostrzyżony, wyglądał bardziej jak księgowy niż policjant.

– Nie – odparł Del. – Przekazał nam tylko to, co usłyszał od swojego dostawcy, Erica Tsenga. – Evans podał jego nazwisko w zamian za obietnicę skróconej odsiadki w areszcie okręgowym. Po sprawdzeniu okazało się, że Tseng ma dwadzieścia dziewięć lat, nie jest notowany i nie służył w wojsku, ale umiejętnie unika namierzenia przez radary policyjne, bo wydział narkotykowy nic o nim nie wiedział.

– A może to tylko podpucha? – rzucił Rizzo.

– Wszystko jest możliwe, ale nie sądzę – powiedział Del.

– Dlaczego nie? – nie odpuszczał Rizzo.

Williams postanowił przyjść Delowi z pomocą.

– Po pierwsze, dlatego że wczoraj wieczorem znaleźli ciało Treja w opustoszałym parku na Bremerton. – Nachylił się nad stołem, przykuwając swoimi słowami uwagę wszystkich obecnych. – Policja

na Bremerton uważa to na razie za samobójstwo, ale nasza detektyw była na miejscu i jej zdaniem wygląda to na egzekucję Treja.

– A poza tym nie sądzę, by Nick Evans należał do czytelników porannych gazet przy filiżance kawy – dodał Del. – Więc wątpliwe, by znał nazwisko Treja i dowiedział się o jego aresztowaniu z gazet. Ktoś musiał mu o tym powiedzieć. Po drugie, od początku dręczyło nas pytanie, dlaczego Trejo nie zatrzymał się po potrąceniu D’Andrego Millera. Dlaczego uciekł z miejsca wypadku? A posiadanie w samochodzie narkotyków to wyjaśnia. Po trzecie, ktoś pomógł Trejowi znaleźć złomowisko, na którym mógł porzucić samochód, a także w powrocie na Bremerton. Po czwarte, ktoś skradł taśmę z nagraniem z monitoringu, na której było widać, jak krótko przed wypadkiem Trejo był w sklepie spożywczym. Nie można jej więc było wykorzystać podczas przesłuchania z artykułu trzydziestego drugiego.

– I nie sądzimy, by stało się to przypadkowo – wtrącił Williams. – By ktoś niechcący ją zapodział. Wszystko, co się później wydarzyło, dowodzi celowego działania.

Rizzo zrobił taką minę, jakby się poczuł urażony.

– Trejo mógł od lat handlować dragami i wiedzieć o tym złomowisku. Po drugie, mógł się nie zatrzymać, ponieważ wiedział, że może zostać oskarżony o spowodowanie wypadku pod wpływem środków odurzających. Wiemy coś, czy sam był narkomanem?

– Mogę to sprawdzić w protokole z jego autopsji – rzucił Faz i zapisał to w notatniku.

– Po trzecie – ciągnął Rizzo – do domu mogła mu pomóc wrócić żona, a teraz kryje jego i niewykluczone, że jeszcze kogoś. Na przykład tego Tsenga. – Rizzo przeniósł wzrok na Williamsa i Nolasca. – Zdawało mi się, że słyszałem, że adwokat Treja jest podejrzana o zabranie tej taśmy wideo.

Del nie dał się jednak zagadać.

– Jeśli Trejo był regularnym dostawcą heroiny, to rodzi się pytanie, dlaczego nic o nim nie wiedzieliście. Ani o nim, ani o Tsengu – powiedział. – Ale nikogo o nic nie oskarżam – dodał, widząc, że Rizzo wyraźnie się nastroszył.

– Wczoraj rozmawiali z żoną Treja po znalezieniu jego ciała – włączył się Williams, który opierał się na relacji Tracy. – Przyznała, że wieczorem w dniu wypadku Treja nie było w domu, ale jednocześnie



zarzekała się, że nie wie, ani gdzie wtedy był, ani co robił. Jak twierdziła, mówił, że ma służbowe sprawy do załatwienia i będzie w domu późno. Gdy w końcu wrócił, powiedział, że zostawił samochód w warsztacie na zmianę oleju i odbierze go dopiero następnego dnia po południu. Nic nie wskazuje na to, że kłamała, a zważywszy, że jej mąż nie żyje, to właściwie nie ma powodu, żeby kłamać.

– Czyli nic nie wiecie o siatce narkotykowej w Rainier, tak? – zwrócił się Clarridge do Rizza.

– Wiemy bardzo dużo, tyle że nic o tym Tsengu – odparł Rizzo. – Pierwszy sygnał dostaliśmy z biura koronera po dwóch śmiertelnych przedawkowaniach w północnej części miasta. Wysłaliśmy tam naszych ludzi na motorach, żeby nawiązali kontakt ze znanymi narkomanami i kazali im powęszyć. Biorąc pod uwagę zbieżność czasową i geograficzną tych dwóch wypadków śmierci z kilkunastoma innymi, dochodzimy do wniosku, że ofiary musiały kupować albo od tego samego dilerów, albo od różnych dilerów, ale zaopatrujących się u tego samego źródła. Tyle że w północnej części Zachodniego Wybrzeża działa wiele gangów i karteli narkotykowych handlujących metamfetaminą i heroiną.

– Chińską bielą? – spytał Del.

– Nie wiemy, czy to była chińska biel.

– W każdym razie nie czarna smoła.

– Czyli tego Tsenga wcześniej nie namierzyliście – powtórzył komendant.

– Jeśli Trejo dostarczał mu heroinę, to Tseng i jego mocodawcy trzymali to w sekrecie i mieli ku temu powód. Kiedy meksykańskie kartele narkotykowe dowiadują się, że ktoś handluje dragami na ich terytorium, wybucha piekło.

– No to zgarnijmy tego Tsenga i sprawdźmy, co wie o Treju – zaproponował Del.

– Żeby go zgarnąć, musimy znaleźć jego towar – zauważył Rizzo. – Bez dowodu w postaci towaru i bez Treja nic nam nie powie. Zwłaszcza jeśli działał za plecami meksykańskiego kartelu.

– Może właśnie to go zachęci do mówienia.

– Zgarniemy Tsenga, okaże się, że jest częścią dużo większej operacji, i stracimy szansę na złapanie grubszych ryb.

– Na rynku pojawił się niebezpieczny towar i umierają ludzie – burknął Del.

– Ta partia towaru już zapewne się rozeszła – powiedział Rizzo. – Najlepsze, co możemy zrobić, to możliwie jak najszerzej i jak najdalej rozesłać wici.

– Czyli mamy nic nie robić? – Del popatrzył na komendanta.

– To nie do przyjęcia – oświadczył Clarridge, pocierając podbródek.

– Ani dla burmistrza, ani dla przywódców społeczności afroamerykańskiej. W powszechnym odczuciu marynarka wojenna maczała palce w działalności Treja i to oni się go teraz pozbyli.

– Wygląda na to, że naszym najlepszym wyborem jest ten Tseng w Rainier Beach – wtrącił Dunleavy, który do tej chwili milczał. Teraz jednak wysoki rudzielec z irlandzką bladą cerą i głębokim głosem postanowił włączyć się do dyskusji. – Jak długo to może potrwać, gdybyśmy chcieli zorganizować coś na miejscu? – zapytał.

– Masz na myśli umieszczenie naszej wtyczki? – Rizzo wyglądał na zaskoczonego. – Po pierwsze, nie mamy pojęcia, od jak dawna to się kręci, wiadomo natomiast, że nie robią wokół siebie dużo szumu, jeśli w ogóle. I w tym jest problem. Jeśli wiedzą, że zgarnęliśmy Evansa, a Trejo nie żyje, możemy zapomnieć o próbie penetracji. Prawdopodobnie już zwinęli cały kram i dali nogę.

– Czyli zdejmując Tsenga, niczym nie ryzykujemy – wtrącił Del.

– Jak długo to może potrwać? – powtórzył Dunleavy.

Rizzo westchnął.

– Kilka miesięcy. Powiedziałbym, że od trzech do sześciu.

Del pokręcił głową.

– To za długo – orzekł Clarridge i po chwili zastanowienia dodał: – Dobrze, zgarnijmy Tsenga, pociśnijmy go i zobaczmy, czy poda Treja i może jeszcze kogoś jako swoje kontakty. Jeśli ujawni Treja, to może przynajmniej rozwiązać nam to problem z opinią publiczną.

– Oraz uratować życie kilku nieszczęśnikom – dodał Del.

– No to tak robimy – zawyrokował Clarridge.

\* \* \*

Późnym popołudniem wartownik na służbie odeskortował Tracy do biura Rebekki Stanley, szefowej Leah Battles. Jej gabinet mieścił się

na parterze budynku BOP, kawałek za pokojem Battles, i wydał się Tracy za skromny i za mały jak dla oficera tej rangi. Wyglądało to niemal tak, jakby Stanley wykorzystwała jakieś wolne pomieszczenie, aby się z nią spotkać. Na ścianie wisiał jednak rząd dyplomów z nazwiskiem Stanley wytłoczonym czarnym wypukłym drukiem, w tym dyplomy ukończenia college'u, wydziału prawa i odbycia przeszkolenia w JAG. Wszystkie wisiały w pobliżu okna niewiele większego od ramek dyplomów.

Ron Mayweather z niemałym wysiłkiem zdobył nakaz z podpisem sędziego sądu okręgowego i drogą służbową dostarczył go dowódcy bazy Kitsap, Peterowi Loprestiemu. Nakaz trafił następnie do szefa ochrony w budynku BOP, a ten poinformował Mayweathera, że zgodnie z nakazem wykonał kopię nagrania z kamery bezpieczeństwa i przekazał ją kapitan Stanley, co potwierdziła także Leah Battles. Tracy zadzwoniła do Stanley i umówiła się na wizytę.

Kapitan wymówiła się od podania jej ręki, tłumacząc, że rozbiera ją przeziębienie. Zachowywała się bardzo oficjalnie, dodatkowo podkreślając to przenikliwymi błyskami piwnych oczu. Krótko przycięte i założone za uszy ciemne włosy odsłaniały parę złotych kolczyków; twarz miała drobną, choć do drobnych nie należała. W wojskowych butach z cholewami musiała mieć jakieś metr siedemdziesiąt i choć trudno było ocenić jej tuszę w workowatym mundurze, nie wyglądała na zbyt szczupłą. Zajęła miejsce za biurkiem z polerowanego metalu, Tracy usiadła na jednym z dwóch krzeseł przed nią.

– Rozumiem, że wczoraj wieczorem Laszlo Trejo zastrzelił się w Old Mill Park – powiedziała kapitan bez żadnych wstępów. Widać subtelność nie należała do jej mocnych stron.

– Gdzie pani o tym słyszała? – spytała Tracy.

Stanley wyprostowała się na fotelu i złożyła ręce na biurkowej macie, nie naruszając przy tym swej pełnej powagi i surowości postawy.

– W bazie wojskowej wieści szybko się rozchodzą, pani detektyw.

– Tak, Laszlo Trejo dostał kulę w głowę.

Zadbane i równo przycięte brwi Stanley ściągnęły się.

– W pani głosie słyszę powątpiewanie, czy to on sam pociągnął za spust.

– Nie wiem, czy zrobił to sam, czy nie. Sprawa pozostaje w jurysdykcji policji na Bremerton i trzeba będzie poczekać na wyniki sekcji.

– A co pozostaje w waszej jurysdykcji? – Stanley otworzyła szufladę, wyjęła pastylkę na kaszel i włożyła sobie do ust.

– D’Andre Miller – odparła Tracy. Nie podobała jej się ta kobieta i to, że traktowała ją jak podwładną. Tracy nigdy nie służyła w wojsku, ale wiedziała, że niektórzy oficerowie potrafią być przewrażliwieni na punkcie swojej rangi.

– Czy policja w Seattle zamierza prowadzić dochodzenie w sprawie śmierci D’Andrego Millera?

– Jestem tylko pszczołką robotnicą. Decyzje zapadają znacznie wyżej. Chyba nie muszę tego pani tłumaczyć.

Kapitan obracała w ustach pastylkę, lekko wydymając usta. Wzięła do ręki nakaz przeszukania – jedyny papierek leżący na jej biurku – i wczytała się w niego z taką uwagą, jakby dopiero teraz go zauważyła. Z głębi korytarza dobiegał dźwięk dzwoniącego telefonu, którego nikt nie odbierał, ktoś coś wołał. Po dobrej minucie Stanley odłożyła nakaz na biurko.

– Chodzi pani o nagranie z kamery bezpieczeństwa z budynku w noc poprzedzającą przesłuchanie bosmana Treja z artykułu trzydziestego drugiego, czy tak?

– Wiem od szefa ochrony budynku, że kazała mu pani zrobić kopię tej taśmy i dostarczyć ją pani.

– Kazałam mu ją zrobić dzień po przesłuchaniu. Uznałam, że tak będzie bezpieczniej.

– Dlaczego? – spytała Tracy.

Stanley lekko wzruszyła ramionami.

– Leah Battles jest moją podwładną, a wysuwane wobec niej podejrzenia brzmią poważnie. Istnieje podejrzenie, że miała jakiś związek z zaginięciem kasety. Chciałam wiedzieć, kto wchodził do budynku po jej wyjściu.

– I co pani stwierdziła?

Kapitan pokręciła głową.

– Że tylko sprzątacze.

– Nikt inny nie wchodził ani nie wychodził?

– Nikt. – Stanley otworzyła szufladę i wyjęła kilkustronicowy dokument. – W waszym nakazie jest też mowa o wykazie osób, które tamtego wieczoru wchodziły do budynku, oraz prośba o cztery cyfry ich numerów ubezpieczenia społecznego. Oto ten wykaz. – Przesunęła plik po biurku. Tracy wzięła go do ręki i przyjrzała się nazwiskom. – Mniej więcej pomiędzy godziną dwudziestą trzecią a szóstą rano następnego dnia poza sprzętacami nikt nie wchodził do budynku.

Tracy postanowiła później przyrzeć się wykazowi i odłożyła go sobie na kolana.

– Wie pani, jak działa ta kamera bezpieczeństwa? – spytała.

– Nie jestem specjalistką od komputerów, pani detektyw – powiedziała z kwaśnym uśmiechem Stanley. – W college’u zrobiłam dyplom z nauk politycznych. Mogę tylko powtórzyć to, co powiedział szef ochrony, przekazując mi tę taśmę.

– Poproszę.

– Kamera działa w systemie IP. Materiał wideo z całej doby jest przekazywany do komputera w biurze ochrony i pozostaje w sieci do chwili, aż taśma się zapełni.

– Jak długo trwa to zapełnienie?

– Nie wiem.

– Poprosiła pani o taśmę?

– O płytę. Nie miałam wyboru. Szef ochrony zapewnił mnie, że nasza kamera jest wysokiej jakości, co oznacza, że nagranie zajmuje dużo pamięci. Ponad sześć godzin wysokiej jakości nagrania oznacza mnóstwo gigabajtów i ich ściągnięcie, jak mi mówią fachowcy, mogłoby spowodować padnięcie mojego komputera. Dlatego wypalili mi płytę, a ja poprosiłam, żeby wypalili drugą dla pani.

Stanley ponownie sięgnęła do szuflady i wyjęła żółtą kopertę A5.

– Obejrzała pani to nagranie? – spytała Tracy.

– Kilkakrotnie. – Kapitan skinęła głową. – Pokazałam je też porucznik Battles. Jeśli dojrzy pani w nim coś, co umknęło mojej uwadze, byłabym wdzięczna za poinformowanie mnie. Leah to dobry człowiek i świetna prawniczka. Nie chciałabym jej utracić.

Z tymi słowami Stanley wstała i podała Tracy rękę. Ich spotkanie dobiegło końca.

\* \* \*

Na promie do Seattle Tracy szybko wcisnęła się do boku pod oknem, wyjęła laptopa, wsunęła płytę DVD i chwilę odczekała na uruchomienie się komputera. Gnany wiatrem deszcz walił w szybę okna, w powietrzu unosił się zapach popcornu i hot dogów z kafeterii. To jej przypomniało, że od wczorajszego wieczoru nie miała nic w ustach. Ale jedzenie będzie musiało jeszcze trochę poczekać.

Na ekranie pojawił się obraz z kamery skierowanej ukośnie na pomieszczenie, w którym rozpoznała hol wejściowy w budynku BOP. W prawym dolnym rogu widoczne były data i godzina nagrania. Tracy przepisała je do notatnika.

*18 marca 2016, 22.00.*

Wcisnęła PLAY i timer zaczął odmierzać sekundy. Rękę z długopisem położyła obok notatnika.

W tym momencie zadzwoniła komórka i zaczęła drgać na blacie stolika. Tracy odruchowo odebrała, nie wstrzymując odtwarzania. Spodziewała się telefonu od Dana, ale wyświetlił się numer kierunkowy 360, co znaczyło, że dzwonią do niej z Bremerton.

– Pewnie już dawno stąd wyjechałaś – rzucił John Owens.

– Wyjechałam – odparła sucho Tracy. – Czym ci mogę służyć?

– Nie znaleźliśmy pocisku, który zabił Treja, ale koroner sugeruje, że pochodził z broni czterdziestki.

– Co potwierdza, że strzelano z broni Treja.

– Właśnie. Ale powinnaś też wiedzieć, że Battles ma glocka czterdziestkę i że go zarekwirowaliśmy.

– No i?

– No i ostatnio z niego nie strzelano. Rozmawialiśmy też z żoną Treja. Potwierdziła, że mąż był praworęczny.

– Czyli mało prawdopodobne, żeby sam się zastrzelił.

– Na to wygląda, tyle że w tej wersji jest zagwozdzka. Trejo wziął ze sobą broń w jakimś celu, prawda?

– Raczej tak.

– Czyli możemy założyć, że nie czuł się pewnie, jadąc na to spotkanie, z kimkolwiek był umówiony. Można przyjąć, że zachowywał wzmożoną czujność. A skoro tak, to jak wytłumaczyć to, że pozwolił komuś odebrać sobie broń?

Brzmiało to logicznie, lecz Tracy dosłyszała w tonie Owensa coś jeszcze. Lekki zaśpiew sugerujący, że nie mówi jej wszystkiego.

– Masz mi coś jeszcze do powiedzenia? – spytała.

W słuchawce zapadła cisza i Tracy nawet pomyślała, że połączenie zostało zerwane. Ale po chwili usłyszała głos Owensa:

– Mam tu nagranie wideo, które powinnaś zobaczyć. Znalazłem je dziś w sieci. Wyślę ci mailem link do niego.

– Czego dotyczy?

– Po prostu obejrzyj je sobie. Nie chcę niczego sugerować. Zadzwoń do mnie po obejrzeniu. – Owens się rozłączył.

Wstrzymała odtwarzanie płyty DVD i zajrzała do skrzynki pocztowej. Mail od Owensa już w niej był. Otworzyła go, kliknęła na podany link i zaczęła oglądać nagranie; pochylając głowę bliżej ekranu, czuła ogarniającą ją falę gorąca. A potem się wyprostowała.

– Jasna cholera! – mruknęła pod nosem.

\* \* \*

Nieco ponad godzinę później Tracy postawiła aktówkę na podłodze w swoim boksie na komendzie. Siedzący przy biurkach Del i Faz podnieśli na jej widok głowy.

– Musicie to zobaczyć – burknęła.

– Mamy ci dużo do powiedzenia – odparł Del, wstając od biurka i podchodząc do niej.

– Mam wam dużo do pokazania – rzuciła.

Usiadła przy swoim biurku, nie zdejmując kurtki, wpisała hasło i ściągnęła pocztę.

Del i jego partner stanęli za jej plecami.

– Co to jest? – spytał Faz.

– Tylko spójrzcie na to.

Odczekali, aż wejdzie w link z maila od Owensa i pominie reklamy. Gdy rozpoczął się film, odsunęła się nieco z fotelem, by dać kolegom lepszy widok na ekran, na którym widać było kobietę i mężczyznę stojących blisko naprzeciwko siebie. Oboje mieli na sobie czarne T-shirty, mężczyzna był w szortach, kobieta w spodniach od dresu. On trzymał w ręce żółtą atrapę rewolweru i mówił do kobiety z silnym brytyjskim akcentem, po czym w mgnieniu oka scena uległa zmianie: mężczyzna już nie miał w ręce rewolweru, a kobieta mierzyła z niego w głowę rozbrojonego mężczyzny.

– Co to jest? – spytał Del.

– Nagranie z YouTube'a – odparła Tracy. – Przysłał mi to szef komisariatu z Bremerton. Kobieta na filmie była Leah Battles.

– Obrońcy Treja? – rzucił z niedowierzaniem Faz.

– We własnej osobie.

Obejrżeli, jak instruktor objaśnia akcję rozbrojenia, dzieląc ruchy na poszczególne etapy. Battles tym razem przykładała mu rewolwer do piersi, a instruktor zdecydowanym ruchem okręcał się i uskakiwał z linii strzału; jednocześnie chwycił lewą ręką za nadgarstek ręki trzymającej broń, a prawą mocno uderzył w lufę, kierując ją w bok od siebie.

„Gdyby w tym momencie trzymała palec na spuście, złamałby się”, wyjaśnił instruktor.

Po czym przeszedł do demonstracji innej techniki. Tym razem Battles kierowała lufę w jego brzuch, a on znów zareagował tak szybko, że Tracy trudno było nadążyć wzrokiem za jego ruchami. Mogła jedynie stwierdzić, że ponownie jakimś cudem odebrał kursantce broń i wycelował w nią lufę.

– O cholera! – jęknął Faz.

Instruktor w zwolnionym tempie zademonstrował czteroetapową technikę wytrącania broni z ręki napastnika.

A potem zaczęło się trzecie ćwiczenie i Tracy powiedziała:

– Zależy mi na tym, żebyście się dobrze przyjrżeli właśnie tej części.

Instruktor skierował lufę rewolweru w czoło Leah Battles.

„Kluczem do sukcesu jest to, by ani sekundy się nie wahać, kiedy już podejmiecie decyzję”, powiedział instruktor.

Battles uchyliła się, jednocześnie podnosząc ręce. Uchwyciła broń i skierowała lufę w sufit, jednocześnie markując kopnięcie kolaniem w podbrzusze. Odskoczyła, skierowała lufę w napastnika, walnęła w jego nadgarstki i wyszarpnęła mu broń.

– O co w tym wszystkim chodzi? – spytał Del.

Tracy odchyliła się na oparcie fotela, nie odrywając wzroku od ekranu.

– To jest krav maga – wyjaśniła.

– Krav co? – rzucił Faz.



– Technika, za pomocą której Leah Battles mogła odebrać rewolwer Laszlowi Trejowi i go zastrzelić.

## Rozdział 40

Po wlokącym się w nieskończoność wieczorze, podczas którego starano się koordynować metody działań Wydziału Walki z Narkotykami i Sekcji Ciężkich Przestępstw Kryminalnych, Del i Faz dołączyli do jednostki do zadań specjalnych SWAT i tuż przed czwartą rano wyruszyli do domu Erica Tsenga.

Wynajmowany przez niego dom w Rainier Beach znajdował się niedaleko skrzyżowania, na którym zginął D'Andre Miller, a także placu, na którym odnaleziono subaru Treja. Mogło to sugerować, że właśnie Tseng przyszedł sprawcy wypadku z pomocą, umożliwiając mu pozbycie się uszkodzonego samochodu i powrót do domu. Jeśli Tseng był zaprawionym w bojach dilerem narkotyków, mógł też dysponować odpowiednimi środkami do wytarcia wnętrza samochodu, łącznie z odciskami palców i śladami DNA na poduszce powietrznej. Nadal nie tłumaczyło to jednak tego, kto i jak wykradł taśmę z nagraniem ze sklepu.

Z wcześniejszych obserwacji wiadano, że dom Tsenga jest obłożonym sidingiem w kolorze zielonego groszku budynkiem w stylu hacjendy, który oprócz parteru miał użytkową piwnicę. Podjazd z ulicy prowadził do garażu na dwa samochody, do domu wchodziło się po trzech schodkach. Drzwi i okna na parterze były zakratowane, ale większą przeszkodę niż kraty stanowiły dwa psy biegające za specjalnie wzmocnionym przeciw huraganom ogrodzeniem. Psy wyglądały na mieszańce i nie należały do małych. Miały donośne głosy i ujadały na każdego, kto zbliżał się do ogrodzenia. Mimo że ekipa była wyposażona w sądowy nakaz przeszukania upoważniający do wejścia na posesję bez żadnych ceregieli, wtargnięcie do domu z zaskoczenia nie wchodziło w tej sytuacji w rachubę.

Zgodnie z ustaleniami grupa taktyczna składała się z dwóch pancernych pojazdów i kilkunastu funkcjonariuszy, których zadaniem było zablokowanie ulicy i otoczenie posesji od tyłu. Po zajęciu przez

nich wyznaczonych pozycji bramę pokonali dwaj specjaliści od psów, obezwładnili je i zabrali z podwórza. Jednocześnie, aby odwrócić uwagę mieszkańców domu od ich ujadania, negocjatorka z jednostki SWAT zadzwoniła na numer komórkowy używany przez Evansa w kontaktach z Tsengiem.

– Nikt nie odbiera – powiedziała, kręcąc głową.

Brian Keeley, dowódca jednostki SWAT, zwalisty mężczyzna, kazał jej ponownie zadzwonić, negocjatorka wykonała więc polecenie, ale i tym razem bez rezultatu.

Aby nie dać Tsengowi czasu na dobrojenie się lub zniszczenie dowodów, Keeley rzucił sygnał do rozpoczęcia akcji.

Było parę minut po czwartej rano, gdy antyterrorysty SWAT w pełnym bojowym rynsztunku walnęli taranem w drzwi wejściowe. Metalowa krata ustąpiła z głośnym zgrzytem – w porównaniu z nim drewniane drzwi wydały z siebie tylko cichy trzask. Wpadli do środka szybko i z wyćwiczoną precyzją. Del słyszał w odbiorniku radiowym odgłosy przeszukiwania kolejnych pomieszczeń. Okna w pobliskich domach rozbłysły, psy się rozszczękały, kilku sąsiadów w piżamach, szortach i T-shirtach wyległo na ganki przed domami.

Del i Faz czekali.

Po kilku minutach z domu Tsenga wyłoniło się dwóch antyterrorystów; podeszli do Keeleya i zaczęli coś mówić. Ten przez chwilę słuchał, po czym spojrzał w stronę Dela i Faza i przywołał ich ruchem ręki.

– Wiecie, jak ten gość wygląda? – spytał.

– Tylko ze zdjęcia z wydziału komunikacji – odparł Del, czując, że ludzie ze SWAT-u nie mają dla nich dobrych wiadomości o sytuacji we wnętrzu domu.

Keeley ruszył do wejścia, Del i Faz podążyli za nim. Parter okazał się bardzo skromnie urządzone, ale już na schodach prowadzących do piwnicy Del usłyszał głośną muzykę i poczuł drażniącą woń. Muzyka i woń przybrały na sile po wejściu do piwnicy z siedemdziesięciodwucalowym telewizorem, rozkładanymi fotelami i bogato zaopatrzonym barkiem. Ktoś po chwili wyłączył muzykę, ale pozbycie się drażniącej woni nie było już takie proste. W jednym z foteli leżały zwłoki Erica Tsenga z głową przekrzywioną na bok; krew, która z niej wyciekła, splamiła skórzane obicie i utworzyła

kałużę na podłodze. Del ocenił, że śmierć musiała nastąpić co najmniej dwa dni wcześniej, prawdopodobnie tej samej nocy, kiedy zginął Laszlo Trejo.

## Rozdział 41

Tracy dotarła do domu w Redmond, słaniając się na nogach ze zmęczenia. Miała za sobą raptem parę godzin niespokojnego snu w hotelu na Bremerton oraz cały dzień i całą noc pracy i czekania na wiadomości od Dela i Faza o przebiegu akcji w domu Erica Tsenga.

Del zadzwonił w końcu o piątej rano i przekazał jej złą wiadomość. Poinformował ją też, że obok pomieszczenia ze zwłokami Tsenga natrafili na betonowy bunkier z pancernymi drzwiami. Wewnątrz znaleźli stół z lśniącem czystością stalowym blatem i kratkę odpływową w podłodze. Czysty był nie tylko blat – cały bunkier został wysprzątnięty i pachniał cytryną i bielinką. Opisując go, Del powiedział, że wnętrze bunkra zostało tak pomyślane, by można je było szybko i sprawnie wysprzątać, i najwyraźniej tak się stało. Nie znaleziono żadnych śladów heroiny, żadnych wag ani plastikowych torebek, ale detektywi z kryminalnego mieli dopiero przystąpić do dokładnych oględzin pomieszczenia, łącznie z usunięciem kratki i pobraniem próbek z rury odpływowej.

Przepeytywanie sąsiadów nie przyniosło żadnych rewelacji w kwestii handlu narkotykami. Sąsiedzi nie pamiętali, by do domu Tsenga podjeżdżały jakieś obce samochody lub by o dziwnych porach dnia i nocy odwiedzali go nieznajomi. Opisywali Tsenga jako przyjaznego sąsiada, lecz samotnika, trzymającego się na uboczu i zajmującego własnymi sprawami. Jedna z sąsiadek pamiętała, że odwiedzało go kilka kobiet, ale żadnej nie potrafiła opisać. Wiedziała, że Tseng nie ma żony, więc nie zwracała na niego szczególnej uwagi. Na pytania sąsiadów odpowiadał, że ma w domu firmę konsultingową z dziedziny oprogramowania komputerowego i wizyty u klientów zmuszają go do częstych wyjazdów o różnych dziwnych porach.

Tracy ściągnęła przed drzwiami buty i weszła do środka w samych skarpetkach, by nie obudzić Dana, ale i tak szcęk zamka i skrzypnięcie drzwi – w miesiącach zimowych zacinają się – obudziły

Rexa i Sherlocka i oba psy ze szczekaniem wypadły z sypialni. Parę kroków za nimi wyłonił się Dan. Miał na sobie szorty, skarpetki i bluzę i wyglądało, że szykuje się do porannego biegania.

– Założę się, że bez żalu powitasz koniec swoich nocnych zmian – powiedział z uśmiechem.

Tracy podeszła do stołu i położyła na nim aktówkę, torebkę i kurtkę.

– Już nawet nie wiem, na jakiej jestem zmianie. – Potrząsnęła głową i od razu tego pożałowała, bo poczuła w skroniach łomot, zwiastun bólu głowy z niewyspania.

Dan nachylił się, by ją pocałować.

– Lepiej nie – mruknęła, uchylając się. – Sądząc po smaku w ustach, muszę mieć oddech jak po pleśniowym serze.

– Spytałbym cię, czy masz ochotę pobiegać, ale chyba znam odpowiedź.

– Interesuje mnie tylko bieg do łóżka. – Przeszła do kuchni i nalała wody do szklanki, po czym zaczęła szperać po szafkach w poszukiwaniu aspiryny.

– Czemu tak późno? – Dan spojrzał na zegarek. – A właściwie powinienem powiedzieć „tak wcześnie”.

– Przypuściliśmy szturm na dom faceta, którego Trejo rzekomo zaopatrywał w narkotyki. Chciałam poczekać i zobaczyć, co z tego wyniknie.

– No i?

Piła wodę dużymi łykami.

– Jego znaleźliśmy, ale tylko jego. Żadnych prochów, żadnego narkomańskiego sprzętu.

– Nie zabrzmiało to dobrze.

Wyszła z kuchni i weszła do sypialni.

– Zginął od strzału w skroń, tak jak Trejo. Del twierdzi, że prawdopodobnie tej samej nocy.

– Ktoś robi porządki – domyślił się Dan.

– Na to wygląda. Przeczesała dom, ale bez większych nadziei. – Zsunęła dzinsy z bioder i usiadła na łóżku, żeby je ściągnąć. – Cała sprawa robi się coraz bardziej zagmatwana.

Uniosła kołdrę i wsunęła się pod nią. Sherlock dostrzegł w tym szansę dla siebie, wskoczył na łóżko i ułożył się na środku materaca.

Dan przysiadł na krawędzi, Rex usiadł koło jego nóg i spojrzał z takim wyrzutem, jakby mówił: „Myślałem, że idziemy pobiegać”.

Dan pogłaskał go po łbie.

– Za chwilę pójdziemy, piesku – powiedział i spojrzał na Tracy. – Masz ochotę pogadać o tym?

Nie miała, ale wiedziała, że Dan nie pyta z czystej ciekawości. Miał ostatnio dość własnych problemów, ale jako doświadczony obrońca w sprawach karnych był przydatnym słuchaczem, co pod nieobecność Kinsa było tym cenniejsze. Dan wiedział też, że burza myśli w głowie Tracy uniemożliwi jej szybkie zaśnięcie, a podzielenie się nimi było jak przelanie ich na papier i wyrzucenie wszystkiego z głowy.

– Jasne. – Usiadła, podparła plecy poduszkami i zaczęła się zastanawiać, od czego zacząć. – Laszlo Trejo przejeżdża na czerwonym świetle i potrąca chłopaka na ulicy w Seattle. Co on tam w ogóle robi?

– Ma w samochodzie heroinę i realizuje dostawę.

– Dobra. – Przetarła oczy i uwolniła pole widzenia od pajęczków. – Kto mu pomaga pozbyć się samochodu i wrócić na Bremerton?

– Najprostszą odpowiedzią jest odbiorca heroiny, ale skoro obaj nie żyją, nie będziesz mogła tego udowodnić.

– Zgoda. Bardzo wątpliwe, by udało się to udowodnić, ale możliwe, że to Tseng mu pomógł. – Skrzywiła się, czując narastający ból głowy.

– Nie bardzo wiem, jak to ugryźć. Normalnie uznałabym to za nieudaną transakcję narkotykową, ale mamy też do czynienia z zaginięciem nagrania ze sklepu spożywczego i nie jestem skłonna traktować tego jako nieszczęśliwego zbiegu okoliczności.

Znów oparła głowę o poduszki. Czuła rozchodzące się po ciele zmęczenie, powieki zaczynały jej ciążyć.

– Kto miał dostęp do taśmy wideo? – spytał Dan.

– Każdy, kto ma dostęp do budynku BOP.

– Czyli kto?

Nabrała powietrza.

– Battles, czyli obrończyni Treja, oskarżyciel, jego asystentka, protokolant sądowy, sprzątacze. Ale przed wyjazdem z Bremerton dostałam kopię nagrania z kamery bezpieczeństwa w holu i wynika z niego, że od wieczoru do rana następnego dnia nikt poza sprzątaczem nie wchodził ani nie wychodził z budynku.

- Oglądałaś to nagranie?
  - Jeszcze nie.
  - No to...
  - Wiem od Leah Battles i jej bezpośrednio przełożonej, co na nim jest. Oglądały je w dniu zaginięcia taśmy.
  - Czy mógł to zrobić sprzątac?
- Tracy pomyślała o Alu Tulowitskym i jego szefie, Garym Buchmanie.
- Możliwe, ale mało prawdopodobne.
  - A co myślisz o Battles? – spytał Dan.
- Opowiedziała o przesłanym przez Owensa nagraniu z YouTube’a, na którym Battles rozbija trzymającego broń napastnika.
- Tracy, wiem, że nie chcesz wierzyć, że to ona, ale wszystko na to wskazuje. Mieszka w Seattle. Miała okazję zabrać taśmę. Nie ma alibi na czas zabójstwa Treja, a teraz jeszcze się okazuje, że umiałyby odebrać mu broń. Co o niej naprawdę wiesz?
  - Niewiele. Pewnie rzeczywiście za mało.
  - Więc może od tego powinnaś zacząć.
  - Dobra – mruknęła. – Ale najpierw muszę trochę pospać.
  - Im mniej masz snu, tym bardziej go cenisz.
- Uśmiechnęła się.
- Powiedziałaś, że dostałaś kopię nagrania z kamery bezpieczeństwa w budynku z tamtej nocy?
  - Co?
  - Nagranie z kamery bezpieczeństwa. Chcesz, żebym je obejrzał?
  - Na płycie DVD w mojej aktówce – odparła już prawie przez sen.
  - Przyjmuję to jako odpowiedź „tak”.

\* \* \*

Dan przytrzymał drzwi wejściowe, żeby nie trzasnęły, wpuścił psy i wszedł do środka. Biegał z nimi przez pięćdziesiąt minut po ścieżkach za domem – łącznie jakieś osiem kilometrów – i zakończył dziesięciominutowym spacerem dla ochłonięcia. Nie chciał, żeby psy wpadły do domu i buszując jak pijane, obudziły Tracy. Przed wyjściem zamknął wprawdzie drzwi sypialni, ale przy ciasnocie domu miało to znaczenie nieco symboliczne, a widział przecież, jak jest skonana.



Praca detektywa pod wieloma względami przypomina pracę prawnika. Można wyjść z pracy, ale nie daje się od niej uciec. Myślał o swoich sprawach i klientach, kładąc się do łóżka wieczorem i rano wstając. Myślał o nich pod prysznicem, podczas biegania i zakupów w miejscowym sklepiku. I wiedział, że z Tracy jest podobnie, że nieustannie szuka w myślach tego jednego dowodu, którego wcześniej nie dostrzegła lub który przeoczyła. Podczas spędzanych w domu wieczorów obowiązywała zasada „nie rozmawiamy o pracy”, chyba że któreś chciało się poradzić lub zrzucić z siebie ciężar.

W kuchni nalał wody do psich misek i postawił je na podłodze. Gdy Rex i Sherlock zabrały się do chłeptania, napełnił wodą szklankę i wyjął z szafki witaminy i glukozaminę. Lat mu przybywało i podczas każdego biegu przypominały mu o tym kolana. Leśne trakty stanowiły wprawdzie wielki postęp w stosunku do betonowych nawierzchni w Alki Beach, lecz bólu w stawach nie eliminowały.

Zaniósł szklankę i witaminy do dużego pokoju i otworzył aktówkę Tracy. Usiadł przy stole, włączył laptopa, włożył płytę i odczekał, aż się załaduje. Wrzucił do ust garść witamin, popił wodą i otarł strużkę potu z policzka. Jako obrońca sądowy miewał nieraz do czynienia z nagraniami wideo, choć zazwyczaj stał po drugiej stronie barykady i w przeciwieństwie do Tracy, starał się nie dopuścić nagrania jako dowodu w postępowaniu. W sprawach cywilnych obrońcy często wynajmują prywatnych detektywów, każą im śledzić rzekomo poszkodowanych i nagrywać ich w najmniej spodziewanym momencie, po czym wykorzystują te nagrania w sądzie jako dowód, że skarżący wcale nie są tak poszkodowani, jak twierdzą. Reguły dotyczące dopuszczania takich dowodów są bardzo rygorystyczne. Najtrudniejszą przeszkodą do pokonania przez adwokata pragnącego zaliczyć nagranie do materiałów dowodowych jest pochodzenie tego nagrania. Trzeba udowodnić, że rzetelnie ukazuje to, co naprawdę się wydarzyło, a to często wymaga wezwania rzeczoznawcy mogącego zaświadczyć, że nie zostało zmontowane lub w inny sposób zmanipulowane. I Dan zwykle na tym skupiał się na początku.

Gdy płyta się załadowała, przyjrzał się wnętrzu holu w budynku biurowym, z recepcją po prawej stronie. Wcisnął PLAY, odchylił się na oparcie krzesła i zabrał do oglądania; od czasu do czasu włączał szybkie przesuwanie do przodu i pomijał fragmenty, podczas których

nic się nie działo. Otarł kolejne krople potu ze skroni i przyjrzał się wysokiemu Azjacie, który zszedł ze schodów i podszedł do jednych z drzwi w korytarzu. Azjata zapukał i otworzył je, a Dan zanotował na kartce godzinę: 22.31. Pamiętając relację Tracy z przesłuchania z artykułu 32., domyślił się, że to musi być Brian Cho, oskarżyciel. Dan znów wcisnął szybkie przesuwanie. O 22.37 Cho wyszedł z pokoju i zamknął za sobą drzwi; zatrzymał się na moment, by włożyć połowę czapkę. Zbliżywszy się do kamery, pokręcił głową, jakby się czemuś dziwił.

Wkrótce potem z pomieszczenia wyszła kobieta z kartonowym pudłem w rękach i oddaliła się od kamery. To musiała być Leah Battles, obrończyni oskarżonego. Dan znów zanotował godzinę: 22.49. Wcisnął szybkie przesuwanie i gdy Battles, wracająca do swojego gabinetu, znów się pojawiła, powrócił do normalnego odtwarzania. Timer pokazywał godzinę 22.54. Dan przyspieszył odtwarzanie i zwolnił, kiedy Battles ponownie wyszła ze swojego pokoju. Zdążyła się już przebrać z munduru polowego w strój sportowy i przechodząc obok kamery, włożyła na głowę kask rowerowy. Dan zanotował, że miała na ramieniu plecak, i dopisał:

*Czy wychodząc z budynku, Battles mogła mieć w plecaku kasetę video?*

Odchylił się na oparcie krzesła i pijąc wodę, spojrział na psy. Oba leżały rozciągnięte w plamie słońca na podłodze. Przeniósł wzrok na ekran i ponownie skupił uwagę na nagraniu w chwili, gdy do budynku wszedł sprzątac. Dan zanotował godzinę: 23.03. Mężczyzna zaczął opróżniać kosze ze śmieciami. Dan przyspieszył odtwarzanie i sprzątac zaczął się miotać po holu i korytarzu – wchodził do kolejnych pokoi i z nich wychodził. Gdy opuścił budynek frontowymi drzwiami, Dan wcisnął pauzę, zanotował godzinę – 23.17 – i zapisał w notatniku:

*A sprzątac piętra?*

Ten, który sprzątał na parterze, powrócił o 23.26. W jednej ręce miał wiadro ze środkami czystości, w drugiej odkurzac; zostawił go w holu i wyszedł z wiadrem z pola widzenia kamery – zapewne do toalet.

Dan po raz kolejny wcisnął szybkie przesuwanie i spowolnił je w chwili powrotu sprzątacza, który odstawił wiadro ze środkami

czystości i zabrał się do odkurzania. Po skończeniu zabrał wiadro i odkurzacz i wyszedł z budynku. Timer pokazywał godzinę 00.13. Od tej chwili nikt już nie wszedł ani nie wyszedł z budynku i dopiero o 7.15 rano pojawił się Cho, przeszedł obok kamery i wszedł na schody prowadzące na piętro. Odtąd co chwila ktoś przychodził, a o 7.42 zjawiała się Leah Battles.

Wyłączył odtwarzanie i zapisał w notatniku:

*Sprzątacznik ma motyw?*

*Protokolant?*

*Leah Battles?*

*Cho? Przyszedł wcześniej następnego dnia. Czy protokolant był już w biurze? Po co Cho miałby zabierać taśmę?*

Odłożył długopis, upił łyk wody i zamyślił się. Po chwili wcisnął przewijanie i odtworzył nagranie od tyłu. Nauczył się tej sztuczki od doświadczonego obrońcy sądowego jeszcze w czasach pracy w Bostonie. Adwokat powiedział mu wtedy, że odtwarza nagrania od tyłu, aby wyeliminować podświadome reakcje oczu i umysłu, które antycypują, co się ma wydarzyć, zamiast koncentrować się na tym, co się rzeczywiście dzieje. Powiedział też, że pozwala mu to skupiać się nie tyle na osobach, ile na otoczeniu.

Po paru minutach coś zwróciło uwagę Dana, a przynajmniej takie odniósł wrażenie. Zatrzymał nagranie, odtworzył je do przodu i po chwili znów cofnął, potem jeszcze raz i jeszcze raz. Przypatrując się drzwiom po drugiej stronie korytarza, naprzeciwko tych od gabinetu Leah Battles, próbował wychwycić, czy w trakcie nagrania coś się w nich zmieniło. Wydawało mu się, że drzwi zostały w tym czasie odrobinę bardziej przymknięte, choć nikt ich nie dotykał. W każdym razie nikt na ekranie. Dan cofnął nagranie i raz jeszcze odtworzył je do przodu. Sprzątacznik wyszedł z budynku o 23.17, tocząc przed sobą pojemnik ze śmieciami. Dan wpatrzył się w drzwi w korytarzu. Tuż przed powrotem sprzątacza o 23.26 drzwi wyglądały na nieco bardziej przymknięte niż przed jego wyjściem. By się upewnić, jeszcze raz odtworzył ten fragment, przekonał się, że się nie myli, i pozwolił nagraniu biec dalej. Sprzątacznik zabrał wiadro ze środkami czystości do toalet i Dan stwierdził, że drzwi w korytarzu znów lekko zmieniły położenie: tym razem były nieco bardziej uchylone, ale znów nikogo przy nich nie było, w każdym razie na nagraniu.

Wziął do ręki notatnik i zapisał w nim trzy punkty:

- *położenie drzwi o 23.17, w chwili wyjścia sprzątacza z budynku;*
- położenie drzwi o 23.26, w chwili powrotu sprzątacza do budynku;
- położenie drzwi w chwili opuszczenia budynku przez sprzątacza.

W budynku marynarki wojennej harcował jakiś duch albo ktoś zmanipulował nagranie.

## Rozdział 42

Tracy obudziła się, podskoczyła i wrzasnęła. Sherlock też się zerwał i zaczął szczeakać.

Dan stał przy łóżku z laptopem w rękach i wpatrzony w nią z głupkowatym uśmiechem, przeproszał, że ją obudził, ale jego skrucha nie wyglądała na zbyt szczerą.

Potrzebowała chwili, by uspokoić oddech i dojść do siebie.

– Nawet Stephen King zesrałby się ze strachu – mruknęła w końcu.

Słuchając przeprosin męża, spojrzała na zegar na toaletce. Południe. Miała trzy godziny do początku kolejnej wieczornej zmiany. Nawet gdyby miała trzy dni, też uznałaby, że to za mało. Była zamroczone i chciało jej się spać.

– Muszę ci coś pokazać – powiedział Dan.

– Mam nadzieję, że to coś ważnego. Bo nastawiłam budzik na pierwszą, więc jesteś mi winien godzinę snu.

Usiadł na krawędzi materaca i odtworzył nagranie na laptopie, odcytując trzy punkty zapisane w notatniku i pokazując palcem zmiany w położeniu drzwi naprzeciwko gabinetu Leah Battles.

– Ktoś manipulował przy tym nagraniu – powiedział. – Zostało zmontowane.

– Rzeczywiście na to wygląda – potwierdziła.

Wstała i zaczęła się ubierać.

– To wszystko zmienia. Naprawdę wszystko. Jak im się to udało?

– Tego nie wiem.

Tracy pomyślała o Mike’u Meltonie.

– Znam kogoś, kto będzie wiedział.

\* \* \*

Tuż po rozpoczęciu zmiany o piętnastej Tracy wkroczyła do budynku Laboratorium Kryminalistycznego Policji Stanu Waszyngton

przy Airport Way, trzymając w ręce kopertę z płytą DVD. Koledzy Mike'a Meltona nazywali go Grizzly Adams, ale ona wolała mówić na niego Oz, jak na postać z *Czarnoksiężnika z Krainy Oz*, tyle że Melton nie był chowającym się za parawanem szarlatanem. Był prawdziwym czarodziejem.

Gabinet pachniał octem z niedojedzonej porcji sałaty w misce na biurku. Melton uniósł głowę i przyjrzał się wchodzącej Tracy znad okularów tkwiących na czubku nosa, odłożył czytany dokument i odchylił się na oparcie fotela.

– Nie najlepiej wyglądasz – rzucił.

– Serdeczne dzięki – burknęła urażonym tonem. – Tylko tego mi było potrzeba.

Melton wychylił się do przodu.

– Nie miałem nic złego na myśli. Chciałem tylko powiedzieć, że wyglądasz na zmęczoną.

– Masz w domu żonę i sześć córek i wciąż jeszcze nie wiesz, kiedy kobieta cię zwodzi?

Wybuchnął tubalnym śmiechem.

– I pewnie nigdy się nie dowiem. – Rękawy kraciastej koszuli miał podwinięte do łokci masywnych rąk i wyglądał jak drwal, który za chwilę powali siekierą pień drzewa.

Tracy wskazała miskę z sałatą.

– Chcesz mi zaimponować czy może kolejna z twoich córek wychodzi za mąż i musisz znów się wbić w smoking?

– Dla pierwszych trzech się wbiłem, ale boję się, że dla następnej już mi się nie uda, nawet jeśli nie będę jadł nic poza sałatą. – Wziął do ręki miskę. – Ale żona uznała, że muszę się zmieścić w to idiotyczne ubranie, bo za dużo nas kosztowało.

– Widziałeś się z Delem?

– Był u mnie kilka dni temu ze swoim partnerem. Dobrze wygląda. Może zarazi tym Faza.

– Wątpię.

Melton wskazał na żółtą kopertę w ręce Tracy.

– To ta płyta?

Zadzwoiła do niego z domu, przekazała domysły Dana i poprosiła, aby rzucił okiem na nagranie. Podała mu kopertę i kartkę z notatnika

Dana z zapisanymi trzema punktami, które wzbudziły jego wątpliwości.

Wyjął płytę z koperty, wsunął ją do napędu w swoim komputerze i wpatrzył się w ekran monitora poprzez zsunięte na koniec nosa okulary. Tracy obeszła biurko, stanęła za jego plecami i przyglądała się, jak wklepuje jakieś polecenia sprawdzające plik wideo.

Przez chwilę patrzył na wyniki.

– Na pierwszy rzut oka wszystko wygląda w porządku – odezwał się w końcu. – W prawym dolnym rogu ekranu masz wygenerowaną datę i czas nagrania.

– To te drzwi. – Tracy wyciągnęła rękę nad jego ramieniem i pokazała drzwi naprzeciwko pokoju Leah Battles.

– I mam ci powiedzieć, czy zwariowałaś, czy w bazie marynarki wojennej straszy lub czy ktoś zmanipulował to nagranie, tak? – Nie odrywał wzroku od ekranu.

– Właśnie.

– To jest kopia nagrania?

– Na tej płycie? Tak – odparła, mając w pamięci rozmowę z Rebeccą Stanley.

– Hm.

– Co?

– Byłoby lepiej mieć oryginał.

– Postaram się go zdobyć. Ale wyjaśnij mi dlaczego.

– Oho! – Melton dotarł do pierwszej zmiany położenia drzwi. Zatrzymał odtwarzanie, cofnął i wcisnął PLAY. – Proszę, jest. Drzwi zdecydowanie zmieniły położenie. – Odchylił się na oparcie fotela, nie przestając obserwować ekranu.

– Dlaczego oryginał byłby lepszy? – powtórzyła pytanie Tracy.

Melton rzucił okiem na zapiski Dana i znów postukał w klawiaturę.

– Zmanipulowanie oryginału jest praktycznie niemożliwe. – Spojrzał na nią przez ramię. – Tak przynajmniej mówią. Nie wiem, nie jestem maniakiem komputerowym, za wcześnie się urodziłem, ale wiem, że to bardzo trudne. Jeśli ktoś chciał zmontować to nagranie, to musiał najpierw je skopiować. Wtedy za pomocą specjalnego oprogramowania mógł usunąć z niego stempel z datą i czasem nagrania, przemontować obraz i ponownie nałożyć na niego stempel, tak by całość wyglądała na nietkniętą. O, proszę! Znowu. Ani chybi

duch. – Wcisnął STOP, cofnął nagranie i ponownie odtworzył. Tym razem wyciągnął palec i bąknął: – O tu, widziałaś?

– Drzwi się poruszyły?

– Nie patrz na nie. Patrz na szparę między drzwiami a futryną. Przyjrzyj się cieniowi.

Tracy przysunęła się bliżej i oparłszy brodę na ramieniu Meltona, poczuła zapach jego wody kolońskiej. Szpara między drzwiami a futryną pociemniała.

– Ktoś za nimi stoi – szepnęła.

– Na to wygląda. Coś rzuca ten cień. Patrz teraz. Cień zniknął.

– Dlaczego nie mogliby zmanipulować oryginału? – spytała.

– Z tego, co wiem, nagrania z kamer bezpieczeństwa są zabezpieczane przez producenta specjalnym kodem, który uniemożliwia jakiegokolwiek zmiany w nagranych materiale. Taki kod to na przykład zero-zero-zero-jeden-jeden-jeden-zero-zero-zero-jeden-jeden-jeden. Jakakolwiek próba montażu nagrania jest wtedy widoczna, bo to jak naruszenie znaku wodnego.

Tracy wyprostowała się.

– Ile czasu zajęłoby dokładne sprawdzenie tego?

Melton wcisnął STOP i wysunął płytę z komputera. Tracy wzięła kartkę z zapiskami Dana i przeszła na drugą stronę biurka.

– Dam to koledze w laboratorium, który siedzi w takich sprawach – powiedział Melton. – To jego konik.

– Potrzebne mu będą te notatki? – spytała Tracy.

– Nie sądzę. – Melton spojrzał na zegarek. – Nie wiem, czy go jeszcze złapię o tej porze, ale jeśli jest i nie ma nic pilnego do roboty, to ustalenie, czy nagranie zostało zmontowane, nie powinno długo potrwać. Przekażę mu to i dam ci znać.

\* \* \*

Tracy ściszyła radio w samochodzie i wyruszyła w drogę do pracy, myśląc o tym, że ktoś celowo zmontował nagranie, by ukryć czyjeś wejście i wyjście z budynku. Jeśli tak, to nasuwały się od razu dwa problemy.

Po pierwsze, komu może o tym powiedzieć?



Nie powinna iść z tym do Stanley, bo to ona przekazała jej płytę z nagraniem, a zatem mogła być zamieszana w jego zmanipulowanie. Nie powinna też dzwonić do szefa ochrony, który dostarczył kopię nagrania, bo także on mógł maczać palce w montażu czy nawet sam go zrobić na czyjeś polecenie. Nie powinna zwrócić się do Leah Battles ani do Briana Cho, bo to jedno z nich – z własnej inicjatywy lub na czyjeś polecenie – mogło się wślizgnąć do budynku, ukraść taśmę, schować się w pokoju po drugiej stronie korytarza i odczekać na wyjście sprzątacza po skończonej pracy. Oboje wiedzieli, gdzie jej szukać, i oboje znali jej wartość dowodową. Pracując w tym budynku, musieli też znać zwyczaje i harmonogram protokolanta sądowego i wiedzieć, że tego wieczoru poszedł już do domu. Znali też harmonogram zajęć sprzątacza. Nie wiadomo tylko, jak mogliby zafałszować nagranie z kamery bezpieczeństwa, chyba że mieli w tej służbie jakichś współpracowników. A jeśli tak, to w pogłoskach o udziale marynarki wojennej w próbie zamieszczenia wszystkiego pod dywan mogło być ziarno prawdy. Zmontowanie taśmy stawiało wiele pytań, ale właściwie zwalniało od podejrzeń sprzątacza. Na pewno trzeba było wyjaśnić, jak ktoś mógł się dostać do budynku BOP bez wpisania czterech cyfr numeru ubezpieczenia społecznego.

Przed wyjściem z domu Tracy próbowała dopasować ludzi na nagraniu do numerów wpisanych tego wieczoru do szyfratora. Z dokumentacji wynikało, że Cho, Stanley i Battles nie wpisali swych numerów, by ponownie wejść do budynku. W każdym razie w rejestrze dostarczonym przez Stanley nie było żadnego z tych numerów. A może rejestr też został zmanipulowany? Coś jej przyszło do głowy i szybko zjechała na pobocze. Sięgnęła po aktówkę i wyjęła z niej rejestr numerów. Na nagraniu Al Tulowitsky potrzebował dziewięć minut od wyjścia z budynku na pozbycie się śmieci i powrót – chyba trochę za długo. Sprawdziła rejestr wejść i odnotowała, że wszedł o 23.03. Przejechała palcem po rejestrze, ale nie natknęła się ponownie na te same cztery cyfry. Czyli Tulowitsky nie wpisał swego kodu, gdy po wyniesieniu śmieci wrócił do budynku o 23.26.

Odchyliła się na oparcie siedzenia i zaczęła się zastanawiać, czy to sprzątacz mógł zabrać kasetę wideo z pokoju Battles, kiedy przyszedł go posprzątać, a potem schować ją w furgonetce lub przekazać komuś

po wyjściu. Mógł to zrobić stosunkowo łatwo, lecz to i tak nie tłumaczyło braku jego numeru w rejestrze po ponownym wejściu do budynku ani tego, że ktoś się przed nim krył za drzwiami w korytarzu.

Czemu pozbycie się śmieci zajęło Tulowitsky'emu aż dziewięć minut? I dlaczego nie wpisał swego kodu? A może istnieje jakaś inna metoda wejścia do budynku? Pamiętała, że pytała już o to Battles, a ta zaprzeczyła.

Tracy miała jednak jeszcze inny problem. Spojrzała na datę na swoim smartfonie i zastanowiła się, czy oryginalne nagranie z kamery bezpieczeństwa wciąż istnieje, czy zostało już zastąpione nowym. Rebecca Stanley twierdziła, że w marynarce wojennej obowiązuje polityka archiwizowania nagrań, lecz albo nie знаła jej szczegółów, albo celowo ich Tracy nie podała. Nie mówiąc o tym, że polityka polityką, ale ktoś i tak mógł przypadkowo lub celowo skasować nagranie.

Odszukała w wykazie połączeń przychodzących niedawną rozmowę z numerem kierunkowym 360 i wcisnęła POŁĄCZ. Owens odebrał po drugim dzwonku. Tracy poinformowała go o swych odkryciach, po czym spytała:

- Powiedziałeś, że masz częste kontakty z ludźmi z bazy, tak?
- To oczywiste w tym miejscu – potwierdził.

Nagły podmuch wiatru zakołysał samochodem. Deszcz nie przestawał lać, miasto tonęło w ciemnoszarych strugach z grubej warstwy chmur.

– Chciałabym dostać się dziś do biura ochrony. Mógłbyś to zaaranżować?

- Mogę spróbować – odparł Owens.
- Ale tak, żeby nikt nie wiedział o naszej wizycie.
- Rozumiem.

– Chciałabym też jeszcze raz porozmawiać z tym sprzątaczem, Alem Tulowitskim, ale nie w jego firmie i nie w obecności jego szefa.

– Myślisz, że jest w to zamieszany?

– Być może nieświadomie. Mam pewną teorię. Postaraj się z nim skontaktować. Przypląnę następnym promem, jeśli będą miejsca.

– O tej porze dnia ludzie wracają z pracy i pewnie będzie pełny. Po prostu zostaw samochód i wejdź na pokład – poradził jej Owens. –

Wyjadę po ciebie na przystań.

\* \* \*

Leah Battles siedziała beczynn timer przy biurku, z wolna popadając w szaleństwo. Odbyla rozmowę telefoniczną z Waszyngtonem, ze śledczymi do spraw etyki, w trakcie której omal się nie porzygała. Teraz zostało jej już tylko czekać na ich decyzję co do postawienia jej w stan oskarżenia za naruszenie zasad etyki zawodowej, co niewątpliwie zakończyłoby się sądem wojskowym. Groźba ta bezustannie nad nią wisiała. Nie mogła nawet wyjść ze swojej dziupli i spróbować zabić czas rozmowami z kolegami. Była na cenzurowanym i wszyscy omijali ją szerokim łukiem. Nie byli wobec niej wrogo nastawieni, nawet się uśmiechali i kiwali głowami, niektórzy rzucali „Cześć”, ale nikt się nie zatrzymywał, by spytać, jak sobie radzi. Przychodzenie do pracy stawało się niemal nie do zniesienia. Jeśli dowództwo zamierzało postawić ją przed sądem, chciałaby, żeby się to już wreszcie stało. Proces dałby jej przynajmniej okazję do skupienia na czymś uwagi, a to lepsze od beczynności i umierania z nudów.

Czuła się tak, jakby od śmierci Treja wszystko uległo zawieszeniu, łącznie z jej przyszłością.

Zbliżała się czwarta po południu, gdy z otępienia wyrwało ją ciche pukanie do drzwi. Zaskoczyło ją to, bo pierwszy raz od tygodnia ktoś do niej pukał. Pewnie Darcy, bo recepcjonistka była jedyną osobą w biurze, której zdarzało się wykraczać poza powierzchowne uprzejmości.

– Proszę.

Drzwi się otworzyły i do pokoju weszła Rebecca Stanley. Battles szybko wyłączyła komputerowy pasjans, którym zabijała czas, i wstała.

I nagle sparaliżował ją strach.

*Uważaj, o czym marzysz*, powiedziała jej matka.

Kapitan zaglądała do niej rzadko i nigdy nie na towarzyską pogawędkę. A poza tym Battles wiedziała, że złe wiadomości najlepiej przekazywać osobiście.

– Strasznie tu posepnie – powiedziała Stanley. Jedynym źródłem światła w pokoju była teraz lampa biurkowa z abażurem od Tiffany’ego, więc kapitan sięgnęła do wyłącznika i zapaliła jarzeniówki na suficie. – Powinnaś mieć pokój z oknem. Choć nie wiem, czy przy takiej pogodzie jak ostatnio cokolwiek by to zmieniło.

Czy to, że przełożona wspomniała o innym pokoju, to dobry znak? – przemknęło Battles przez myśl.

– Mieszkańcy Seattle zniechęcają obcych do przeprowadzki, strasząc ich pogodą – powiedziała.

– Też tak słyszałam. – Stanley usiadła na jednym z dwóch krzeseł. – Wszystkim nam przydałoby się więcej witaminy D.

Zapadło niezręczne milczenie, które w końcu przerwała Battles.

– Rozumiem, pani kapitan, że to nie towarzyska wizyta. – Zdobyła się nawet na uśmiech.

– Obawiam się, że nie. Do moich obowiązków należy przekazywanie również złych wieści.

– Tak przypuszczałam.

– Tyle że tym razem mam złą i dobrą wiadomość. Którą chcesz usłyszeć jako pierwszą?

– Idźmy na całość. Niech pani przekaże obie.

Stanley łagodnie się uśmiechnęła i lekko wydeła usta.

– Dobra. – Jeszcze chwilę milczała, jakby się zastanawiała, od czego zacząć. Battles przyszło do głowy, że może to oznaczać, że Stanley ma dla niej bardzo złą i tylko trochę mniej złą wiadomość. – Po pierwsze, mam ci do przekazania, że po wyczerpującej dyskusji komisja do spraw etyki zawodowej zdecydowała, że nie wystąpi o postawienie cię przed sądem wojskowym.

Battles w pierwszym odruchu odetchnęła z ulgą, zaraz się jednak zasepiła. Wiedziała, co w takim przypadku znaczy „wyczerpująca dyskusja”.

– Czyli uznali, że mają za słabe dowody przeciwko mnie – bąknęła.

– Nie są w stanie ustalić, co się stało z nagraniem – potwierdziła Stanley. – A bez konkretów nie mogą wyciągać ostatecznych wniosków. Być może taśma po prostu gdzieś się zapodziała, została przypadkiem wyrzucona lub ktoś ją zabrał w niecznych celach. W tej sytuacji brak wystarczających dowodów na postawienie tak ciężkiego zarzutu jak zaniedbanie obowiązków służbowych.

– Czyli ich decyzja nie oznacza uznania mnie za winną lub niewinną.

Kapitan pokręciła głową.

– W uzasadnieniu komisji będzie wyraźnie zaznaczone, że brak wystarczających dowodów na podjęcie ostatecznej decyzji.

– Brak wystarczających dowodów – powtórzyła Battles, prostując się w fotelu. Przemknęło jej przez głowę, że powinna powiedzieć Stanley, że chce stanąć przed sądem i udowodnić swą niewinność, pomyślała jednak, że wystąpienie z takim wnioskiem w jej obecnym stanie emocjonalnego rozedrgania nie byłoby rozsądne.

– Zdaję sobie sprawę, że nie tego oczekiwałaś – przyznała Stanley.

– Nie, nie tego.

– Ale po śmierci Treja nikt już nie może być do końca pewny, co się stało z taśmą. A nagranie z kamery bezpieczeństwa niczego nie przesądza.

– Na przykład tego, że mogłam ukryć taśmę w plecaku?

– Wszystko ma charakter poszlakowy.

Battles popatrzyła na abstrakcyjny obraz przedstawiający dworzec kolejowy w Seattle, widziany z okna jej mieszkania. Był to jeden z jej najlepszych obrazów, ale wątpiła, by go kiedyś w pełni doceniła. Namalowała go ostatnio, kiedy tkwiła w bezczynności.

– I to jest ta dobra czy zła wiadomość? – spytała.

– Zależy, jak do tego podejdziesz.

– Mam nadzieję, że zła.

Stanley odchyliła się na oparcie krzesła.

– Zostajesz przeniesiona – oświadczyła. – To dla ciebie niekoniecznie zła wiadomość, choć dla mnie tak. Jesteś mi tu potrzebna, Lee. Jesteś moim najlepszym obrońcą sądowym.

Wiadomość zaskoczyła Battles, choć w wojsku przeniesienia służbowe nie są niczym niezwykłym. Była nie tylko dobrym obrońcą, ale też dwukrotnie zdobyła tytuł obrońcy roku. Decyzja o przeniesieniu najwyraźniej nie miała nic wspólnego z jej zasługami i wynikami w pracy, a to znaczyło, że się jej pozbywają. Zsyłają, dając wszystkim do zrozumienia, że jest winna, tylko nie potrafią tego udowodnić.

– Dowództwo uważa, że w związku z tym, co się stało, nie możesz dłużej pełnić obowiązków oficera w JAG. Uznano, że najlepiej będzie

przenieść cię do innej bazy.

– I dokąd mnie przenoszą?

– Do Garnizonu Północ.

– Do Waszyngtonu? – Nie mogli znaleźć lokalizacji odleglejszej od Seattle, nawet gdyby bardzo się starali. Ani bardziej na widoku komisji etyki zawodowej. W praktyce oznaczało to, że ściągają ją do siebie, aby móc mieć na nią oko, i zapewne powierzą jej jakieś nic nieznaczące stanowisko w administracji.

– Tak.

– Będę nadal występowała przed sądem?

– Nie od razu.

– Czy trafię przynajmniej do biura dowództwa?

– Nie. Ale myślę, że z czasem będziesz mogła awansować.

– Czyli... nie. – Sprawa była jasna. Będzie przykuta do biurka do końca służby, potem się jej pozbędą. Ale może tak będzie lepiej. Odejdzie z marynarki wojennej i znajdzie sobie prawdziwą pracę za prawdziwe pieniądze. Będzie bronić klientów mających dużo do stracenia. Może nawet założyć własną kancelarię.

– Przykro mi się z tobą żegnać, Lee. Mam nadzieję, że wiesz, że zrobiłam wszystko, by cię zatrzymać. Ale Waszyngton to wspaniałe miejsce.

– Kiedy mam stąd wyjechać?

– Zostaniesz tu do końca miesiąca, potem będziesz miała dwa tygodnie na zameldowanie się w Garnizonie Północ.

Battles pokiwała głową, powoli przetrawiając wiadomość. Nie miała wyboru. Wkładając mundur, praktycznie straciła wolność wyboru miejsca pracy i zamieszkania.

– Nie śpiesz się z podjęciem nowej pracy. Odsapnij trochę, wyjedź gdzieś, odpocznij, zanim się zameldujesz w Waszyngtonie.

Będzie musiała poszukać mieszkania i nowej grupy krav magi. Będzie musiała znaleźć sobie ujście energii po tygodniu wymuszonej bezczynności.

– Może to dobry pomysł – rzuciła.

– Nie zrobiłabyś nigdy prawdziwej kariery w marynarce – powiedziała Stanley i zanim Battles zdążyła zaprotestować, ciągnęła: – Jesteś za dobrym adwokatem, a dla dobrych adwokatów ta praca jest zawsze tylko etapem przejściowym. Zdobyłaś bogate doświadczenie

sądowe, jakie rzadko się trafia prawnikom cywilnym. Wiele czołowych firm prawniczych w stolicy z radością cię zatrudni.

– Pewnie tak. – Battles pomyślała, że może w sumie było warto, bez względu na konsekwencje. – A co z Trejem?

– To znaczy?

– Co postanowili w jego sprawie? Widziałam tu wczoraj tę detektyw z policji.

– Nie wiem. Ona twierdzi, że wątpi w samobójstwo Treja.

– Uważa, że ktoś go zastrzelił? Wyjaśniła, dlaczego tak sądzi?

– Nie. Poprosiła o kopię nagrania z kamery bezpieczeństwa w budynku. Powiedziałam, że już widziałam to nagranie i niczego w nim nie znalazłam.

– Ale i tak wzięła kopię?

– Miała nakaz.

Ciekawe, co ta Tracy Crosswhite kombinuje, zastanawiała się Battles.

– Chodź – powiedziała kapitan, wstając. – Pozwól zaprosić się na drinka.

Battles była pogrążona w myślach. Skoro Crosswhite zażądała nagrania, to znaczy, że policja nadal się tym zajmuje. Ale dlaczego? Trejo już nie żyje, a jedynym punktem zaczepienia dla policji był spowodowany przez niego wypadek. Zaginięcie taśmy było sprawą marynarki wojennej. Raz jeszcze powróciła myślami do rozmowy z Crosswhite w komisariacie policji na Bremerton. Do jej pytań, czy i jak Trejo mógł wnosić coś na pokład i z niego wynosić bez wiedzy innych. A potem znów przypomniała sobie o tym nieszczęsnym nagraniu.

– Lee?

– Słucham?

– Daj się zaprosić na drinka.

Battles już wcześniej wychodziła z kapitan, ale zwykle były to robocze lunchy, podczas których omawiały jakąś sprawę. Nie zdarzyło się ani razu, by poszły razem gdzieś po pracy.

– Dzięki za zaproszenie – powiedziała.

– Od ciebie będzie zależało, jak wykorzystasz to przeniesienie. Waszyngton może być dla ciebie początkiem wielkiej kariery. To

bardzo zmilitaryzowane miasto, pełne różnych możliwości, zwłaszcza dla kogoś młodego i zdolnego.

– Dzięki – powtórzyła Battles, myśląc jednocześnie, że kapitan nie posunęła się jednak do zaproponowania listu polecającego.

Stanley popatrzyła na stojący w kącie rower.

– Możemy wsadzić go do bagażnika mojego samochodu i potem podwiozę cię na przystań. Wyglądałaś ostatnio na dwór?

– Nie – odparła Battles.

– Pogoda jest koszmar. Leje jak z cebra i strasznie wieje. W taką pogodę lepiej nie jeździć rowerem, zwłaszcza po szosie. Można się zabić.

\* \* \*

Przeprawa promem przez Zatokę Elliotta przypominała jazdę kolejką górską w parku rozrywki. Przybierający na sile wiatr pędził coraz większe fale, na których prom niemiłosiernie się kołysał. Niektóre białe grzywacze waliły w dziób z taką siłą, że włączały się dzwonki alarmowe. Tracy siedziała na pokładzie dla pasażerów bez samochodów. Tak jak Owens przewidywał, na promie nie było już miejsca na jej auto, więc zostawiła je na parkingu i weszła na pokład dla pieszych, teraz jednak biła się z myślami, czy dobrze zrobiła. Jeśli sztorm jeszcze przybierze na sile, wydział transportu może zamknąć przeprawę promową i zostanie uwięziona na Bremerton bez samochodu.

Siedząc w jednym z boksów, przyglądała się grzywaczom za oknem. Niestety, podła pogoda nie zniechęciła turystów; okutani w płaszcze przeciwdeszczowe wylegli na pokład i stali wychyleni jak najdalej pod wiatr, jakby pokonywali wzniesienie.

Gdy w końcu prom dotarł do przystani na Bremerton, Tracy zeszła na ląd na miękkich nogach i z żołądkiem podchodzącym do gardła. Uniosła rękę w stronę parkingu i walcząc z wichurą, pomachała. Kiedy jeden z samochodów błysnął dwukrotnie światłami, ruszyła w jego stronę. Przez szybę z pracującymi wycieraczkami dostrzegła zarys głowy Johna Owensa. Otworzyła drzwi po stronie pasażera i szybko wślizgnęła się do środka.



– Założę się, że załapałaś się na jazdę klasy E – rzucił Owens, niechcący zdradzając w ten sposób ze swój wiek. Bilety E wycofano w Disneylandzie już kilkadziesiąt lat temu.

W samochodzie poczuła się jak w saunie. Owens włączył na full nadmuchi gorącego powietrza na szyby, na których widniały brudne smugi w miejscach, które wcześniej przecierał. Teraz też wyciągnął rękę i przejechał po szybie rękawem kurtki, zostawiając kolejne ślady.

– Odmrażacz szyb w tym wozie jest do dupy – mruknął.

Tracy zdjęła pelerynę przeciwdeszczową, rzuciła ją na podłogę za swoim siedzeniem i zaczęła mu pomagać w wycieraniu szyb.

– Udało ci się namierzyć sprzątacza? – spytała.

– No, mam jego adres. – Owens podciągnął rękaw kurtki, by rzucić okiem na zegarek. – Nie wiem, czy o tej porze będzie w domu, ale mieszka na tyle blisko bazy, że możemy wstąpić do niego po drodze na spotkanie z moim kumplem.

Umówił się na spotkanie z zaprzyjaźnionym kapitanem, który miał im pomóc przejść przez bramę Charleston i poprowadzić ich tam, dokąd będą chcieli. Poirytowany bezowocną walką z przednią szybą, Owens w końcu opuścił nieco boczną i przez szparę zaczęły przyskać krople deszczu. Machnął z rezygnacją ręką i wyjechał z parkingu.

Zadzwoiła komórka Tracy. Rozpoznała numer na wyświetlaczu i szybko odebrała.

– Cześć, Mike.

– Niezła pogoda, co? Mam nadzieję, że nigdzie cię nie poniosło.

– Niestety, właśnie zeszałam z promu na Bremerton.

– No to założę się, że miałaś przednią zabawę.

– Na pewno nieprędko coś przełknę. Masz coś w sprawie tego nagrania?

Zauważyła, że Owens jej się przygląda.

– Znak wodny jest zerwany w paru miejscach – odparł jej rozmówca. – Z całą pewnością ktoś montował nagranie w tych miejscach, które wskazałaś.

To rodziło kolejne pytania, ale nie były to pytania, na które Mike Melton mógłby znaleźć odpowiedź w laboratorium.

– Dzięki, Mike. Dobrze wiedzieć. Mam nadzieję, że uda mi się zdobyć oryginał tego nagrania. Jeśli tak, to ci go wyślę.

– Trzymaj się sucho – rzucił Melton i rozłączył się.

– O co chodziło z tym nagraniem? – spytał Owens.

– Zawiozłam do laboratorium kopię nagrania z kamery bezpieczeństwa, którą dostałam od Rebekki Stanley, i poprosiłam o jej zbadanie. Twierdzą, że nagranie zostało zmontowane – wyjaśniła. – Znak wodny jest zerwany.

Owens zmrużył oczy, jakby miał trudności z patrzeniem na drogę. Dzięki uchylonej bocznej szybie i nadmuchiowi gorącego powietrza udało mu się uzyskać wolny od zaparowania kawałek przedniej szyby w kształcie półksiężyca.

– Jak można zmontować takie nagranie? Przecież jest na nim odczyt daty i godziny.

– Okazuje się, że kopię można montować. Istnieje specjalne oprogramowanie.

Owens pokręcił głową.

– No pewno, należało się tego spodziewać. Potrafią wskazać miejsca montażu?

– Kolega ma mi przysłać raport, ale potwierdził to, co dostrzegłam gołym okiem. Wycięto fragment po wyjściu Tulowitsky’ego z budynku i drugi po jego powrocie.

– Żeby ukryć czyjąś obecność?

– To najbardziej logiczne wytłumaczenie.

– Battles?

– Nie będziemy wiedzieć na pewno, póki nie zdobędziemy oryginału nagrania. O ile jeszcze istnieje.

– Co to znaczy „o ile”?

– Z tego, co mi wiadomo, ochrona przechowuje nagrania tylko przez jakiś z góry określony czas. Potem kasują je i nagrywają na nowo.

– Jak długi jest ten czas?

– Stanley nie wiedziała.

– Mam zadzwonić i zapytać?

– Boję się, że to może wywołać alarm. Wolałabym to zrobić osobiście z nakazem w ręce, żeby nie mieli okazji go skasować. W przeciwnym razie możemy szukać wiatru w polu.

– Pogoda wyraźnie nam w tym sprzyja – prychnął Owens. – Chcesz najpierw pojechać do bazy?

Tracy spojrzała na zegarek. Tulowitsky niedługo wyjdzie do pracy.

– Nie, porozmawiajmy najpierw z Tulowitskym. Jeśli się mylę, sprawa nagrania może nie mieć znaczenia.

\* \* \*

Al Tulowitsky mieszkał w skromnym parterowym domku nieopodal bazy i siedziby PSS, firmy, w której pracował. Dom stał bokiem do ulicy i mierząca jakieś sto metrów żwirowa odnoga równoległa do drogi służyła jako podjazd do trzech sąsiadujących ze sobą domów. Owens wjechał w nią i zaparkował pod konarami pokrzywionej wichrami sosny. Tracy zostawiła pelerynę w samochodzie i wysiadła na zasypaną igliwem dróżkę z gładów, prowadzącą do drzwi osłoniętych małym daszkiem, który nie dawał żadnej ochrony przed wiatrem i deszczem. Rynsztok biegnący po prawej stronie drzwi był przepełniony i wylewająca się z niego woda tworzyła kałużę, w której Tracy zmoczyła nogi.

Owens, w bawełnianych spodniach i czarnych półbutach, ominął zgrabnie kałużę i dołączył do Tracy pod drzwiami. Wielkie krople deszczu zaczęły skapywać z daszku na jego kurtkę z wodoodpornego goreteksu. Tracy z impetem stuknęła trzy razy wiszącą na drzwiach kołatką i drzwi niemal natychmiast się otworzyły, jakby Tulowitsky stał za nimi, czekając na ich przyście. Przeczył temu wyraz zaskoczenia na jego twarzy.

– Dzień dobry, panie Tulowitsky – przywitała się Tracy. – Poznaliśmy się parę dni temu w biurze PSS.

– Pamiętam – mruknął mężczyzna, chyba zmieszany jej najściem. Obrzucił spojrzeniem Owensa i Tracy go przedstawiła.

– Mam jeszcze kilka pytań – powiedziała. – Liczę, że zechce pan na nie odpowiedzieć.

– Jakich pytań? – Tulowitsky miał na sobie roboczy uniform, niebieskie spodnie i białą bluzę z krótkimi rękawami i firmowym logo na prawej kieszeni, przedstawiającym zapracowanego ludzika.

– Chciałabym tylko uściślić parę szczegółów. – Deszcz nie przestawał skapywać wielkimi kroplami z daszku, przy każdym większym podmuchu wiatru sosna strząsała na nich istny prysznic. – Nie zajmujemy panu dużo czasu.

– Niedługo wychodzę do pracy.

– Tylko parę minut – zapewniła.

Być może bardziej pod wpływem pogody niż jej słów Tulowitsky uchylił szerzej drzwi i cofnął się, a oni weszli po splekanych płytkach do środka. Zasłony na oknach były zaciągnięte, przez co wewnątrz zalewała żółtawa poświata; w powietrzu wisiała ciężka woń dymu papierosowego. Po męczącej przeprawie promowej żołądkowi Tracy nie potrzeba było dużo, by dał o sobie znać; poczuła wzbierające nudności. Miała wrażenie, że w krótkim czasie nałyka się w tym domu tyle dymu, że starczy za całe miasto. Tulowitsky wziął do ręki pilota z zagraconego stolika i wyłączył telewizor. Chyba nie bardzo wiedział, jak ma się zachować i co powiedzieć.

– Chcecie się czegoś napić? – bąknął w końcu, po czym zaraz zrobił taką minę, jakby pożałował swoich słów. – Specjalnie dużo nie mam.

– Nie, dziękujemy. – Tracy wskazała ręką pokój. – Może moglibyśmy usiąść na chwilę.

Tulowitsky usiadł na rozkładanym fotelu z brązowej skóry, u którego stóp na podłodze leżała sterta gazet, co świadczyło, że to ulubione miejsce odpoczynku gospodarza. Z popielniczki na podręcznym stoliku wysypywała się góra niedopałków; smród papierosowy był tu jeszcze mocniejszy. Tracy walczyła z nudnościami, starając się jak najpłycej oddychać.

Usiedli z Owensem na kanapie obitej poprzecieranym materiałem, z krutek w podłodze buchało gorące powietrze z taką siłą, że liście stojącej w kącie sztucznej palmy aż powiewały.

– Mówiła pani, że chcecie o coś spytać – mruknął Tulowitsky.

Otworzyła notes na pustej stronie i udała, że czyta, by mężczyzna myślał, że jej pytania stanowią kontynuację poprzedniej rozmowy.

– Widziałam nagranie z kamery bezpieczeństwa z wieczoru, o którym rozmawialiśmy. Wynika z niego, że wszedł pan do budynku tuż po dwudziestej trzeciej, ściśle mówiąc o dwudziestej trzeciej zero trzy, i zajął się pan opróżnianiem koszy ze śmieciami.

– Zawsze od tego zaczynam – potwierdził Tulowitsky. Jego ręce leżały nieruchomo na bocznych oparciach fotela jak u skazańca, którego za chwilę przypną pasami przed egzekucją.

– No tak. – Powróciła wzrokiem do notatnika. – Następnie wyszedł pan z budynku o dwudziestej trzeciej siedemnaście. Żeby wynieść śmieci, tak? – Spojrzała na mężczyznę pytająco.

– Tak.

– Chciałabym wiedzieć, czy wtedy zawiózł pan śmieci do punktu, gdzie są niszczone lub palone?

– Nie – odparł Tulowitsky. – Zostawiamy je w workach przed wyjazdem z bazy.

– Czyli ładuje je pan do furgonetki, wyjmuje z niej środki czystości i odkurzacz i kontynuuje sprzątanie, czy tak?

– Jakoś tak.

– I nie robi pan nic więcej?

– Znaczy się czego? – Tulowitsky obrzucił ją niespokojnym spojrzeniem.

– Na przykład czy po wyjściu z budynku nie wypełnia pan jakichś papierków lub nie dzwoni do biura?

– Och, nie. Nic z tych rzeczy.

– A czy po wyjściu zapalił pan papierosa?

Pytanie go zaskoczyło. Spojrzał na Tracy, potem na Owensa, potem znów na nią.

– Znaczy się... o co pani chodzi?

Wskazała na paczkę papierosów na stoliku.

– Pytam, czy kiedy wyszedł pan z budynku ze śmieciami, zapalił pan papierosa? Czy zwykle pan tak robi?

– Nie. W bazie są tylko wyznaczone miejsca, gdzie wolno palić. Więc... więc nie.

Czuła, że nie mówi prawdy.

– Czy w pobliżu budynku znajduje się takie miejsce? – Działała na nosa. Podejrzewała, że Tulowitsky nie wytrzyma długo bez papierosa.

– Nie ma. – Powiercił się na fotelu, jakby ktoś rzeczywiście podłączył do niego prąd.

– Panie Tulowitsky, nie przyszedłam tu pana osądzać i nie chcę narobić panu kłopotów, ale wyszedł pan z budynku ze śmieciami i wrócił dopiero po dziewięciu minutach. To dosyć długo jak na wrzucenie śmieci do furgonetki i zabranie środków czystości.

– Mogłem czegoś szukać – burknął.

– Na przykład czego?

– Oj, no... nie wiem. Minęło już tyle czasu.

– Rozumiem. Nie pamięta pan, by robił pan coś poza załadunkiem śmieci do furgonetki. To samo powiedział pan agentom NCIS.

– To jeszcze nie znaczy, że nie robiłem.

– Ale gdyby tak było, to powiedziałaby pan o tym NCIS, prawda?

Tulowitsky chwilę milczał.

– Nie wiem – wydusił.

Tracy miała jego zeznanie i wiedziała, że niczego takiego nie powiedział.

– Widział pan kogoś po wyjściu z budynku?

– Znaczy się kogo?

– Kogoś stojącego przy furgonetce lub pod budynkiem.

– Nie, chyba nie. – Pokręcił głową.

Spróbowała od innej strony.

– Wychodząc z budynku, zamknął pan za sobą drzwi, prawda?

– Same się zamykają.

Tracy odłożyła notes i wzięła do ręki rejestr czterocyfrowych kodów, które tego wieczoru wpisano na szyfratorze.

– Tu jest lista tych, którzy tego wieczoru wchodzili do budynku i z niego wychodzili. Powinien pan na niej figurować najpierw o dwudziestej trzeciej zero trzy i ponownie o dwudziestej trzeciej dwadzieścia sześć, prawda?

– Chyba tak.

– To dlaczego tak nie jest? – spytała Tracy.

Tulowitsky nie odpowiedział od razu i gdy w końcu się odezwał, bąknął tylko:

– Znaczy się... jak to?

Grał na czas.

– Jak to się stało, że w rejestrze odnotowano pana przyście o dwudziestej trzeciej zero trzy, ale nie ma śladu pańskiego powrotu dziewięć minut po wyniesieniu śmieci, czyli o dwudziestej trzeciej dwadzieścia sześć?

– Mówiła pani, że jest.

– Nie ma. Z nagrania z kamery wynika, że wrócił pan o dwudziestej trzeciej dwadzieścia sześć, ale w rejestrze wejść pana nie ma.

Tulowitsky tak zacisnął wargi, że się niemal sprasowały w jedną cienką kreskę.

– No to... no to nie wiem.

– Panie Tulowitsky, czy wyszedł pan wtedy na papierosa i przytrzymał otwarte drzwi tak, by nie musieć ponownie wpisywać kodu przy powrocie?

Złożył ręce na udach i zaczął kręcić młynka kciukami. Wargi poruszały mu się tak, jakby właśnie marzył o papierosie.

– Mogliby mnie wyrzucić z pracy – bąknął po dłuższej chwili.

Tracy poczuła nagłe podniecenie i z trudem się opanowała.

– Za palenie papierosa?

– W niewyznaczonym miejscu. No – mruknął.

– I tamtego wieczoru pan palił?

Kiwnął głową.

– W jakimś dyskretnym miejscu?

– Staję za boczną ścianą budynku. Ale palę tylko jednego.

– Gdy pan tak stoi za boczną ścianą, widzi pan stamtąd drzwi wejściowe?

– Nie.

– I zostawia je pan czymś podparte, żeby móc wejść bez wpisywania kodu, tak by nie było dowodu na to, jak długo pana nie było?

– Tak.

Tracy obrzuciła Owensa spojrzeniem, po czym powróciła wzrokiem do Tulowitsky'ego.

– Robi pan tak co wieczór?

– Znaczy się... czy wychodzę na papierosa?

– I zostawia pan podparte drzwi?

Znow przez chwilę milczał.

– Prawie co wieczór. Ale czasami się zdarza, że nie wychodzę.

– Czym pan podpira te drzwi?

– Mam taki klocek, drewniany klin. Wsadzam go między drzwi a futrynę. Znaczy się... wie pani, o tej porze już tam nigdy nikogo nie ma, więc to nic takiego.

Tyle że akurat tego wieczoru ktoś był. I Tracy była gotowa się założyć, że był to ktoś znający zwyczaj Tulowitsky'ego.

Dobrze je znający.

## Rozdział 43

W ciągu trzech lat spędzonych na Bremerton Leah Battles zdarzało się jeździć rowerem z przystani i na przystań w najróżniejszych warunkach pogodowych, ale dzisiejsza burza dorównywała, a być może była silniejsza od najgorszych z nich. Wiatr zrywał się tak potężnymi podmuchami, że chevrolet trailblazer Rebekki Stanley aż podrygiwał. Battles wolała nie myśleć, co by się z nią działo na rowerze.

Na szczęście rower leżał bezpiecznie w bagażniku SUV-a Stanley.

– Jeszcze raz dziękuję za podwiezienie. Ten sztorm jest rzeczywiście potworny.

– Nie ma sprawy – rzuciła Stanley. Koła samochodu wpadły w kolejną kałużę, rozbryzgując na boki fontannę wody.

Gruba warstwa chmur spowodowała, że zrobiło się ciemno dużo wcześniej niż zwykle, deszczówka nie mieściła się w rynsztokach i zalewała jezdnię, spod kół co chwilę wytryskiwały ogromne wachlarze wody.

Battles spojrzała na podłogę po stronie kierowcy.

– Jak noga? – spytała.

Stanley wpadła na parking w kałużę do połowy łydki.

– Mokro i zimno – odparła. – Nie masz nic przeciwko temu, jeśli po drodze wstąpimy do mnie, żebym przez resztę wieczoru nie musiała czuć się tak, jakbym trzymała nogę w wiadrze z lodem?

– Oczywiście, bardzo proszę – odrzekła z uśmiechem Battles.

Musnęła ręką bok, wyczuwając dodającą otuchy twardość glocka pod bluzą munduru.

– Co powiesz na Kambuz? – spytała Stanley.

Bremerton było miastem pod każdym względem zdominowanym przez marynarkę wojenną i nie brakowało w nim barów o marynarskich nazwach. Kambuz był powszechnie lubiany, bo właściciele mieli dla personelu bazy częste oferty specjalne, jak piwo



za dwa dolary w czwartkowe wieczory czy zestaw hamburger z frytkami i dowolnym drinkiem za osiem dolarów.

– Mnie pasuje – odparła Battles.

– Jest niedaleko od mojego mieszkania – powiedziała Stanley. – Szybko się przebiorę, wypijemy drinka i może coś zjemy, a potem zdążę cię jeszcze odwiedzić na prom o rozsądnej porze. Nie sądzisz, że mogą wstrzymać rejsy w związku z tą pogodą?

Battles kiwnęła głową.

– Już się to nieraz zdarzało. Mam w telefonie apkę z numerem informacji promowej. W każdej chwili będę mogła sprawdzić, ale słyszałam w radio, że pod wieczór wiatr ma się uspokoić.

– Miejmy nadzieję, że nie wyłączą nam prądu.

– Miejmy.

Kapitan mieszkała na wschód od bazy, po drugiej stronie mostu Manette, spinającego oba brzegi cieśniny przy porcie Waszyngtona. Za mostem pojechały drogą biegnącą wzdłuż linii brzegowej do osiedla mieszkaniowego nazywanego Bocianie Gniazdo, zapewne dlatego, że poza kilkoma wysokimi blokami mieszkalnymi nie było żadnej innej zabudowy aż po Bazę Marynarki Wojennej Kitsap po drugiej stronie cieśniny.

– Zdarza ci się czasem wracać do domu i mieć wrażenie, że wciąż jesteś w pracy? – spytała Battles, podziwiając widok.

– Zawsze byłam miłośniczką wody – odparła Stanley. – Mam zabójczy widok od biurka. Chodź, zobaczysz.

Battles wysiadła z samochodu i walcząc z naporem wiatru w plecy, przytrzymała ręką daszek czapki, by nie musieć gonić za nią po trawniku. Podążyła za przełożoną i przez oszklone drzwi weszły do niewielkiego holu ze skrzynkami na listy i drzwiami windy. Stanley wyjęła ze skrzynki pocztę i pojechały na ostatnie piętro. Drzwi mieszkania kapitan były trzecie na prawo od wyjścia z windy. Otworzyła kluczami zasuwę i zatrzasnęła w gałce, przekroczyła próg i zapaliła światło. Battles weszła za nią i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Zawsze uważała, że mieszkania odwzorowują charakter ich właścicieli. Jej było dość zagracone, na środku pokoju zawsze stała sztaluga z obrazem, nad którym aktualnie pracowała, na kuchennym stole leżała szachownica z rozgrywaną partią. Grała sama ze sobą, wykonując ruch rano przed wyjściem do pracy i odpowiadając

kontrposunięciem po powrocie do domu. Jej rekord najdłużej rozgrywanej w ten sposób partii wynosił trzy tygodnie.

Stanley położyła klucze na blacie między kuchnią a salonem.

– Rozgość się – rzuciła, ruszając w głąb przedpokoju. – Zajmie mi to tylko chwilę.

Battles weszła głębiej do pokoju, czystego, lecz skromnie urządzonego. Przesuwne drzwi otwierały się na wąski balkon, na którym ledwo mieściły się metalowy stolik i dwa krzesła od kompletu. Ale roztaczał się stamtąd rzeczywiście zabójczy widok na migoczące za wodą światła stoczni.

Podeszła do kominka. Na półce stało kilka oprawionych w ramki fotografii Stanley, ciemnowłosego mężczyzny i paroletniej dziewczynki. W gabinecie kapitan nie było żadnych takich fotografii i nigdy nie wspominała o tym, że jest matką i mężatką czy – co sugerował wygląd mieszkania – rozwódką. Wszystko zaczynało do siebie pasować.

Battles usłyszała kroki wracającej kapitan i sięgnęła po glocka.

– Mówiłam ci, że widok jest fantastyczny – powiedziała kapitan.

– Ścisłe mówiąc, nazwałeś go zabójczym – sprostowała Battles, odwróciła się i w nią wycelowwała.

\* \* \*

Tracy już wiedziała, jak ktoś mógł wejść do budynku BOP bez wprowadzenia kodu. Ktokolwiek to był, po prostu odczekał, aż Tulowitsky jak zwykle zrobi sobie przerwę na papierosa i zostawi drzwi podparte drewnianym klockiem. Była też już pewna, że taśma z nagraniem ze sklepu spożywczego nie zapodziała się przypadkowo, tylko została celowo skradziona przez kogoś znajomego zwyczajnie Tulowitsky'ego. A to znaczyło, że musiał to być ktoś pracujący w budynku. Najpierw pomyślała o Battles i Cho, ale kapitan Stanley też nie można było wykluczyć.

Wszyscy oni wiedzieli, gdzie są przechowywane dowody, i zdawali sobie sprawę ze znaczenia taśmy. Nagranie stanowiło niezbity dowód obecności Laszla Treja w Seattle w dniu śmierci D'Andrego Millera. Można też było przypuszczać, że wiązała się ona z dostawą heroiny,

którą Trejo szmugłował do kraju na pokładzie okrętu marynarki wojennej.

– Myślisz, że Tulowitsky mógł być w to zamieszany? – zapytał Owens. Byli w drodze na spotkanie z jego znajomym, pracownikiem bazy.

Tracy już wcześniej się nad tym zastanawiała: czy Tulowitsky mógł celowo zostawić otwarte drzwi?

– Nie – odparła. – Człowiek, który wślizgnął się do budynku, bardzo się starał, by Tulowitsky go nie zauważył, a nie robiłby tego, jeśli sprzątacze byłby w to zamieszany. Jestem pewna, że to ta sama osoba, która zastrzeliła Treja, żeby nie dopuścić do jego zeznań. Wtajemniczenie w to Tulowitsky'ego byłoby zbyt ryzykowne.

Wylegitymowali się wartownikowi pilnującemu bramy Charleston i poczekali na znajomego Owensa. Ten odprowadził ich do budynku BOP, gdzie na parterze mieściło się biuro ochrony.

Pokój szefa ochrony, Davida Bakhtiariego, aż pękał w szwach od komputerów, monitorów i migających lampek. Bakhtiar był w takim samym niebiesko-szarym mundurze polowym jak wszyscy pracownicy bazy, ale na tym podobieństwa się kończyły. Był wzrostu Dela, dobre piętnaście centymetrów wyższy od Tracy, i musiał ważyć ze sto czterdzieści kilogramów. I nie był przy tym otyły. Wyglądem przypominał grającego w ataku futbolistę. Znajomy Owensa przedstawił mu gości i wyszedł.

– Chodzi wam o nagranie z nocy osiemnastego marca – odezwał się Bakhtiar i na końcu zdania nie było znaku zapytania. – Już raz je skopiowałem dla kapitan Stanley.

– Tak, wiem – powiedziała Tracy. – Ale chcielibyśmy obejrzeć oryginał.

Szef ochrony zmrużył oczy, wyraźnie zaskoczony prośbą. Widać było, że gorączkowo szuka w myślach możliwej przyczyny i właściwej odpowiedzi.

– Domyślam się, że macie nakaz. – Rzucił to nieco zaczepnym tonem, ale pewnie chciał być kryty na wypadek późniejszych pytań.

Gdy Tracy wręczyła mu nakaz, zabrał się do studiowania jego treści. Po dłuższej chwili skinął głową.

– Okej, wypalę dla was kopię. Gdzie mam ją wysłać?

– Chcielibyśmy zobaczyć oryginał – powiedział Owens. Sięgnął do kieszeni i wręczył mu wizytówkę. – Może pan wysłać kopię na ten adres, ale teraz chcielibyśmy obejrzeć oryginał.

Bakhtiari wypuścił wstrzymywane powietrze i rzucił okiem na zegarek. Tracy zaczynała się zastanawiać, czy nie próbuje się wymigać.

– Śpieszy się gdzieś panu? – spytał Owens, nie kryjąc sarkazmu w głosie.

– Dziś mam urodziny córki. – Bakhtiari wzruszył ramionami. – Planowaliśmy przyjęcie w ogrodzie, ale przy tej pogodzie... Żona jest trochę podenerwowana. Prosiła, żebym jak najwcześniej wrócił.

Tracy udało się nie parsknąć śmiechem. Nic tak nie działa na mężczyznę – nawet tak potężnego – jak zły humor żony. Bez trudu postawiłby się innym mężczyznom, może nawet uciekłby się do rękoczynów w obronie swojego ego, ale nie odważyłby się nie spełnić prośby żony.

– Mam zapisane wskazania timera w miejscach, o które nam chodzi – uspokoiła go Tracy i sięgnęła do kieszeni po kartkę z zapiskami Dana. – Interesują nas jedynie te konkretne fragmenty nagrania. Obejrzymy tylko to, potem może pan skopiować całość i wysłać na adres detektywa Owensa, a my przestaniemy zawracać panu głowę i będzie pan mógł świętować urodziny córki.

Bakhtiari odetchnął z ulgą.

– Będę wdzięczny. O które fragmenty chodzi?

Tracy podała mu kartkę. Przyjrzał się jej i znacznie przyjaźniejszym tonem powiedział:

– Dobra, to bardzo ułatwia sprawę.

Poprowadził ich do terminalu komputerowego i usiadł przy klawiaturze; oni stanęli za jego plecami. Chwilę postukał w klawisze i na ekranie monitora pojawił się znajomy obraz holu. Bakhtiari wskazał palcem pierwszy szereg cyfr na kartce i oświadczył, że właśnie ten obraz mają na ekranie.

– Proszę cofnąć nagranie o trzydzieści sekund – poleciła Tracy.

– Dobrze, proszę pani. – Skinął głową i postukał w klawiaturę. Porównał odczyt czasu na ekranie z zapisem na kartce, odsunął się z krzesłem i wyciągnął rękę, by wcisnąć klawisz uruchamiający odtwarzanie.

– Może pan stanąć po drugiej stronie komputera? – zapytał Owens. Szef ochrony spojrzał na niego zaskoczony.

– Jeśli to nagranie stanie się dowodem w sprawie, być może będzie pan musiał zeznawać przed sądem w sprawie osób mających do niego dostęp – wyjaśnił Owens. – Lepiej, żeby nie był pan jednocześnie świadkiem odnośnie do zawartości nagrania.

– Nie ma sprawy. – Bakhtiari wstał z krzesła. – Naciśnięcie tego klawisza uruchamia przesuwanie do przodu, tego do tyłu. – Obszedł stolik i stanął za monitorem.

Owens usiadł, rozejrzał się po klawiaturze i nacisnął strzałkę uruchamiającą przesuwanie nagrania. Tracy tymczasem włączyła stoper na swoim telefonie.

– Co robisz? – zdziwił się Owens.

– Chcę mieć pewność, że również tego nagrania ktoś nie zmanipulował – odparła ściszym głosem.

Na ekranie Al Tulowitsky wyszedł z drugich drzwi w korytarzu z dwoma plastikowymi wiadrami, jednym ze śmieciami do wyrzucenia, drugim z odpadkami do recyklingu. Opróżnił oba do worków i wrócił z pustymi wiadrami do pokoju, po czym potoczył pojemnik w stronę wyjścia i wyszedł z budynku.

Minęło kilka minut, podczas których nic się nie działo i Tracy już miała ochotę włączyć szybkie przesuwanie, gdy wpatrzony w ekran Owens powiedział:

– Opróżnienie pojemnika zajmie mu parę minut.

Minęło kolejne piętnaście sekund i ktoś wszedł do holu. Owens i Tracy wyciągnęli szyje, aby się lepiej przyjrzeć. Tracy poczuła gwałtowny dopływ adrenaliny. To nie był Tulowitsky. Ten ktoś był ubrany w workowaty niebiesko-szary mundur, a na głowie miał czapkę odwróconą daszkiem w lewo – do kamery.

– Jasna cholera – szepnął Owens. – Tam naprawdę ktoś jest. Ale nie mogę... nie mogę dojrzeć kto. A ty?

– Wie, z której strony jest kamera – powiedziała cicho Tracy. – Ktokolwiek to jest, celowo odwraca głowę, aby nie pokazać twarzy.

– Czyli ktoś z pracowników budynku – mruknął Owens, jeszcze bardziej się nachylając.

– Lub ktoś, kto wie, gdzie jest kamera – dodała.

– Potrafisz rozpoznać, czy to kobieta, czy mężczyzna?

– Nie – odparła Tracy. – W tych mundurach wszyscy wyglądają jednakowo. – Także kąt widzenia kamery utrudniał ocenę postaci.

Intruz przeszedł korytarzem obok pokoi; zapewne zmierzał ku schodom na piętro.

– Pokaż to jeszcze raz – zarządziła Tracy.

Owens nacisnął odpowiednie klawisze, ale ponowne obejrzenie nagrania nie wniosło nic nowego.

Puścili je dalej i Tracy zerknęła na stoper na swoim telefonie. Minęły cztery minuty i dwadzieścia cztery sekundy. Pięć minut. Sześć. Po sześciu minutach i czterdziestu dwóch sekundach intruz wyłonił się z głębi korytarza z głową nadal tak nisko opuszczoną, że daszek czapki uniemożliwiał dojrzenie rysów twarzy.

– Sądzę, że to kobieta – powiedziała Tracy.

– Skąd wiesz?

– Po łagodnych rysach twarzy i zarysie podbródka.

Zamiast skierować się do wyjścia, postać szybko weszła do pokoju i przymknęła za sobą drzwi.

– To tłumaczy pierwszą zmianę położenia drzwi – zauważyła Tracy.

– Poznajesz, kto to? – spytał Owens.

– Jeszcze nie.

– Mógł to być Cho?

– Nie sądzę. Cho porusza się bardziej zamasyście, a rysy twarzy ma ostrzejsze. To raczej Battles albo Stanley. Są podobnego wzrostu i budowy ciała.

Po jedenastu minutach i czterech sekundach powrócił Al Tulowitsky; w rękach miał wiadro ze środkami czystości i odkurzacz.

– Ktoś tu wyciął około dwóch minut nagrania – stwierdziła Tracy. – Na mojej kopii Tulowitsky wraca po dziewięciu minutach.

– Idzie do toalet – zauważył Owens.

Parę sekund po wyjściu Tulowitsky'ego z holu drzwi pokoju otworzyły się i wyłoniła się z nich postać w workowatym mundurze.

– Oto i drugi ruch drzwi – szepnęła Tracy.

Postać, z nisko opuszczoną głową i twarzą częściowo zasłoniętą daszkiem czapki, ruszyła szybko w stronę wyjścia. Sekundę przed jej dotarciem do drzwi tętno Tracy gwałtownie przyśpieszyło.

– Cofnij – rzuciła zduszonym szeptem.

Owens nacisnął klawisz i nagranie zaczęło sunąć do tyłu.

– Jak daleko? – spytał.

– Wystarczy. Można to puścić powoli, klatka po klatce? – zwróciła się do Bakhtiariego.

Szef ochrony obszedł stół, a Owens odsunął się z krzesłem, by zrobić mu miejsce. Bakhtiar nacisnął kilka klawiszy i wrócił na miejsce za monitorem. Gdy Owens wcisnął klawisz ze strzałką, Tracy pochyliła się nad ekranem. Postać wyszła z pokoju i klatka po klatce zaczęła zbliżać się do wyjścia. Tracy zawiesiła palec nad klawiaturą, wpatrując się w poruszającego się skokami intruza. W pewnej chwili nacisnęła STOP i postać znieruchomiała.

– Już wiem, kto to jest – rzuciła.

\* \* \*

Tracy wraz z Owensem opuściła biuro Bakhtiariego i szybkim krokiem ruszyła do gabinetu Battles w tym samym korytarzu. Pomieszczenie było puste.

Podeszła do recepcji.

– Szukam Leah Battles – powiedziała do siedzącej tam kobiety, błyskając odznaką policyjną.

– Mogę spytać, w jakiej sprawie? – rzuciła recepcjonistka.

– Nie pytaj. To prywatna sprawa – burknął znajomy Owensa.

– Wyszła – oświadczyła recepcjonistka. – Razem z szefową.

– Z Rebeccą Stanley? – upewniła się Tracy.

– Tak.

– Wie pani, dokąd poszły?

– Nie, proszę pani, nie mam pojęcia.

– Gdzie jest jej gabinet? – spytał Owens.

– Szefowej? W głębi korytarza na parterze.

Tracy podążyła za Owensem i jego znajomym kapitanem. Gabinet Stanley też był pusty. Wszyscy troje zawrócili do recepcji.

– Pani detektyw Crosswhite? – Na schodach stał Brian Cho, marszcząc groźnie czoło. – Co pani tu robi?

– Szukam Leah Battles i Rebekki Stanley. Widział pan którąś z nich?

Cho kiwnął głową.

– W ciągu dnia. Jakies pół godziny temu wyszły razem z biura.

- Wie pan, dokąd poszły?
- Ja wiem – wtrąciła jakaś kobieta, wstając od biurka w holu. – Wybierały się do Kambuza na drinka.
- Na drinka? – zdziwił się Cho. – Pewnie poszły zalać robaka.
- Dlaczego pan tak mówi? – spytała Tracy.
- Bo komisja etyki zawodowej wydała dziś werdykt. Zdecydowali, że porucznik Battles ma stanąć przed sądem wojskowym.



## Rozdział 44

Leah Battles patrzyła na rewolwer w ręce kapitan bez większego zdziwienia, za to pistolet w ręce Battles wyraźnie zaskoczył Rebecce Stanley. Znalazły się w sytuacji, którą nazywano meksykańskim patem.

Przewiduj ruch przeciwnika i miej w zanadrzu odpowiedź. Jedna z podstawowych reguł szachów na poziomie profesjonalnym.

Battles zaczęła coś podejrzewać w chwili, kiedy Stanley wspomniała, że detektyw Tracy Crosswhite nadal upomina się o oryginał nagrania, chociaż Stanley dostarczyła jej już kopię. Analizując pytania i wątpliwości, jakie Crosswhite wyraziła podczas ich spotkania przy kawie, Battles zrozumiała, że policjantka podejrzewa lub wręcz dysponuje dowodami, że w chwili wypadku w Seattle Trejo realizował dostawę narkotyków. Jedyna logiczna odpowiedź na pytanie, dlaczego Crosswhite stara się zdobyć oryginał nagrania, była następująca: podejrzewała, że przekazana jej kopia została spreparowana i różni się od oryginału. A jeśli tak, to pierwszą podejrzaną stawała się Stanley, która dostarczyła kopię, miała wstęp do budynku i dostęp do biura protokolanta sądowego. Z rozmowy z Battles wiedziała też, jak kluczowe znaczenie ma taśma z nagraniem ze sklepu spożywczego i co dla dalszego biegu sprawy może oznaczać jej zaginięcie. I wreszcie: zaproszenie na drinka zupełnie nie leżało w jej charakterze.

– Zabrałaś tę taśmę – powiedziała Battles, przesuając się ostrożnie w lewo i patrząc, jak kapitan równie ostrożnie przesuwa się w tę samą stronę i wchodzi głębiej do salonu.

– Nie miałam wyboru. Sama powiedziałaś, że ta taśma była wyrokiem dla Treja. Zostałby skazany.

– A potem tak zmontowałaś kopię nagrania z kamery bezpieczeństwa, żeby cię na nim nie było. Crosswhite to odkryła

i dlatego chciała zdobyć oryginał nagrania. Jesteś na nim? – Battles zrobiła kolejny mały krok w lewo.

– Zawsze powtarzałam, Leah, że jesteś dobrą prawniczką. – Kapitan też przesunęła się nieco w tę samą stronę.

– Powinnaś widzieć, jak gram w szachy. – Battles nie przestawała sunąć w lewo, Stanley starała się stać naprzeciwko niej. – Więc zabrałaś tę taśmę, żeby ratować Treja, a potem go zabiłaś, bo nie wierzyłaś, że się nie wygada w sprawie heroiny.

Za oknami mieszkania strzelił piorun i Stanley aż się wzdrygnęła, ale Battles opanowała odruch pociągnięcia za spust.

– Spokojnie, pani kapitan – rzuciła. Czuła, że wbrew pozorom Stanley jest na skraju wytrzymałości. W oddali przetoczył się kolejny grzmot; ulewa jeszcze się wzmogła, na dach budynku i meble na balkonie spadały, dudniąc, nie krople wody, ale wielkie kulki gradu. – Więc po co tu jesteśmy? – Próbowwała skłonić Stanley do mówienia, jednocześnie wyczekując odpowiedniej chwili, by móc się na nią rzucić i odebrać jej broń. W tym celu musiała podejść do niej bliżej. – Trejo nie żyje, masz taśmę ze sklepu, komisja etyki odpuściła sprawę. Dlaczego mnie tu zwabiłaś?

– No cóż... skłamałam.

– Nie odpuścili? Tak myślałam. Nie spodziewałam się niczego innego po tych palantach.

– Rekomendują postawienie cię przed sądem wojskowym. Mówiłam ci. Dowództwo musi znaleźć sobie ofiarę.

– No to im się nie uda.

– W tym nie ma nic osobistego, Lee. Ale obie wiemy, że pierwszym, czego zażyczy sobie twój obrońca, będzie nagranie z kamery bezpieczeństwa w budynku.

– I wtedy cię na nim zobaczą?

– Jak powiedziałam, wątpię, żeby byli w stanie jednoznacznie mnie zidentyfikować. Wiedziałam, gdzie jest kamera. Ale...

– Ale nie możesz ryzykować. Więc jeśli mnie zastrzelisz, to nie będzie kogo postawić przed sądem. Nie dojdzie do procesu i nikt nie będzie miał powodu interesować się nagraniem.

– W sumie to proste.

– Ale co ty z tego masz? Narkotyki?

Stanley nie odpowiedziała.

– Chodzi o twoje plecy – rzuciła Battles, niemal się uśmiechając na myśl o oczywistości całej sprawy. – Wpadłeś w narkotyki po kontuzji pleców.

– W Afganistanie łatwiej było o prochy niż o środki przeciwbólowe, a są chwile, że bez nich nie wytrzymuję. Stałaś się moim poważnym problemem.

Battles znów przesunęła się nieco w lewo.

– Tylko że to nie będzie aż tak proste jak upozorowanie samobójstwa Treja.

– Może nie. – Stanley uśmiechnęła się. – Ale to nie będzie potrzebne.

– Nie?

– Nie.

– To co się stanie?

– Tym razem jestem pewna, że zginiesz od policyjnej kuli.

\* \* \*

Tracy wyszła za Owensem z budynku i osłoniła głowę kurtką przed gradem. Grudki lodu były tak duże, że ich uderzenia wręcz sprawiały ból. Przednia szyba samochodu pokrywała się lodem, okna od środka znów zaparowały. Owens uruchomił silnik i włączył odmrażanie na ful, ale niewiele to pomogło. Wycieraczki ze zgrzytem szorowały po kulkach lodu, Tracy i Owens gorączkowo wycierali szybę od środka.

Owens nie chciał jednak czekać. Wycofał samochód z miejsca parkingowego i ruszył do bramy Charleston.

– Skąd wiesz, że to była Stanley? – spytał.

– Poznałam po kolczykach – odparła Tracy. – Kiedy byłam u niej w biurze, miała w uszach te same złote sztyfciki.

– Założę się, że mnóstwo kobiet w bazie nosi takie kolczyki – mruknął. – I założę się, że regulamin jest w tych sprawach bezwzględny.

– Battles nie nosi kolczyków – powiedziała. – A ona i Stanley są jedynymi kobietami, które mogły ukraść tę taśmę. I Battles ma stanąć przed sądem. Jak myślisz, o co w pierwszej kolejności poprosi jej obrońca?

– O nagranie z kamery bezpieczeństwa.

– A Stanley wie, że została na nim zarejestrowana.  
– To jak je teraz znajdziemy? – spytał Owens.  
– W barze przy ludziach jej nie zabije.  
– Sekretarka powiedziała, że Kambuz jest za mostem Manette, niedaleko mieszkania Stanley. Myślę, że od tego powinniśmy zacząć – mruknął Owens.

– Potrzebne nam będzie wsparcie.  
– Zgłosiłem już markę i numer rejestracyjny. Patrol poczeka na nas pod domem Stanley. – Owens podał Tracy skrawek papieru z zapisaną marką i numerem rejestracyjnym samochodu kapitan. – Sprawdzimy wozy zaparkowane pod barem. Jeśli go tam nie będzie, pojedziemy do niej. Chyba że ktoś zgłosi, że zauważył jej samochód gdzie indziej.

Za mostem Manette zjechał pierwszym zjazdem na Wheaton Way i wkrótce zaparkował przed Kambuzem. Pewnie z powodu pogody stało tam tylko pięć samochodów i żaden nie należał do Stanley. Owens wyjechał z parkingu i ruszył w stronę osiedla mieszkaniowego Stanley. Chwilę później zatrzymał się pod Bocianim Gniazdem, apartamentowcem z widokiem na przesmyk. Patrolu jeszcze nie było.

– To jej samochód. – Tracy wskazała ręką zaparkowanego w jednej z zatok chevroleta trailblazera.

– Ruszajmy – zarządził Owens. – Patrol musi być już niedaleko.

Zaparkował i oboje wysiedli. Tracy zajrzała do chevroleta i dostrzegła z tyłu rower Battles.

– Jest tu – rzuciła.

Ruszyli do oszklonych drzwi wejściowych.

– Które piętro? – spytała.

– Ostatnie – odparł Owens, zatrzymując się pod listą lokatorów. Minął windę i ruszył schodami na górę, po dwa stopnie naraz. Tracy z trudem za nim nadążała.

Na ostatnim piętrze wyszedł z klatki schodowej na korytarz i czujnie się rozejrzał. Numer mieszkania był oznaczony cyfrą wytłoczoną na miedzianej płytce na drzwiach, mieszkanie Stanley mieściło się po lewej stronie korytarza. Paroma krokami pokonał odległość i zatrzymał się pod drzwiami. Ze środka dochodziły głosy. Tracy popatrzyła na Owensa i skinęła głową.

– Wywalę je kopniakiem – rzucił cicho. – Wchodzisz pierwsza i trzymasz się prawej, ja cię asekuruję od tyłu.

Tracy wyjęła z kabury glocka.

– Gotowa – szepnęła.

Kopnął w lichą sklejkę, drzwi z hukiem się otworzyły i Tracy wślizgnęła się do mieszkania. Po prawej była kuchnia. Pusta. Zrobiła dwa kroki do przodu i ujrzała Stanley i Battles mierzące do siebie z broni.

– Rzuć to! Rzuć broń! Rzuć broń!

Rewolwer Stanley z cichym stukotem spadł na dywan, jednak Battles się zawahała.

– Rzuć to – powtórzył Owens.

Battles wypuściła z dłoni pistolet.

Tracy odetchnęła i wyprostowała się z pozycji strzeleckiej, ale nim zdążyła się odezwać, poczuła na skroni lufę glocka Johna Owensa.

## Rozdział 45

W ciągu paru sekund wszystko się zmieniło. Chwilę wcześniej Tracy wydawało się, że zjawiała się w samą porę, by uratować Leah Battles. Nie było jej przy siostrze w noc porwania i nie uratowała jej. Poczucie niepowodzenia może tkwić w zakamarkach mózgu i czekać na następną okazję smagnięcia człowieka wyrzutami sumienia. Ale tym razem miało być inaczej. Przybyli w samą porę. Ona przybyła w porę. Leah Battles żyła, a Rebecca Stanley poddała się i rzuciła broń.

I nagle wszystko uleciało.

Została omamiona tak, jak uliczny magik mami turystów.

*Widzisz tę czerwoną piłeczkę? Patrz na czerwoną piłeczkę. Nie rób nic więcej. Podąż wzrokiem za czerwoną piłeczką i powiedz, pod którym jest kubkiem? Pod tym pośrodku? Wiadomo, że jesteś pewna. Masz dobry wzrok i cały czas uważnie się przyglądałaś.*

Tyle że sztuczka nie polega na tym, co widzisz. Polega na tym, co przeoczyłaś. A przeoczyłaś to, że magik ścisnął piłeczkę w dłoni i czerwona kulka nigdy nie trafiła pod żaden kubek. A ty nie mogłaś wygrać. Gra od początku polegała na oszustwie, tylko twoje ego nie pozwoliło ci tego przyznać, a teraz stoisz w tym mieszkaniu i patrzysz na czerwoną piłeczkę, której nigdy nie było. A magik trzyma broń przy twojej skroni.

– Opuścisz teraz rękę, koleżanko, i rzucisz broń na dywan.

Czując kompletne oszołomienie i próbując pojąć, co się wokół niej dzieje, Tracy zamarła w bezruchu.

– Powiedziałem: rzuć broń.

Tracy opuściła rękę, zwolniła palec i glock wyslizgnął się z jej dłoni. Upadł na dywan z głuchym stuknięciem. Owens cofnął się o krok, ale nie opuścił broni. Stanley zrobiła krok do przodu i podniosła pistolet Tracy.

Battles spojrzała na Tracy. W jej oczach czaił się strach, ale głos zabrzmiał zupełnie normalnie, gdy mówiła niemal z uśmiechem:

- Pewnie już wiesz, kto zabrał taśmę ze sklepu.
- Pewnie już wiesz, że komisja etyki chce cię postawić przed sądem
- odparła Tracy.
  - Kto ci powiedział?
  - Brian Cho.
  - Nigdy go nie lubiłam.
  - Pierwsze, o co poprosi obrońca, to nagranie z kamery bezpieczeństwa. A do tego nie możemy dopuścić, bo pani detektyw rozpoznała twoje kolczyki – warknął ze złością Owens.

Stanley odruchowo uniosła rękę i dotknęła palcami złotego sztyftu, jakby dopiero teraz sobie o nim przypomniała.

– Trejo pracował dla ciebie – powiedziała Tracy, przenosząc wzrok na Owensa i czując się tak, jak musiała się czuć jej uczennica, oblewając sprawdzian z chemii, bo się nie przyłożyła. I nawet jeśli potem starała się odpowiadać dobrze, nie mogło to już wpłynąć na zmianę oceny czy – jak w tym przypadku – sytuacji.

– Służyłem w marynarce wojennej – oznajmił Owens. – Wystarczyło spojrzeć na ścianę w moim gabinecie, żeby to wiedzieć. A gdybyś odrobiła pracę domową, to wiedziałabyś, że ja też byłem specjalistą logistyką.

– I wiedziałeś, dokąd pływają nasze okręty.

– Oraz co można załatwić w czasie postoju, jak to wnieść na pokład i jak z niego znieść. A dzięki latom pracy w narkotykach mam rozeznanie, gdzie i jak to można sprzedać.

Battles spojrzała na Stanleya.

– Wpadłaś w uzależnienie po kontuzji w Afganistanie.

To tłumaczyło udział kapitan w całym spisku. To ona zabrała taśmę.

– Plecy będą mnie męczyły do końca życia. Ból już nigdy nie ustąpi. Lekarze orzekli, że muszę nauczyć się z tym żyć, i odmówili przepisywania większej ilości lekarstw. Możesz sobie wyobrazić, co to znaczy, kiedy cię boli codziennie od rana do nocy.

Battles przeniosła wzrok na fotografie na kominku.

– To mój były – rzuciła Stanley. – Odszedł, gdy zaczęłam brać heroinę. – Wyglądało, jakby walczyła ze łzami. – Powiedział, że nie pozwoli, żebym w tym stanie wychowywała naszą córkę. Zagroził, że albo pozwolę im odejść, albo zgłosi mój problem w dowództwie

marynarki. – Popatrzyła zaczerwienionymi oczami na Battles. – Masz pojęcie, co to dla mnie znaczyło? Przed jakim wyborem stanęłam? Oczywiście, że nie możesz mieć. Nie jesteś nawet mężatką.

– Jak ci się udało zaliczać testy antynarkotykowe i przechodzić okresowe badania? – spytała Battles.

– Zdobycie próbki moczu, zwłaszcza za pieniądze, nie jest takie trudne, a wstrzykuję sobie w miejscach, które nie są tak bardzo oczywiste.

– Więc zrobimy teraz tak – wtrącił Owens. – Byliśmy u szefa ochrony w związku z podejrzeniami detektyw Crosswhite, że dostarczona przez ciebie kopia nagrania została zmontowana. Zeznam, że na obejrzanym u niego oryginale widać Leah Battles, wchodzącą tamtego wieczoru do budynku BOP i z niego wychodzącą. Ponieważ oryginał ulegnie zniszczeniu, nikt nie będzie mógł temu zaprzeczyć. – Spojrzał na Stanley. – Decyzja komisji etyki bardzo nam pasuje, bo kiedy porucznik Battles dowiedziała się, że stanie przed sądem wojskowym, to wiedząc, że posiadasz kopię nagrania, zaprosiła cię po pracy na drinka. Ty się zgodziłaś, a ona cię zmusiła, by przyjechać do twojego mieszkania, aby zdobyć to nagranie. Była przekonana, że trzymasz je w swojej aktówce.

Przeniósł wzrok na Battles.

– Po wizycie u szefa ochrony detektyw Crosswhite i ja dowiedzieliśmy się od sekretarki, że obie wyjechałyście samochodem kapitan Stanley. Nie będę cię nudził opisem procesu dedukcji, dość że znaleźliśmy was obie w mieszkaniu pani kapitan. Wyrwałaś jej z ręki broń, w co każdy łatwo uwierzy po obejrzeniu nagrania z twoich ćwiczeń krav magi, które parę dni temu przesłałem detektyw Crosswhite. Pani detektyw weszła do mieszkania jako pierwsza, ale udało ci się ją zastrzelić, potem mnie udało się zastrzelić ciebie.

Tracy patrzyła na Stanley, czując w głowie pustkę. Miała wrażenie, że ktoś wytarł jej mózg do czysta, usunął z niego cały śmietnik i uruchomił od nowa, pozwalając ujrzeć sprawy, których wcześniej nie dostrzegała i istnienia których nawet się nie domyślała. Czytała kiedyś o zjawisku psychologicznym zwanym „efektem eureka”, polegającym na tym, że człowiek nagle rozumie problem czy zagadnienie wcześniej dla niego zupełnie niepojęte.

– On ciebie też zabije – zwróciła się do Stanley.



Battles i Stanley popatrzyły po sobie, niepewne, do kogo te słowa były adresowane.

– Zabije cię – powtórzyła Tracy, patrząc prosto w oczy kapitan.

Ta wyglądała na poruszoną, ale spróbowała zbyć to parsknięciem.

– Nie będzie miał wyjścia – ciągnęła Tracy. – Miałaś w ręku kopię nagrania i to ty mi ją przekazałaś. Zmontowaną kopię nagrania z kamery bezpieczeństwa. Ale oryginał wciąż istnieje i widać na nim ciebie.

– Oryginał zostanie zniszczony – odezwał się spokojnym głosem Owens.

– Zastanów się – nie dawała za wygraną Tracy. – Jak on wyjaśni to, że przekazałaś mi zmontowaną taśmę? Na kogo zrzuci odpowiedzialność za jej spreparowanie?

– Oczywiście na Battles – rzucił Owens.

– Ja nigdy nie prosiłam o to nagranie – powiedziała Battles, widząc już, do czego Tracy zmierza.

– Na pewno będą chcieli cię przynajmniej przesłuchać – ciągnęła Tracy, patrząc na Stanley. – A on nie może podjąć takiego ryzyka, podobnie jak nie mógł ryzykować tego, że Trejo zacznie mówić. Albo że jego diler z Seattle zacznie sypać. I dlatego po tym, jak zastrzelisz mnie, on pozbędzie się ciebie.

– Zamknij się – burknął Owens.

Tracy zwróciła się do niego twarzą. Wiedziała, że nie może do niej strzelić ze swojej broni, która różniła się kalibrem od trzydziestkiósemki Stanley. Aby jego plan mógł się powieść, kapitan musiała ją zastrzelić ze swojej broni.

– Zastanów się – powtórzyła Tracy, ponownie przenosząc wzrok na Stanley. – Na tym rewolwerze jest pełno twoich odcisków palców. Powie, że strzeliłaś do mnie, więc musiał zabić ciebie i Leah.

Stanley spojrzała na Owensa. Chyba zaczynało do niej docierać, co tu się naprawdę dzieje.

– Ona próbuje ci tylko zamącić w głowie – prychnął Owens.

– Pociągnij tylko za spust, a on cię wtedy zastrzeli. To jedyny sposób, żeby mógł wyjść z tego cało.

– Oboje wyjdziemy z tego cało – zapewnił swoją współpracę Owens.

– Kłamie – rzuciła Tracy. – Trejowi też nie pozwolił wyjść z tego cało.

Stanley wycelowała w nią.

– Pociągnij za spust i już nie żyjesz – powtórzyła Tracy. – Przemyśl to sobie.

– Strzelaj, do cholery!

– Póki żyjesz, nie uda mu się dokończyć tej układanki.

– Zastrzel ją!

– Musi na kogoś zwalić winę za montaż nagrania. Jak to zrobi, jeśli będziesz żyła?

– Ona kłamie! Powiem, że to Battles. Strzelaj!

– Ale nagranie wyszło od ciebie – powiedziała z naciskiem Tracy. – To ty o nie poprosiłaś. A oryginału nie zniszczą. Uprzedziłam ich, że mają go zachować jako dowód w śledztwie policyjnym. Jesteś na tym nagraniu i on o tym wie.

Owens skierował pistolet ku Stanley.

– Zastrzel ją, do cholery, bo jak nie, to ja wpakuję kulę w twoją głowę.

– Właśnie takiego dowodu potrzebuje – ciągnęła Tracy. – Niepodważalnego. Jesteś uzależniona i widać cię na tym nagraniu. Byłaś w zмовie z Battles i Trejem, bo potrzebowałaś heroiny dla siebie. Taka będzie jego opowieść. To jedyna sensowna wersja.

Ręka Stanley drgnęła, jej oczy zamieniły się w dwie czarne kropki niepewności. Zaczynało do niej docierać, że Tracy może mówić prawdę.

Tracy celowo wykonała taki ruch, jakby próbowała sięgnąć po swoją broń. Owens wycelował w nią, ale nie pociągnął za spust.

– Widzisz? – rzuciła. – Nie może do mnie strzelić. Nie ten kaliber broni. Musi doprowadzić do tego, żebyś ty to zrobiła.

– Zastrzel ją! – Owens nie przestawał naciskać.

– Nie rób tego! – Tracy podniosła głos, żeby przekrzyczeć jego i znów wzbierającą burzę za oknem. – To twoja jedyna szansa na wyjście stąd żywą.

– Idiotka! – wrzasnął.

Skierował lufę w Stanley, ale ta też zmieniła cel i oboje wystrzelili jednocześnie. Małe pomieszczenie wypełnił przeraźliwy huk dwóch wystrzałów z broni Owensa i jednego z jej trzydziestkiósemki. Pociski

odrzuciły Stanley do tyłu, jakby była szmacianą marionetką, którą pociągnięto za sznurek. Grzmotnęła ciałem o ścianę i bezwładnie osunęła się na podłogę.

Owens stał nieco bokiem do linii strzału i to zmniejszyło powierzchnię celu. Stanley nie trafiła – pocisk wybił tylko dziurę w płycie gipsowej.

Tracy nie nadążała z rejestrowaniem ciągu zdarzeń. Właściwie nie zarejestrowała niczego w czasie rzeczywistym. Padła, jak ją uczono. Wiedziała, że ucieczka jest niemożliwa, a leżący na podłodze pistolet stanowi jej jedyną nadzieję. Rozpłaszczyła się na podłodze, sięgnęła po broń, przetoczyła się na bok i wycełowała w Owensa.

Już miała pociągnąć za spust, lecz w porę się powstrzymała, bo do akcji równocześnie przystąpiła Leah Battles. Wykonując serię błyskawicznych ruchów, zmusiła Owensa do podniesienia rąk i pistoletu nad głowę i jednocześnie wymierzyła mu potężnego kopa w pachwinę. Osunął się na kolana, a ona wyszarpnęła mu broń i zrobiła krok do tyłu, poza zasięg jego rąk. Nie spuszczając wzroku z mężczyzny, rzuciła przez ramię:

– Grasz w szachy, koleżanko?

– Już ci mówiłam, że niezbyt często i nie najlepiej.

– Szkoda. Bo coś czuję, że jakbyś trochę poćwiczyła, to mogłaby być z ciebie zajebista szachistka.

## Rozdział 46

Sąsiadka usłyszała strzały i zadzwoniła na policję, a ta szybko zjawiała się pod Bocianim Gniazdem. Pierwszą napotkaną przez nich osobą była Tracy Crosswhite, która wyszła przed blok z odznaką policyjną w jednej ręce i legitymacją w drugiej. Spokojnym głosem opowiedziała, co się wydarzyło, i zapewniła, że broń użyta w strzelaninie została zabezpieczona. W mieszkaniu policjanci znaleźli detektywa Johna Owensa, który siedział na dywanie z rękami skutymi na plecach. Po półgodzinnych wyjaśnieniach wyprowadzono go, a Tracy i Battles pozwolono wyjść z mieszkania, ale uprzedzono je, by zbyt szybko się nie oddalały. Następnie ekipa kryminalistyczna przystąpiła do oględzin miejsca przestępstwa.

Niebo było nadal pokryte kłębowiskiem chmur, ale przynajmniej przestał padać deszcz. Parking osiedlowy zapełnił się radiowozami z Bremerton i okręgu Kitsap i wysypało się tylu funkcjonariuszy, że starczyłoby ich do podbicia niewielkiego kraju. Zjawily się też wozy strażackie, karetki pogotowia oraz furgonetka koronera okręgu Kitsap. Nikomu specjalnie się nie śpieszyło. Rebecca Stanley zmarła od ran postrzałowych w klatkę piersiową. Na ulicy za taśmą policyjną stały wozy mediów i kręcił się tłumek reporterów i mieszkańców okolicznych domów, którzy czekali na dalszy rozwój wypadków.

Na prośbę Tracy Battles zadzwoniła do szefa ochrony bazy, Davida Bakhtiariego. Miał dopilnować, by nikt nie zniszczył nagrania z kamery bezpieczeństwa w budynku BOP z nocy osiemnastego marca.

Battles skończyła rozmowę i podeszła do Tracy.

– Oznakował to nagranie jeszcze przed wyjściem z pracy – powiedziała. – A to znaczy, że nie wolno go skasować aż do odwołania. Rozmawiałam też z dowódcą. Przyśle tu ekipę NCIS.

– Kiedy tu dotrą, powiedz im, żeby się ustawili w kolejce.

W milczeniu przyglądały się działaniom służb. Wiedziały, że obie będą musiały złożyć zeznanie.

– Co teraz zrobisz? – spytała Tracy.

– Co masz na myśli?

– Co dalej. Co zrobisz, jak się przewali ta zawierucha?

Battles pokręciła głową.

– Jeszcze nie wiem – odparła. – W tej chwili wszystko wydaje mi się takie nierealne. Przez jakiś czas życie w bazie będzie stało na głowie. Pewnie przeprowadzą pełne dochodzenie w sprawie Treja. Czy miał jakichś współników i jak długo uprawiał ten proceder. A to trochę potrwa. Nie sądzę, by od Owensa usłyszeli coś poza żądaniem adwokata.

Tracy pokiwała głową. Battles chyba miała rację.

– Na jak długo masz kontrakt? – spytała po chwili.

– W wojsku? Cztery lata w służbie czynnej, potem cztery w rezerwie. Został mi niecały rok służby czynnej.

– I co potem?

– Nie wiem. – Battles wzruszyła ramionami. – Na razie próbuję dojść do tego, co tu się naprawdę stało i jak dałam się w to wmanewrować.

– Broniłaś Treja. Przyjechałaś na rowerze do aresztu i zażądałaś widzenia z nim.

– Uważaj, o czym marzysz – mruknęła Battles.

– Słucham?

– Nic. Taka sobie matczyna rada.

– Myślisz, że tu zostaniesz?

– Na Bremerton? – Battles pokręciła głową. – Nie.

– W Seattle?

Znów wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Będzie zależało od możliwości pracy i od ludzi.

– Mój mąż jest prawnikiem.

Dan odmawiał przyjmowania nowych spraw, bo nie starczało mu już czasu. Przydałaby mu się pomoc. A Battles jej się podobała. Miała silną osobowość, tak jak ona. Może dwie takie kobiety nie byłyby dla Dana łatwe do zniesienia, ale Battles sprawiała wrażenie doświadczonej prawniczki, która stoi twardo na ziemi.

Battles uniosła brew.

– Rozumiem, że jesteś szczęśliwa w swoim małżeństwie, więc... Jest prawnikiem od czego?

– Głównie od spraw cywilnych, ale czasem jest też obrońcą w sprawach karnych.

– Dobry jest?

– Często musi odmawiać przyjmowania nowych spraw, bo nie starcza mu czasu. Myśli o zwolnieniu trochę tempa i wzięciu kogoś do pomocy.

– O zwolnieniu tempa? W jakim jesteście wieku? Macie po czterdzieści lat?

Tracy uśmiechnęła się.

– Zrobił niezłą karierę – rzuciła.

– Domyślam się. – Battles na moment się zamyśliła. – I to mi się podoba.

– Co? Sprawy cywilne?

– Pójście na emeryturę w wieku czterdziestu lat.

– Mówiłam o zwolnieniu tempa, a nie o przejściu na emeryturę. – Tracy uśmiechnęła się. – Nie chcę go mieć w domu przez cały czas.

Podszedł do nich jeden ze śledczych.

– Pani porucznik? – zwrócił się do Battles. – Chcielibyśmy spisać pani zeznanie.

Kiwnęła głową i bez słowa ruszyła za nim, zatrzymała się jednak i spojrzała na Tracy.

– Przekaż mężowi, że jestem zainteresowana. Ale powiedz mu też, że do tanich nie należę.

## Rozdział 47

Następnego dnia rano Tracy zapukała do drzwi domu w Rainier Beach. Dostała polecenie od Clarridge'a, by osobiście porozmawiać z rodziną D'Andrego Millera, choć i bez tego by to zrobiła. Chciała tej rozmowy. Wzięła głęboki oddech, drzwi się otworzyły i stanęła w nich matka Shaniqui Miller. Obrzuciła Tracy badawczym spojrzeniem.

– Dzień dobry pani. Zastałam pani córkę?

Kobieta skrzywiła się i Tracy pomyślała, że zatrzaśnie jej drzwi przed nosem, ona jednak rzuciła tylko: „Pani chwilę zaczeka”, i wróciła do wnętrza domu.

Ze środka dobiegały głosy, pachniało kawą, chyba piekło się też coś w piekarniku.

Po chwili w drzwiach stanęła Shaniqua Miller i zmierzyła ją takim samym badawczym spojrzeniem jak matka. Za nią widać było jej dwóch młodszych synów w piżamach, którzy też przyglądali się Tracy.

– Dzień dobry.

– Strasznie wczesna pora jak na wizytę, pani detektyw.

– Przepraszam, ale wczoraj było już za późno na rozmowę, a nie chciałam powiadamiać pani telefonicznie ani żeby dowiadywała się pani o tym z mediów.

Shaniqua Miller uniosła brwi.

– Mamo, możesz zabrać chłopców do kuchni?! – zawołała, odwracając głowę. Oczekała, aż matka odprowadzi synów, po czym spytała: – O czym się miałam dowiedzieć?

– Wiemy, dlaczego pani syna spotkało to, co go spotkało. Ludzie odpowiedzialni za jego śmierć staną przed sądem i jestem pewna, że tym razem trafią do więzienia.

Shaniqua Miller zacisnęła usta, ale się nie rozplakała. Jej matka, która znów podeszła do drzwi, chwyciła ją za rękę.

– Jest pani pewna? – spytała Shaniqua nabrzmiałym emocjami głosem.

– Tak – odparła Tracy. – Jesteśmy pewni.

Matka i córka zwróciły się do siebie twarzami, oparły głowy wzajemnie na ramionach i zaczęły płakać. Dwaj mali chłopcy, niepomni poleceń babci, podbiegli i wtulili buzie w spódnicę matki. Tracy nie próbowała ich uspokajać. Nie próbowała nic mówić. Pozwoliła im się wypłakać.

Po chwili Shaniqua opanowała się, otarła łzy i głęboko westchnęła.

– Dziękuję pani – powiedziała.

Tracy skinęła głową.

– Później, w bardziej odpowiedniej chwili, opowiem pani więcej. Na razie chciałam, żeby pani wiedziała, że nigdy nie zapomnieliśmy o pani synu. – Podała Shaniqui wizytówkę. – Proszę do mnie zadzwonić, jak znajdzie pani wolną chwilę. Spotkamy się i dłużej porozmawiamy. – Odwróciła się i zeszła ze schodków na betonową ścieżkę.

– Pani detektyw? – Tracy zatrzymała się i odwróciła głowę. – Przepraszam, ale on był moim dzieckiem...

– Nie ma pani za co przepraszać. Wiem aż za dobrze, co pani czuje. I na pani miejscu byłabym tak samo roztrzęsiona i zawiedziona. I tym razem nie odpuszczę. Będę tak długo walczyć, aż ludzie odpowiedzialni za pani tragedię znajdą się za kratkami. Niektórzy już nie żyją, ale główny winowajca będzie wkrótce przesłuchany i zostaną mu postawione liczne zarzuty.

Shaniqua zeszła ze schodków i wskazała ręką drzwi.

– Proszę, zapraszam – powiedziała. – Mama właśnie zaparzyła kawę, a ja piekę babeczki. Mamy własnej roboty dżem.

Tracy z uśmiechem skinęła głową.

– Z przyjemnością.



## Epilog

Leah Battles wcisnęła legitymację pod bluzę i podjechała pod wejście do budynku BOP. Od wydarzeń w mieszkaniu Rebekki Stanley minęły dwa tygodnie i nadal trwało zamieszanie, ale życie powoli wracało do normy. Spotkała się z Danem O’Learym, a on dwa dni po spotkaniu zadzwonił i zaproponował jej pracę w swojej kancelarii. Odparła, że się zastanowi i oddzwoni, ale już powzięła decyzję o pozostaniu w Seattle po zakończeniu służby wojskowej. Poszła nawet o krok dalej i skierowała prośbę do odpowiednich władz o zwolnienie jej ze służby w Kitsap. Jej zdaniem była realna szansa na to, że wniosek zostanie rozpatrzony pozytywnie.

Przypięła rower do stojaka przed budynkiem, zdjęła kask i weszła do środka.

– Co słyhać, proszę pani? – rzuciła z uśmiechem Darcy z recepcji.

– Wszystko gra – odpowiedziała z uśmiechem Battles. – Dam ci znać, jak przestanie grać.

Weszła do siebie i zamknęła za sobą drzwi. Na szafce za biurkiem położyła kask i wyjęła z niej rzeczy do przebrania. Włożyła wojskowe buty, zasznurowała je i zapięła, włączyła komputer i czekając, aż się uruchomi, otworzyła szufladę i przejechała palcami po stercie kilkunastu teczek z aktami. Usłyszała pukanie i uniosła głowę.

Drzwi się otworzyły i ukazała się w nich głowa Briana Cho.

– Przeszkadzam w czymś?

Pokręciła głową. Cho wszedł, zamknął za sobą drzwi i popatrzył na jej najnowszy obraz na ścianie: widok na centrum Seattle i cieśninę Puget z okna jej mieszkania.

– Coś nowego – zauważył.

– Namalowałam go, bo ostatnio miałam dużo wolnego czasu.

– No właśnie. W tej sprawie. – Odwrócił wzrok od obrazu i spojrzał na nią.

– Nic się nie przejmuj – rzuciła. – Gdyby sytuacja była odwrotna, też bym cię oskarżyła.

– Dzięki. – Cho się uśmiechnął. – Chyba.

– I na pewno cię pokonam. To tylko kwestia czasu.

– No cóż, chyba właśnie po to organizują wyścigi. – Otworzył drzwi, ale nie wyszedł od razu. – A jeśli ktoś ma mnie pokonać, to już wolę, żebyś to była ty.

\* \* \*

Del zaparkował pod domem i zgasił silnik, ale nie wysiadał z samochodu. I to nie z powodu pogody. Marzec wreszcie się skończył i Del bez żalu go pożegnał. Uwielbiał wyraźnie różniące się między sobą cztery pory roku w Seattle i zwykle nawet deszcz mu nie przeszkadzał, ale w tej chwili miał go dość. Kwiecień zapowiadał się na dużo bardziej suchy i ogólnie dużo lepszy miesiąc niż marzec. Kurtyna wiecznych ciemności, jaka zapadła w zimie, zdawała się wreszcie podnosić, choćby tylko na chwilę, dni były coraz dłuższe i znacznie bardziej słoneczne. A jemu potrzebna była jasność. Jego siostra też potrzebowała odrobiny jasności.

– Jest bardzo spięta – zwrócił się do siedzącej obok Celi McDaniel.

Był zdenerwowany. A nigdy się nie denerwował, nawet w czasach, gdy jeździł na patrole, ani podczas wielu lat pracy detektywa w wydziale zabójstw. Kochał swoją pracę, co oczywiście nie znaczyło, że lubił oglądać trupy. Zresztą kto lubił? Ale nigdy się nie denerwował, wyznając zasadę, że jest, jak jest, i co ma być, to będzie.

– Nie stresuj się tak, Del – powiedziała z uśmiechem Celia. – Ma prawo być spięta.

Od dwóch tygodni pracował na łatwiejsze do życia dzienne zmiany, dzięki czemu niemal wszystkie wieczory spędzał z Celią. Ona nadzorowała przebieg sprawy przeciwko Nicholasowi Evansowi oraz zajmowała się kompletowaniem zarzutów wobec detektywa Johna Owensa. Było ich wiele i składały się na nie zabójstwa – Rebekki Stanley, Erica Tsenga i Laszla Treja – a także oskarżenie o handel narkotykami, które doprowadziły do śmierci ponad dziesięciorga mieszkańców Seattle. Na tę chwilę nic nie zapowiadało, by ta liczba miała jakoś znacząco wzrosnąć. Rozesłano wici o pojawieniu się na

rynku zabójczej heroiny, co brzmiało trochę jak tautologia, bo każda heroina jest zabójcza, i od dwóch tygodni nie zanotowano nowych ofiar śmiertelnych. Funk zadzwonił z wiadomością, że analiza laboratoryjna potwierdziła, że heroina znaleziona na toalecie Allie i w garażu Jacka Welcha była zaprawiona fentanylem.

Wbrew perswazjom Celi Del nadal się wahał, czy nie lepiej pojechać do jakiejś fajnej restauracji na miłą kolację, podczas której nie będzie się musiał denerwować, czy ktoś czegoś nie palnie.

– Na pewno nie masz nic przeciwko temu? – spytał.

– Przeciwko poznaniu twojej rodziny? Czemu miałabym mieć coś przeciwko?

– Wiesz, chłopcy mogą być trochę... niedelikatni.

– W sprawie koloru mojej skóry?

– Hm... trzeba się z tym liczyć – przyznał, wyraźnie podenerwowany.

– Uprzedziłeś ich, że jestem czarna?

– Uprzedziłem. Nie żeby to miało jakieś znaczenie. Po prostu pomyślałem, że to może wszystkim ułatwić sprawę.

Celia się roześmiała.

– Zachowujesz się jak siedemnastolatka na pierwszej randce. Kolor skóry jest faktem, Del. Ludzie, którzy twierdzą, że nie zwracają uwagi na kolor skóry czy rasę, właśnie to robią. Zauważamy, że ktoś jest przystojny albo sympatyczny, albo podły. Dlaczego mielibyśmy nie zauważać czegoś tak rzucającego się w oczy jak kolor skóry?

– Zważywszy na to, co masz dziś na sobie, nie wiem, czy ktokolwiek zwróci uwagę na białe i czarne. – Celia miała na sobie rudobrązową plisowaną spódniczkę w drobny rzucik, która kończyła się nad kolanami, dopasowany do niej żakiet i białą bluzkę.

– Wyglądam za krzykliwe? – spytała.

– Za ślicznie.

Przechyliła się w fotelu i pocałowała Dela.

– Spokojnie. A co do twoich siostrzeńców, to dorastałam w towarzystwie trzech braci i wychowywałam syna. Nie sądzę, żeby mogli mnie czymś zaskoczyć.

– Jasne. – Westchnął, ani trochę mniej spięty.

Kiedy zaczęła otwierać drzwi, przechylił się i dotknął jej ramienia.

– Zdajesz sobie sprawę, że między siostrą i tobą wystąpi naturalna więź?

– A co, twoja siostra jest czarna?

– Wiesz, o co mi chodzi. Po prostu nie chcę, żebyś się czuła do czegoś zobowiązana.

Celia się uśmiechnęła.

– Del, sprzymierzeńcami przy wychodzeniu z takiej traumy są silne więzy rodzinne, silna wiara i silni przyjaciele. – Uniosła brwi. – W dwóch pierwszych kwestiach nie mogę pomóc, ale w trzeciej tak. I nie dlatego, że czuję się zobowiązana. Tego oczekiwałyby po mnie mój syn.

Del znów się przechylił i pocałował ją.

– Czy wspominałem ci już o moich siostrzeńcach?

Pacnęła go w dłonie.

Trzymając się za ręce, ruszyli do drzwi. Del sięgnął do gałki, ale drzwi się otworzyły, zanim zdążył zapukać, i stanął w nich Stevie, upychając koszulę pod pasek spodni khaki. Na nogach miał trampki z niezawiazanymi sznurowadłami. Pewnie usłyszał podjeżdżający samochód i pognął po schodach z ich pokoju w podziemiu. Obrzucił wujka przelotnym spojrzeniem, lecz widać było, że interesuje go tylko Celia.

– Cześć, Stevie – rzucił Del.

– Cześć, wujku – bąknął chłopiec, jakby dopiero teraz go zauważył.

– Świetnie wyglądasz.

– Mama kazała nam się odpicować – powiedział Stevie, nie spuszczać wzroku z Celi.

Mark pędem wpadł na górę z połami koszuli zwisającymi na spodniach i z trampkami w rękach. Pokazał język bratu, wlepił wzrok w Celię i ruszył do drzwi.

– Hej, Mark.

– Hej, wujku Del.

– Stevie, Mark, to jest Celia.

Celia podała im rękę.

– Miło panią poznać – odezwali się równocześnie, wyciągając dłonie.

– Miło mi poznać was obu – powiedziała Celia. – Słyszałam o was dużo dobrych rzeczy. Podobno jesteście świetni w koszykówce. Del

obiecał, że niedługo zabierze mnie na wasz mecz.

Chłopcy się rozpromienili.

– Gramy w tę sobotę – rzucił Stevie.

– Wujek będzie naszym trenerem – dodał Mark.

– Słyszałam – powiedziała Celia. – Może mnie zaprosi.

W Małej Lidze brakowało trenerów i Del zgodził się pod warunkiem, że nie będzie musiał nosić spodni od dresu.

Stevie spojrział na niego.

– Jak mogłeś jej nie zaprosić, wujku Del?

– No właśnie, gdzie twoje maniery? – dorzucił Mark.

– No, gdzie twoje maniery? – powtórzył Stevie.

– Przypominacie stereo – powiedział Del. – Gdzie są moje maniery?

To wy dwaj, pajace, trzymacie nas tu na zimnie. Dość tego, wpuszczajcie nas do środka.

Dom był wypucowany do połysku, stół wyczyszczony, na kanapach nie było okruchów ciastek ani gazet. Z głośników sączył się łagodny jazz.

– Widzę, że posprzątaście – zauważył Del. – Ładnie tu.

– Mama nam kazała.

– Pięknie pachnie – zauważyła Celia.

– Mama szykuje manicotti – rzucił Stevie.

– Jemy manicotti tylko wtedy, jak są goście – dodał Mark.

Z kuchni wyszła Maggie. Miała na sobie dzinsy, jasnoróżową bluzkę i baleriny. Na widok Celi uśmiechnęła się.

– Hej – zwróciła się do brata i cmoknęła go w policzek. – Właśnie zaglądałam do garów.

– Pachnie cudownie – pochwaliła Celia.

– Mam nadzieję, że lubisz włoskie jedzenie – powiedziała Maggie.

– Kto nie lubi włoskiego jedzenia? Będziesz musiała mnie nauczyć gotować po włosku.

Maggie uśmiechnęła się i wskazała ręką kanapy.

– Chodźcie, siadajcie.

Del i Celia usiedli na dłuższej z dwóch kanap.

– Stevie, przynieś antipasti – poleciała Maggie.

– Ten talerz z oliwkami i prosciutto?

Maggie ostentacyjnie wywróciła oczami.

– Tak. A ty, Mark, przynieś wino i kieliszki.

– My też dostaniemy wina?

– Nie.

– To by zaszkodziło wam w rośnięciu – wtrąciła Celia.

Chłopcy zeszywnieli.

– Naprawdę?

– Znałam mężczyznę metr dziewięćdziesiąt, którego syn pił wino i jest tego wzrostu. – Zawiesiła rękę metr nad podłogą.

Oczy chłopców zrobiły się wielkie jak spodki. Obaj spojrzeli na wujka, szukając u niego potwierdzenia lub zaprzeczenia, ale on tylko wzruszył ramionami, jakby mówił: „Mnie nie pytajcie”.

Chłopcy zakręcili się i pobiegli do kuchni.

– Mam nadzieję, że Del cię uprzedził o tych dwóch – powiedziała Maggie.

– Przypominają mi moich braci. Dzieliło ich jedenaście miesięcy, ale żaden nie robił nic bez udziału drugiego.

Stevie wniósł do pokoju półmisek z włoskimi wędlinami, oliwkami, krakersami, pastą z bakłażana i serami. Postawił go na stole, a Mark postawił obok butelkę chianti i trzy kieliszki.

– Mam nadzieję, że nie narobiłam ci kłopotu – odezwała się Celia. – Wygląda wspaniale.

– To wujek wszystko kupił – rzucił Stevie.

Del zmierzył go wrogim spojrzeniem. Mieli wszyscy udawać, że to kolacja przygotowana przez Maggie.

– No, on to właściwie mieszka w Salumi – dodał Mark.

– To jego ukochana knajpa – dorzucił Stevie.

– W każdym razie była, jak jeszcze był gruby.

– Bardzo wam dziękuję – prychnął Del, który schudł prawie piętnaście kilo.

Chłopcy parsknęli śmiechem.

– Naprawdę mu się pani podoba, jak tak dla pani chudnie – zauważył Stevie.

Del odchrząknął, a Celia zakryła usta dłonią.

– To włoska mieszanka – powiedział Del, nalewając wina do trzech kieliszków.

– Jest pani Włoszką? – zwrócił się do Celi Stevie.

– A mogę być Włoszką honorową?

Chłopak wzruszył ramionami.

– Chyba tak – odparł.

– Ona jest Afroamerykanką – oświadczył jego brat, wpakował do ust oliwkę i zagryzł ją kawałkiem sera.

– Co ty powiesz?! – parsknęła Celia.

– No, mówili nam o tym w szkole. – Mark wzruszył ramionami, jakby to było oczywiste, po czym owinął dwie oliwki plasterkiem szynki i wpakował do ust. – Ale może pani być Włoszką.

– Wy dwaj, dość tego – burknęła Maggie. – Jesteście jak szarańcza. Zostawcie coś do jedzenia dla gości i idźcie skończyć nakrywanie do stołu.

Obaj chłopcy podnieśli się z kolan, wzięli z półmiska po garści oliwek i plasterków wędlin i poszli do kuchni.

– Przepraszam za nich – powiedziała Maggie. – Potrafią być trochę wścibscy.

Celia się uśmiechnęła.

– Mój syn w ich wieku zachowywał się bardzo podobnie.

Uśmiech zgasł na twarzy Maggie.

– Del mi wspominał, że straciłaś syna. Bardzo ci współczuję.

– Dziękuję. A ja ci współczuję utraty Allie.

Maggie pokiwała głową. Jej oczy zwilgotniały, lecz zapanowała nad łzami.

– Nie zważaj na mnie i płacz, jeśli masz ochotę – powiedziała Celia.

Siostra Dela wytarła kąciki oczu serwetką.

– Czy kiedyś mi to przejdzie? – jęknęła.

Celia odstawiła kieliszek i położyła rękę na jej dłoni.

– Wiesz, że bym skłamała, gdybym powiedziała, że tak, prawda?

– Tak, wiem. – Maggie kiwnęła głową.

– Ale z czasem nauczysz się żyć z tym bólem. Nauczysz się żyć ze wspomnieniami i nie bać się ich. Nauczysz się nad nimi panować i ich potrzebować.

Maggie zaczęła płakać. Celia wstała i usiadła obok niej.

– Nie będzie lepiej, Maggie. Ale będzie inaczej, a jak inaczej, to już dobrze. Musisz się tylko nauczyć to ogarniać. Jak na wszystko w życiu, potrzeba na to czasu. Musisz zdać sobie sprawę, że płacz to sposób, w jaki Pan Bóg pomaga nam uwolnić się od bólu. Dlatego nigdy nie przepraszaj, że płaczesz. Płacz uzmysławia nam, że wszyscy jesteśmy ludźmi i że całą sobą kochamy swoją rodzinę. A to jest piękne.

Maggie uśmiechnęła się, otarła łzy i głęboko odetchnęła.

– Ten twój akcent – powiedziała. – Skąd pochodzisz?

– Z Georgii – odparła Celia. – I czasem ten mój akcent jest bardzo wyraźny – popatrzyła na Dela, który siedział na kanapie z uśmiechem i łzami w oczach – a kiedy indziej ludzie prawie go nie zauważają.

– Ja go słyszę. – Del uniósł kieliszek.

– Jest śliczny – rzuciła Maggie.

– Ona cała jest śliczna – dodał jej brat i usłyszał chichot chłopców, którzy po cichu zakradli się do pokoju i schowali za jego plecami.

\* \* \*

Podczas spaceru wśród zarośli za domem Tracy trzymała Dana za rękę, spuszczone ze smyczy psy szły obok siebie. Marcowe deszcze ustały, kwiecień przyniósł zapach wiosny, Tracy skończyła wieczorne służby i dzięki temu więcej spała i dłużej przebywała w towarzystwie męża.

Głównym jej zajęciem było kompletowanie materiału dowodowego, który miał posłużyć Celi McDaniel w zbudowaniu aktu oskarżenia przeciwko detektywowi Johnowi Owensowi. Tracy podejrzewała, że zajmie jej to jeszcze sporo czasu.

W zapadającym mroku Rex i Sherlock buszowali gdzieś w zaroślach, napawając się zapachami i odgłosami młodego lasu. Ptaki prześcigały się w swoich trelach, gałęzie drzew skrzypiały i postukiwały na lekkim wietrze.

Zwykle po dniu pracy w mieście Tracy czuła się tu jak w raju, dziś jednak było jej trochę niedobrze i kręciło się lekko w głowie. Może to konsekwencje zaległości w spaniu, pomyślała. Przystawienie się z cyklu cmentarnej szychty na dzienną zmianę zawsze sprawiało jej trudności.

Zatrzymała się i wciągnęła haust świeżego powietrza, ale nie usunęło to metalicznego posmaku w ustach, który męczył ją od rana.

– Dobrze się czujesz? – spytał Dan.

– Mdli mnie. – Czuła, jakby miała powleczony czymś język. – I znowu te fale gorąca. – Rozpięła zamek kurtki i pomachała połami, by się nieco ochłodzić.

– Chcesz już wracać?



– Jeśli te dwa kundle się nie wybiegają, to potem przez resztę dnia i nocy będą się tłuc po całym domu. Jeszcze trochę zostanemy. Chłodne powietrze dobrze mi robi.

Ruszyli w dalszą drogę.

– Może złapałaś jakiegoś wirusa. Mnóstwo ludzi choruje na grypę.

– To może być menopauza. – Tracy wzruszyła ramionami. – Moją mamę bardzo wcześnie to dopadło.

Dan zatrzymał się.

– Wiesz, że to nie ma znaczenia, prawda? Czy będziemy mieli dzieci, czy nie. Mnie zupełnie wystarcza dwuosobowa rodzina, bylebyś ty w niej była.

– Nigdy nie będziemy dwuosobową rodziną. – Uśmiechnęła się. – Należą do niej też Sherlock, Rex i Roger.

– Wiesz, co mam na myśli.

– Tak, wiem.

– I nie przeszkadza ci to?

– Tak naprawdę nie mamy wyboru, nie? – Ścisnęła dłoń męża i ruszyli w dalszą drogę. – Jestem pewna, że z czasem się z tym pogodzimy. Czuję się zawiedziona, że nie mogłam ci dać dziecka, ale nic nie dzieje się bez powodu. – Pomyślała o Leah Battles. – Trzeba uważać, o czym się marzy.

– To znaczy?

– Niedawno usłyszałam coś takiego. Myślę, że to znaczy, że trzeba się cieszyć z tego, co się ma. – I Tracy się cieszyła. Nie potrafiła ukryć zawodu, że nie może zajść w ciążę, ale miała dobre życie. Miała Dana i miejsce, które mogła nazywać domem, karierę dającą cel w życiu i poczucie, że robi coś dla ludzi.

– Ja jestem szczęśliwy – powiedział Dan i pocałował ją.

– Ja też.

Zawrócili w stronę domu.

– Rozmawiałaś z Leah Battles? – spytała Tracy.

– Rozmawiałem.

– No i?

– Sprawia wrażenie kompetentnej. Trochę potrwa, zanim się wdroży w tryby procedur karnych i cywilnych poza wojskiem, ale ma duże doświadczenie. Podobała mi się.

– Zatrudnisz ją?

– Już jej to zaproponowałem.

– I co powiedziała?

Dan uśmiechnął się.

– Że się zastanowi i da odpowiedź w ciągu tygodnia.

– Mówiłam ci, że to babski pistolet.

– Zostało jej jeszcze kilka miesięcy do końca służby, więc specjalnie jej się nie śpieszy. Ale jestem prawie pewien, że się zgodzi. Nie widzę jej w jakiejś wielkiej kancelarii prawniczej.

Skończyli spacer i wrócili do domu. Na kolację Dan przygotował swoje słynne enchilady. Wyjął je z piekarnika, bulgocące roztopionym serem i czerwonym sosem i rozsiewające wokół cudowny aromat. Jednak dosłownie po paru kęsach Tracy odłożyła widelec.

– Wciąż czujesz mdłości?

– Chyba się położę. Przepraszam. Wolę je zjeść, kiedy przyjdzie mi ochota. – Wstała i podniosła swój talerz i widelec.

– Zostaw, ja posprzątam – powiedział Dan.

– Dzięki. Jeszcze raz przepraszam.

– Nic się nie przejmuj.

Zatrzymała się, bo zaczęło jej się zbierać na wymioty.

Dan podniósł się od stołu.

– Chodź, pomogę ci – rzucił.

– Nie, nie trzeba. – Machnęła ręką i roześmiała się. – Do łóżka mam tylko parę kroków.

Przeszła do sypialni, przebrała się w T-shirt i wślizgnęła pod kołdrę. Sherlock i Rex już ułożyli się na łóżku po stronie Dana. Obaj zwinęli się w jak najmniejsze kulki i starali się wyglądać tak, jakby ich tam nie było. Nie wolno im było kłaść się na łóżku, kiedy Tracy i Dan szli spać, ale zdarzało się, że pakowali się na nie nad ranem i Tracy nie miała sumienia ich zrzucić. Lubiła ich towarzystwo.

Obudziła się po ciemku. Budzik na nocnym stoliku pokazywał parę minut po drugiej, Dan lekko pochrapywał, psy postękiwały na swych posłaniach w kącie pokoju. Nie słyszała, jak mąż się kładł, i nie pamiętała, kiedy Sherlock i Rex opuścili łóżko, a to znaczyło, że musiała naprawdę twardo spać. Teraz jednak wiedziała, że już nie usnie do rana.

Wstała z łóżka i ruszyła w stronę łazienki, w której paliła się lampka nocna. Czowała się dużo lepiej niż wieczorem i choć nadal

męczyły ją lekkie zawroty głowy, nudności niemal ustąpiły. Przymknęła drzwi do sypialni i spojrzała na szafkę pod zlewozmywakiem. Przyszło jej do głowy, że może została jeszcze jedna sztuka.

Zapaliła światło, pogrzebała w szafce i znalazła pudełeczko. Wewnątrz znajdował się jeszcze jeden, ostatni test ciążowy. Wyjęła go, ale nie od razu rozpieczętowała. W głębi serca wiedziała, że to bardzo mało prawdopodobne. Clomid nic jej nie pomógł, a doktor Kramer uprzedził ją, że szanse na naturalne zajście w ciążę są bliskie zeru.

Była już zniechęcona liczeniem na cud i przeżywaniem kolejnych rozczarowań. Ale szybko się z tej myśli otrząsnęła. Ojciec nazwałby takie podejście defetyzmem. Kiedy przed zawodami strzeleckimi wyrażała wątpliwości co do ich wyniku, zawsze jej mówił, że ma nie startować. „Jeśli startujesz, bojąc się, że przegrasz, to już przegrałaś. Jeśli startujesz z przekonaniem, że musisz wygrać, to będziesz zawiedziona, jeśli przegrasz. Dlatego stawaj do zawodów, myśląc tylko o tym, że masz dobrze strzelać, bo jedynie nad tym masz kontrolę”.

Wprawdzie trudno było porównywać zajście w ciążę z zawodami strzeleckimi, ale naprawdę nie miała wielkich nadziei.

Pomyślała o Danie i tej nocy, kiedy naprawdę chciała tylko spać. Przytulił ją wtedy i powiedział, że jest wszystkim, czego pragnie na tym świecie. A potem się kochali nie po to, żeby zrobić dziecko, tylko żeby być ze sobą blisko.

Rozpieczętowała pasek testu, nasikała na niego, położyła go na brzegu sedesu i podeszła do umywalki, żeby umyć ręce. Wytarła je w ręcznik i spojrzała w lustro na leżący za nią pasek bez żadnych oczekiwań. Nie liczyła ani na pozytywny, ani na negatywny wynik.

Wracając do sedesu, mimo wszystko czuła, że serce zaczyna jej walić.

Przecież to może być tylko grypa.

Sięgnęła i wzięła do ręki pasek.

Dwie wyraźne równoległe kreski.

Zamknęła oczy. Po policzkach spłynęły jej łzy. Zaczęła walczyć z chęcią wybuchnięcia głośnym śmiechem i głośnym płaczem równocześnie. Przed nią była jeszcze daleka droga. Wiedziała o tym. Testy ciążowe czasami zawodzą i wyniki nie zawsze się potwierdzają.

Musi jak najszybciej iść do lekarza. Potem oczywiście istnieje groźba poronienia, dużo wyższa z powodu jej wieku.

Teraz musi... teraz musi...

Teraz musi przestać. Musi przestać się martwić i zacząć cieszyć się tą chwilą.

Uśmiechnęła się do siebie i wyjrzała z łazienki ku drzwiom sypialni, w której spał Dan.

Długo sobie dziś nie pośpi.

## Podziękowania

Tematyka tej książki boleśnie dotyka wielu osób, zwłaszcza rodziców. Nigdy w pełni nie rozumiem przedmiotu mojej powieści, póki nie skończę jej pierwszego szkicu. Często pomysł na książkę rodzi się z artykułu w gazecie lub czasopiśmie, w tym jednak przypadku wziął się z życia. W ciągu roku przed przystąpieniem do pisania *Brudnej sprawy* przeczytałem wiele relacji o śmiertelnych ofiarach przedawkowania heroiny wśród uczniów liceów. Śmierć kogoś tak młodego jest zawsze dramatem. Utrata dziecka, często po latach cierpienia, jakie heroina zadaje całej rodzinie, jest wstrząsem. Zagłębiając się w tę tematykę, ze zdumieniem i zgrozą uświadomiłem sobie, jak daleko sięgają macki legalizacji marihuany. Nie miałem pojęcia, że utrata zysków z handlu marihuaną spowodowała, że meksykańskie, południowoamerykańskie i chińskie kartele narkotykowe zaorały plantacje konopi, posiały w ich miejsce maki i zalały Stany Zjednoczone tanimi odmianami heroiny. Stało się to w bardzo niefortunnym momencie, gdy wielu Amerykanów, którzy zażywali opioidy kupowane na recepty lekarskie, wpadło w uzależnienie. Nie aspirując do miana eksperta w tej dziedzinie, mogę jednak stwierdzić, że po przeczytaniu wielu artykułów prasowych i książek oraz po przeprowadzeniu niezliczonych rozmów z ludźmi głęboko zaangażowanymi w walkę z uzależnieniami, uzyskałem dość jasny i przerażający ogląd tego problemu. Zawsze wyobrażałem sobie heroinistów jako wyrzutków żyjących w zarobaczonych i zaszczurzonych norach. Słowa, jakie w trakcie zbierania materiałów do tej książki wywarły na mnie największe wrażenie, brzmiały: „To dobre dzieciaki z dobrych rodzin”.

Jestem pewien, że mimo moich usilnych starań wciąż popełniam różne błędy i to ja ponoszę za nie pełną odpowiedzialność. W ciągu mej kariery pisarskiej upodobiłem się bardzo do Blanche DuBois

z *Tramwaju zwanego pożądaniem*. Polegam na uprzejmości obcych, z których wielu staje się moimi przyjaciółmi.

Specjalne podziękowania kieruję do Rona Sandersa, detektywa z Zespołu Badania Wypadków Drogowych policji w Seattle. To on zapoznał mnie z tajnikami pracy ZBWD i pomógł w zrozumieniu działań podejmowanych dla zidentyfikowania sprawcy wypadku, który ucieka z miejsca zdarzenia. Nowe techniki wprawiają w zdumienie i stają się coraz skuteczniejsze.

Dwa lata temu prowadziłem na Whidbey Island zajęcia z pisania powieści i jedną z moich słuchaczek była wówczas Alexandra Nicca. Nicca, jak ją wkrótce wszyscy nazywali, odznaczała się unikalnym, pełnym humoru podejściem do życia w ogóle, a do pewnych jego przejawów w szczególności. Spytałem ją, czym zajmuje się zawodowo, i usłyszałem, że jest porucznikiem w Marynarce Wojennej Stanów Zjednoczonych i pracuje w Wojskowym Biurze Prawnym, czyli krótko mówiąc, jest wojskowym prawnikiem. Stacjonowała w Bazie Marynarki Wojennej Kitsap i dzięki niej odbyłem turę po budynku, w którym mieściło się Biuro Obsługi Prawnej, usiadłem wśród publiczności na sali rozpraw i zasypałem ją dziesiątkami banalnych pytań, które zapewne śmiertelnie ją znudziły. Ale uznałem wtedy, że ma fascynującą pracę, i chciałem jak najwięcej się o niej dowiedzieć. Powiedziałem jej, że mam ogromny szacunek dla wszystkich, którzy wkładają mundur, aby bronić swego kraju i mu służyć, a więc także dla niej. Jestem jej niezmiernie wdzięczny za poświęcony mi czas i podzielenie się ze mną wiedzą.

Tak jak poprzednich powieści z Tracy Crosswhite, tej także nie napisałbym bez pomocy Jennifer Southworth z Sekcji Ciężkich Przestępstw Kryminalnych policji w Seattle oraz Scotta Tompkinsa z Jednostki Poważnych Przestępstw w biurze szeryfa okręgu King. Gdy pisałem *Brudną sprawę*, Jennifer pracowała na wieczorną zmianę i spotkałem się z nią i Scottem na kolacji w American Grill and Irish Pub Shawna O'Donnella, na parterze słynnej Smith Tower. Nie tylko oświecili mnie w wielu kwestiach, ale też pomogli znaleźć nową scenerię dla paru zdarzeń z mojej książki oraz ustalić jej ogólny wydźwięk. Tego wieczoru było zimno i padało i mogłem sobie wyobrazić, jak to jest być wezwanym w taką noc na miejsce zabójstwa.

Dziękuję też Kathy Taylor, antropolożce kryminalistycznej z biura koronera okręgu King. Kathy zwykle nie wie, w co włożyć ręce, a mimo to zawsze znajduje czas, by odpowiadać na moje pytania. Poza tym poprosiłem ją, by przeczytała fragment mojej powieści. Zrobiła to i poinformowała mnie, że scena, w której koroner okręgu King ma do czynienia z czterema przypadkami przedawkowania heroiny tygodniowo, jest zupełnie nierealistyczna, bo w rzeczywistości miewa po cztery takie przypadki dziennie, a epidemia heroiny przybiera znacznie większe rozmiary, niż to opisałem. Jak wszyscy pisarze dobrze wiedzą, pisanie polega na wprowadzaniu ciągłych poprawek, więc je wtedy też wprowadziłem.

Dziękuję Ericowi Yurkaninowi z Max Technologies w Seattle. Moja znajomość komputerów i systemów komputerowych sięga mniej więcej jak stąd do klawiatury. Zadałem Ericowi mnóstwo pytań o kamery bezpieczeństwa, o to, jak działają i nagrywają, jak długo przetrzymywane są nagrania i czy da się je kopiować. Jestem wdzięczny za jego cierpliwe wyjaśnienia. Z biegiem lat nabrałem przekonania, że tak jak broń palna, również komputery mają grono zapalonych miłośników, którzy tylko czekają, żebym popełnił jakiś błąd, tak by mogli mi go wytknąć. Niektórzy z nich są bardzo mili i przysyłają mi maile z uwagami. Doceniam ich trud i zapewniam, że zachowuję każdy taki mail do ewentualnego wykorzystania w przyszłości. Ale są też tacy, którzy rozszarpują mnie na strzępy w internecie. Ich uwag nie zachowuję. Powiedzmy więc sobie jasno: jeśli popełniam jakiś błąd, to w sposób niezamierzony, a nie z braku dbałości. I zawsze jestem wdzięczny za maile z uwagami, bo to pomaga unikać błędów w przyszłości.

Dziękuję też doktorowi Scottowi Kramerowi, położnikowi i ginekologowi. Scott pomógł mi w opisie starań Dana i Tracy o ciążę oraz w przedstawieniu różnych opcji i związanych z nimi zagrożeń. Scott jest też moim szwagrem i wiercie mi na słowo, że w ciągu minionych lat przygotował niejedną niezwykłą kolację bożonarodzeniową. Można więc powiedzieć, że jest dla mnie podwójnie cennym członkiem rodziny.

Dziękuję paniom Meg Ruley, Rebecce Scherer i całemu zespołowi w Jane Rotrosen Agency. Opiekują się mną od początku mojej kariery pisarskiej i nie wątpię, że chwilami czuły się jak matki dorastającego

nastolatka. Miałem swoje wzloty i upadki, ale one zawsze stały u mego boku i z niewzruszonym optymizmem i entuzjazmem pchały mnie do przodu. Nie znajduję słów, by w pełni wyrazić swoją wdzięczność.

Dziękuję wydawnictwu Thomas & Mercer. To moja piąta powieść z Tracy Crosswhite i szósta wydana w tym wydawnictwie, ale ani przez chwilę nie czułem się w nim staro. Jego pracownicy wiecznie poszukują nowych sposobów promocji moich książek; starają się, by docierały do rąk możliwie jak największej liczby czytelników. To najważniejsze, o co może prosić autor: szansa na bycie czytany.

Dziękuję Sarah Shaw, specjalistce od kontaktów z autorami, dzięki której zawsze czuję się jak ktoś specjalny. Mój lokalny urząd pocztowy zagroził, że zamkną mi skrytkę pocztową, jeśli nie będę regularnie wyjmował z niej wszystkich przesyłek, którymi Sarah mnie zasypuje. Znajduję wśród nich cudowne niespodzianki i cała moja rodzina bywa nimi zachwycona.

Dziękuję Seanowi Bakerowi, szefowi produkcji, i Laurze Barrett, kierownicze działu produkcji. Już to mówiłem, ale raz jeszcze powtórzę: uwielbiam tytuły i okładki wszystkich moich powieści i właśnie im to zawdzięczam. Dziękuję Justinowi O'Kelly'emu, szefowi PR, i Dennelle Catlett z Amazon Publishing PR za ich wysiłki w promowaniu mnie i moich powieści. Dziękuję wydawczyni Mikiyli Bruder, jej zastępcy Galenowi Maynardowi i Jeffowi Belle'owi, wiceprezesowi Amazon Publishing.

Specjalne wyrazy wdzięczności kieruję do redaktorki z Thomas & Mercer, Gracie Doyle. Praca nad moimi powieściami zwykle zaczyna się od lunchu z Gracie, podczas którego wyznaję jej, że mam parę pomysłów, po czym zaczynam je rozwijać. Gracie je analizuje i pomaga wybrać najbardziej obiecujący wątek. Od tej chwili zaczyna się wyścig. Gdy dobiegam do mety, Gracie jako pierwsza czyta manuskrypt i pomaga mi w doprowadzeniu całości do końca. Tak więc, Gracie, raz jeszcze dziękuję za sterowanie moją wyobraźnią, za uwagi redakcyjne i za twoją przyjaźń. Naprawdę się cieszę, że to ty kierujesz moim teamem.

Specjalne dzięki dla innej redaktorki, Charlotte Herscher. To nasza szósta wspólna książka i dzięki Charlotte stałem się nieskończenie lepszym pisarzem. Czasami słyszę w głowie jej głos, jak mi mówi, abym bardziej rozbudował tę czy inną postać, a ja natychmiast



słucham jej rady, bo Charlotte zawsze ma rację. Dziękuję redaktorze wydawniczej Sarze Addicott i korektorowi Scottowi Calamarowi. Wspaniale, kiedy człowiek uświadamia sobie swoją słabość, bo może wtedy prosić o pomoc. Gramatyka i interpunkcja nigdy nie należały do moich mocnych stron i miło wiedzieć, że dbają o nie najlepsi.

Dziękuję Tami Taylor, która prowadzi moją stronę internetową, redaguje moje komunikaty i tworzy okładki do moich książek tłumaczonych na inne języki. Kiedy zwracam się o coś do Tami, robi to zawsze szybko i sprawnie. Dziękuję Pam Binder i Pacific Northwest Writers Association za pomoc i wsparcie w mojej pracy. Dziękuję też Seattle 7 Writers, stowarzyszeniu non profit pisarzy z północnej części Zachodniego Wybrzeża, które dba o słowo pisane.

Dziękuję wam, Czytelnicy, za wybieranie moich powieści i za niezwykle moralne wsparcie, jakiego mi udzielacie. Dziękuję za posty z recenzjami książek i za maile, w których piszecie, jak wam się podobały. To największa radość dla pisarza.

Specjalne dzięki dla Boba Grassillego z rocznika 1966 w Serra High School i Davida Bakhtiariego z rocznika 2009 w Serra High School za ich szczodre datki na rzecz Funduszu Marzeń. Jedną z frajd w mojej działalności pisarskiej jest zbieranie funduszy na stypendia dla uczniów w potrzebie. Z Serra High School wyszło wiele znakomitości, jak mistrzowie sportu NFL, Lynn Swann i Tom Brady, mistrzowie baseballu, Barry Bonds i Jim Fregosi, naukowcy, jak choćby autor bestsellerów „New York Timesa” John Lescroart, czy jeden z najsłynniejszych fotografów portrecistów świata, Michael Collopy. Bob Grassilli jest byłym burmistrzem San Carlos, a David Bakhtiari gra na lewej obronie w Green Bay Packers. Dziękuję wam obu za hojność.

Mam za sobą świetny rok zawodowy i nieco gorszy w sprawach osobistych. Moja żona Cristina i ja uczymy się rozstań z naszymi dziećmi i wysyłania ich do college’u. Kiedy człowiek zostaje pobłogosławiony dwójką najlepszych dzieci, jakie można sobie wymarzyć, rozstanie nie jest łatwe. Tak więc dziękuję mojemu synowi Joemu i mojej córce Catherine – daliście ojcu więcej radości, niż miałem prawo liczyć. Nigdy nie zapomnę jeżdżenia po Londynie z Joem, który – jestem tego pewny – urodził się z wbudowanym radarem. Ten chłopak potrafi odnaleźć restaurację czy pub po jednym rzucie oka na mapę. Zdumiewające! A Catherine nieustannie nas

rozśmiesza. Obiecała zaopiekować się tatusem, kiedy już będzie stary i niedołężny. Czegóż więcej można sobie życzyć?

Osobą, która wszystko to trzyma w garści, jest Cristina. Jakie to szczęście, że mogę jej dziękować na zakończenie każdej kolejnej powieści. Stała przy mnie w czasie wszystkich moich wzlotów i upadków, a jej wiara we mnie nigdy się nie zachwiała. I dlatego na ostatnie Boże Narodzenie w 2016 roku dałem jej prezent, na który jakże cierpliwie czekała od dwudziestu dwóch lat. Wie, o czym mówię, i jest to coś równie pięknego jak ona. Na zawsze i o dzień dłużej z tobą.

# Przypisy

<sup>1</sup> CSI (Crime Scene Investigation) – wydział policji zajmujący się oględzinami miejsc przestępstw.

<sup>2</sup> NCIS (Navy Criminal Investigative Services) – służba śledcza marynarki wojennej.

<sup>3</sup> TESU (Technical and Electronic Support Unit) – zespół wsparcia technicznego i elektronicznego.

<sup>4</sup> JAG (Judge Advocate General's Corps) – wojskowe biuro śledcze.